



Teresa
Fortis

*Lew
pustyni*

 hachette
POLSKA

pisane przez życie

Teresa
Fortis

Lew pustyni

Prawdziwa historia młodej Europejki, która zostaje zatrudniona w Saudyjskich Liniach Lotniczych. Dziewczyna nawet nie przypuszcza, jak wygląda życie młodej kobiety w arabskim kraju...

Baza lotnicza w Dżuddzie jest jak największy harem świata – ponad dwa tysiące kobiet różnych narodowości, otoczonych murami i pilnowanych niemal na każdym kroku. Czy nowoczesna Europejka będzie w stanie odnaleźć się w tym świecie – jakże innym od tego, w którym się wychowywała? Tu kobiety nie mają niemal żadnych praw – pogardza się nimi i ceni tylko ze względu na piękne ciało, a jednocześnie zdobywa się je, rozpieszcza, obdarowując drogimi prezentami i nakłania do prostytucji...

ISBN 978-83-7575-885-6



9 788375 758856



hachette

POLSKA

www.hachette.com.pl

Książkę polecają



Teresa
Fortis

Lew

prustymi

 hachette
POLSKA

*Część
pierwsza*

Rozdział pierwszy

*Droga kandydatko na stewardesę,
rozmowy kwalifikacyjne dla przyszłych stewardes Saudyjskich
Linii Lotniczych odbywać się będą od 3 listopada 1981 w hotelu
Sheraton w Stambule. Prosimy panią o stawienie się w recepcji
we wtorek 3 listopada o godzinie 9.20.*

To za sprawą tego telegramu poleciałam do Stambułu, by spotkać się z najświętszymi ze świętych w Saudii Arabian Airlines. To tu była szansa na wymarzoną pracę i tej szansy w żadnym wypadku nie chciałam stracić.

Z subtelnym makijażem, w ciemnozielonej bluzce z falbankami i prostej białej spódnicy oraz wysokich skórzanych botkach chciałam przekonać do siebie saudyjską komisję zadbanym wyglądem i niezawodnością, w odpowiednich proporcjach.

Gdy czekałam w holu na rozmowę, napotkałam wzrok młodej kobiety. Wyglądała blado i chudo, jak cień samej siebie.

- Przepraszam - zapytała łamaną angielszczyzną - czy jesteś tu z powodu pracy stewardesy?

Gdy przytaknęłam, zachichotała z zakłopotaniem i zdradziła, że ona też.

- Czuję, że mam marne szanse. Przyjechałam wprost z Anadolii. Spędziłam w autobusie całą noc. Teraz jestem zmęczona. Mój angielski jest kiepski. Obawiam się, że odeślą mnie do domu.

Zastanawiałam się nad tą bezbarwną postacią o miłym uśmiechu. Jej ocenę własnych szans uważałam za bardzo realistyczną. Fizycznie nie sprawiała wrażenia szczególnie odpornej.

Na naszym piętrze, wysoko nad miastem, otworzyły się drzwi. Gruby dywan pochłonał odgłos kroków sekretarki, która zbliżała się, żeby zaprosić mnie jako następną kandydatkę. Gdy tylko podążyłam za sekretarką, „panna bez szans” znów przysnęła w swoim miękkim fotelu.

- Co pani wie o Arabii Saudyjskiej?

Przysadzisty mężczyzna w okularach, który zadał mi to pytanie, był przewodniczącym gremium złożonego z czterech mężczyzn. Leżały przed nimi moje świadectwa i dyplomy oraz ich notarialnie poświadczone kopie po angielsku,

- W kwestiach politycznych czy gospodarczych, sir?

- Cóż, tak ogólnie.

Zaczęłam trochę niepewnie o ropie i pustyni, banałach, które każdy obcy natychmiast kojarzy z Arabią, wspomniałam o ustroju, położeniu geograficznym i usłyszałam mój własny głos, mówiący:

- Stolica nazywa się Dżudda.

Zdziwione twarze naprzeciwko uświadomiły mi moje przejęzyczenie. Pospieszenie skorygowałam swój błąd.

- Ach, miałam na myśli Rijad. Dżudda jest ważnym miastem portowym nad Morzem Czerwonym.

Twarze czterech ubranych w zachodnie garnitury panów za stołem ze szlachetnego drewna znów się wygładziły, a ja mówiłam o tym, co jeszcze przyszło mi do głowy na temat Mekki i Medyny, i zakończyłam:

- Arabia Saudyjska jest krajem świętym dla wszystkich muzułmanów, sercem islamu.

Pan Al-Madžid poprosił mnie uprzejmie, żebym się przeszła do drzwi, tak aby można było ocenić mój chód. Zmierzone mnie (sto siedemdziesiąt centymetrów) i zważono (pięćdziesiąt trzy kilogramy). Pan Al-Madžid rzucił sponad okularów taksujące spojrzenie na moje ubranie i poprawił:

- Pięćdziesiąt kilo.

Po jakiejś półgodzinie rozmowa kwalifikacyjna miała się ku końcowi, a panowie szybko naradzali się po arabsku. Najwyraźniej chcieli tu i teraz porozumieć się w sprawie mojej kandydatury.

- W imieniu naszego dobrotliwego króla Chalida ibn Abd al-Aziza as-Sauda postanowiliśmy panią, miss Fortis, zatrudnić jako stewardesę - pan Al-Madžid znów zwrócił się do mnie i dyskretnie podał mi wypełnioną papierami kopertę formatu C4.

- Proszę wypełnić te formularze na pojutrze i przekazać je naszej sekretarce, pani Utrze z biura Saudii. Prawdopodobnie w połowie grudnia zacznie pani kurs w Dżuddzie. Reszty dowie się pani również od pani Utry. Gratulujemy pani.

Gdy wychodziłam z Sheratona, przepełniało mnie radosne, niepowstrzymane uczucie triumfu. Najchętniej skakałabym do góry jak dziki kucyk. Dostałam tę pracę, miałam papiery w torebce, teraz wreszcie mogło się zacząć życie pełne podróży i przygód! Byłam gotowa pochwycić niezwykle i, miałam nadzieję, urozmaicone życie, które zapowiadała ta praca, w całości jej pełni i delektować się nim.

Otworzyłam drzwi taksówki Dżemala, który mnie dwa dni temu *zabrał* z lotniska do miasta i od tego czasu zazdrośnie pilnował. Dżemal dysponował szczątkową znajomością niemieckiego i każda rozmowa z nim stanowiła mozolne przedsięwzięcie.

- Niech mnie pan zawiezie nad Bosfor, Dżemal! Zjedzmy rybę z wody, jest co świętować!

Poprzedniego dnia pokazał mi pałac Topkapi. Siedzieliśmy na kamiennym tarasie z bajecznym widokiem na miasto i wodę w pastelowym listopadowym świetle. Ten nastrój podziałał na mnie:

- Mogłabym tu siedzieć godzinami.

- Później zobaczyc Topkapi od środka. Ma bardzo piękne ozdoby i brodę proroka.

- Muszę to, oczywiście, zobaczyć.

- Mogę o coś zapytać?

- Proszę.

- Pani jest pani czy panna?

- Pani, oczywiście.

- To mieć już męż?

- N i e .

- Znaczy pani jest panna.

- Mam już dwadzieścia cztery lata. Jestem panią, niezależnie od mojego stanu cywilnego - prostowałam. On tego, oczywiście, nie zrozumiał.

- Jeśli nie mieć męż, to panna.

Pojęłam w końcu, o co mu chodzi. Pani czy panna, dziewica czy nie.

- No dobra, niech będzie panna - powiedziałam szybko.

Nastąpiła długa przerwa w rozmowie. Rozkoszowałam się widokiem i nie mogłam jeszcze do końca pojąć, że siedzę teraz, jak gdyby to wszystko było zupełnie oczywiste, tu, w Stambule, na słonecznym

kamiennym tarasie, zamiast sprzedawać bilety kolejowe w Zurychu. Dżemal przypominał o sobie chrząknięciem i chciał się dowiedzieć, dlaczego nie jestem zamężna.

- Nie miałam ochoty. Czuję się na to za młoda. A pan, Dżemal?

- Ja taksówkarz. Dziewczyny nie chcą taksówkarz. Małżeństwo kosztuje dużo pieniędzy. Nie ma piękne mieszkanie. Życie z matką. Też niepiękny na twarzy. Duża nos.

Oświeciło mnie.

- Przykro mi - wymamrotałam zakłopotana i byłam na siebie zła, że nie udało mi się skierować tej rozmowy na jakieś niewinne tory. Patrzył na mnie smutnym, psim wzrokiem.

- Pani też nie podobam, bo niepiękny, duża nos.

- Niech pan posłucha, Dżemal, czy podoba mi się pański nos czy nie, to zupełnie nieważne. W każdym razie nie wchodzi panu w drogę podczas prowadzenia taksówki. Może mnie pan jutro rano o ósmej zawieźć do hotelu Sheraton?

- J a być.

- Liczę na pana.

Gdy wypełniłam wszystkie formularze i spełniłam wymóg dołączenia pięćdziesięciu aktualnych zdjęć paszportowych, właściwie mogłam już wyjechać.

- Nie może pani teraz wyjechać - powiedziała pani Utra - została pani przecież wybrana i musi pani w niedzielę wziąć udział w wieczorze informacyjnym w sali balowej hotelu Sheraton.

- Ale jeśli zostanę tu do niedzieli, mój bilet powrotny straci ważność.

- Musi pani tu zostać, po tym wieczorze informacyjnym ósmego listopada ma pani jedenastego listopada umówioną wizytę w American Hospital.

- Ale to *przecież* dopiero za tydzień! Nie mogę zrobić tych badań w Szwajcarii?

- Myślę, że to niemożliwe. Nie ma tam żadnego lekarza akredytowanego przez Saudię. Musi pani zrobić badania tutaj, w American Hospital. A co do pani biletu, proszę mi go zostawić. Zobaczę, co się da zrobić.

Wygrzebałam bilet z torebki i położyłam na biurku pani Utry. Ponieważ w tej sytuacji musiałam zostać w Stambule tydzień dłużej, niż przewidywałam, pieniędzy wystarczało mi jedynie na pokrycie rachunku za hotel. Pozostał mi wybór pomiędzy głodowaniem a przyjmowaniem zaproszeń.

Pierwsze zaproszenie otrzymałam już, kiedy w hotelowej recepcji oddawałam klucze do pokoju. Recepcjonista Fahri, który nie tylko dobrze wyglądał, ale też dobrze mówił po niemiecku, zaprosił mnie na tureckie wesele nad morzem Marmara, gdzie miał występować jako piosenkarz.

Przeżyłam pełne rozrywek i emocji wesele, które zaczęło się występami ze śpiewem i tańcem brzucha. Niestety, choć głośne i wesołe, musiało się skończyć o wiele za wcześnie. Winna temu była godzina policyjna, ponieważ od ostatniego puczu wojskowego sprzed paru miesięcy w Turcji wciąż jeszcze obowiązywał stan wojenny.

Żołnierze z karabinami maszynowymi na plecach stali w Stambule w każdym ważnym strategicznie miejscu, przed każdym publicznym lub państwowym budynkiem i na każdym skrzyżowaniu ulic. Przechodnie starali się nie rzucać w oczy, nie wolno im było zbierać się w grupy i musieli natychmiast podporządkować się każdemu rozkazowi wojska. Stróże porządku mieli rozkaz strzelania.

To się zdarzyło w deszczowe, ponure popołudnie. Byłam umówiona z Fahrim na Millet Caddesi i akurat mijałam dwóch uzbrow-

jonych żołnierzy, gdy ci krzyknęli za moimi plecami, że mam się natychmiast zatrzymać. Zastygłam w miejscu.

Zalał mnie potok tureckich słów. Podniosłam ręce w obronnym geście:

- *Yok turk!* Nic nie rozumiem; mówią panowie po niemiecku? Po angielsku? Po francusku?

Okazało się, że obaj rambo zatrzymali mnie tylko z ciekawości. Chcieli wiedzieć, skąd przyjechałam, co tutaj robię i chętnie zapytali o jeszcze więcej, gdyby nie powstrzymała ich bariera językowa.

W tym momencie podszedł do nas taksówkarz Dżemal. Chyba musiałam wyglądać na osłupiałą, bo przecież byłam umówiona z Fahrhim, a przyszedł Dżemal. Moje zaskoczenie nie uszło uwagi tych dwóch pleciuchów. Odruchowo odbezpieczyli broń, wycelowali w Dżemala i zasyczeli do niego.

Ten stanął z uniesionymi rękami jak skamieniały, a na jego twarzy odbijało się na przemian zdumienie i przerażenie.

Obydwoj moi obrońcy stali wyprężeni i trzymali Dżemala na muszce. Przechodnie ukradkiem rzucali na nas zaciekawione spojrzenia.

Sytuacja była idealna. Trzeba mi było tylko zawołać: „Ognia!”.

- Zostawcie go, znam tego człowieka. Czekałam na niego, to mój taksówkarz - powiedziałam, gdy opadł ze mnie pierwszy strach.

Gdy nieporozumienie się wyjaśniło, pospiesznie oddaliliśmy się stamtąd. Dżemal szedł szybko obok mnie. W tym czasie deszcz się nasilił, a z ciemnozielonych koron drzew, pod którymi szliśmy, spadały duże krople.

- Tam z przodu stoi taksówka. Ja przywieźć tu klient, pani zobaczy.

- Dżemal, nie mam pieniędzy, żeby wybierać się z panem na dalekie wycieczki.

- Nie chce żadne pieniądze. Wypić herbatę, piękna restauracja, morze Marmara!

Ten facet był niemożliwy. Chyba już traktował mnie jak swoją własność. Ponieważ nie dało się od niego uwolnić, a Fahri najwyraźniej mnie wystawił, równie dobrze mogłam iść na herbatę z Dżemalem, w końcu i tak nie miałam w planach nic lepszego.

- Dobrze więc. Herbata nad morzem Marmara.

Skinął poważnie głową i zręcznie włączył się do nieuporządkowanego ruchu ulicznego. Mimo wszystko rozkoszowałam się siedzeniem w jego taksówce i śledzeniem eleganckich manewrów w ruchu.

Morze było ciemnoszare, wzburzone. Niespokojnie uderzało o brzeg. Niewiele rzeczy podoba mi się bardziej niż morze, więc zaczęłam znajdować przyjemność w tej nieplanowanej wycieczce.

Miejsce, do którego przywiózł mnie Dżemal, miało swój chorobliwy urok.

Był to olbrzymi stary budynek pomalowany na czerwono i brązowo, nieużywana już do swojego zasadniczego celu tancbuda, umeblowana chwiejącymi się stołami i starymi, niewygodnymi krzesłami z drewna. Upływ czasu widać tu było dosłownie wszędzie. Nawet Turcy, którzy tu siedzieli, byli starzy i wyglądali, jakby stanowili część umeblowania. Nadmorski zapach soli i wodorostów mieszał się w herbaciarni ze stęchlizną i zastałym odorem tytoniu. Oczarowała mnie atmosfera schyłku tego miejsca; nawet kelnerzy byli starszymi, dostojnymi panami. Jeden przyniósł nam herbatę, która chociaż mocno posłodzona, smakowała jeszcze solą i dymem, i w milczeniu postawił przed nami pudełko do gry w tryktraka.

Gdy Dżemal i ja na wyścigi rzucaliśmy kostkami, poczułam nieprzyjemne pieczenie w okolicach pęcherza. W ostatnich dniach wzmogły się ostre listopadowe wiatry, a popołudnia stały się mniej

słoneczne i łagodne. Temperatura spadła o kilka stopni, a ja często marzłam, bo ubrania, które ze sobą zabrałam, były za lekkie na taką pogodę. W moim skromnym hotelu nie było ani gorącej wody, ani ogrzewania, i często godzinami leżałam w ubraniu pod dwoma wełnianymi kocami, próbując dłońmi rozgrzać moje lodowate stopy.

Gdy w niedzielny wieczór przyszedłam na spotkanie informacyjne w sali balowej w Sheratonie, dzięki starannemu makijażowi wyglądałam jeszcze całkiem przyzwoicie. Byłam jedną z ostatnich osób, które dotarły. Większość siedziała już w oczekiwaniu na krzesłach naprzeciwko umieszczonej na podwyższeniu trybuny. Trybuna była ozdobiona znakiem firmowym linii lotniczych, tak że mogliśmy od razu zapoznać się z barwami naszego przyszłego pracodawcy.

Moje spojrzenie krążyło nad czterema rzędami krzeseł, aż w końcu odkryłam wolne miejsce pomiędzy rasową blondyną i wyglądającą dziewczeco kobietą tuż przed trzydziestką. Zaraz za mną siedziała niewiarygodnie piękna istota o ognistych, ciemnych oczach i bujnych czarnych lokach - to ona podniosła moją torebkę, gdy zsunęła się na podłogę. Kiedy jej dziękowałam, weszła pani Utra, ułożyła papiery na mównicy i dyskretnie wtopiła się w tło. Naszą uwagę przyciągnęło tymczasem wejście czterech Saudyjczyków w tradycyjnych strojach, którzy zajęli miejsca na trybunie.

Pan Al-Madżid zwrócił się do nas słowami:

- *Aslan wa sahlan*, chcemy was serdecznie powitać! W przyszłości często będziecie te słowa słyszeć i same wypowiadać. *Ahlan wa sahlan* to nie tylko powitanie, ale też tytuł naszego pokładowego magazynu, który ukazuje się co miesiąc.

Pan Al-Madżid mówił o mieście leżącym na północny zachód od Dżuddy, Saudii, która za zgodą dobrotliwego króla Chalida ibn Abd al-Aziza as-Sauda została zbudowana na powierzchni półtora

miliona metrów kwadratowych jedynie dla zagranicznych pracowników.

Do dyspozycji dwunastu tysięcy zatrudnionych oddano trzy tysiące trzysta siedemdziesiąt siedem mieszkań. Cztery części miasta grupowały się wokół wieży ciśnień, która była centrum i dominującym budynkiem Saudia City.

Odsalarnia wody morskiej, elektrownia i oczyszczalnia ścieków już działały. Podobnie jak wewnętrzna i zewnętrzna sieć telefoniczna, szkoła, otwarte przez całą dobę centrum medyczne, meczet, stacja benzynowa, supermarket, bank, restauracje, parki i ogrody, które miały zmienić pustynię w oazę i, jako ukoronowanie, bogaty park rozrywki z basenem o wymiarach olimpijskich, boiskami do piłki nożnej, koszykówki, siatkówki, squasha, kortem tenisowym... Czego tylko dusza zapagnie.

Mówił o nowym ośrodku treningowym w Dżuddzie, a także o nowym porcie lotniczym za siedem miliardów marek, zbudowanym przez niemiecką firmę budowlaną na powierzchni stu dwóch kilometrów kwadratowych, który - jakżeby mogło być inaczej - był największy na świecie. Przeszedł do nowych boeingów 747, które wkrótce miały zostać dostarczone, a w końcu nawiązał do delikatnego tematu „Rola kobiety w Arabii Saudyjskiej”:

- My w Arabii Saudyjskiej za bardzo szanujemy kobiety.

Kobieta saudyjska żyje wykluczona z życia publicznego, ukryta na łonie rodziny. Nie może podejmować żadnej pracy w miejscu publicznym, ponieważ wówczas nieuchronnie kontaktowałaby się z obcymi mężczyznami (to znaczy mężczyznami, z którymi nie jest spokrewniona).

Ale również w Arabii Saudyjskiej linie lotnicze bez kobiecej obsługi są nie do pomyślenia. Podobnie jak szpital bez pielęgnia-

rek i lekarek albo gospodarstwo domowe bez służącej. Zagraniczne pracownice stanowią wprawdzie maleńki odsetek ponad trzech milionów obcokrajowców, ale codzienny kontakt z obcokrajowcami nie pozostaje bez wpływu na ludność kraju. Zakaz picia alkoholu, wykluczenie kobiety z saudyjskiego męskiego towarzystwa i postulowana rezygnacja z publicznych rozrywek są coraz częściej łamane.

- Jak wszystkie wiecie, Arabia Saudyjska to serce islamu. Nasza codzienność jest silnie nacechowana przez religię. Europejczyk, a zwłaszcza oczywiście europejska kobieta postrzegana jest tu jako coś obcego. Im mniej rzuca się w oczy czyjeś zachowanie i ubiór, tym łatwiej temu komuś dawać sobie radę. Już bluzka bez rękawów często traktowana jest jako prowokacja. Ramiona i nogi powinny być zakryte; kto ubiera się wyzywająco, ten budzi sensację, przede wszystkim jednak pogardę. Zatem moje panie: żadnych głęboko wyciętych sukienek, niczego przezroczystego, z rozporkami albo podkreślającego kształty. Na koniec: Chwała Turczynkom! Jesteście dobrymi pracownicami, pracowitymi i niezawodnymi. Saudia wciąż chętnie rekrutuje w Turcji swoje stewardesy. W ubiegłych tygodniach przeprowadziliśmy sto sześćdziesiąt dziewięć rozmów kwalifikacyjnych, a otrzymaliśmy ponad dziewięćset aplikacji. Chcieliśmy zatrudnić sześćdziesiąt nowych stewardes, szukaliśmy najlepszych - przerwał na chwilę, bo już przy liczbie dziewięćset po rzędach przeszedł szmer. - Znaleźliśmy pięćdziesiąt dwie, które odpowiadały naszym wymaganiom. Was. Jesteście najlepsze!

Zrobił krótką przerwę, kiedy my, wybranki, rzucałyśmy ciekawe spojrzenia na lewo i prawo.

- Oczywiście - głos pana Al-Madžida stał się bardziej dobitny - oczekujemy również czegoś od was.

I w tym miejscu ujawnił to i owo. Mówił o nieprzyjemnych strojach naszego nowego zawodu, takich jak nocne loty, nagle odwołane

wolne dni, specjalne dyżury, dwudziestoczwierogodzinna gotowość i tym podobne rzeczy. Ale zaraz pocieszała i kusiła kortami tenisowymi, basenami i lokalami dla smakoszy, które miały w Dżuddzie wyrastać jak grzyby po deszczu.

Po projekcji filmu o hipernowoczesnym ośrodku szkoleniowym w Dżuddzie, który rocznie kształcił ponad tysiąc pracowników, nadając im ostateczny lotniczy szlif, otwarto bufet. Na próżno szukałam wśród nas bladej, drobnej dziewczyny z Anatolii. Wydawało się, że wiele z tych młodych kobiet się zna, tylko moja sąsiadka po lewej stała sama przy bufecie, trzymając ciastko w dłoni. Nazywała się Ozlem, miała dwadzieścia osiem lat i z zawodu była architektem.

Ten nowy początek był spełnieniem jej marzenia o pracy stewardesy. Poszłyśmy porozmawiać do pani Utry, której pochodzenie stanowiło dla mnie zagadkę. Ozlem zachichotała:

- Ona jest Żydówką!

Zbaraniałam.

- Naprawdę?

- Cóż, w Arabii Saudyjskiej oficjalnie Żydzi nie mogą pracować dla linii lotniczych, ale tutaj, w Stambule, bez pani Utry Saudyjczycy mogliby od razu zamknąć biuro. Ta kobieta jest niesamowicie kompetentna, przejmuje wszystkie prace i wszystko organizuje.

Nasza jasnowłosa turecka sąsiadka przyłączyła się do nas i przedstawiła się ładnie brzmiącym imieniem Canan. Canan miała co najmniej metr siedemdziesiąt osiem wzrostu i wielkie, śliczne zielone oczy; polubiłam ją od razu.

- Mój angielski nie jest szczególnie dobry - zwierzyła mi się szczerze, mrugając oczami. - Moje świadectwa szkolne zresztą też nie. Ale koniecznie chcę być stewardesą. Gdyby mnie w tym roku nie przyjęli, spróbowałabym znów za rok i za rok. Ale miałam szczęście!

Roześmiała się promiennie i pochwyciła kawałek bakławy.

- To dlatego, że urodziłam się w piątek podczas modlitwy. Ludowe przysłowie mówi, że wtedy ma się dużo szczęścia w życiu.

Gdy wieczór informacyjny się skończył, dziecko szczęścia usiadło za kierownicą szybkownego czerwonego sportowego auta i odjechało. Rzeczywiście, coś musi być w tym ludowym przysłowiu.



Dzięki Bogu dowlokłam się na badania do American Hospital. Wsiadłam w Aksaray do zbiorowej taksówki i pojechałam aż do Cumhuriyet Caddesi. Stamtąd poszłam dalej pieszo, udało mi się bowiem uwolnić od szarpiącego nerwy utrapienia w postaci Dżemala.

Badania lekarskie! Żebym tylko nie umarła ze śmiechu! Cierpiałam na ostre zapalenie pęcherza i nerek i tylko leki przeciwbólowe trzymały mnie w pionie. W szpitalu lekarze szybko by się zorientowali, jak bardzo jestem chora, i skreśliliby mnie z listy kandydatek. Stewardesy mają być - jak wiadomo - zdrowe, krzepkie i odporne. Poddałam się tym raczej powierzchownym badaniom i grzecznie odpowiedziałam na zadane po angielsku pytania łagodnego tureckiego lekarza. Gdy dostał ode mnie świeże próbki płynów fizjologicznych, mogłam sobie iść. Ale dokąd? Do domu? Do Arabii Saudyjskiej?

W kiepskim nastroju opuściłam miejsce mojej prawdopodobnej klęski. Mimo to nie byłam totalnie przygnębiona. Zrobiłam wszystko, co możliwe, aby zmienić swoją sytuację. Jeśli teraz miałoby się nie powieść, można by to przypisać jakiejś sile, na którą nie miałam żadnego wpływu.

Rozdział drugi

Charlotte i ja pracowałyśmy dla szwajcarskich kolei państwowych. Ja na lotnisku Zurych-Kloten, ona na dworcu głównym. Informacja, bilety, taryfy. Właściwie wyobrażałyśmy sobie, że nasze życie będzie ciekawsze.

Rodzice Charlotte mieli wspaniałą willę w Rebhugeln nad Jezio-rem Genewskim. Ale nie tam dorastała, tylko w drogich szkołach z internatem. Później skończyła szkołę języków obcych dla sekretarek. Ale wykształcenie zawodowe w kręgach, w których obracała się Charlotte, i tak nie było ważne. Ważne było to, żeby dziewczyna dobrze wyszła za mąż i mogła dalej żyć na poziomie, do którego od dziecka przywykła. Charlotte była bogatą dziewczyną, której w życiu brakowało ciepła i zainteresowania, ale też buntowniczką, która w końcu chciała przejąć odpowiedzialność za siebie.

Pełna dobrych intencji próbowała żyć tylko za to, co zarobiła jako pracownica szwajcarskich kolei, ale wkrótce się okazało, że to nie wystarcza, i Charlotte czuła się zmuszona obniżyć swoje wymagania. Wieczorami częściej zostawała w wynajętym mieszkaniu w czwartej dzielnicy albo wychodziła ze mną na kawę do eleganckiego hotelu Schweizerhof, aby tam obserwować gości i ich oplot-

kowywać. Charlotte była zabawną, kochaną dziewczyną. Jej broń stanowiło poczucie humoru, nawet własną rozpacz traktowała z dystansem.

Jak należało oczekiwać, kariera Charlotte w szwajcarskich kolejach nie trwała długo. Wołała zostać stewardesą. Jeden z jej kuzynów pracował dla Swissair i w związku z tym gotów był jej pomóc. Zagadnęłam ją o to i otrzymałam odpowiedź, na jaką zasłużyłam.

- A co sobie myślisz? On też czegoś chce ode mnie. Nie, lepiej będę trzymać się Memo. On mnie kocha i jest bardzo bogaty. Chce mnie mieć i każdego dnia dzwoni do mnie ze Stambułu.

Memo to był zwariowany pomysł Charlotte. U Gulsum, swojej koleżanki z internatu w Stambule, poznała bogatego biznesmena, a teraz chciała wyjść za niego za mąż.

- Ten Memo jest zazdrosny jak samo piekło! - ostrzegałam.

- To dlatego, że mnie kocha. Chcę mieć rodzinę i dzieci. Albo taką pracę, która mi się będzie podobać!

Po prostu złożyła wymówienie w szwajcarskich kolejach i zabukowała lot biznesklasą Swissair do Stambułu.

Przed odlotem nie była już tak pewna swego. Stałyśmy przy bufecie w hali odlotów B, ja miałam w ręku gin z tonikiem, ona martini bianco. Zostawiła mi swoje jednopokojowe mieszkanie, adapter i znoszoną torbę podróżną od Louis Vuittona.

Nie czułam się dobrze z myślą o jej nagłym wyjeździe. Znowu przyjaciółka opuszczała mnie z powodu faceta. Nie byłam dość ważna; ten mężczyzna, który zajmował ją fizycznie i mentalnie, najwyraźniej miał więcej do zaoferowania. Ale przynajmniej obiecała, że do mnie napisze.

- Uważasz mnie pewnie za wariatkę, co? - zapytała i zamówiła kolejne martini bianco.

- Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa z tym Memo.
- Nie rób takiej miny! Przyjedziesz do mnie z wizytą i znajdziemy kogoś również dla ciebie. Na przykład kuzyna Memo. On uwielbia blondynki.
- To ten stukilogramowy kurdupel, ten od lodówek?
- Owszem. Ale jest bardzo miły.
- Zapomnij o tym, Charlotte. Bogaci wiążą się z bogatymi, a biedni poślubiają biednych. To zasada. Wyjdę kiedyś za mąż za biedaka, jeśli w ogóle. Na zdrowie! Za ciebie i Memo!

Wypiła drinka.

- J u ż późno! Muszę się pospieszyć, w przeciwnym razie odlecą beze mnie. - I już biegła, aja za nią, w kierunku kontroli paszportowej. - Głowa do góry! W każdym razie przyjedziesz na moje wesele.

Zostałam z gulą w gardle przed szklaną szybą i machałam ręką, dopóki nie straciłam z oczu tego zadbanego zjawiska w ciemnym płaszczu od Diora.

Charlotte wyjechała ze Szwajcarii w styczniu. Napisała do mnie kilka razy, a później, na początku maja, nieoczekiwanie zadzwoniła. Właśnie wylądowała w Zurychu i chciała się ze mną spotkać za pół godziny na dworcu głównym, przy przechowalni bagażu.

Sprawa z Memo była skończona, tylko on o tym jeszcze nie wiedział. Potajemnie załatwiła sobie pracę jako stewardesa w Saudyjskich Liniach Lotniczych i chciała za cztery dni zacząć szkolenie w Dżuddzie.

- Dobre pieniądze i do tego bez podatku! Akurat tego dnia, kiedy wyjeżdżam do Arabii Saudyjskiej, Memo ma wrócić do domu z podróży służbowej. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będę już wówczas poza jego zasięgiem, po odprawie i kontroli paszportowej. Później już nic nie będzie mógł zrobić. Trzymaj kciuki, żeby wszystko dobrze poszło! - głos Charlotte był coraz bardziej prze-

nikliwy, co oznaczało, że jest silnie wzburzona. Poprosiłam ją, żeby opowiedziała mi wszystko po kolei.

Memo już nie cofał się przed niczym. Zasypywał Charlotte prezentami, rozwścieczał swoją nieufnością i onieśmielał zazdrością. Gdy wychodziła sama, kazał ją śledzić, a i w domu zamknął ją już raz w jej pokoju. I naciskał na szybki ślub.

Charlotte mówiła jeszcze na początku:

- Tak, Memo, w sierpniu. Tak, Memo, może jednak lepiej we wrześniu, żeby moi rodzice mogli przyjechać.

Coraz bardziej czuła się ptakiem w złotej klatce. W tej sytuacji ogłoszenie o naborze stewardes do Saudyjskich Linii Lotniczych wydało się jej kołem ratunkowym.

Zgłosiła się ze swoją tłuścą, powolną przyjaciółką Gulsiim. Ją przyjęli, Gulsiim nie.

Charlotte przyleciała więc do Szwajcarii, aby załatwić brakujące dokumenty i spotkać się z rodzicami. Po powrocie do Stambułu chciała szybko spakować walizki, wziąć taksówkę na lotnisko i przed odlotem do Arabii Saudyjskiej poinformować Memo telefonicznie, że się z nim rozstała. Tak też mniej więcej musiało to później wyglądać.

Wkrótce zaczęły nadchodzić z Arabii Saudyjskiej listy z zachwyta-
mami, dostawałam kartki pocztowe z Bombaju i Bangkoku. Szło jej oszałamiająco. Dobrze zarabiała i kochała swoje nowe życie. Twierdziła, że nie powinienam tracić czasu, tylko natychmiast wysłać swoją aplikację, bo oni potrzebowali mnóstwa nowych stewardes i co tydzień prowadzili nowe szkolenia.

Swoją aplikację wysłałam długo przed pierwszym entuzjastycznym listem Charlotte. Teraz musiałam już tylko czekać. Czas działał na moją korzyść, było mi z tym dobrze.

Moje zmartwienia z powodu rezultatów badań lekarskich okazały się zupełnie niepotrzebne. Nic już nie stało na drodze do mojego kształcenia się w zawodzie stewardesy.

Pięćdziesiąt dwie nowo zwerbowane stewardesy podzielono na trzy grupy. Pierwsza, do której zostałam przydzielona, złożona z dwunastu aspirantek, opuściła Stambuł dziewiętnastego grudnia 1981 roku, ażeby następnego dnia zacząć sześciotygodniowy kurs.

Ruszyłam w drogę z moim bagażem - wypchaną czerwoną skórzaną torbą, która ważyła prawie osiemnaście kilogramów, i starą plastikową torbą podróżną. Większość zimowych ubrań zostawiłam w Szwajcarii, podobnie jak książki i co tam jeszcze zebrało się z biegiem lat, ale nie było tego wiele. Mój bagaż podróżny musiał być lekki, nic nie miało prawa przeszkodzić mi w wyjeździe.

W dniu odlotu do Dżuddy zameldowałam się dość wcześnie na lotnisku Yesilkóy i zostałam od razu powitana przez naszą opiekunkę, panią Utrę, oraz starannie sprawdzona.

Z kartą pokładową w garści szwendałam się po hali odlotów i wyglądałam moich towarzyszek podróży - dziewczyn obejmowanych przez rodziców, przyjaciół i krewnych. Dziewczyn z dużymi, smutnymi oczami. Dziewczyn, które przed pożegnaniem z ukochanymi z trudem panowały nad swoimi twarzami. Dziewczyn, które wydawały się trochę zagubione i wylęknione, które z gulą w gardle przyjmowały zainteresowanie swoich bliskich i pożegnalne podarki.

Jedna miała pożegnanie już za sobą i siedziała sama w jednym z rzędów składanych plastikowych krzesełek. Usiadłam obok niej. Była wysoka i miała długie czarne włosy ściągnięte w koński ogon. Skierowała na mnie swoje wielkie, lekko wyłupiaste oczy, których ciężkie powieki pomalowane były złotym brokatem, i przedstawiła się:

- Cześć, jestem Ayfer.

Ładna blondyna, której oczy również były pociągnięte złotym brokatem, wprawiła w drżenie rząd krzesełek, dosiadając się do nas z ciężkim westchnieniem.

- To Semiran, moja najlepsza przyjaciółka. Byłyśmy przedtem stewardesami w Tureckich Liniach Lotniczych - poinformowała mnie Ayfer. Semiran przywitała się ze mną głosem, który brzmiał zaskakująco głęboko i posępnie. Trzymała paczuszkę z orchideą.

Nasz boeing 707 był gotowy do przyjęcia pasażerów. Gdy wsiadałyśmy do naszego busa lotniskowego, niektóre dziewczyny walczyły ze sobą, żeby się opanować, podczas gdy inne szlochały bez zahamowań, obserwowane przez zdezorientowanych dosiadających się pasażerów. Tylko dwie pozostały niewzruszone: Ozlem i ja.

Na pokładzie jakaś Afroamerykanka, której spodnie od munduru powiewały wokół nóg, z kwaśną miną wskazała nam nasze miejsca. Siedziałam obok Ayfer i Semiran. Semiran, z zamglonym spojrzeniem, otworzyła teraz swój mały prezent pożegnalny z orchideą. Na kolana wypadła jej kartka. Dużymi literami było na niej napisane: „*Gule Gule sevgilim*”. Skończyło się panowanie nad sobą: złoty brokat spływał kroplami po policzkach, kartka upadła na podłogę. Podałam jej chusteczkę higieniczną.

- Dziękuję - wyszeptła i delikatnie wydmuchała nos.

Przypięłyśmy się pasami i kołowałyśmy na pas startowy. Steward szybko przeszedł kontrolnie po na wpół wypełnionej kabinie, podczas gdy czarnoskóra stewardesa, niezadowolona i zmęczona, przysiadła na swoim rozkładanym siedzeniu.

Ostatnie spojrzenia na umykający nadmorski krajobraz, który coraz bardziej się oddalał i zaraz skrył się za ciężkimi, deszczowymi chmurami. Twarze się wygładziły, oczy patrzyły naprzód. Wcisnęli

nam do rąk po papierowej serwetce i plastikowym kubku, życie toczyło się dalej.

Zapytałam Semiran, co znaczy *Gule Gule sevgilim*.

- Do widzenia, moja ukochana - przetłumaczyła, gdy steward nalewał sok ananasowy. Potem dostałyśmy coś na ciepło, chyba klopsiki, wydane niechętnie przez czarnoskórą stewardesę, która najwyraźniej nienawidziła swojej pracy.

Było już ciemno, gdy spóźnione wylądowałyśmy w Rijadzie. W starej, prawie pustej hali lotniska nasza grupa czekała na dalszy lot do Dżuddy. Zapowiadało się kolejne opóźnienie.

Czekało tu również kilka zasłoniętych od stóp do głów kobiecych postaci. Spod ich sięgających ziemi abai połyskiwały złote i srebrne buciki, którymi niecierpliwie kołysały.

Widziałam już przedtem w Londynie muzułmańskie kobiety w czadorach i wiedziałam, że takie są tu obyczaje, mimo to w pierwszej chwili byłam dość poirytowana, bo wyglądały dziwnie i odpychająco, raczej jak rzeczy niż ludzie.

Turczynki dały upust swoim uczuciom.

- J a k worki węgla! - szeptały lekceważąco. - Jak wrony!

Jedynie Ozlem była ponad to.

- Robią tak do dziś, ale nie od zawsze. Przecież Saudyjczycy zasłaniania kobiet nikabem nauczyli się od tureckich kobiet. Gdy kiedyś Arabowie napadli na Turcję, Turcy zasłonili swoje kobiety nikabami, aby ukryć je przed spojrzeniami najeźdźców.

Dalej leciałyśmy wypełnionym po brzegi lockheedem L1011 TriStar.

Zajmowała się nami nowa załoga. Młody steward zapytał, kim jesteśmy i skąd przybywamy.

- Na szkolenie? Witamy! Witamy w Arabii Saudyjskiej! - zawołał radośnie. Był pierwszym człowiekiem w Arabii Saudyj-

skiej, który spontanicznie okazał radość życia, a nasza damska grupka odwdzięczyła mu się serdecznym śmiechem i rzucanymi z ulgą żartami.

Po wylądowaniu w Dżuddzie stanęliśmy najpierw w kolejce do stanowisk urzędników imigracyjnych, ale najmniej przyjemne było dopiero przed nami: urzędnicy celni sprawdzali dokładnie każdy bagaż, przy czym książkom i czasopismom poświęcali szczególną uwagę. Strony z półnagimi ludźmi i nieobyczajnymi treściami były od razu wrywane, przy czym my, nowicjusze, często słyszeliśmy uwagę: „To zabronione”. Ponieważ zabronione było wiele z tego, co - w końcu wychowane niekoniecznie w pełnej swobodzie i według zachodniej moralności - Turczynki miały ze sobą, kontrola celna trwała prawie do północy. Potem zostałyśmy wsadzone do dwóch małych busów linii lotniczych i wywiezione z lotniska. Ja siedziałam z przodu obok niebieskookiej istoty o miękkiej, dziecięcej twarzy, która poczęstowała mnie tureckim papierosem, za który podziękowałam.

Kierowca jechał płynnie przez obramowany akacjami, tamaryszkiem i palmami daktylowymi teren lotniska, a potem skręcił w słabo oświetloną ulicę wylotową. Pustynny krajobraz, przez który teraz jechaliśmy, przerywały place budowy, pełne rupieci i gruzu. Po prawej dominował cień olbrzymiej fabryki cementu. Znow skręciliśmy i jechaliśmy przez gęsto zaludniony teren. Nowe wille za wysokimi murami na zmianę z domami w stanie surowym, spycharkami i migającą sygnalizacją świetlną. Nic nie wyglądało tu na gotowe i skończone, wszystko było w trakcie powstawania. Po mniej więcej dwudziestominutowej przejażdżce zatrzymaliśmy się przy punkcie kontrolnym, gdzie nasz kierowca wylegitymował się swoim dowodem tożsamości. Przepuścili nas ruchem ręki i znaleźliśmy się

w Saudia City - mieście, które zostało zbudowane dla zagranicznych pracowników Saudyjskich Linii Lotniczych.

Po zrobieniu sporego okrążenia nasz samochód znów zatrzymał się przed szlabanem. W budce strażniczej poruszała się jakaś mundurowy, bariera z furkotem uniosła się do góry i wjechaliśmy przed płaski budynek recepcyjny. W końcu byliśmy u celu naszej podróży.

W swoim przeszklonym biurze, które umożliwiało doskonałą obserwację wejścia, pracownica punktu kontrolnego dla stewardes, Jale, wygłosiła krótką przemowę, której niestety nie zrozumiałam, bo była po turecku, i rozdała klucze. Na końcu zostaliśmy tylko ja i Ozlem.

- Dobrze, to będziecie dzielić pokój - zdecydowała Jale i wręczyła każdej z nas po kluczu z napisem 10-2-C. Podpisałyśmy potwierdzenie przybycia i ruszyłyśmy na poszukiwanie naszego domu. W wielofunkcyjnym budynku, którego progi przekroczyłyśmy, jakaś Arabka w czarnej abai czytała ogłoszenie na tablicy, oprócz niej jak okiem sięgnąć nie było widać nikogo.

Weszłyśmy na wąską dróżkę. Była bezwietrzna, ciepła, gwiazdzista noc. Powietrze słabo pachniało kwiatami i krzewami, które rosły przy dróżce, oraz chlorem i wodą. Jakaś ścieżką przeszłyśmy obok basenu i kortów tenisowych. Te obiekty obramowane były domami w kształcie litery U. Przeszłyśmy przez asfaltową ulicę i znalazłyśmy się przed budynkiem numer dziesięć. Zatargałyśmy nasze bagaże na drugie piętro i zatrzymałyśmy się, zdyszane. Po lewej i prawej stronie znajdowało się po dwoje drzwi, nie było na nich numerów. Trzecie drzwi, które sprawdzałyśmy, dały się w końcu otworzyć naszymi kluczami.

Mieszkanie najwyraźniej było zamieszkane, ale wydawało się, że nikogo nie ma w domu. Olbrzymie, rozmyte plakaty zdobiły

ściany. W salonie stały dwa stoły, krzesła, jasnobezwowe tapicerowane meble, regały i komody oraz telewizor i wieża stereo.

Naprzeciwko wejścia, na szerszym końcu dużego, prostokątnego salonu mieściła się kuchnia. Z salonu korytarz prowadził do prawie identycznych sypialni, usytuowanych po lewej stronie. Na końcu korytarza znajdowała się podłużna łazienka i prysznic z toaletą.

W sypialniach były po dwa łóżka, dwie szafki nocne, telefon, szafa na ubrania i komoda z lustrem oraz stołek, wszystko z polakierowanego na ciemno drewna.

- W łazience jest pełno kosmetyków wszelakiego rodzaju - zameldowała Ozlem z tylnej części korytarza. - Czyli rozumiem, że mała toaleta z prysznicem jest najwyraźniej przeznaczona dla nas.

Właściwie chętnie wzięłabym prysznic, ale zrobiła się już druga w nocy, a najpóźniej o wpół do siódmej musiałyśmy wstać, bo szkolny bus do centrum treningowego odjeżdżał punktualnie o wpół do ósmej.

Ja grzebałam w bagażu w poszukiwaniu budzika, a Ozlem - nocnej koszuli. Powietrze było stęchłe i zastałe - jak we wszystkich pomieszczeniach, które przez dłuższy czas pozostawały niezamieszkałe - więc włączyłyśmy klimatyzator, wpuszczony w ścianę nad moim łóżkiem. Ruszył z głośnym buczeniem. Mimo zmęczenia źle spałam mojej pierwszej nocy w Arabii Saudyjskiej. Byłam za bardzo podekscytowana. Nigdy przedtem nie wyjeżdżałam tak daleko, a teraz, za mniej niż cztery godziny, niewyspana, miałam zacząć nowe życie.

- Stażystki? Wpiszcie się tu! - Samira, kontrolerka stewardes, z idealnym makijażem i twarzą zastygłą jak maska, podsunęła nam w recepcji kartkę.

- Zawsze, kiedy chcecie wyjść, nieważne dokąd, musicie się tu pisemnie odmeldować - rozkazała i zmierzyła nas niechętnym spojrzeniem. Wokół jej ust pojawił się wyraz goryczy. A może to była odraza?

Odważyłam się zapytać, co znaczy skrót PRN.

- *Payroll number* - odszczeknęła rozzłoszczona. - Ponieważ nie macie jeszcze numerów, zostawiacie to pole puste.

Zebrałyśmy się w trzech busach. Obok mnie siedziała kragła, hoża Francuzka o imieniu Veronique. Skrzydła na kapeluszu i żakiecie zdradzały ją jako absolwentkę kursu dla stewardes.

- Jesteś tu nowa, co?

- Tak. Zaczynamy dziś szkolenie. Ale dlaczego tak dużo już wyszkolonych stewardes też jedzie do centrum treningowego?

- Ja jestem zapisana na kurs na B747. Inne kończą swoje coroczne kursy odświeżające wiedzę. Te Hinduski w mundurach, ale bez wpiętych skrzydełek, to stażystki w trzecim tygodniu szkolenia, które już zdały cząstkowe egzaminy i teraz mają dwutygodniowe szkolenie z obsługi pasażerów.

Po mojej lewej znów siedziała dziewczyna z twarzą niemowlaka, którą zapamiętałam z autobusu wiozącego nas z lotniska. Na jej okrągłe niebieskie oczy spadały miękkie czarne loki. Uśmiechnęła się do mnie nieśmiało i ponownie zaproponowała mi tureckiego papierosa, za którego znów uprzejmie podziękowałam.

Poranne słońce stało nad horyzontem w osobliwej beżowo-różowej poświacie. Przejeżdżaliśmy obok nowych meczetów o śnieżnobiałych lub złotych kopułach, obok pałacu As-Salam, przy wieżach ciśnień w kształcie grzybów, obok nowiusieńkich centrów handlowych na wzór amerykańskich, a także wpadających w oko artystycznych rzeźb, które były częścią programu upiększania Dżuddy i w trakcie przejazdu rywalizowały ze sobą o nasze zainteresowanie.

Po piętnastominutowej podróży dotarliśmy do szlabanu i zatrzymaliśmy się na terenie centrum treningowego.

Trzymałam się innych nowicjuszek. Weszłyśmy po schodach i znalazłyśmy się w potężnej hali, gdzie na wzór amerykański rozciągał się labirynt małych biur, wyglądających jak otwarte pudełka.

Trochę zagubione usiadłyśmy na stojących w pobliżu wejścia chwiejnych tapicerowanych fotelach w kolorze zielonej żabki, które wyglądały, jakby zapomniała je stąd zabrać śmieciarka. Z jednego z pudełek wyskoczył Pakistańczyk albo Hindus i chciał się dowiedzieć, na kogo tu czekamy.

- Na naszego instruktora. Jesteśmy nowymi stażystkami.

Trochę bezradnie podrapał się długopisem za uchem.

- Sale do szkoleń są tam z tyłu, na końcu hali, po lewej stronie.

Ruszyłyśmy na poszukiwanie i natknęłyśmy się na drzwi, na których było napisane: „Kurs 44-81”.

- Tak, to kurs, który zaczyna się dzisiaj - potwierdziła ognistooka, ciemnowłosa kobieta o silnym południowym akcencie, która czekała wraz z dwiema blondynkami i dwiema Afroamerykankami przy ustawionych w półkole stolikach.

Pojawiła się już także angielska instruktorka, miss Ryan, przywitała nas i objasniła nam program na najbliższe tygodnie:

- Podczas tego sześciotygodniowego kursu podstawowego będziecie się uczyć procedur bezpieczeństwa i różnych mądrości na temat obsługi pasażerów. Później przed wami trzymiesięczny okres próbny. W tym czasie będziemy obserwować waszą pracę, wasze zachowanie i wasze nastawienie.

Następnie poproszono nas, żebyśmy się krótko przedstawiły. Klasa składała się z jedenastu Turczynek, czterech Amerykanek, jednej Francuzki i mnie. Trzy Amerykanki były już stewardesami w United Air Carrier i Pan Am. Intensywnie opalona, jasnowłosa

Francuzka Julie była prywatną stewardesą pewnego szejka naftowego.

Miss Ryan przeszła do zasad i przepisów.

Nasze włosy musiały być zawsze schludnie uczesane, rozpuszczone mogły sięgać najwyżej do ramion. Spódnice i sukienki w miarę możliwości do łydek, w każdym razie powinny zakrywać kolana. Perfekcyjny makijaż. Paznokcie polakierowane kolorem pasującym do munduru. Żadnej wyzywającej biżuterii, tylko bransoletka, zegarek i co najwyżej dwa pierścionki. Proste kolczyki na sztyft, żadnych wiszących.

- I jeśli ktoś spóźni się na zajęcia, może od razu odebrać w biurze swój bilet powrotny.

Zostałyśmy po kolei poddane oględzinom. Niektóre już pierwszego dnia były bez zarzutu, inne nie.

Gdy przyszła kolej na mnie, usłyszałam:

- Twoje kolczyki są wprawdzie piękne, ale o wiele za duże i zbyt rzucają się w oczy. Powinnaś też spróbować coś zrobić z włosami. Są zbyt rozwichrzone.

Semiran i Ayfer zostały ocenione pozytywnie.

- Ale ten złoty brokat nie pasuje. Możecie się tak malować na imprezę. Na zajęciach obowiązkowe są cienie do powiek i tusz do rzęs. Dziś po południu Annie, wasza grooming inspector*, nauczy was, jak się malować.

Po pierwszej przerwie pojawił się Australijczyk o imieniu Geoffrey, przedstawił się jako nauczyciel angielskiego i rozdał kartki z krótkim testem z tego języka. Czterem Amerykankom zaproponowano w tym czasie kawiarnię w centrum treningowym.

Test był prosty, mimo to niektóre dziewczyny, pogrążone w myślach, gryzły końce swoich ołówków i bezradnie patrzyły na kartki.

* Ang.: Kontrolerka wyglądu

Szybko rozwiązałam test i wręczyłam kartkę panu Geoffreyowi.

- Bezbłędnie - skomentował. - To dla ciebie za łatwe, prawda?

- Cóż, to akurat nie mój poziom.

- Test potrwa jeszcze dwadzieścia minut. Zejdź na dół do pozostałych - zaproponował pan Geoffrey, który tymczasem sprawdzał test Ozlem. - *Any* - szeptał - nie *some*. *Do you have any newspapers?** Poza tym dobrze.

Pół godziny później trzy zakłopotane Turczynki stały przed drzwiami, z okrągłych niebieskich oczu na dziecinnych twarzach toczyły się łzy. Te trzy nie zdały testu i obawiały się najgorszego.

Następna godzina dotyczyła języka lotniczego. Co to jest harmonogram, co oznacza i jak obliczyć czas lokalny, czas środkowoeuropejski, legalność. Jak prawidłowo wypełniać rozmaite formularze i co to jest *payroll nutnber*.

- *Payroll nutnber* jest w ogóle najważniejszy - pouczała miss Ryan. - Chodzi o bieżący siedmiocyfrowy system numeracji. Po zdaniu egzaminów końcowych dostaniecie swoje numery i zostaniecie wciągnięte na listę płac. Ten osobisty i niezmienny numer będzie na waszych czekach z wynagrodzeniem, na wewnętrznej, adresowanej do was poczcie, na waszych grafikach, po prostu na wszystkim. Teraz jeszcze coś ważnego: „linią” nazywamy tutaj grafik na miesiąc. Jeśli chodzi o grafik, możecie zgłaszać życzenia. Będą one uwzględniane, kiedy to samo wybierze ktoś z niższym numerem. Nazywa się to *seniority system*. Ci, którzy dłużej są w służbie, mają pierwszeństwo. Radzę wam zaraz na początku zgłosić gotowość do służby przez cały miesiąc, wówczas nawet młodsze stewardesy przy odrobinie szczęścia mogą załapać się na interesujące loty.

Ang.: Masz jakieś gazety?

Mózg mi parował. Zgodnie z tym, co powiedziała, młodsze stewardesy nie dostają dobrych lotów, starsze dostają rodzinny, a wszyscy tutaj jesteśmy tylko numerami.

Nasza instruktorka ogłosiła pięćdziesiąt minut przerwy obiadowej, którą spędziłam głównie na zdobywaniu kilku riali na kanapkę.

Brenda, jedna z Afroamerykanek z Nowego Jorku, pożyczyła mi wielkodusznie pięćdziesiąt riali.

- To kiedy przyjechałyście?

- Dziś w nocy, o pierwszej.

- O ludzie! - westchnęła współczująco. - To nawet nie miałyście kiedy się wyspać.

- Wiesz, Brenda, mam wrażenie, że nie ściągnęli nas tutaj do spania.

Parsknęła i pokazała swoje mocne zęby.

- *Damn right* (Święta racja)! Nic tu nie wygląda tak jak na kolo- niach.

- A wy? Od kiedy tu jesteście?

- Muriel i ja od dwóch dni.

- I jak je spędziłyście?

- A co tu można robić? Poznawać ludzi, chodzić na imprezy. Muriel i ja poznałyśmy tu parę osób.

Tymczasem przed okienkiem, w którym wydawano jedzenie, kolejka trochę się przerzedziła i wzięłyśmy sobie tace.

- A co to jest? - zapytała Brenda i spiczastym, polakierowanym na czerwono paznokciem pokazała kanapkę obłożoną czymś trudnym do zdefiniowania.

- Kanapka z mózdzkiem i jajecznicą - wyjaśnił chłopak z kuchni.

- *Yuk! Gwe me a portion oj french fries with lot's of ketchup, please!**

* Ang.: Poproszę porcję frytek z mnóstwem keczupu

Po południu zabrała się za nas Annie, dobrze utrzymana Austrijka przed czterdziestką, z falującą kasztanową burzą loków.

Jasne, dzienne światło zalewało klasę. Każda stażystka siedziała przed lustrem, które odbijało jej twarz bez makijażu oraz mnóstwo tygielków, tubek i słoiczków, pędzli i pędzelków.

- Przejdźmy zatem do makijażu! Wasze mundury są granatowe i czerwone w odcieniu burgunda. To chłodne kolory. Zielone cienie do powiek i pomarańczowe pomadki oraz lakiery do paznokci do nich nie pasują. Ale macie jeszcze wiele innych kolorów do wyboru. Pomalujcie się tak, jak zwykle to robicie. Te, które nie wiedzą jak albo jeszcze nigdy się nie malowały, zaraz nauczę.

Pomalowałam powieki śliwkowym cieniem, w zewnętrznym kąciку dymnym brązem, pociągnęłam brzeg dolnej powieki jasną kredką i mocno wytuszowałam rzęsy na czarno. Do tego wybrałam ciemnoróżową pomadkę i nałożyłam na nią jeszcze trochę błyszczczyku. Moim umiejętnościom w sprawie makijażu Annie nie miała nic do zarzucenia.

- Nawet z bliska wygląda to dobrze. Spróbuj jeszcze zamiast dwóch kolorów położyć na powiekach trzy. W ogóle... Wszyscy słuchają! Gdy tylko zaczniecie nosić mundury, każdego ranka przed początkiem szkolenia będę was oceniać! Fryzurę, makijaż, paznokcie, mundur, rajstopy, buty, torebkę, kuferek z kosmetykami wraz z zawartością, ogólne wrażenie. Każdego dnia dostaniecie punkty za swój wygląd, które później będą liczyć się tak samo jak punkty z waszych szkolnych testów i prób. Czysty, zadbane wygląd też się liczy! Skala punktowa sięga od osiemdziesięciu - dostateczny - do stu - nienaganny. Na przykład będę musiała ocenić was na dostateczny, jeśli będziecie miały niepolakierowane paznokcie albo lakier odprysnie. Jeśli nie założycie kapelusza od munduru, polecą wam oczko w rajstopach, a nie będziecie miały zapasowych. Jeśli będziecie

zuży gumę, zrobicie hennę albo tatuaż albo też złamiecie jakiekolwiek przepisy dotyczące munduru i makijażu. Zrozumiałyście mnie?

Potwierdziłyśmy bez zachwytu.

Zwróciła się znów do mnie:

- Z twoimi włosami trzeba coś zrobić. Są zbyt nieuporządkowane! Spróbuj je upiąć szylkretowymi grzebykami.

Znów moje włosy! Z moją świeżo zrobioną trwałą najwyraźniej nie pasowałam do znormalizowanego wizerunku stewardesy.

Po powrocie do apartamentu Ozlem i ja odrabialiśmy pracę domową. Wkuwałyśmy akurat najważniejsze skróty lotniskowe na zapowiedziany na jutro egzamin, gdy wbiegła mała blondynka w mundurze, usiadła naprzeciw nas w fotelu, ręce i nogi rozrzuciła jak rozgwiazda i w pociesznej rozpaczce wydeęła policzki swojej ładnej buzi:

- Uff, jestem wykończona! Wracam właśnie z Nowego Jorku, a potem jeszcze ten saudyjski purser* groził mi meldunkiem i chciał zobaczyć moją licencję - tylko dlatego, że przez minutę patrzyłam na zachód słońca! Wyobrażacie to sobie?

Ozlem i ja wymieniliśmy puste spojrzenia. Podczas tych lotów musiały panować niezwykle surowe obyczaje.

Zadzwoił telefon w naszym pokoju, usłyszałyśmy oburzony damski głos.

- Tu kontrola stewardes. Ozlem i Teresa, obydwie zapomniałyście się wpisać na listę po szkole. Ptzyjdźcie do mnie do biura i nadróbcie to.

Ang.: dosł. ochmistrz; przełożony personelu kabinowego w samolocie, polski odpowiednik - kierownik obsługi kabiny; purser, podobnie jak reszta personelu kabinowego Saudii, podlegał nadzorcy, zwanemu supervisorem.

- Co mamy nadrobić? Ach tak, dobrze... Wie pani już, że tu jesteśmy, nie mogłaby pani zaznaczyć nas na liście...

- Cooo? - zaskrzeczał głos na drugim końcu. - Waszym obowiązkiem jest zrobić to własnoręcznie, ja z pewnością mam inne zadania. Zapraszam do mnie niezwłocznie do recepcji i nadróbcie to! - wściekła rzuciła słuchawkę na widełki. Poszłam z powrotem do salonu i wyjaśniłam Ozlem, o co chodzi.

- Tak, one wszystkie takie są - beztrósko zaświergotała nasza współlokatorka. - Prawdziwe smoki, jak w wojsku. Poza tym nazywam się Jeannie Edwards i dzielę ten drugi pokój z moją siostrą Connie. Wróci dziś wieczorem z Rijadu.

- Amerykanki?

- Z Michigan. Ale większość naszego życia spędziłyśmy w Kenii.

- J a k t o? - zapytała Ozlem z zainteresowaniem.

- Nasz ojciec wykładał na kontrakcie na uniwersytecie w Nairobi.

Chciałam od razu wyjść z mieszkania, gdy Jeannie mnie zatrzymała i narzuciła na mnie coś czarnego z nylonu:

- Tak chcesz iść do recepcji? Masz bluzkę bez rękawów i trochę przezroczyłą, narzuć lepiej moją abaję, żebyś nie miała kłopotów.

Z meczetu w Saudia City słysząc było trzaski włączanego megafonu, po czym nastąpiło dudniące: *Allahu akbar*, Z meczetów w pobliżu i z oddali rozbrzmiało wołanie na modlitwę, głosy splatały się w upiorny dywan dźwięków. Chwyciłam długą do ziemi abaję w garść na wysokości piersi i pospieszyłam zaspokoić smoka z recepcji swoim podpisem.

Connie wróciła po kilku dniach lotów. Przystanąła i upewniła się krótkim kontrolnym spojrzeniem, z ręką jeszcze na klamce, że to tutaj, że weszła do właściwego apartamentu.

- Ach tak. Uprzedzali nas, że wkrótce będziemy miały nowe współlokatorki, i już jesteście.

Miała takie same rysy twarzy jak Jeannie, tylko była nieco starsza, nieco mniej ładna i mniej świetlista.

- Connie, telefon! - zawołała w tym momencie Jeannie z sypialni.

Connie zniknęła, Ozlem i ja wymieniliśmy spojrzenia.

- Nie wygląda na zachwyconą tym, że tu jesteśmy - zauważyła Ozlem.

- Cóż, prawdopodobnie dotychczas siostry miały to mieszkanie tylko dla siebie.

- Słyszałam, że wcześniej prawie każda dziewczyna miała sypialnię tylko dla siebie - powiedziała Ozlem. - Te sypialnie są w zasadzie jednoosobowe, a teraz wcisnęli tam po dwa łóżka. Miejsca nie ma za wiele.

Connie wróciła z powrotem do salonu.

- Cześć. Przepraszam, byłam chyba trochę zaskoczona. A zatem jestem Connie.

Ozlem i ja przedstawiliśmy się.

- Macie ochotę dziś wieczorem pójść coś zjeść ze mną i z pewnym moim przyjacielem do eleganckiej restauracji pod namiotem? Właśnie dzwonił do mnie ten przyjaciel, Saudyjczyk, porządny, miły chłopak. Będzie zachwycony, jeśli przyprowadzę dwie nowe dziewczyny.

Ozlem i ja od przybycia do Arabii Saudyjskiej nie jadłyśmy jeszcze nic porządnego i byłyśmy głodne. Poza tym pilnie musiałyśmy wymienić pieniądze.

- To się dobrze składa - zaszczębiotała Connie. - Ja też chcę zrealizować swój czek na pensję w Al-Husseini na suku*. Po jedzeniu Abel nas tam zawiezie.

* Suk - bazar w krajach arabskich.

Koniecznienie chciała, żebyśmy jej towarzyszyły. No tak, powinno mi to być na rękę, makijaż miałam zrobiony, musiałam się jeszcze tylko ubrać.

Wybrałam jasnyniebieską jedwabną koszulkę i rozkloszowaną bawełnianą spódnicę w kratkę, po której było widać, że jej najlepszy okres minął w połowie lat siedemdziesiątych. Chętnie zabłyszałabym w ramach tego nowego początku nowusieńkimi ciuchami, ale moja sytuacja finansowa dotychczas nie pozwalała na odświeżanie garderoby wedle gustu i ochoty.

- Jesteście gotowe? - Connie wyrwała mnie z przemyśleń. - Musimy już iść.

Znów nastąpił rytuał pisemnego odmeldowywania się w recepcji. Stażystki mogły pozostawać poza kampusem do jedenastej wieczorem, a stewardesy do północy. Te zasady były ściśle przestrzegane, nocować na zewnątrz miały prawo tylko te stewardesy, które mogły przedstawić akt małżeństwa wraz z urzędowo potwierdzonym specjalnym pozwoleniem. Jeśli któraś wróciła za późno, z zasady była natychmiast wyrzucana, chyba że pozostawała pod ochroną kogoś wpływowego protektora.

Po wypisaniu się mogłyśmy pójść do budki strażniczej, gdzie czekałyśmy przed szlabanem. Przypatrywałyśmy się, jak podjeżdżał jeden samochód za drugim, zatrzymywał się na chwilę, szybko wsiadała do niego dziewczyna albo kilka dziewczyn i auto bezzwłocznie odjeżdżało. Jeśli postój trwał dłużej niż kilka sekund, samochód był przepędzany przez dwóch strażników szorstkimi okrzykami *barra barra* - z jednej strony po to, by odstraszyć potencjalnych gapiów, z drugiej, by zagwarantować płynny przebieg nieszczerólnie tolerowanego przez zwierzchników obrotu dziewczynami.

Abel podjechał czarnym amerykańskim krążownikiem szos i oddzieliłyśmy się od chmary oczekujących.

- Dobry wieczór, Abel - zaszczębiotała słodko Connie. - Czy mogę ci przedstawić moje nowe współlokatorki, Teresę i Ozlem? Przyjechały dopiero dzisiaj.

Abel nieśmiało się przywitał i odjechał.

Jadłyśmy kolację w dużej luksusowej restauracji pod namiotem, która wyglądała mniej więcej tak, jak Steven Spielberg mógłby sobie wyobrazić scenografię do filmu na podstawie „Księgi tysiąca i jednej nocy”.

- Libańskie jedzenie - wyjaśnił Abel. - Właściciel jest Libańczykiem. Mam nadzieję, że lubicie.

Pełne oczekiwania przytaknęłyśmy.

Abel był mały, trochę pulchny i pucołowaty. Jego okrągłe oczy misia błyszczały za każdym razem, kiedy Connie się do niego zwracała.

- Przyniosłem ci mały prezencik - powiedział i podał Connie kiczowatą figurkę pasterki z porcelany.

Przyjęła to z opanowaniem.

- Och, jak miło, Abel. Nie trzeba było.

Widać było wyraźnie, że Abel jest w Connie zakochany, a ona utrzymywała z nim kontakty ze względów taktycznych i nie chciała ich zepsuć, ponieważ Abel okazywał się całkiem przydatny, gdy potrzebny był ktoś, kto zawiezie do miasta albo zaprosi na kolację.

Gdy Abel zapłacił słony rachunek, a ja przed restauracją pogłaskałam rachitycznego dromadera, pojechaliśmy do miasta. Abel zaparkował na olbrzymim parkingu nad morzem, tak otwartym i rozległym, że wiatr silnymi powiewami mógł po nim hulać bez przeszkód. Przeszliśmy przez ulicę i weszliśmy na gładką marmurową posadzkę dużego placu, otoczonego z trzech stron olbrzymimi terenami budowy i prawie gotowymi wieżowcami. Za kolejną ruchliwą ulicą naprzeciwko nas stał łukowaty, ekstrawagancki budynek, który iskrzył się jak czarny szlachetny kamień.

Zaraz za nim krył się suk ze swoimi podupadającymi miejskimi domami, kantorami, ulicznymi kafejkami, sprzedawcami daktylowych ciasteczek i arabskich kanapek, tragarzami, handlarzami butów i małymi perfumeriami. Dalej były uliczki ze sklepami złotników, bazar z przyprawami i żywnością, sprzedawcy owoców pomiędzy sklepikami oferującymi elektronikę i pirackie kasety - gwarantującymi, że w ofercie mają wszystko. Suk - z jego oszałamiającą różnorodnością i zapachami, jego pagórkowatymi, wąskimi bocznymi uliczkami pełnymi niespodzianek, spoconymi i tłoczącymi się masami ludzi, jego muzyką i nawoływaniem kuszącym klientów - to była atmosfera, którą uwielbiałam. To wreszcie był Orient.

Pierwsze zajęcia drugiego dnia kursu poświęcone były historii Arabii Saudyjskiej.

Godzina narodzin dzisiejszego królestwa Arabii Saudyjskiej wybiła w ostatnim ćwierćwieczu osiemnastego wieku. Wówczas Muhammad ibn Abd al-Wahhab, założyciel nazwanego od jego nazwiska purytańskiego odłamu islamu (wahabitów), zawarł pakt z Muhammadem ibn Saudem, wojowniczym przywódcą jednego z beduińskich plemion z centralnej wyżyny Nadżd.

Ten alians pomiędzy mieczem i Koranem, dziś jeszcze symbolicznie widniejący na fladze Arabii Saudyjskiej (na tle zieleni - koloru proroka - widnieje arabska zakrzywiona szabla pod islamskim wyznaniem wiary) pomógł rodzinie As-Saudów zyskać wpływy, które ciągle rosły.

Po krwawych wojnach w 1932 roku Ibn Saud ogłosił utworzenie Królestwa Arabii Saudyjskiej (przyzodził zatem nazwę królestwa nazwą swojego rodu). Dzięki zręcznej polityce założycielowi państwa udało się pozyskać przychyłność większości plemion. Ożenił się

z dwudziestoma kobietami, nie wyłączając córek przywódców najważniejszych plemion i rodzin w królestwie. Jego następcy, królowie Arabii Saudyjskiej, Faisal i Chalid, dbali o bliskie stosunki rodziny panującej z plemionami, co i dziś jest filarem polityki rodziny As-Saud.

Po tym zarysie nowożytnej historii Arabii Saudyjskiej przedstawiono nam historię naszego pracodawcy, której początek sięgał 1945 roku, a następnie sprawdzono za pomocą testu, ile z tego zapamiętałyśmy.

Obudziłam się rankiem przeziębiona i poprosiłam instruktorkę o pozwolenie na pójście podczas przerwy obiadowej do centrum medycznego. Na drogę dostałam rozmaite formularze, które musiałam przedstawić w recepcji.

Centrum medyczne mieściło się w niskim baraku w cieniu imponującego centrum szkoleniowego. Przy wejściu wręczono mi termometr, który wskazał trochę powyżej trzydziestu siedmiu stopni. Piętnaście higienicznych chusteczek później zajął się mną zestresowany egipski lekarz.

- Nazwisko, payroll i numer lotu, z którego chce się pani zwolnić - wycharczał, nie patrząc na mnie.

Zgłupiałam.

- Dopiero się uczę. Moje nazwisko jest na formularzu, a mój kurs ma numer 44-81.

- Stażystka? To znaczy, że nie potrzebuje pani zwolnienia?

- Nie, chcę tylko dostać coś na przeziębienie.

Stał się nieco bardziej przystępny i wreszcie rzucił okiem na formularz.

- J a k się pani przeziębiła... miss?

- Cóż, spałam przy włączonej klimatyzacji. Gdy się obudziłam, w pokoju była temperatura jak w zamrażalniku.

- Nie powinna pani zostawiać włączonej klimatyzacji na całą noc. Teraz, zimą, temperatura w nocy jest całkiem przyjemna. Niech pani zostawia uchylone okno i wkłada siatkę, żeby muchy nie wpały.

Szybko mnie zbadał i wypisał mi antybiotyki, które powaliłyby słonia.

- Dobrze, to szybko postawi panią na nogi - stwierdził łaskawie.

Spóźniłam się na pierwszą godzinę popołudniowych zajęć, ale usprawiedliwił mnie formularz z centrum medycznego. Głowa mi pękała. Ledwie zajęłam miejsce, rozdano pytania egzaminacyjne z kodów lotniskowych. Ja zdobyłam dziewięćdziesiąt dwa punkty, Ozlem - maksymalną liczbę, sto punktów. A dalej było o pierwszym samolocie, który poznawałyśmy - Boeingu 737.

Dane techniczne, instrukcje bezpieczeństwa, otwieranie drzwi w normalnej sytuacji i w razie awarii. Rozmieszczenie na pokładzie sprzętu ratowniczego, takiego jak gaśnice, butle z tlenem, latarki, toporki, apteczki, sygnalizacja ratownicza itd., w kabinie podzielonej na strefy. Przednie i tylne drzwi po prawej nazywały się R1 i R2, a dwoje drzwi po lewej to L1 i L2.

- Co zatem znajduje się przy drzwiach L2 w boeingu 737C? - zapytała z nagłą miss Ryan i wskazała Pic, jedną z dwóch białych Amerykanek z południowych Stanów.

- Hmm... och!

- Debbie?

Wysoka blondyna z wieloletnim stażem lotniczym w Pan Am i ambicjami, by robić tu za najlepszą w klasie, wymruczała pod nosem pożądaną odpowiedź.

- Dziękuję. Widać, że Debbie uważała. Jeszcze raz przedstawię ten materiał, potem musi być w głowach.

Miss Ryan zwróciła się nieco ostro do Pii:

- To w twoim interesie, Pia, skoncentruj się na materiale do nauczania! Następnym razem, kiedy o coś zapytam, nie chcę cię przyłapać na drzemce.

Przy meldowaniu się w recepcji dla stewardes trafiłyśmy na trzy Turczynki, które nie zdały testu z angielskiego. Prowadziły ożywioną rozmowę; wszyscy oczywiście chcieli wiedzieć, dlaczego tych trzech nie było na zajęciach. Poprosiłam Ozlem, żeby tłumaczyła.

- Dwie lecą w czwartek z powrotem do Turcji. Nikt ich wprawdzie wprost nie odsyła, ale mimo to chcą wyjechać. Sergtil chce zostać.

- Która to Sergul?

Ozlem wskazała głową na mocno wymalowaną, małą, ciemnowłosą dziewczynę z zaciętą miną, która nie wydawała mi się całkiem normalna. Szkoda miłej dziewczyny z twarzą niemowlaka i jej sympatycznej przyjaciółki.

- Co będą robić, gdy wrócą do Turcji?

Ozlem wzruszyła ramionami.

- Wrócą do rodziców i swojej dawnej pracy, tak myślę. To przecież nie koniec świata.

Wieczorem pierwszy raz po długim czasie spotkałam moją szwajcarską przyjaciółkę z okienka kolejowego. Wróciła właśnie z czterodniowego *lay-over* do Londynu i szukałam jej w zajmowanym przez nią mieszkaniu na górnym piętrze domu numer jeden. Na mój dzwonek drzwi otworzyła postawna blondyna i trochę nieufnie obrzuciła mnie pytającym spojrzeniem od góry do dołu.

- Cześć, jest Charlotte?

Charlotte w halce pojawiła się za szerokimi plecami blondyny.

- Co za niespodzianka! Posuń się, Marika, i wpuść moją przyjaciółkę Teresę.

Początkowe zdumienie na dużej twarzy blondyny zastąpiła udawana radość z mojego nagłego pojawienia się.

- Co za niespodzianka! - wiedeński akcent Mariki miał w sobie coś teatralnego. - Znam cię już trochę z twoich listów. Przejęłaś po Charlotte pokój w Zurychu, gdy wyjechała do Stambułu. Ale nie myślałyśmy, że naprawdę przyjedziesz.

Zapaliło się we mnie ostrzegawcze światełko. Prowokacyjna wskazówka na temat zdrady Charlotte trafiała prosto w serce, ale nie tak łatwo było mnie wyprowadzić z równowagi.

- Och! To Charlotte jeszcze nie dostała mojego ostatniego listu. Wysłałam go z Zurychu dobre dwa tygodnie temu. Ale teraz mogę jej sama opowiedzieć, co w nim jest.

Mina Mariki znów wyrażała niepokój, a Charlotte - lekkie zakłopotanie.

- Chyba jestem głodna! Zamów nam, proszę, coś do zjedzenia do pokoju, Marika. Sałatkę z kurczaka dla mnie i dla Teresy?

- Sałatkę z tuńczyka. I limonkę.

- I jeszcze baniak wody! Już nic nie mamy w lodówce, Meri znów wszystko wychłała.

- Zabiorę się za nią - groziła rozeźlona Marika.

- Nie rób cyrku, bo zaraz umrzemy z głodu. Ostatnio jadłam w Londynie! - zawołała Charlotte z udawaną, żartobliwą rozpaczą i Marika, zwlekając, zniknęła, pozostawiając mi wolny teren.

- Widzisz, jaka ona jest? - natychmiast wyszeptwała Charlotte.
- A teraz na dodatek jest też zazdrosna. Mówię ci, nie mam z nią lekko. Poza tym łąe jak pies. Okłamuje wszystkich, również mnie.

To o listach to też było kłamstwo. Od czasu do czasu coś jej o tobie opowiedziałam. Musiała przeczytać listy za moimi plecami.

- Ale dlaczego...?

- Już wraca - przerwała mi Charlotte. - Nie dawaj po sobie niczego poznać!

- Dobra, wszystko już zamówiłam - łaskawie zameldowała Marika, opadła na sofę i patrzyła na nas z oczekiwaniem.

Zadzwoił telefon.

- To Mahmud! - zawołała Marika i się zerwała.

- Albo Hamdi! - wtrąciła Charlotte z nadzieją.

- Kim są Mahmud i Hamdi?

- Nasi saudyjscy przyjaciele. Mahmud jest drugim pilotem, a Hamdi - jednym z szefów w administracji Saudii. Jeśli akurat nie lecimy, spotykamy się z nimi. Na dłuższą metę nie da się samej wytrzymać w kampusie stewardes.

Charlotte wzięła mnie pod rękę i wcisnęła w fotel.

- Tylko nie wstawaj, siedź! Źle wyglądasz, jesteś chora?

- Zdążyłam przyjechać i od razu się przeziębiłam.

- To normalne. Tu wszyscy wciąż są przeziębieni. Na zewnątrz upał, a w środku te nastawione na zamrażanie klimatyzatory. Im zimniej, tym lepiej, myślałby kto.

- Nienawidzę tego - pociągnęłam nosem i ukryłam go w papierowej chusteczce o mentolowym zapachu.

- Ptzzywyczaisz się - pocieszała Charlotte. - A jak ci idzie w szkole?

- Dotychczas całkiem dobrze, miałyśmy już dwa egzaminy.

- Mówię ci, to niewiarygodne, co się tu wyprawia - powiedziała Charlotte i podkreśliła głośność w magnetofonie kasetowym, z którego leciał właśnie „Hotel California” zespołu Eagles.

- Jakiś czas temu jedna stewardesa rzuciła się z wieży ciśnień

starego kampusu stewardes. Samobójstwo. Kolejna oszalała i z krzykiem wybiegła nago na ulicę. Schwytali ją strażnicy. Pewną Turczynkę znaleziono martwą w łóżku bogatego Saudyjczyka. Narkotyki. Albo może to on ją zabił. Od tego wypadku obowiązuje ścisły zakaz pozostawiania nocą poza kampusem i nocowania na zewnątrz.

„*You can check out any time you like, but you can never leave*”^{*}
- dośpiewali Eagles swoją balladę o upiornym hotelu przy Dark Desert Highway i piękna popowa część instrumentalna tego kawałka zabrzmiała fatalistycznie.

- Ten kampus stewardes to istny burdel. Przyglądałaś się tym dziewczynom? Biżuterii, którą noszą? Roleksom z brylantami? Grubym naszyjnikom od Cartiera, rzucającym się w oczy pierścionkom?

- Cóż, tak. To Arabia. Tu kobiety chętnie kłują w oczy swoją biżuterią.

- Jasne, ale jak myślisz - skąd mają tę biżuterię? Puszczają się za pieniądze! Tu mężczyźni głodują, jeśli chodzi o kobiety, i płacą ptawie każdą cenę! Jest tu mnóstwo rajfurek, zwłaszcza wśród stewardes. Te już od dawna się nie prostytuują, tylko kasują bajorńskie sumy za pośrednictwo i dbają o swoje kontakty. Na przykład Mounia, szefowa stewardes dla VIP-ów. To ona decyduje, które dziewczyny nadają się do VIP-owskiej służby. Oczywiście wiele tego chce, bo przy odrobinie szczęścia zbiera się potężne napiwki, a do tego na przykład można polecieć na dwa tygodnie nad południowe morza. Też mogłabym latać z VIP-ami, gdybym chciała. Mounia czuje respekt przed Hamdim i niczego mu nie odmawia. Ale nie mam ochoty spędzać życia w ciągłej gotowości. Stewardesy dla VIP-ów mają sześć dni i sześć nocy ciągłej gotowości do służby i jeden dzień wolny. To dla mnie za duży wysiłek, wolę mieć spokój

Ang.: Możesz wymeldować się w każdej chwili, ale nigdy stąd nie wyjedziesz.

i latać z luciem. Jeśli czasem nie mam ochoty pracować albo nie mogę wstać, dzwonię do Hamdiego i sprawa załatwiona. Mounia oczywiście mnie nie znosi. Gdybym nie miała Hamdiego, prawdopodobnie już dawno by mnie wykończyła albo wyrzuciła.

Rozległo się pukanie. Filipiński goniec z obsługi pokoi przyniósł jedzenie i postawił przykryte folią aluminiową pojemniki na stole przed nami. Jedynie pracownicy restauracji, telefoniści z budynku recepcji i Włoch o imieniu Franco, odpowiedzialny za sprawy mieszkaniowe, mogli być w kampusie stewardes w sprawach służbowych. Byli pod stałą kontrolą, w tym mieście kobiet nigdy nie nocował żaden mężczyzna.

Charlotte przeszła teraz do udzielania mi dobrych rad.

- Też musisz sobie poszukać jakiegoś wpływowego przyjaciela i protektora, który ułatwi ci życie. Jako młodsza stewardesa będziesz dostawać najmarniejsze loty. *Six legs* przez pustynię 0 trzeciej nad ranem. To wykończy cię szybciej, niż myślisz. Za dwa dni jest Boże Narodzenie. Przyjaciel Hamdiego organizuje świąteczną imprezę. Oczywiście idziesz ze mną, poznasz Hamdiego i kilku miłych ludzi.

Zapytałam nieco zaniepokojona, co znaczy *six legs*,

- *Leg* to lot, tak się to nazywa w lotnictwie. *Six legs* to sześć następujących po sobie startów i lądowań.

- Też ci się kiedyś zdarzyło?

- A jak myślisz! Cztery *legs* i jeden *dead-head* to mój rekord. *Dead-head* oznacza, że lecisz jako pasażer w mundurze z jakiegoś miejsca pracy albo do niego. Meri, ta Turczynka, która dzieli z nami mieszkanie, dziś w nocy robi *six legs*. Nie ma wpływowego protektora, za to ostatnio chodzi zarabiać i myśli, że tego nie widzę.

Jak na zawołanie w drzwiach stanęła duża dziewczyna, której dumna twarz obramowana była czarnymi lokami.

- Och, cześć! Już wróciłaś z Londynu? Fajnie było? Ludzie, muszę się pospieszyć, bo spóźnię się na mój lot! - szybko przeszła obok i zamknęła się w swoim pokoju.

Drzwi do drugiej sypialni się otworzyły i wychyliła się Marika, ze słuchawką w dłoni.

- To ona?

- Mhm.

- Powiedz mi, jak wyjdzie!

- Dobra.

Drzwi do sypialni znów się zamknęły.

- Ja jej, oczywiście, niczego nie powiem! Ona i Meri wciąż się kłóca, to najprawdziwsze hieny!

Rzuciłam okiem na swój zegarek.

- Muszę już iść, Charlotte. Mam pracę domową do odrobienia.

- To cześć. Fajnie, że tu jesteś. Jutro do ciebie zadzwonię, dobrze?

Gdy zmierzałam do swojej mieszkalnej klitki, rosło we mnie poczucie bezsilności i przygnębienie. Charlotte była tu już siedem miesięcy i ten kampus stewardes i życie w Arabii Saudyjskiej sprawiły, że stała mi się obca w taki sposób, który mi się nie podobał. Z dawnej Charlotte niewiele zostało, a może się myliłam? Jej dobrze pojęte ostrzeżenia i rady jeszcze dźwięczały mi w uszach: uważaj, Tereso, zapomnij wszystko, co do tej pory słyszałaś o kampusie stewardes, powiem ci teraz, jak jest naprawdę. Jesteśmy tu tylko kolejną dostawą świeżego mięsa, masą manewrową. Jeśli nie chcesz paść ofiarą siebiepaństwa i despotyzmu, potrzebujesz wpływowego protektora. Jako kobieta i zagraniczna pracownica jesteś podwójnie zależna od dobrej woli tych, którzy mają tu coś do powiedzenia.

Ale w jej listach nigdy nie było o tym żadnego napomknienia. Zamiast tego banały, truizmy, stereotypy i wyliczanie materiału-

nych korzyści, na których lep naiwnie się złapałam i które brałam za dobrą monetę. Teraz tu byłam i na dzień dobry Charlotte zaprezentowała mi drugą stronę medalu. Musiałam więc pomyśleć, jak sobie z tym dać radę.

Boże Narodzenie przypadało w piątek. Piątki to muzułmańskie niedziele, więc są to dni wolne od szkolenia. Siedziałam sama w salonie, z herbatką ziołową w jednej i chusteczką do nosa w drugiej ręce.

Telewizor działał, na ekranie leciała fatalna kopia „Drakuli”. Gdy film się skończył, rozbłysnął napis „Merry Christmas” na krwistoczerwonym tle, po czym Saudia City Video-Station postanowiła nas zabawić filmem grozy z poodrywaniem ludzkimi członkami. Zniesmaczona wyłączyłam telewizor i zamówiłam do pokoju coś do jedzenia. Gdy jeszcze się zastanawiałam, czy dzwonienie do operatora telewizji, żeby poskarżyć się na świąteczny program, ma sens, zadzwonił telefon w pokoju Connie i Jeannie.

- Halo, połączenie 3550? Księżę Sulejman z Rijadu chciałby porozmawiać.

Nastąpiła krótka przerwa, potem zgłosił się inny męski głos.

- Halo, Connie? Jeannie?

- Obydwu nie ma. Mam przekazać jakąś wiadomość?

- Powiedz im, że księżę Sulejman je pozdrawia. Ale z kim rozmawiam?

- Jestem ich nową współlokatorką, Teresa.

- Ach, jesteś nowa? Jesteś Holenderką? Francuzką?... Co, ze Szwajcarii? To wspaniale, bardzo lubię Szwajcarię, przez kilka lat chodziłem do szkoły z internatem „Le Rosey” nad Jeziorem Genewskim, znasz ją?

- Tak, oczywiście.

- Nie wiedziałem, że Saudia teraz zatrudnia też Szwajcarki. Ach, teraz w Szwajcarii jest pięknie - rozmarzył się książę. - Poza tym wesołych świąt, *young swiss lady*, i witamy w Arabii Saudyjskiej.

- Bardzo dziękuję - powiedziałam ucieszona i też życzyłam mu wszystkiego dobrego.

- Teraz można byłoby pojeździć na nartach! Saanenmöser! Gstaad! Jeździsz na nartach?

To obok „Czy potrafisz jodłować?” ulubione stereotypowe pytanie zadawane Szwajcarom. W żadnym razie nie należy na nie odpowiadać rozczarowująco.

- I to jak, proszę księcia Sulejmana.

- Nazywaj mnie po prostu Sulejmanem, jak wszyscy moi przyjaciele. Twój głos brzmi tak ładnie, mógłbym cię słuchać godzinami.

- Ale przecież jestem przeziębiona!

Teraz książę dołożył jeszcze jedną miłą rzecz.

- Chętnie bym cię poznał. Zadzwoni do mnie, jeśli przyjedziesz do Rijadu! Mój sekretarz zaraz da ci mój prywatny numer. Pięknego dnia, *dear swiss lady*, miło było z tobą porozmawiać.

Na przełomie roku co wieczór odbywała się gdzieś jakaś impreza. Nowicjuszek były mile widzianymi gośćmi i wszędzie je zapraszano. To oczywiste, że czasem też spotykało się przy tym kogoś, kto wzbudzał więcej niż powierzchowne zainteresowanie.

Samir był małym, drobnym Saudyjczykiem, który przez prawie całą wieczór siedział w swoim fotelu przy kieliszku czerwonego wina marki „własnej roboty”. Od czasu do czasu lustrował mnie ukradkowym spojrzeniem aksamitnie czarnych oczu. Nie uśmiechał się, nie próbował mnie zagadnąć, jego zachowanie sygnalizowało dystans,

a mimo to iskrzyło między nami. Moje myśli wciąż krążyły wokół milczącego picknookiego uczestnika imprezy i od czasu do czasu uświadamiałam sobie szybkim spojrzeniem w bok, że on wciąż siedzi w swoim kącie. Ale za kwadrans jedenasta Muriel, Brenda i ja musiałyśmy opuścić imprezę, zanim zamieniłam z Samirem więcej niż kilka słów powitania.

W drodze powrotnej do Saudia City mechanicy Kevin i Neil zeszli na temat zawodności samolotów Lockheed L1011 TriStar. Nie słuchałyśmy ich fachowej paplaniny do czasu, gdy Neil z naciskiem poprosił:

- Proszę, żadnych dyskusji o systemie wyrównywania ciśnienia, Kevin. Przypominam ci, co się stało z „HK”.

Zapadło znaczące milczenie, które, oczywiście, wzbudziło nasze zainteresowanie.

- No, co się stało z Hotel Kilo? - zażartowała Muriel, ale zamiast odpowiedzieć, Neil zapytał dość ostrożnie:

- Naprawdę o tym nie wiecie?

- Czy inaczej byśmy pytały? - odpowiedziała Brenda, a cięta Muriel zakpiła:

- Czy to był ten system wyrównywania ciśnienia?

Neil zwrócił się do Kevina:

- Opowiedz im. Nie mogę teraz o tym mówić.

I tak usłyszałyśmy historię najpoważniejszego wypadku od czasu powstania tych linii lotniczych.

Dziewiętnastego sierpnia 1980 roku około dziesiątej wieczorem z międzynarodowego lotniska w Rijadzie startował lot SV163. TriStar z dwustu osiemdziesięcioma siedmioma pasażerami i czternastoma członkami załogi na pokładzie przyleciał z Karaczi i był w drodze do Dżuddy. Mniej więcej siedem minut po starcie, gdy maszyna

jeszcze była w locie wznoszącym, włączył się alarm dymowy w tylnej części luku bagażowego. Załoga w kokpicie przez cztery kolejne minuty szukała w instrukcji obsługi samolotu odpowiednich stron, gdzie byłaby opisana procedura na wypadek takiego alarmu. W tym samym czasie zaczęły się problemy z silnikiem numer dwa i został on wyłączony. Kapitan zdecydował się lecieć z powrotem do Rijadu i tam awaryjnie lądować, co też się stało.

Z jakiegoś powodu samolot jeszcze długo kołował, zanim stanął. Potem kolejne trzy minuty i piętnaście sekund potrwało, zanim zostały wyłączone silniki i służby ratownicze mogły się zbliżyć do samolotu. Fatalnym trafem nie wiedziały, jak tę nową maszynę otworzyć z zewnątrz. Tak minęły dwadzieścia trzy niewiarygodne minuty, zanim w końcu znaleziono dostęp.

Ogień szybko posuwał się do przodu. W tym czasie ttzysta jeden osób w samolocie poniosło śmierć w płomieniach albo zatruciło się gazem. Mimo wszystko próbowano ewakuacji. To, co znaleziono, było przerażające. Zwęglone dłonie stewardesy zacisnęły się na czerwonej ręczce, którą w wypadku awarii otwierało się drzwi. Pasażerowie w panice pobiegli do przednich drzwi, leżeli przed nimi jedni na drugich.

Po odsłuchaniu czarnej skrzynki okazało się, że jedna ze stewardes zameldowała o dymie w kabinie. Inżynier poprosił kapitana o instrukcje. Ten nie delegował obowiązków i nie informował, wydawało się, że sam chciał wszystko zrobić, podczas gdy drugi pilot, bez doświadczenia na maszynach Lockheed L1011, nawet nie próbował asystować kapitanowi i przejąć odpowiedzialności.

Zanim specjalna komisja do zbadania przyczyn tego wypadku przedstawiła ostateczne wnioski, amerykańska wytwórnia filmowa już zdążyła nakręcić film na ten temat i kwestię winy wyjaśniła na korzyść koncernu Lockheed.

A co do systemu wyrównywania ciśnienia: lot zaplanowano z Rijadu do Dżuddy, automatyczny system kontroli ciśnienia ustawiono na lądowanie w Dżuddzie (na poziomie morza) i nie przestawiono na lądowanie w Rijadzie (dwa tysiące sto stóp).

Samolot wylądował z nieprawidłowym ciśnieniem wewnętrznym i dlatego nie można było otworzyć drzwi.

Przez resztę drogi panowało milczenie.

Akurat na egzaminie z samolotu Lockheed 1011 zawiodłam. Przeżrana wpatrywałam się w rezultat sprawdzianu. Potknęłam się na mechanizmie otwierania drzwi. Została mi jeszcze szansa, że zdam następnego dnia powtórkę z testu, w przeciwnym razie wkrótce będę mogła odebrać bilet powrotny do Szwajcarii.

My dwie, które nie zdałyśmy tego testu (drugą była Sergiil), musiałyśmy pójść piętro wyżej do pana Amira. Ten otworzył czerwony podręcznik procedur awaryjnych i zwrócił się najpierw do mnie:

- Czego zatem nie zrozumiałaś?

- Jeśli ustawię dźwignię selektora w pozycji „Engage”, uzbiorę trap ratowniczy. Potem mogę pociągnąć w dół uchwyt „T” aby otworzyć drzwi w trybie awaryjnym, trap ratowniczy wysunie się i napompuje.

- W zasadzie tak. Ale zanim pociągniesz w dół uchwyt „T” musisz - i to należy do *pre-flight check** - sprawdzić obydwa haczyki po lewej i prawej stronie pod drzwiami, przytrzymują one dźwizek, do którego przymocowany jest trap ratowniczy. Gdy dźwignia selektora ustawiona jest na „Engage” w jakiej pozycji powinny być haczyki?

* Ang.: Kontrola przed lotem

- Na dole - zdałam się na łut szczęścia - na poziomie podłogi.
- Właśnie nie. Na dole zostają w pozycji „Detach”. Haczyki muszą odskoczyć do góry, aby móc trzymać drążek trapu ratowniczego! Jeśli tego nie zrobią, a ty mimo to otworzysz drzwi w trybie „Engage”, cały trap wpadnie do samolotu, a ty już nie będziesz mogła użyć drzwi.

Milczałam zakłopotana, było zupełnie jasne, że nadal nie pojęłam tego „podskakującego” punktu instrukcji.

- Myślę, że dezorientuje cię ta mnogość pojęć. *Engage, detach, arm, disarm, T-handle, girt-bar, selector lever* - to wszystko brzmi abstrakcyjnie. Najpóźniej na zajęciach praktycznych zrozumiesz ten mechanizm. Jeszcze raz *przeczyta.*) dziś starannie cały materiał. Jutro po południu przyjdziecie do mnie na górę we dwie i powtórzycie egzamin.

Pod wieczór Connie wróciła po kilku dniach pracy, podzieliła swoją pocztę i wymruczała:

- Takich beznadziejnych świąt jak w tym roku jeszcze nie przeżyłam! Na szczęście Jeannie i ja wkrótce mamy urlop, będziemy mogły przynajmniej sylwestra świętować w Nairobi. Och! Księżę Sulejman z Rijadu znów dzwonił!

Podniosłam wzrok znad podręcznika dla stewardes i zapytałam:

- Jak go poznałyście?
- To znajomy Beverly St. Clair, która tu wcześniej mieszkała. Co powiedział?
- Pozdrowia cię i Jeannie. Poza tym wypytywał o mnie i prawił komplementy. Jak on wygląda? Naprawdę jest tak przystępny, jak się wydaje?

- Będziesz się śmiać, ale jeszcze go nie widziałyśmy. Beverly uważa, że nie jest zły, może trochę dziwny, ale jej podoba się

każdy, kto ma pieniądze i władzę. Poza tym mam wrażenie, że on od niepamiętnych czasów wybiera numer 3550. Wydaje się, że to dla niego rodzaj szczęśliwego numerka; znał już dziewczyny, które mieszkały tu przed nami. Koniecznie chce poznać Jeannie i mnie, ale do tej pory się nie udało - albo jego nie ma, albo my nie mamy czasu.

Następnego dnia zdałam powtórkę egzaminu z L1011, Sergiil nie. Została oddzielona od naszej grupy i otrzymała możliwość ponownego szkolenia od początku z drugą grupą z Turcji trzeciego stycznia. Najwyraźniej Sergiil nie była kimś, kogo najbliższym samolotem odsyła się do domu z powodu niedostatecznych wyników w nauce.

*

W sylwestra wyjątkowo również stażystki dostały wychodne do pierwszej w nocy. Charlotte i jej przyjaciel Hamdi zabrali mnie na imprezę na dachu. To była ciepła, przyjemna noc, siedziałam ze szklaneczką ponczu w ręce na występie muru i patrzyłam zadowolona na niebo ponad dachami Dżuddy.

W pobliżu mnie Semiran tańczyła z chudym, zręcznym playboym imieniem Mohammed i już wkrótce całowali się w intymnym zaferowaniu.

Oczy Ayfer iskrzyły jak zanurzone w złotym brokacie bombki, gdyżywiona rozmawiała z Adilem, kolejnym bratem Mohammeda i Samira. Samego Samira nie było.

- Chodź tańczyć, Kuku! - zaptaszał Hamdi swoją najukochańszą.
- Ja nie tańczę, Hamdi. Poproś Teresę, ona uwielbia tańczyć.

Hamdi tańczył lekko i dynamicznie. Był bardzo zakochany w Charlotte, którą czule nazywał Kuku. Na Boże Narodzenie poda-

rował jej precudowne luksusowe wydanie Koranu, teraz ona pilnie go czytała.

Hamdi sprawiał na mnie wrażenie poważnego. Ze swoimi brązowymi, rzadkimi już - w wieku dwudziestu ośmiu lat - włosami i dyskretnymi okularami na prostym nosie wyglądał bardziej jak z włoskojęzycznego szwajcarskiego kantonu Ticino niż jak arabski syn pustyni.

Od Memo do Hamdiego. Z Turcji do Arabii Saudyjskiej. Czy znajdzie w końcu to, czego szuka?

Północ. W samym środku zamieszania nagle pojawił się Samir i życzył mi szczęśliwego nowego roku. Z bliska jego oczy były jeszcze bardziej pociągające. Nawet nie próbowałam walczyć z tą fascynacją.

- Gdzie byłeś cały ten czas?

- Uczyłem się w domu. Muszę wkrótce zdać egzamin połówkowy, bo chcę zostać pilotem. Moi bracia namówili mnie, żebym tu przyszedł.

- To wspaniale, że cię namówili.

- To nie było trudne - przyznał się. - Powiedzieli mi, że ty też tu jesteś.

*

Mimo burzliwego nocnego życia wszystkie zdałyśmy egzaminy po pierwszej części kursu. Następne dwa tygodnie w porównaniu z dwoma pierwszymi wydawały się urlopem: zajęcia z obsługi pasażerów w różnych modelach samolotów. Serwis na krótkich i na długich trasach w pierwszej klasie i w klasie ekonomicznej. Przygotowywanie posiłków i obsługa różnych kuchenek pokładowych. Koordynacja i kolejność obsługiwaniania, zajęcia z gastronomii. Zapowiadanie w kabinie po angielsku i demonstracja zasad bezpieczeństwa

w samolocie do podkładu w języku arabskim. Ponieważ żadna z nas nie mówiła po arabsku, wsłuchiwałyśmy się w kluczowe słowa w arabskim tekście.

Ale najpierw pojechaliśmy do zakładów krawieckich przymierzyć mundury.

Aby sprostać nowemu wizetunkowi dynamicznie rozwijającej się linii lotniczej, największej (wszyscy mieli nadzieję, że wkrótce także najlepszej) na Środkowym Wschodzie, potrzebne były mundury zaprojektowane przez renomowany dom mody. W końcu w tych wyścigach wygrał Carven i zdobył olbrzymi kontrakt.

W zakładach krawieckich pracowały na wysokich obrotach cztery małe, zgarbione Arabki. Zdejmowały miarę, przynosiły modele mundurów w różnych rozmiarach i upinały.

Każda z nas otrzymała dwa kostiumy, granatowy i bordo z kapeluszem, oraz granatowy mundur złożony z długiego blezera i szerokich prostych spodni z szorstkiej gabardyny, przewidziany do lotów krajowych. Do tego nosiliśmy bawełniane bluzki w różowo-biało-niebieskie paseczki, z pasującymi fularami i wąskimi paskami.

Obydwa klasyczne kostiumy - z krótkim, lamowanym żakiem i sięgającą powyżej kolan wąską spódniczką, która na dole przechodziła w cztery eleganckie kontrafałdy - były dozwolone podczas lotów międzynarodowych. Stopy tkwiły w trochę ciężkich, dwukolorowych butach od munduru albo, jeśli któraś nie mogła w nich chodzić, w niebieskich szpilkach nabytych na własny tachunek.

Debbie wydawała się zachwycona zabawnym filcowym kapelusikiem, podczas gdy dla mnie zabrakło już granatowego w moim rozmiarze. Nie padłam z zachwytu, gdy w lustrze zobaczyłam swoją małą twarz, wyglądającą w kapeluszu niekorzystnie, ale noszenie go do munduru było obowiązkowe, a jego brak karano meldunkiem.

Późnym popołudniem, kiedy akurat stałam pod prysznicem, przez okienko wentylacyjne w toalecie zaczął się wdierać gryzący dym. Nasze okienko wychodziło do tego samego szybu wentylacyjnego co okienko apartamentu D. Zakręciłam wodę i usłyszałam przeraźliwe krzyki:

- Ogień! Ogień!

Szybko owinęłam się ręcznikiem i wybiegłam. Krzyki dochodziły z sąsiedniego mieszkania, do którego drzwi były szeroko otwarte. Jedna z czterech Greczynek stała przy Ozlem, która właśnie trzymała gaśnicę i gasiła ogień w piekarniku.

- To by było na tyle - powiedziała Ozlem, gdy ogień zgasł. - Teraz musicie tylko zadzwonić jeszcze do Franka z administracji.

Ozlem i ja wróciłyśmy do naszego mieszkania.

- I to mają być stewardesy - kpiła Ozlem. - Krzyczą: „Pożar w kuchence, pożar w kuchence!” i nawet nie sięgną po gaśnicę. Wyobraź sobie, że to się dzieje podczas lotu!

- Lepiej nie! Co miały w tym piekarniku?

- Musakę z kurzych mózdzków - zażartowała Ozlem i pobiegła do pokoju, gdzie dzwonił telefon. To znów była Sergiil, która nie dawała sobie rady z pracą domową i nie pojmowała, gdzie w boeingu 707 jest przód, a gdzie tył. Odkąd zaczęła od nowa kurs, codziennie dzwoniła do Ozlem, żeby jasnie oświecona koleżanka objaśniała jej pracę domową; były już bardzo zaprzyjaźnione. Ozlem zaproponowała jej, żeby przyszła do nas na górę, bo nie było Connie i Jeannie, a zatem i żadnej z ich rozlicznych przyjaciółek.

Nie miałam ochoty na towarzystwo Sergiil, sięgnęłam więc po mojego walkmana i rolki Jeannie i poszłam pooddychać świeżym powietrzem.

- Cześć - radośnie przywitała mnie na dole na chodniku wysoka, ciemnowłosa dziewczyna z rakieta tenisową. Odpowiedziałam pytającym spojrzeniem, z którego wynikało, że jej nie rozpoznałam.

- To przecież ja, Canan! Siedziałyśmy obok siebie na wieczorze informacyjnym w Sheratonie.

Teraz przypominałam sobie to dziecko szczęścia urodzone w piątek.

- Wracam właśnie z meczu tenisowego. Ach, tu jest wspaniale!

- Jako blondynka podobałaś mi się bardziej - zauważyłam.

Canan roześmiała się dobrodusznie.

- To rzecz gustu! Mnie się czarne włosy też już znudziły, w piątym tygodniu przefarbuję je na brązowo.

- Często tak eksperymentujesz z włosami? y

- Cóż, jak widzę, nie jestem jedyna. W Stambule twoje włosy były proste, teraz są kręcone.

Przeciągnęłam dłonią po czuprynie.

- Ach, jak się później okazało, tego akurat mogłam sobie oszczędzić.

Rozwinęła się ożywiona rozmowa o warunkach mieszkaniowych w kampusie stewardes i naszych współlokatkach. Potem przysła kolej na kurs i instruktorów, a na koniec - nasz stan rodzinny. Gdy się rozstawałyśmy, jeszcze długo za sobą słyszałam jej radosne „Fajnie było cię znów zobaczyć”. Mogę sobie wyobrazić, pomyślałam, że z tą kobietą jestem zaprzyjaźniona. Zadowolona z siebie i świata odjechałam na rolnkach.

W ostatnim tygodniu kursu ćwiczyłyśmy obchodzenie się z maskami tlenowymi, gaśnicami, kamizelkami ratunkowymi, racami i innymi materiałami ratunkowymi.

Symulowaliśmy awaryjne lądowania z następującą po nich ewakuacją w wiernej kopii kabiny samolotu i nauczyliśmy się, jak prawidłowo zapewnić sobie bezpieczeństwo, korzystając z trapu ratowniczego. Bezwzględny instruktor Aziz lękliwie i zwlekające od razu spychał albo objeżdżał.

Pewne wietrzne styczniowe przedpołudnie, kiedy temperatura osiągnęła dwadzieścia stopni, spędziłyśmy na basenie w kampusie rodzinnym, aby przećwiczyć awaryjne wodowanie.

Trap samolotu TriStar kilkoma ruchami został przerobiony na łódkę ratowniczą. Polecono nam założyć kamizelki ratunkowe i na komendę wskoczyć do wody, przy czym instruktor Aziz te, które nie umiały pływać lub bały się wody, traktował w sprawdzony sposób.

Gdy wszystkie były na pokładzie wysepki ratunkowej, zrobiłyśmy razem baldachim z plastiku i rozdzieliliśmy pomiędzy siebie rozmaite funkcje i prace ratownicze.

Przemarznąte do szpiku kości, nauczyliśmy się użycia świec dymnych za dnia i rac w nocy.

Już zupełnie poważnie przygotowywałyśmy się do egzaminu końcowego i Hinduski z wcześniejszego kursu okazały się bardzo pomocne: nie skąpiły cennych wskazówek w sprawie pytań egzaminacyjnych.

Hinduski miały być potem przeniesione do bazy w Bombaju i zatrudnione na trasie Bombaj-Rijad-Dżudda oraz w dobrze rozbudowanej sieci linii krajowych. Stewardesy z mojego kursu miały pracować w Dżuddzie. Oczekiwanie na wymarzone zewnętrzne placówki, takie jak Paryż czy Ateny, na które można się było zgłosić po promocji, mogło potrwać co najmniej rok, a nawet do dwóch lat; w tym czasie pozostawało się w Dżuddzie, mieszkało w kampusie stewardes i latało ze swojego miejsca pracy i do niego.

Nasza sytuacja była wyjątkowa. Żyliśmy własnym życiem, otoczone murami, w mieście kobiet. Ponad dwa tysiące kobiet różnych narodowości, największy harem świata.

Wszystkie zarabiałymy tyle samo. Stewardesy z Trzeciego Świata zarabiały więcej niż ministrowie w ich krajach i żyły w ciągłym strachu, że stracą pracę, podczas gdy stewardesy z krajów rozwiniętych częściej narzekały, nie wszystko im się podobało i szybko wręczały wypowiedzenia.

Kobiety nie poczuwały się do solidarności. Związki zawodowe były zabronione, byłymy całkowicie skazane na despotyzm naszego pracodawcy. W tych warunkach kwitły denuncjacje, kumoterstwo, nepotyzm i protekcja. Każda czuła się samotną wojowniczką i każda była zdolna tylko do tego, by bronić własnych interesów. Co najwyżej skupiałyśmy się w grupach ze względu na takie samo pochodzenie lub język i tworzyłyśmy powierzchowną, nietrwałą wspólnotę, która nie była zdolna się powiększyć i bronić lub działać w interesie wszystkich, nieważne jakiego pochodzenia i rasy.



Nadszedł dzień promocji. Gdy salę na najwyższym piętrze centrum szkoleniowego dekorowano na uroczystość rozdania dyplomów, w barze kawowym czekała na swoją promocję chmara dumnych z siebie, uwolnionych od ciężaru nauki, świeżo upieczonych stewardes. Powiedziano nam, że egzamin końcowy jest bardzo trudny, przy czym tak naprawdę trudne było ubiegłe pięć tygodni, podczas których z surowego materiału należało ukształtować stewardesy.

Poznałyśmy teraz miejsca docelowe naszych próbnych lotów. Ozlem miała polecieć do Bombaju, Debbie i Pia - do Paryża, Muriel i Brenda - do Karaczi, a Julie i ja leciałyśmy z miss Ryan (najsurowszą ze wszystkich) dwudziestego szóstego stycznia do Londynu.

Na uroczystości zakończenia kursu pojawili się wszyscy nasi instruktorzy i instruktorki. Pan Jak-on-się-tam-nazywał wygłosił krótką przemowę, zanim przeszliśmy do głównego punktu programu tej uroczystości - rozdania dyplomów i skrzydełek.

Jako pierwsza została wywołana Mehta, wciąż wyglądająca na nie-szczęśliwą i zatroskaną, by pośród aplauzu przyjąć dyplom i skrzydełka, potem zmysłowa Nebile, a po niej wysoka, ładna Sumejja. Zauważyłam, że wręczanie dyplomów zaczęło się od końca.

Gdy wyczytano moje nazwisko, wyszłam wśród oklasków, uściśnęłam dłoni i wzięłam dyplom, dałam sobie przypiąć skrzydełka do munduru, potrząsnęłam w uścisku jeszcze jedną dłonią, wręczono mi jeszcze jedną parę skrzydełek i wróciłam na miejsce pośród moich koleżanek z kursu, ubranych w bordowe mundury.

Najlepsza w klasie była, zgodnie z oczekiwaniami, eksstewardesa Pan Am Debbie, która jak dotąd działała mi na nerwy swoją wszech-wiedzą i zarozumiałością. Dostała dodatkowo zegarek od Saudii. Niespodzianką była Ozlem, która uplasowała się tuż za Debbie na dtugim miejscu. Doświadczone stewardesy Brenda, Muriel i Julie zajęły kolejne miejsca.

Grooming inspector Annie skorzystała z okazji, by zwrócić nam uwagę, że od czasu do czasu będzie nas niespodziewanie kontrolo-wać, by mieć pewność, że stosujemy się do przepisów mundurowych i związanych z makijażem.

- Jeśli którąś przyłapiemy bez lakieru na paznokciach i pomadki na ustach, zostanie to wpisane do jej dossier i będzie ściśle kontrolo-wane przy kolejnych lotach.

- Och, daj spokój, Annie! - zirytowała się Brenda, ale tak cicho, żebym tylko ją usłyszała.

Bezlitośnie poddana różnym selekcjom i uformowana pod pre-sją, żadna z nas nie była już tą samą osobą, co na początku kursu.

Teoretycznie wyrobiłyśmy teraz w sobie konieczne cechy i dysponowałyśmy fachową wiedzą, by sprawdzić się w każdej sytuacji lotniczej codzienności. Myślałyśmy prawdopodobnie mniej więcej o tym samym: że dopiero stanęłyśmy na starcie.

W nagrodę za zdanie egzaminu końcowego Julie i ja zostałyśmy obdarowane przez dwóch saudyjskich wielbicieli. Każda dostała aparat fotograficzny Olympusa - „drobiazg” jak go nazywali - oraz obramowany złoty wisiołek na łańcuszku, z wybitym wizerunkiem świętego meczetu w Mekce.

Poznałyśmy obu Saudyjczyków, Ismaila i Saida, niedawno, podczas popołudniowej herbatki. Byli współpracownikami jemeńskiego wielbiciela Julie, Abdullaha.

Siedzieliśmy zatem, każde z chłodnym napojem, na miękkiej jak aksamit czerwonej sofie miejskiego mieszkania Ismaila i plotkowaliśmy, gdy kierowca Ismaila nagle wprowadził do salonu kolejnego gościa.

- Ach, Melissa! - zawołał zachwycony Ismail. - Przysiądź się do nas. Czy mogę ci przedstawić: to Julie i Teresa, właśnie brawurowo zdały swój egzamin końcowy w Saudii.

Wpatrywał się przy tym lubieżnie w długie brązowe nogi Melissy, gdy siadała.

- Jeszcze was tu nigdy nie widziałam - zauważyła Melissa nieco protekcjonalnie.

Jej oczy rozszerzyły się pożądliwie, gdy wypatrzyła nasze prezenty, co nie uszło uwagi Ismaila.

- Jeśli pójdziesz ze mną, Melisso, mam też coś pięknego dla ciebie, w sypialni - kusił, pozerając oczami seksowną Greczynkę. Melissa nie dała się dwa razy prosić i ruszyła za nim, wyzywająco kręcąc biodrami; była od niego wyższa o głowę.

Z sypialni wkrótce dotarły do nas chichoty i flirty, po chwili zmieniły się w jęki namiętności, którym towarzyszyło tytmiczne skrzywienie sptężyn łóżka. Również Julie i Abdullah opuścili salon i zostałam sama ze statym Saidem. Byłam wściekła na Julie, że wydała mnie bezmyślnie na pastwę dłoni ciekawskiego, ale na szczęście nie nazbyt namolnego Saida.

Gdy w końcu Gteczynka, rozgrzana i z podniesioną głową - jak królowa po wygranej bitwie - wróciła do salonu, odetchnęłam. Połyskujący naszyjnik z kamieni szlachetnych otaczał jej szczupłą szyję.

- Mam nadzieję, że nie będziesz na mnie zły, Ismail, ale teraz muszę już iść. Mam jeszcze lot do Rijadu - usprawiedliwiała się Melissa z wystudiowanym wdziękiem.

Wydawało się, że Ismail przyjął to spokojnie, z zadowoloną miną zadzwonił po kierowcę.

- Tylko, Melisso, nie zapominaj o mnie całkiem.

Uśmiechnęła się znacząco i dotknęła swego „prezentu”.

Oburzona, postanowiłam nigdy więcej nie pojawiać się u Ismaila i Saida. Ale ptezenty zabrałam, w końcu przecież zdałam egzamin.

Nie musiałam się martwić moimi próbnymi lotami do Tabuku i Londynu. Julie i ja dostałyśmy wprawdzie najsurowszą instruktorkę, ale podczas próbnych lotów była ona w zasadzie dostępna i miała dobrą wolę.

Podczas powrotnego lotu z Londynu do Dżuddy miss Ryan była w tak dobytym nastroju, że pozwoliła mi zachować się bardziej poufale. Chciałam wiedzieć, czy ona, po dziesięciu latach w Arabii Saudyjskiej, nie tęskni za niczym, co zostawia tam w dole.

Angielka akurat przeglądała jakiś żurnal i zamalowywała nogi, brzuch i dekolł fotomodelki czatnym flamastrem.

- Nie - odpowiedziała, przerwała jednak na chwilę i dodała: -
A właściwie tak. Najbardziej tęsknię za zmianą pór roku.

Po moich próbnych lotach miałam wolny dzień i spędziłam go przy bezwietrznej pogodzie w temperaturze dwudziestu sześciu stopni Celsjusza na leżaku nad basenem.

Słodkie nieróbstwo! Czułam się naprawdę uprzywilejowana, gdy tak leżałam w bezruchu. Moje spojrzenie szybowало od wody w basenie do pogodnego błękitnego nieba; niewiele brakowało, a poczułabym się jak na wakacjach. Nie, nie żałowałam nisko zawieszonogo, ciężkiego od śniegu styczniowego nieba z moich szerokości geograficznych.

Gdy po południu sprawdziłam listę gotowości, moje nazwisko było trzecie od końca. Na liście znajdowała się również połowa dziewczyn z mojego kursu. Dyżur trwał dwadzieścia cztery godziny i zaczynał się o północy. Ponieważ moje nazwisko umieszczono na końcu listy, prawdopodobieństwo, że nie będę potrzebna i będę mogła się wyspać, było spore. Moja torba podróżna była spakowana. Mundur leżał gotowy, a moja licencja i ID były wraz z paszportem, EPH, latarką i podręcznikiem obsługi spakowane zgodnie z przepisami w kuferku z kosmetykami.

Następnego dnia regularnie sprawdzałam leżącą w budynku recepcji listę obsady. Do południa dobra połowa z trzydziestu rezerwowych stewardes została obsadzona. To była przeciętna dzienna, ale około dziewiątej zrobiło się gorąco.

Brenda i Muriel przysły do mnie i siedziałyśmy jak na szpilkach w oczekiwaniu na wezwanie, jak aktorki przed premierą.

Zadzwonił telefon. To była Mehta, numer dwadzieścia cztery na liście, właśnie obsadzona na locie samolotu TriStar do Rijadu.

- Co właściwie powinnam zrobić? - jęczała. — Tak bardzo się boję! Wszystko zapomniałam, myślę, że nie mogę.

Muriel uspokoiła ją i wyjaśniła po kolei, co ma do zrobienia na pokładzie i że żaden normalny człowiek nie oczekuje od niej, żeby w swoim dziewiczym locie była perfekcyjna.

- I nie zapomnij skontrolować ciśnienia w trapie ratowniczym! - napomniwała ją Muriel, zanim odłożyła słuchawkę.

- Następna to ja - powiedziała Brenda. - Jeszcze dwie godziny do północy.

Telefon znów zadzwonił.

- To jest to! - powiedziała z opanowaniem Brenda i podniosła słuchawkę. - Ach, to ty, Kevin! Posłuchaj, musisz dzwonić akurat teraz? Jestem następna na liście gotowości, więc się streszczaj! Impreza? Okej, w porządku, pod warunkiem że tu będę. Tak, Teresa i Muriel też. Cześć!

Czekaliśmy w napięciu. Tuż przed północą telefon zadzwonił jeszcze raz.

- *Shit!* Ale mam szczęście! - wykrzyknęła Brenda i podniosła słuchawkę. - Halo? Debbie! Żartujesz sobie, żeby mi napędzić strachu! Co? Chciałaś mi po prostu opowiedzieć o swoim pierwszym locie? W porządku, zadzwoń do mnie za parę minut, muszę mieć wolną linię do północy.

Mehta najwyraźniej bardzo dokładnie przeprowadziła swoją kontrolę przed lotem, bo zameldowała supervisorowi od razu dwa defekty przy swoich drzwiach. Trzeba je było naprawić na miejscu, co opóźniło lot o dwie godziny. Tego dowiedziałyśmy się następnego dnia, który - ma się rozumieć - miałyśmy wolny. Dopiero kolejnego, mniej więcej o drugiej trzydzieści w nocy, wyrwał mnie ze snu rozkaz wyjazdu.

- Teresa? Payroll 3007? Tu kontrola stewardes. Potrzebujemy cię na liniach krajowych, cztery legs na boeingu 737. Odlot za godzinę,

powrót jutro o piętnastej trzydzieści. Bądź tu najpóźniej za dwadzieścia minut.

Wskoczyłam z łóżka jak ściągana łania, wskoczyłam w mundur ze spodniami i próbowałam przed lustrem w łazience przepisowo pomalować podpuchnięte oczy, coraz bardziej zdenerwowana.

Starannie malowałam jedno oko po drugim, pocieszając się, że nic nie może pójść nie tak. Jeszcze nie wiedziałam, że w tym zawodzie często trzeba robić wiele rzeczy w tym samym czasie.

Pojechałam minibusem na lotnisko. Tam zameldowałam się w biurze obsad i zostałam niezwłocznie dowieziona do czekającego samolotu.

Załoga już przygotowywała serwis, gdy wsiadałam. Przedstawiłam się ciemnemu, chudemu saudyjskiemu purserowi i od razu zastrzegłam, że to mój pierwszy lot.

- Ale wiesz, mam nadzieję, co jest do zrobienia? - zapytał obcowsowo, sprawdzając moją licencję. - Pracujesz z tyłu, w klasie ekonomicznej, razem z Abdulem. Sprawdźabinę i materiały ratunkowe. Poinformuj mnie, gdy skończysz kontrolę. Za dziesięć minut wsiadają pasażerowie.

Sprawdziłam wszystko, co w pośpiechu przyszło mi do głowy. Ledwie zdążyłam to zrobić, zalał mnie strumień wsiadających pasażerów. Nawet nie wpadłam na to, żeby poczuć zmęczenie; mieliśmy komplet.

Witałam, sprawdzałam karty pokładowe i wskazywałam miejsca. Pomagałam upchnąć bagaż ręczny, rozdawałam gazety, odpowiadałam na pytania, spełniałam specjalne życzenia i sadzałam odpowiednich pasażerów przy wyjściach awaryjnych.

Samolot ruszył, kabina była jasno oświetlona.

- Już, szybko, demo! - naciskał Abdul i wysłał mnie naprzód. Pokazywałam kolejno pas bezpieczeństwa i maskę tlenową, wyjścia awaryjne i kartę z informacjami.

Podczas demo zakwefiona kobieta, rozpiąwszy guziki swojej sukni, karmiła piersią niemowlaka. Musiałam się pilnować, żeby się na nią nie gapić, tak niezwykle poruszył mnie ten widok.

Oprócz piersi i dłoni niczego nie było widać, jej twarz była zasłonięta gęstym nikabem. Obnażenie piersi wydawało mi się aktem podobnym do odsłonięcia części pomnika, ale żaden z mężczyzn siedzących wokół niej nie zauważał tego, a jej mąż obojętnie siedział obok. Najwyraźniej odsłonięte gruczoły mleczne nie działają tak podniecająco jak nagłe odsłonięcie twarzy albo widok długich włosów.

Czułam, że kobieta w nikabie mnie obserwuje. Co jej przyszło do głowy na mój widok?

Lecieliśmy do Araru, małej miejscowości, gdzie samolot przylatywał tylko raz w tygodniu. Arar był czymś zupełnie szczególnym, tak powiedział Abdul. I dodał, że sama zobaczę dlaczego.

Wyładowaliśmy o wschodzie słońca i pożegnaliśmy naszych pasażerów. Gdy samolot był pusty, załoga zebrała się w pierwszej klasie, gdzie purser już zapobiegliwie rozłożył zielone wełniane koce na podłodze. Pojawił się szeflotniska z dwoma pojemnikami jedzenia, które jego żona własnoręcznie dla nas przygotowała, i przyjaźnie nas powitał. Ach, ta legendarna arabska gościnność! Ten człowiek wiedział oczywiście, że mamy na pokładzie śniadanie dla załogi, ale jego żona nie pozwoliła odebrać sobie przyjemności rozpuszczania każdej załogi swoim kulinarnym kunsztem. Na śniadanie był tadżin i humus z podpłomykami i daktylami.

Arabowie i Abdul siedzieli w kręgu na podłodze wokół jedzenia, podczas gdy amerykański kapitan wolał oparcie siedzenia pierwszej klasy i kazał stewardesie z pierwszej klasy zaparzyć sobie kawę. Ta sprawdziła swoją kuchnię pokładową i zaopatrzenie na dalszy lot, podczas gdy trzyosobowa ekipa sprzątająca szybko czyściłaabinę.

Tego dnia jeszcze trzy razy działo się to samo na górze i na dole, zanim wyczerpana, ale szczęśliwa około czwartej po południu zameldowałam się z powrotem w recepcji kampusu stewardes po powrocie z mojego pierwszego zadania.

Ulżyło mi, bo w duchu, podobnie jak Mehta, wątpiałam w swoją zdolność podołania tej pracy, a oto dowiodłam sobie i całemu światu, że sobie poradziłam.

*

Samir oświadczył mi przez telefon, że właściwie już nie ma czasu na przyjaciółkę, ponieważ teraz musi się poważnie przygotowywać do egzaminu końcowego.

- Nie chcę cię dłużej zatrzymywać. Wychodź, z kim tylko chcesz, i nie czekaj więcej na telefony ode mnie.

Gdyby mi się to zdarzyło w Szwajcarii, zareagowałabym na to z mniej lub bardziej urażoną obojętnością, ale nie w Arabii Saudyjskiej.

- Porozmawiajmy o tym! Przecież mnie lubisz, prawda? Spróbuj mnie zrozumieć. Czuję się tutaj taka samotna, lubię tylko twoje towarzystwo.

Czy naprawdę tak bardzo zależało mi na Samirze, którego ledwo znałam, czy też o wiele bardziej chodziło mi o to, że w Arabii Saudyjskiej, tym bastionie patriarchy, bez mężczyzny, niestety, nic się nie dało zrobić?

Specyficzny klimat Saudia City, wieczne lato, falujący upał, brak prywatności, zamknięcie za murami, zastraszające prawo i zakazy, kontrole, zależność od kierowców i posłańców, niepewna przyszłość zawodowa, obcość, samotność, traktowanie, jakby się było tylko połową człowieka, i jedynie warunkowa zdolność do działania wykluczały zwykłe życie i miłość.

Samir zaczął się łamać w swoim postanowieniu i umówiliśmy się na ósmą wieczór.

- Dobrze, ale mam tylko dwadzieścia minut. Przejedziemy się trochę po okolicy i porozmawiamy.

Nieco się uspokoiłam i odłożyłam słuchawkę. Wprawdzie udało mi się go przekonać, ale mimo to więcej czasu dla siebie nie mogłam wytargować.

Delikatna przypadłość zdrowotna, z powodu której nie mogłam szukać pomocy u żadnego lekarza z Saudii, ponieważ wszystkie choroby i podane lekarstwa były odnotowywane w osobistym dossier, doprowadziła do tego, że musiałam wziąć pod uwagę usługi lekarki z zewnątrz w państwowym szpitalu.

Najnowszy nabytek Ozlem, Anglik imieniem Dave, zawiózł mnie do jednej ze znajomych ginekolożek, starszej już, ciemnoskorej Afganki. Ta mnie zbadała, zrobiła wymaz i zadała pytania dotyczące moich życiowych nawyków. Zastanowiłam się.

- Regularnie pływam w basenie kampusu stewardes. Podczas tych dwóch miesięcy, kiedy tu jestem, jeszcze ani razu nie zauważyłam, żeby woda była zmieniana.

- Lepiej niech pani do niej więcej nie wchodzi. Ta woda musi być niewiarygodnie brudna. Wprawdzie nie da się z całą pewnością stwierdzić, czy pani grzybica wzięła się z kąpieli w basenie, ale uważam to za bardzo prawdopodobne. Ciepła woda jest idealną wylegarnią bakterii i mikrobów, a jeśli jest się jeszcze trochę wyczerpanym...

Westchnęła i wypisała mi receptę.

- Tak, tak tu niestety jest. Higiena to obce słowo. Powinna pani zobaczyć moje pacjentki. Przychodzą zazwyczaj dopiero wtedy, gdy

infekcje i choroby weneryczne zaatakują macicę i jajowody. Wiele jest ciężko chorych. Wydaje się, że się nie myją. Gdy je badam, mężczyźni zostają w gabinecie i patrzą mi na ręce. Przyglądanie się badaniu pochwy wyraźnie podnieca mężczyzn. Dostają erekcje i ciężko dyszą, gdy ich żony leżą z rozłożonymi nogami i wykrzywionymi z bólu twarzami na fotelu ginekologicznym. To bardzo mi przeszkadza, badanie ginekologiczne to przecież nie peep-show dla amatorów tego typu rozrywek. Czasem muszę zażądać, żeby wzięli się w garść. Próbuję im wytłumaczyć, że małżonki muszą koniecznie brać leki i nie mogą mieć stosunków płciowych. Nie mówię szczególnie dobrze po arabsku. Kilka miesięcy później ten sam mężczyzna znów przychodzi z żoną - jej stan się pogorszył. Walę głową w mur ignorancji i męskiej arogancji.

Mówiąc, złościła się coraz bardziej, a w końcu przystawiła pieczętkę na mojej recepcji.

- Na szczęście mój kontrakt kończy się za pół roku. Nie będę go przedłużać. Arabio Saudyjska, mam dość!

- Co ma pani zamiar zrobić, wrócić do Afganistanu?

- Otworzę prywatną praktykę - powiedziała dumnie. - W Londynie.

To oczywiście, że ta kobieta kazała sobie sporo zapłacić za swoją frustrację.

*

W lutym Jeannie obchodziła dwudzieste drugie urodziny. Dla ekskochanka Jeannie, Hassana, była to okazja, by wyprawić wielką uroczystość urodzinową i zaprosić wszystkie nowe i gorące dziewczyny, ponieważ znudzeni bogaci mężczyźni niczego nie pragnęli bardziej niż kolejnego transportu świeżych, nieużytych kobiet.

Jasnawłosa, jasnoskóry Hassan, Saudyjczyk syryjskiego pochodzenia, prawie dziewięć miesięcy romansował z Jeannie, aż trzy mie-

siące temu nowa Angielka Jane swoimi wystającymi ustami i urokiem lalki Barbie zadała temu romansowi śmiertelny cios.

W swojej kosztownej willi z wpuszczonym w podłogę olbrzymim akwariem, przykrytym nietłukącym się szkłem, Hassan w białym tradycyjnym stroju przyjmował gości.

Jeannie, z różową satynową wstążką w delikatnych, jasnych włosach, wyglądała słodko i niewinnie jak zawsze. Na widok nowej przyjaciółki Hassana, która nie odchodziła od niego nawet na krok, jej twarz spochmurniała.

- Mógłby przynajmniej odesłać „plain Jane” do domu - wymruzała cicho.

Akurat poprosiłam barmana o gin z tonikiem, gdy zagadnął mnie szczipły szatyn o blisko osadzonych, żywych, zielonych oczach.

- Umiesz też tańczyć? - zapytał przyjemnie rozleniwionym głosem.

- Też? - zdziwiłam się.

- Niewiarygodnie się śmiejesz, swobodnie i bezpośrednio. Lubię kobiety, które śmieją się tak jak ty.

- Tak? A jak ja się śmieję?

- Tak jak śmieją się kobiety, które chcą tylko jednego: życia totalnego, pełnego pożądania, które wszystko daje i wszystko odbiera.

Prawie zachłysnęłam się drinkiem. Ludzie, jak on na to wpadł! Tańczyliśmy do jakiegoś szybkiego dyskotekowego kawałka, podczas gdy ryby pod naszymi stopami nerwowo pływały w tę i z powrotem.

Pobudzona zainteresowaniem tego mężczyzny, muzyką, klimatem miejsca oraz alkoholem, wprowadzona w podniosły nastrój, uśmiechałam się błogo.

- Nie widziałem cię tu jeszcze nigdy - znów zaczął. - Jak się nazywasz, skąd pochodzisz, kim jesteś?

- Po kolei - przecie wszystkim zasadniczo nie podaję obcym takich informacji.

- Ach, to tak? Nazywam się Raszid. Pochodzę z Syrii, jestem zaprzyjaźniony z Hassanem i Jusufem i prowadzę interesy związane z modą. Próbuję zbadać tutejszy rynek. Poza tym podoba mi się to, jak jesteś ubrana, swobodnie i dosyć odważnie.

- Ach, te stare szmaty - wymknęło mi się. - Wydaje mi się, że w ogóle wiele ci się we mnie podoba.

- Słusznie. Nie podoba mi się tylko to, że teraz ty wiesz o mnie wszystko, a ja nadal nie znam nawet twojego imienia.

Przedstawiłam się i wskazałam na Jeannie i Connie.

- Przyszłam z nimi.

- Ach, Connie i Jeannie!

- Znasz je?

- Znam wszystkie - powiedział dziwnym głosem.

Świecek na torcie urodzinowym Jeannie płonęły i gdy przebrzmiało „Sto lat”, stało się: zamiast Jeannie świecek zdmuchnęły dwie nadgorliwe waźniaczki i od razu zabrały się do krojenia i rozdawania tortu. Jeannie zbladła i już nie powiedziała nic więcej.

- Ludzie, tak się nie robi - gorączkowała się Connie. - To przecieź urodziny Jeannie!

Jeannie zachowała spokój, przynajmniej do czasu, kiedy wróciłyśmy do domu. Tam rzuciła się na łóżko i zaczęły szarpać nią regularne spazmy, tak szlochała. Connie i ja stałyśmy zakłopotane w drzwiach.

- Zobacz, Jeannie, te prezenty nie są takie złe, na przykład polaroid...

- Przestań! - szlochała Jeannie. - Nie chcę tych prezentów więcej widzieć! Jeszcze nigdy nikt mnie tak nie upokorzył.

Connie nie wiedziała, co na to powiedzieć. Pozostawiłyśmy Jeannie w tym stanie i przeszłyśmy do salonu.

- A tak na marginesie: wiesz, z kim flirtowałaś cały wieczór?

- Tak. Przedstawił mi się jako Raszid.

- Nic nie wiesz! Ten Raszid jest potwornie bogaty i bardzo hojny. Ale zmienia kobiety jak rękawiczki. Szuka dla siebie najpiękniejszej. Miał romans z Beverly i był szaleńczo zakochany w mojej przyjaciółce Julii. Ale ona zdradziła go na basenie z Hasanem. Od tego czasu jest dziwny. Spróbuj zatrzymać go tak długo, jak to możliwe.

- Pytał mnie o numer telefonu.

- To wspaniale! Wyciągnij z tego to, co najlepsze, dopóki ty dyktujesz warunki. - I po tej radzie, udzielonej kobiecie przez inną kobietę, zniknęła, aby zaopiekować się siostrą.

Ja, otrzeźwiała, zostałam w salonie.

Raszid zadzwonił kilka dni po imprezie urodzinowej Jeannie.

- Cześć piękna. Co powiedziałaś na miłą kolację u mnie w domu, z kilkoma moimi miłymi przyjaciółmi?

- Brzmi dobrze - powiedziałam; to zaproszenie było mi akurat na rękę.

Raszid był w nieco spokojniejszym nastroju, wydawał się melancholijny i letargiczny. Ponieważ moja obecność nie wyprowadziła go z tego udzielającego się nastroju, uznałam, że nie bardzo jest we mnie zakochany.

Po kolacji usiedliśmy na sofie i on zapalił jointa.

- Chodź, usiądź obok mnie, Tereso. Bliżej! Nie bądź taka nieśmiała. A może nagle zaczęłaś się mnie bać?

Przysunęłam się bliżej, on objął mnie ramieniem i zaproponował jointa.

- Moi przyjaciele tutaj nie lubią haszyszu. Mówią, że moje używki są niezdrowe i beznadziejnie staroświeckie. Ale nie lubię palić sam.

- I nie musisz - powiedziałam. Rzucił swoim anglosaskim przyjaciółtom triumfujące spojrzenie i zachichotał rozbawiony.

- Zabawne! Dziś wieczorem jesteś zdystansowana, zupełnie inaczej niż ostatnio na imprezie. Wy, kobiety, nigdy nie wydajecie się tym, kim w istocie jesteście.

Obydwojgu nam dobrze już huczało w głowach, gdy wysadził mnie około północy przy kampusie stewardes, zegnając swobodnym „Zadzwoń do ciebie rano”.

I dzwonił. Prawie każdego popołudnia o wpół do czwartej. Przyjeżdżał po mnie i spędzaliśmy czas przy niewiarygodnej liczbie basenów, w towarzystwie niewiarygodnej liczby jego przyjaciół. Wydawał mi się czarodziejem, który zamiast królików wyciągał z cylindra przyjaciół. Kolekcjonował przyjaciół z całego świata, w różnych odcieniach, w każdym wieku, również w grupach lub parach.

Wyjątkowo często odwiedzaliśmy miłe amerykańskie małżeństwo, które mieszkało w starej willi z basenem i miało osiemnastoletnią rudą, piegowatą córkę, którą - jak mówiły plotki - Raszid chętnie by poślubił.

Raszid miał bardzo konkretne wyobrażenie o swojej przyszłej małżonce. Życzył sobie kobiety nietkniętej przez przeszłość i mężczyzn. Chciał jej poświęcić swoje życie, pozostać wierny aż do końca swoich dni.

- Jesteś niepoprawnym romantykiem, Raszidzie. Chcesz, żeby twoja żona była kimś, kim ty sam niejesteś... A tacy jak ty wpadają w ramiona kobiet, które są takie jak ty.

- Dlaczego się złościsz? Wypluwasz słowo „romantyk”, jak gdyby było obelgą. Marzę o kobiecie, która jest wierna, czysta,

młoda i piękna. Niedawno wierzyłem, że taką znalazłem. Chciałem się z nią ożenić, ale potem zdradziła mnie z moim najlepszym przyjacielem.

- Mogę ci powiedzieć, co mnie złości! Twoja podwójna moralność macho. Twoja żona musi być nietknięta, aby zasłużyć na twoją miłość i szacunek, podczas kiedy ty masz prawo wyżywać się seksualnie. Uważałam cię za nowoczesnego człowieka o szerokich horyzontach, panie Raszid, coś za przykre rozczarowanie!

- Tak, my, Arabowie, tacy jesteśmy. Wciąż chcemy, jak nasi ojcowie, być przez swoje kobiety rozpieszczani i obsługiwani. Jesteśmy beznadziejnie zacofanymi ludźmi.

Uznałam, że będzie lepiej zakończyć tę kłótnię.

- Popływajmy na wyścigi! Jeśli mnie pokonasz, możesz mnie pocałować.

Ucieszył się jak mały chłopiec, któremu matka nieoczekiwanie obiecała nagrodę, i zachwycony rzucił się do wody.

Pewnego wieczoru przy bramie w oko wpadła mi piękna, długonoga blondynka w obcisłych czerwonych spodniach i świeżej białej bluzce. Była prawie bez makijażu, wydawała się trochę zdenerwowana i miała długie gładkie włosy zaczesane w ścisły węzeł na karku. Zaraz potem piękność zniknęła we wnętrzu tajemniczo zaciemnionej limuzyny.

Kilka dni później zobaczyłam ją znów w naszym salonie przy okazji babskich ploteczek u Connie. Connie poznała tę Angielkę na jakiejś imprezie u Faisala. Faisal był niewiarygodnie bogatym przyjacielem młodszej siostry Brooke, Mandy. Tematem był dom, który Faisal budował dla Mandy w Dżuddzie.

- On ją bezgranicznie rozpieszcza - poskarżyła się Brooke i przypaliła papierosa. - W stosunku do mnie Mandy zachowuje się bezczelnie i niesolidarnie. Jest już całkiem zepsuta. Mam tylko nadzieję, że go nie poślubi. Wydaje się, że tacie jest to obojętne, nie interesuje go, co robią jego córki.

Siostry dzieliły pokój w sąsiednim domu. Nie widywały się za często, a jeśli już, to dochodziło między nimi do nieporozumień i kłótni. Martwiły się o siebie nawzajem, każda z nich była przekonana, że ta druga kroczy niewłaściwą ścieżką.

Brooke przyjechała do Arabii Saudyjskiej przed pięcioma miesiącami, prosto z Las Vegas, gdzie była zatrudniona jako showgirl i tancerka w jednym z pierwszorzędných domów gry. W zasadzie zamieniła jedną pustynię na drugą i jeden nierzeczywisty świat na inny i wciąż jeszcze cierpiała w związku z szokiem kulturowym.

- Nie miałam zielonego pojęcia, co mnie tutaj czeka. Nie wiedziałam nic o tutejszych obyczajach i moralności. Mandy nigdy niczego nie opowiadała.

- Dlaczego zostawiłaś Vegas i wymarzoną pracę? - zapytała Connie z ciekawością.

Okazało się, że to nie była wymarzona praca. Niewiele wolnego czasu, ciągłe próby. Jeśli ktoś nie miał żelaznej kondycji i zdolności absolutnej koncentracji, jego angaż szybko się kończył; na dłuższą metę było to zbyt stresujące. A ponieważ jej ojciec pracował jako pilot latający z VIP-ami, a siostra jako stewardesa, do decyzji, żeby zmienić profesję, bo latanie nie mogło być cięższą pracą niż taniec, nie było daleko.

Nie minęło wiele czasu i Brooke poznała saudyjskiego pilota VIP-ów Amira, muskularnego, dobrze wyglądającego, zielonookiego mężczyznę o nieco mrocznej naturze. Najwyraźniej uwikłani byli w dziki, brutalny związek. Za plecami Brooke wszędzie o tym

szeptano, a ona podsyciała te plotki takimi sugestiami, jak: „Wczoraj wieczorem Amir znów wpadł w totalną furję, wykrecił mi rękę”. Te informacje podawała w lekkim tonie ploteczek, jak gdyby posiadanie dziwnego i skorego do rękoczynów faceta było czymś najnormalniejszym w świecie.

Pewnego pochmurnego popołudnia Raszid i ja odwiedziliśmy Faisala. Siedział sam obok telefonu w luksusowo urządzonej sali i zapraszającym gestem wskazał nam miejsca na białych kanapach. Miał na sobie białą diszdaszę*, która ostro odcinała się od jego czarnej skóry.

Ścianę zdominował olbrzymi portret Mandy, z dołkami w policzkach i falującymi jasnobrązowymi włosami anioła.

- Czekasz na telefon? - zapytał Raszid swoim głębokim, sympatycznym głosem.

- Tak. Mandy przed kilkoma minutami wylądowała w Londynie. Obiecała, że zadzwoni, gdy tylko zobaczy budkę telefoniczną. Co mogę wam zaproponować do picia?

- Ja poproszę to samo, co masz przed sobą - powiedział Raszid, a ja się przyłączyłam.

Faisal zadzwonił po swojego służącego i zamówił trzy razy gin z sokiem z cytryny, wodą i lodem.

- A co będzie, jeśli nie zadzwoni? - kpił Raszid.

- To znaczy, że samolot się rozbił. Zadzwoni.

- Co by było, gdybyśmy dziś wieczorem urządzili wspaniałą imprezę tu u ciebie, Faisal? To dopiero byłoby coś, nie sądzisz, Tereso?

* Diszdasza - tradycyjna, długa, luźna arabska szata.

Kiwnęłam głową.

- Tak, oczywiście. Ale myślę, że Faisal akurat nie jest zachwycony.

- Co Mandy by pomyślała? - powiedział Faisal. - Zdążyła wyjechać, a ja urządzam imprezy? Nie, nie chcę jej urazić. Nie mam też ochoty na imprezę. Ale zorganizuję jakąś, kiedy Mandy wróci za pięć dni. Jesteście, oczywiście, zaproszeni.

- Przyjdziemy. Zawsze robisz to, co powie Mandy? Teraz przecież jej nie ma, a ty możesz się zabawić - dalej kpił Raszid.

- Nie potrafię się bawić bez Mandy. Jeśli jej tu nie ma, świat się zatrzymuje. To miłość, Raszid.

Raszid bawił się kostkami lodu w swojej szklance, wyjął jedną issałją.

- Miłość! Słyszałaś, Tereso?

- Słyszałam. Zostaw go w spokoju, Raszid.

Zadzwonił telefon. Mandy. Wstałam, wzięłam swojego drinka i wyszłam przez na wpół otwarte szklane, przesuwane drzwi na dziedziniec z basenem. Pod daszkiem były ustawione różne przyrządy do ćwiczeń. Wskoczyłam na rower treningowy i zaczęłam wypedałowywać kiełkujący we mnie zły humor. Raszid przyszedł za mną.

- Nie wiedziałem, że jesteś usportowiona.

- Dlaczego chodzisz ze mną w gości? - zapytałam bez ogródek.

- Bo cię lubię i czuję się dobrze w twoim towarzystwie. Ponieważ nie jesteś zmanierowana i jesteś ładna w niebezpieczny sposób.

- Co ma znaczyć: „ładna w niebezpieczny sposób”?

- Na ulicy łatwo bym cię przeoczył, nie wpadasz w oko. Masz twarz, na którą miło się patrzy, odpowiedni wzrost i dobrą figurę. Jesteś dokładnie tym, czego potrzebuję. Z zapierającą dech pięknosciami męczyzna ma wszak tylko mnóstwo stresów.

A więc to tak! Byłam przyjemną przeciętną kobietą, z którą spędzało się czas, bo zapierająca dech w piersiach piękność go

zdradziła. Wybrana, bo nie mogłam być zbyt niebezpieczna, miła mała z sąsiedztwa, zapchajdziura. Chciało mi się wyc z rozczarowania,

- Coś nie tak? - zapytał.

- No, dobry jesteś! Po mężczyźnie, który od trzech tygodni próbuje mnie uwieść, spodziewałam się trochę więcej entuzjazmu. Mógłbyś mi przynajmniej powiedzieć, że uważasz mnie za piękną. Kompletnie pogrzebałeś swoje szanse.

- Powiedz prawdę, wolałabyś być okłamywana! - drwił sobie. - Ach, kobiety, kto się tam z wami połąpie.

Kampus stewardes. Zadzwonił telefon, który dziewczyny postawiły pośrodku stołu w salonie. Betty rzuciła się do niego.

- Tak, halo. Ach, to ty, Mandy.

Na twarzach dookoła pojawiło się rozczarowanie - żaden wielbiciel, to nie zaproszenie na imprezę.

- Co się dzieje, masz taki zdenerwowany głos, Mandy... Cooo?! Kiedy i ile? Całą fioletkę, jesteś pewna?... Oddycha jeszcze...? Posłuchaj, Mandy, musisz ją zmusić do wymiotów! Connie i ja zaraz przyjdziemy do ciebie na górę!

W mgnieniu oka ucichły ploteczki przyjaciółek.

- Co się stało, Betty? - zapytała Ann.

- Brooke wzięła tabletki nasenne. Straciła świadomość, oszalała. Prawdopodobnie pokłóciła się z Amirem. Mandy koniecznie potrzebuje naszej pomocy. Connie, chodźmy!

- Na Boga, a co będzie, jak umrze? Lepiej zadzwońmy po lekarza - zawołała Beverly.

- Nawet nie próbuj - ostrzegła Betty. - Musimy zatuszować tę próbę samobójczą, w przeciwnym razie Brooke straci pracę.

- Nie sądziłam, że jest tak nie zrównoważona - dziwiła się Beverly. - Taka piękna dziewczyna, mogła mieć każdego faceta, gdyby tylko chciała, i łyka tabletki z powodu jakiegoś dupka.

- Zamknij dziób, Bev! - zdenerwowała się Ann. Ale niezrażona tym Beverly broniła swojego punktu widzenia:

- Myślę, że my też powinniśmy pójść na górę.

- Ach, chcesz zaspokoić swoją potrzebę sensacji, Beverly. W pierwszej pomocy jesteś zerem. Mdlejesz, kiedy tylko zobaczysz kropelkę krwi.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich Jeannie, która właśnie wróciła z pracy. Beverly natychmiast wypaplała nowiny, poza tym Connie zadzwoniła z mieszkania siostr Clayton i pytała o Jeannie. Brooke wciąż jeszcze nie zwymiotowała i wciąż się broniła, zespół ratowniczy potrzebował wsparcia.

Jeannie wskoczyła do swego pokoju i zdarła z siebie mundur. Bez słowa kompletowała części swojego różowego dresu.

Teraz zaczął się wyścig z czasem; trzy zdrowe dziewczyny nie dawały sobie rady z zapanowaniem nad jedną, która dziko i histerycznie waliła pięściami dookoła siebie. Trzeba było przytrzymać Brooke za ręce i nogi, gdy wlewały w nią wodę. Zachłysnęła się, chwyciła powietrze, pluła, bezradnie kaszłała i w końcu zwymiotowała. Dziewczyny bezwzględnie prowadziły swoje działania, dopóki Brooke miała cokolwiek w żołądku, a potem pozwoliły jej wyczerpanej zasnąć.

Mniej więcej o drugiej w nocy Jeannie wróciła do swojego pokoju. Connie, Mandy i Betty wciąż jeszcze czuwały przy łóżku Brooke. Odwaliły dobrą robotę. Brooke była już prawie po drugiej stronie. Jej życie powinno toczyć się dalej - bez brutalnego Amira. Za to zyskała nową przyjaciółkę - Connie, która po tym przeżyciu mocno się do niej przywiązała.

Gdy chciałam być sama, wchodziłam na płaski dach naszego budynku. Nastawiałam swoje spojrzenie na nieskończoność, chłonełam światło, upał i wiatr jak gąbka. Zostawiałam przy tym za sobą otoczenie: domy, puste ulice, odsalarnię wody morskiej, wieżę ciśnień oraz daleką, płaską pustynię, której urok działał na mnie, jedynie gdy zaczynała drżeć w zmiennym świetle.

W miejscu takim jak to, gdzie tak wiele kobiet rozmaitych narodowości żyło razem złożonych w kolorową mozaikę w bardzo ciasnej przestrzeni, nieporozumienia i brak poszanowania dla sfery prywatności były oczywiste.

W Connie ostatnio rozwinęła się jakaś niechęć do Ozlem i denerwowała się, że ta nie uważa za stosowne myć po sobie naczynia. Pewnej niedzieli w kuchni zawisła kartka, na której było napisane dużymi literami: „Jest niedziela. Dzień własnoręcznego mycia swoich brudów!”.

- Wiesz, kto to napisał? - badała sprawę Ozlem.

- Mogę podejrzewać kto. Styl jest nie do podrobienia.

- Ale o co jej chodzi? - dziwiła się Ozlem. - Rano przychodzi przecież pokojowa i sprząta. A poza tym to żadna metoda, powieścić wredną kartkę. Connie mogła przecież z nami porozmawiać, jeśli jej coś nie pasuje.

Każde gospodarstwo domowe w Saudia City miało filipińską pokojówkę, która codziennie, z wyjątkiem weekendów, sprzątała mieszkanie i zmieniała pościel. Wynajęta ekipa sprzątająca pozwalała liniom lotniczym zachować kontrolę nad stanem ich mieszkań, a także przestrzeganiem zasad.

Nasza sprzątaczką była miłą nastolatką o imieniu Mila. Pisała na czerwonoróżowym i jasnoniebieskim papierze listowym długie tęskne listy do rodziny w Manili i regularnie wysyłała jej część swoich skromnych zarobków.

Pierwszy urlop należał się Mili dopiero po dwóch latach służby. Chętnie dorabiała sobie praniem ubrań i prasowaniem dla sióstr Edwards. Przy pracy cichutko sobie marzyła i śpiewała smutne piosenki.



Pomiędzy Raszidem a mną ostatnio coraz częściej rozgrywały się podobne sceny, ale tak bardzo jak tego popołudnia jeszcze nigdy mi nie dopiekl.

- Dlaczego nie chcesz ze mną sypiać?

Bo gdy to zrobię, wcześniej czy później mnie opuścisz. Bo będziesz mną gardził, jeśli ci ulegnę. Bo wówczas będzie się tu odbywał ciągle ten sam zakłamanym handlu wymienny: seks za towarzyswo i korzyści materialne, a na to nie mam ochoty.

Najuczciwiej i najodważniej byłoby wyrazić głośno swoje myśli, być może nawet zyskałabym tym respekt, ale tak silna i pewna się nie czułam, zamiast tego zaszyfrowałam to w słowach:

- Bo cię nie kocham.

- Chcesz mi przez to po wiedzieć, że kochasz swojego małego saudyjskiego przyjaciela, który się o ciebie nie troszczy?

Milczałam osowiała. Nie, tego nie chciałam powiedzieć, w ogóle już nie chciałam myśleć o Samirze.

Raszid znów przypuścił atak.

- Tereso, co najcenniejszego posiada człowiek?

- Zdrowie.

- Nie, czas - odrzekł Raszid. - A z kim od sześciu tygodni spędzam prawie cały mój wolny czas? - w tym miejscu przerwał i usiadł obok mnie na miękkim, białym, długowłosym dywanie, który leżał przed jego cennym podwójnym łóżkiem. Na ekranie „Funny Lady”, Barbra Streisand oszukiwała właśnie Omara Sharifa. Raszid przysunął się bliżej.

- Według ciebie nie jestem seksowny? Nie dość atrakcyjny? - jego ton zdradzał, że już nie rozumie świata.

Oceniłam go jak chłop sztukę bydła na targu. Sam był sobie winien. Tego właśnie chciał.

- Uważam cię za całkiem apetycznego, pomijając... zapach z twoich ust.

- Och! - podskoczył i pobiegł do sąsiedniej łazienki. Słyszałam szorowanie zębów i gulgotanie. Mimo woli się roześmiałam. Raszid znów nabrał nadziei.

- Chodź, siadaj na łóżku, tu jest wygodniej.

Ku jego zaskoczeniu dokładnie to zrobiłam i tak nasz związek stracił swój platoniczny charakter. Przy takim stanie rzeczy dawałam nam jeszcze tydzień, może dwa, zanim będzie miał mnie dość. Dotychczas z każdą z moich poprzedniczek tak było. Podbijana, zdobyta, wzgardzona, porzucona.

W tym sensie codziennie oczekiwałam końca, a zamiast tego przeżywałam harmonijne, leniwe trwanie w związku na jednostajnym poziomie i bez burz. Znajdowałam się niemalże w sytuacji tych bohaterów filmów sensacyjnych, którzy galopują ponad otchłania i spadają dopiero wtedy, kiedy sobie to nagle uświadomią.

*

Connie dbała o stosunki wszelakiego rodzaju, między innymi ze skrytą chudą Marokanką, Salmą Zidane. Salma była z natury leniwa i przebiegła, ale miała rzucający na kolana urok, który potrafiła świadomie wykorzystywać.

Salma pracowała dla Saudii już od czterech lat, ale dużo więcej zarabiała na swoim pobocznym zajęciu jako rajfurka niż w zasadniczej pracy jako stewardesa.

Wychodziła tylko wtedy, gdy w grę wchodziły pieniądze, nic innego jej nie interesowało. Teraz czterech jej klientów z Rijadu planowało imprezę w luksusowym hotelu w Dżuddzie, a Salma miała dostarczyć dziewczyny. Pomyślała, oczywiście, najpierw o swoich przyjaciółkach i zapytała Connie, czy nie miałyby ochoty zarobić dobrych pieniędzy. Connie na takie propozycje z reguły odpowiadała „nie”, ale nie tym razem. Salma poprosiła ją, by zaprosiła również Jeannie i mnie. Jeannie gładko dała jej odprawę.

- Zastanów się - prosiła Connie. - To pierwszorzędni klienci Salmy, dobrze płacą! Wyobraź sobie, że możesz jednym jedynym wieczorem sfinansować cały swój następny urlop.

- Robi mi się gorzej już na samą myśl - wymamrotała Jeannie, zaczerwieniła się po nasadę włosów i zniknęła w sypialni.

- O co jej chodzi? - zapytałam zdziwiona.

- Cóż, Tereso, muszę z tobą porozmawiać. Mam dla ciebie zaproszenie na pewną imprezę, ale to musi pozostać między nami, rozumiesz?

- Dobrze. Słucham.

- Na pewno słyszałaś o tych imprezach za pieniądze. Kursują tu historie, których nie da się zignorować. Cóż, mija niemal dokładnie dziewięć miesięcy od czasu, gdy ja i Jeannie byłyśmy na takiej imprezie... To było straszne! Robiłyśmy to z brzydkimi, zapitymi menedżerami! Od nadmiaru alkoholu, zdenerwowania i wstrętu Jeannie zrobiło się tak niedobrze, że jeszcze na imprezie zwymiotowała. Gdy później wracałyśmy samochodem do kampusu stewardes, szofer wetknął nam kopertę. Było w niej siedem tysięcy riali. Podzieliłyśmy te pieniądze, Jeannie przy tym znów zrobiło się niedobrze. Poprosiła mnie, by wyrzucić jej część, ale wpłaciłam pieniądze na jej konto oszczędnościowe. Ja również nie czułam się dobrze po tym pierwszym pieprzeniu za pieniądze. To było ohydne, ja byłam ohydna...

- Wiesz, Tereso, lubię wydawać pieniądze garściami, mimo to postanowiłam trzymać się z daleka od takiego sposobu zarabiania pieniędzy. Ale miałam sporo czasu na przemyślenia. W tym roku skończę dwadzieścia sześć lat, wtedy człowiek już zaczyna myśleć o przyszłości. Moim celem jest zamożność, władza i piękne życie. Uczciwie skończę z lataniem i nie mam zamiaru wracać jako porządna kobieta na zieloną trawkę. Dlatego postanowiłam zostać odrazę odrazie i znów się sprzedawać. Celowo i świadomie. Kurwa? Tak, ale nie głupia, tania cipa, tylko elegancka kobieta interesu, która pracuje, żeby zrealizować swój cel. O tym, co robisz w Arabii Saudyjskiej, nikt nie musi wiedzieć. Jesteś z dala od domu i możesz tu zarobić bardzo dużo pieniędzy - przerwała swoje wyzywające przemówienie i zapaliła papierosa. Jej nieco wodniste, niebieskoszare wylupiane oczy lustrowały mnie z oczekiwaniem.

- Cóż, wybierzesz się również?

Myślałam już, oczywiście, o prostytutce, nie dało się tu inaczej, otaczało to człowieka dookoła. Jakoś podniecała mnie perspektywa przekroczenia granic, złamania tabu i zarobienia mnóstwa pieniędzy. Ale gdzie zysk jest duży, można też wiele stracić - na przykład swoją godność, szacunek do siebie.

Z drugiej strony, dlaczego nie wziąć tego, co proponują? Żyłam w kraju, w którym młode, zdrowe ciało stanowiło największy kapitał. Kobiety były potrzebne, podbijało się je, pogardało nimi i gorąco ich pożądało. Na tym cierpiałymy i z tego korzystałyśmy wszystkie co do jednej; pozwalałyśmy się zapraszać, wyprowadzać, obdarowywać i nakłaniać do prostytutki.

Wszystko jest bardzo proste, informowała Selma, sutenerka w każdym calu. Trzeba się tylko położyć i pozwolić im zrobić to w pozycji misjonarskiej. Najpóźniej po dziesięciu minutach miało

%m pustyni

być po sprawie, a jeśli któreś by się to nie podobało, mogła przy tym myśleć o pieniądzach.

Zanim się to stało tego wieczoru, zrobiłam staranną toaletę. Wybrałam nową, zwiewną, białą sukienkę, która podkreślała moją opaloną skórę, zrobiłam nieco mocniejszy makijaż niż zwykle i pomalowałam paznokcie na czerwono. Jeszcze tylko pociągnęłam wargi pomadką, zburzyłam loki i moje luksusowe ciało było gotowe do wyjścia.

Oprócz Connie i mnie była jeszcze grecka szefowa kabiny z Aten i żółtawowłosa Angielka. W naszych cnotliwych sukienkach wyjściowych wyglądałyśmy jak grupa sekretatek w drodze na zakładową uroczystość.

Zostałyśmy zabrane przestronną limuzyną i odwiezione do luksusowego hotelu w mieście. Na górze, w apartamencie prezydenckim, powitało nas czterech mężczyzn, naszych klientów.

Zdjęłyśmy abaje i zawiesiłyśmy na wieszaku przy wejściu. Na pomocnikach stały srebrne kubeczki z lodem, błyszczące szklanki i spory wybór alkoholi, aby wprowadzić nas w odpowiedni nastrój.

Panowie nas komplementowali, prowadzili do tapicerowanych mebli w środku pomieszczenia i zanim się spostrzegłam, już siedziałam głęboko na poduchach sofy, przede mną stał drink, a w rękę ttzymałam papierosa.

Z lewej usłyszałam pytanie o moje pochodzenie, z prawej pojawił się ogień do mojego papierosa. Najpierw głęboko zaciągnęłam się mentolowym papierosem, żeby schłodzić tchawicę, powiedziałam „dziękuję” na prawo i „Szwajcaria” na lewo, zakręciłam szklanką, by kostki lodu zawirowały i cicho zabrzączały i wzięłam spory łyk dla kurażu.

- Jeszcze lodu? - zapytał biznesmen w średnim wieku, z początkami brzuszka.

- Nie, dziękuję. Jak dla mnie tak jest idealnie.
- Czy mi się wydawało, czy Amerykanie zazwyczaj dodają dużo więcej lodu do drinków niż Europejczycy?

- A więc widzisz, Hassan...

- Husajn.

- Więc Husajn, to prawdopodobnie dlatego, że w Ameryce w każdym średniej klasy gospodarstwie domowym są zamrażarki i maszyny do lodu - odwróciłam głowę w stronę Connie, która akurat próbowała swoim urokiem lwicy salonowej zrobić wrażenie na najstarszym z mężczyzn, a piła wciąż czystą whisky. - Ona jest Amerykanką.

To nietypowe zachowanie wzbudziło zainteresowanie Husajna. W pustym fotelu naprzeciwko mnie usiadł teraz najpiękniejszy i najmłodszy mężczyzna z obecnych.

Miał wyższą rangę społeczną niż pozostali, był przez nich traktowany z mieszaniną respektu i czci. Przeszedł przez apartament, najpierw porozmawiał z Greczynką, potem krótko z Salmą, Angielką i Connie, teraz ja byłam w kolejce.

Jego wypiełgnowana, smukła sylwetka w olśniewająco białej diszdaszy, szczupłe, zadbane dłonie, iskrzące czarne oczy z czarnymi, podkreconymi rzęsami - w normalnych okolicznościach podobałyby mi się, ale w normalnych okolicznościach ten mężczyzna by się mną nie interesował.

Jego dopracowany angielski był efektem drogiego wychowania za granicą. Był wychuchanym członkiem jakiejś wpływowej rodziny, której aura władzy i bogactwa przywarła do niego jak przyrodzona.

- Podaj mi jeszcze raz swoje imię, nie usłyszałem przedtem dokładnie.

I tak zaczęła się rozmowa, która przyjęła ożywiony przebieg. Rozmawialiśmy o pensjonatach, szkołach, Ameryce (gdzie studiował

ekonomię i politykę) i o Szwajcarii, do której co roku jeździł na narty i którą bardzo szanował. Czy to maszyny do lodu, najlepsze wyposażenie narciarskie, czy arabska drużyna piłkarska - wszystko mnie interesowało. Byłam cierpliwa i dostępna i tylko od czasu do czasu rzucałam ukradkowe spojrzenie na zegarek; była prawie dwudziesta trzecia, a jeszcze żadna para nie zabierała się do wyjścia na bok. Teoretyk od kostek lodu rozmawiał z Connie i Salmą, najstarszy pograżył się w intensywnej rozmowie z Greczynką, a w tle Angielka tańczyła z pewnym fanem sportów.

Wtedy brązowa, wypielęgnowana dłoń księcia objęła mój nadgarstek.

- Idziemy?

Uśmiechnęłam się przyzwalająco i oblał mnie zimny pot. Wstałam nie bez wysiłku i poszłam za nim, nie patrząc na prawo ani na lewo.

Otworzył pomalowane na biało drzwi i przepuścił mnie. Mojemu odurzonemu wzrokowi objawiła się przestronna sypialnia, cała w bieli. Na podwyższeniu stało podwójne łóżko.

Moje spojrzenie mierzyło książęce łóżko jak biegacz przez płotki ostatnią przeszkodę. Miałam uczucie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Widziałam siebie stojącą z księciem w tym pomieszczeniu, jedno obok drugiego. Całował mnie coraz natarczywiej i majstrował przy pasku mojej sukienki. Zdjęłam ją z siebie przez głowę i rzuciłam na podłogę, nie poświęcając jej więcej uwagi. On podziwiał moje ciało, ja chwaliłam jego.

To, że jego ciało było młode i piękne, nie miało znaczenia. Nie chodziło tu o ciało kochanka, którego wybrałam, tylko o ciało mężczyzny, który traktował mnie jak towar, płacił jak za towar, używał jak towaru. W ten sam sposób obejmowałabym odstręczające, zużyte ciało.

Później pomógł mi założyć sukienkę. Na prysznic zabrakło czasu. Na zewnątrz w korytarzu czekały już pozostałe. Klienci zaspokojeni, kobiety z bezwstydnie rozgrzanymi twarzami.

- Czas na Kopciuszka! - żartowali mężczyźni.

Selma trzymała w dłoni wypchane koperty i dyskretnie puszczała do nas oko.

Jeszcze w windzie wetknęła każdej po kopercie.

- No, jak było? - pytała chełpliwym tonem. - To naprawdę moi dobrzy przyjaciele!

Każda poządliwie otwierała swoją kopertę i wpatrywała się w gruby plik banknotów sturalowych.

- Schowajcie to gdzieś! - szepnęła Selma. - Musimy przejść przez hol niezauważone.

Włożyłam kopertę pod pachę i narzuciłam na wierzch abaję. Z bijącymi sercami i spuszczonego wzrokiem przeszliśmy przez hotelowy hol i dotarliśmy do wyjścia. Kierowca i limuzyna byli gotowi do odjazdu. W samochodzie już mogliśmy popuścić cugle i liczyliśmy banknoty. W kopercie był ekwiwalent dwóch miesięcznych pensji, zarobiony w mniej niż trzy godziny.

Cóż, ponieważ wszystko się skończyło, czułam się dość euforycznie i poza granicami mojego zwykłego ja. Przekroczyłam granicę między tym, co było w porządku, i tym, co było nie w potądku. I tak samo musiałam ocenić ten wieczór - jako jeden z tych, które rozegrały się poza granicami, które zazwyczaj sobie wyznaczałam.

Rozdział trzeci

Ach! W końcu w domu. Gdzie byłaś przez cały ten czas? Kiedy wczoraj wieczorem dzwoniłem, twoja koleżanka z pokoju, Ozlem, powiedziała mi, że wysłałaś - zauważył kwaśno Raszid.

Dobry Boże, to brzmi jak wyrzut, nie mogę mu już zaserwować bajki o nadprogramowym locie.

- Zgadza się - powiedziałam powoli.

- Jeśli nie masz jeszcze planów na dzisiejsze popołudnie, moglibyśmy odwiedzić mojego współnika Abdel Rahmana. On ma piękny basen, więc weź strój kąpielowy.

Nie miałam planów. Gdy odłożyłam słuchawkę, szybko przejrzałam się w lustrze. Cholera! Czy to nie malinka na mojej szyi? Rozzłoszczona próbowałam to zdradzieckie miejsce zatuszować korektorem, ale rezultat był marny. Teraz mogłam już tylko mieć nadzieję, że Raszid nie zwróci na to uwagi. Ale stało się, co się stać musiało.

- Co ty tu masz? - to była niemalże pierwsza rzecz, o którą zapytał.

- Gdzie? - spytałam obłudnie.

- No tu, na szyi!

- Ach, to... prawdopodobnie podrażnienie skóry.

- Gdzie się włóczyłaś wczoraj wieczorem?
- Nigdzie... Byłam u Samira.
- Tak, u Samira! Przecież nie widziałaś go już od tygodni, tego Samira. Nie próbuj robić ze mnie durnia, Tereso.

Ponieważ sprawy zaszły już tak daleko, uznałam, że lepiej milczeć.

Nad basenem Abdel Rahman ugościł nas arbusami i suchymi ciasteczkami. Mężczyźni wkrótce przeszli do rozmowy o interesach. Ja się oddaliłam i pływałam sama w basenie w jedną i drugą stronę. Żelazne napięcie, które powstało między Raszidem a mną, coraz bardziej mnie niepokoiło.

Gdy zmęczyło mnie pływanie, wyszłam z basenu i klapnęłam jak długa na hollywoodzką huśtawkę. Zamknęłam oczy i odpychałam się lekko jedną nogą, gdy nagle Raszid, nagi, mokry i twardy, rzucił się na mnie. Przestraszona otworzyłam oczy.

- Co znaczy ten atak? Wciągaj kąpielówki, Raszid, kompromitujesz mnie przed swoim współnikiem!

- Abdel Rahmanem? Jemu to nie przeszkadza, w końcu też jest mężczyzną i ma kutasa. Zatem w czym problem?

- Czyś ty oszalała?

- Naprawdę Abdel Rahman ci przeszkadza? To możemy przecież pójść do pokoju gościnnego.

Chwyć mnie i poderwał do góry.

Tak zmęczyłam się pływaniem, że brakowało mi energii, żeby się bronić. Nie bałam się, wydawało mi się, że za dobrze go znam. W pokoju gościnnym zdarł ze mnie bikini i rzucił mnie na leżankę. Położył się na mnie i chwycił moje nadgarstki.

- Przestań, nie mam teraz ochoty!

- Aleja chcę teraz! Co ty sobie właściwie myślisz, suko, że przychodzisz i pokazujesz się z taką malinką i do tego tak głupio mnie

okłamujesz. Ty też jesteś tylko kurwą, akurat ty z tą swoją twarzą anioła! Ale nie myśl sobie teraz, że mam coś przeciwko kurwom, nie mogę tylko znieść nieuczciwości! Myślałem, że to wiesz. Ubieraj się, odwiozę cię teraz do domu, mam jeszcze interesy do omówienia. Zadzwoń do ciebie wieczorem.

W kamiennym milczeniu wiozł mnie z powrotem do kampusu stewardes. Pożegnanie było chłodne, oboje wiedzieliśmy, że już nie zadzwoni.

Spędziłam trzy wolne od pracy dni w kampusie, piłam bezalkoholowe piwo i włączałam sobie lokalny program telewizyjny do towarzystwa.

Nikt niczego ode mnie nie chciał, nikt mnie nie odwiedzał, nikt do mnie nie dzwonił. Tęskniłam za alkoholowym soczkiem jęczmiennym, bo prezentowane w telewizji seriale trudno było znieść na trzeźwo. Jeszcze trudniejsze były jednak myśli o upokarzających przeżyciach ostatnich dni, które próbowałam wyprzeć. Szkód nie dało się już odwrócić, teraz musiałam patrzeć do przodu i zacząć od nowa.

Trzeciego dnia przyszła Jeannie z pytaniem, czy miałabym ochotę pójść zamiast niej na imprezę z jej przyjaciółką, pochodzącą z Mauritiusa Olive. Żadnych Saudyjczyków, mają być tam tylko ekspatrianci i pracownicy firmy IPEC.

Impreza była nieciekawa, a domowej produkcji samogon zapowiadał samobójstwo na raty. Lepiej było zostać w kampusie i siedzieć przed telewizorem, zamiast nudzić się na tym party.

Drzwi się otworzyły i... nie wierzyłam własnym oczom: wkroczył Samir, a u jego boków dwie brązowskóre piękności! Ale mój szok minął równie szybko, jak mnie dopadł. Ten, który umiejętnym entree wzbudził zainteresowanie wszystkich, był podobny do Samira tylko na pierwszy rzut oka; moje życzeniowe myślenie zrobiło mi psikusa.

Był wprawdzie bardzo szczupły, ale przy tym muskularny. Nie był też wysoki, ale wyższy od Samira, starszy niż Samir, bardziej pewny siebie i ekstrawertyczny niż on.

Ten spóźniony gość wydawał się znać większość obecnych. Pozdrowiał jednych, zamieniał parę słów z innymi, żartował, śmiał się; w końcu skierował się ku nam, serdecznie pocałował Olive w obydwa policzki, a potem stanął przede mną.

- Cześć. Mam na imię Jerome. A kim ty jesteś?

- Teresa.

- Chcesz zatańczyć?

Pokręciłam głową, a on pochwycił jedną ze swoich towarzyszek i pociągnął na parkiet. Dziewczyna krygowała się i sprawiała wrażenie zażenowanej. To był jeden z tych ludzi, którzy taniec mieli we krwi, ale jakoś tego wieczoru nie udało mu się nabrać rozmachu. Wkrótce znów przyłączył się do Olive i do mnie.

- Nudno tu - powiedział po francusku.

- Gdzie nauczyłeś się francuskiego?

- Aha, uważasz mnie chyba za Saudyjczyka! Jestem obywatelem brytyjskim i pochodzę z Mauritiusa.

Mauritius. Każdy ma swoje wyobrażenie o wyspie, która, otoczona chroniącym ją morzem, może, powinna, wręcz musi być osobistym rajem.

Jako nastolatka namiętnie oglądałam w przedwieczornym programie szwajcarskiej telewizji do bólu romantyczną historię miłosną Paula i Virginie. Od tamtego czasu i mnie zdarzały się zawody, a wtedy postanawiałam wyemigrować na Mauritius. Ale moje plany ucieczki nigdy nie nabrały konkretnych kształtów, były raczej wyrazem słodko-gorzkiej tęsknoty za jak najdalszym, egzotycznym zakątkiem.

- A teraz zatańczysz?

- Nie, dziękuję. OHve i ja chcemy już iść, ona jutro wcześniej wylatuje.

Zaofiarował się natychmiast, że odwiezie nas do domu, bo obie jego towarzyszki, M a r i e - Noelle i Aishwarya, również chciały wyjść.

Zauważyłam, że jedna z nich, ta bledsza, bardziej pokorna, rzuca nam zdziwione spojrzenia. To M a r i e - Noelle, jego aktualna dziewczyna.

Po drodze oznajmił, że wkrótce ma zamiar zorganizować imprezę u siebie w domu i że wszystkie jesteśmy na nią zaproszone. Spojrzył przy tym na mnie całkiem wprost i zapytał:

- Przyjdziesz?
- Jeśli nie będę musiała lecieć.

M a r i e - Noelle zbladła jeszcze bardziej i aż się skurczyła, obrażona. Było mi przykro, ale co mogłam poradzić na to, że jej aktualny chłopak wykazuje takie zainteresowanie mną?

Wolne popołudnie w Saudia City. Niebo zaciągnęło się szarobezowymi chmurami, ale ciężkie krople deszczu, które spadały pojedynczo, nie wyglądały na zapowiedź ciągłych opadów.

Brenda i ja siedziałyśmy na jej tapczanie i słuchałyśmy „Wełtawy” Bedficha Smetany. Obrazy i emocje, które ta muzyka we mnie wywoływała, nacechowane były wielką melancholią; zorientowałam się, że mam łzy w oczach. Brenda spytała współczująco, czy nie byłoby lepiej, gdyby włączyła coś innego.

- Nie, zostaw, dziś mam dzień melancholii. To dlatego, że odczuwam tu tak mało radości życia. Codziennosc określają strach, przymus i przepisy...

- Nie możesz tego aż tak bardzo dopuszczać do siebie. Spróbuj wyciągnąć z tego najlepsze, co się da.

Pośród dziewczyn z mojego kursu najbardziej lubiłam Brendę z jej serdecznością i wyrozumiałością. Również ona uległa szerzającemu się w kampusie wirusowi, miała swojego małego Saudyjczyka i pozwalała się obdarowywać.

- Patrz - powiedziała i podsunęła mi pod nos nadgarstek ozdobiony roleksem ze szlachetnej stali. - Czyż nie jest słodki? Wiem, oczywiście, że nie jest dość bogaty, aby podarować mi złotego roleksa albo przynajmniej bicolor.

- J e s t w tobie zakochany?

- Do szaleństwa. W łóżku mnie rozczarował. Jestem seksualną frustratką i tęsknię za moim byłym chłopakiem z Nowego Jorku. Wydaję się sobie taką szmatą.

- Rozumiem. Od ciebie zależy, czy to zmienisz.

- Taaak, życie tu jest takie niezdrowe - powiedziała Brenda, zapalając papierosa. - Widziałaś po drodze tę dużą szarą willę ze skromnym ogrodem za wysokimi murami - podniosła rękę, pokazując kierunek - zaraz za Saudia City?

- Ten wyzywający dom, który należy do jakiegoś księcia?

- Właśnie. Byłyśmy tam ostatnio. Muriel, ja i jeszcze z pół tuzina stewardes. Była tam nieszczerólnie dobrze wyglądająca kobieta, która zniknęła w pokoju z jednym facetem po drugim. Próbowałam liczyć, ale straciłam rachubę.

- To była stewardesa?

- Możliwe... - Brenda się zaciągnęła, wypuściła dym w powietrze i pattzyła za nim. - Nie jest łatwo pozostać porządną dziewczyną, jeśli w grę wchodzi tyle pieniędzy.

Zadawałam sobie pytanie, czy Brenda w ten sposób daje mi do zrozumienia, że ona też już uległa tym pokusom.

Rijad był błyskawicznie zmieniającym się, pozornie futurystycznym miastem, którego ciężka, gęsta i smutna atmosfera mogła się udzielić.

Nowoczesny zachodni styl ludzi. W gruncie rzeczy nic się nie zmieniło. Warstwa społeczna, która podejmowała decyzje - czyli ta, która miała władzę - była tak samo związana z tradycyjnym porządkiem jak w czasach sprzed ropy.

Przed Julie i przede mną było jedno z tych wolnych od pracy popołudni w hotelu Marriott. A co stewardesa mogła robić w Rijadzie? Zamówić jedzenie do pokoju i oglądać źle skopiowane, oczywiście ocenzone amerykańskie, indyjskie albo egipskie filmy. A pod wieczór pojechać autobusem hotelowym na suk, ale droga do centrum była długa, dojeżdżało się dopiero po stu objazdach.

Julie rozpyliła dookoła siebie chmurę wody Miss Dior i narzuciła obowiązkową w Rijadzie abaję.

- Zwariuję, jeśli będę musiała spędzić całe popołudnie w pokoju. Na szczęście znam tu kogoś. Mam nadzieję, że nie będziesz miała mi za złe, jeśli zostawię cię samą?

Wtedy przyszedł mi do głowy pomysł, żeby zadzwonić do księcia Sulejmana. Zgłosił się jego sekretarz i po krótkim oczekiwaniu książe podszedł do telefonu.

- Tereso, jak miło usłyszeć twój głos! Co u ciebie? Gdzie jesteś?

- W hotelu Marriott. Pomyślałam, że zadzwonię i zapytam o samopoczucie.

- To miło z twojej strony. Ale niestety, w tej chwili jestem bardzo zajęty. *Business, you understand?* Kiedy odlatujesz?

- Dopiero wczesnym rankiem. Ale rozumiem, interesy...

- *My dear swiss lady*, może mimo to uda się nam zaaranżować jakieś spotkanie... Mógłbym cię odwiedzić. Jak ty w ogóle wyglądasz, Tereso?

- Cóż, jestem raczej wysoka i szczupła. Mam blond włosy, niebieskie oczy, opaloną cerę. Noszę niebieską marokańską szatę ze złotożółtym haftem, pod abają.

- Wysoka? - powtórzył lekko zaniepokojony. - I szczupła? Tereso, akurat mam telefon, na który czekałem, przepraszam cię. Gdy tylko będę mógł, oddzwonię do ciebie, dobrze?

Jego rozczarowanie moim wyglądem nie uszło mojej uwagi, ale też taka znów łasa na znajomość z nim nie byłą.

- Nie ma problemu - powiedziałam lekko. - *Maas-salama**.

Leżałam na łóżku i czytałam, gdy zadzwonił telefon i przyjemny męski głos *zaządał* rozmowy ze mną.

- Tu Jerome Houbert.

Owinęłam bezradnie kabel telefoniczny wokół palca wskazującego. Jerome jak? Powtórzył swoje nazwisko i przypomniał mi imprezę sprzed sześciu dni.

- Ach! - wykrzyknęłam. - Przypominam sobie, chłopak Marie-Noelle!

Wydawało się, że akurat nie o to mu chodziło.

- To z Marie-Noelle to raczej luźny... Znam tu uroczą francuską restaurację przy Corniche, zaraz przy Jet d'Eau. Chcesz jutro zjeść tam ze mną obiad?

To brzmiało obiecująco. Mimo to nie mogłam się powstrzymać i nie zapytałam:

- Marie-Noelle nie maczasu?

- Marie-Noelle! Pytam cię tylko, czy chcesz zjeść ze mną obiad.

Wydostałam palec z zakręconego kabla telefonicznego, a ponieważ i tak nie miałam żadnych planów, zgodziłam się.

" Arab.: Do widzenia.

W południe następnego dnia siedzieliśmy przy stoliku nakrytym dwiema serwetami w jednej z eleganckich francuskich restauracji i jedliśmy letnią, przyprawioną pieprzem połówkę wołową.

Klimatyzacja produkowała arktyczny chłód, podczas gdy na zewnątrz pałace słońce stało w zenicie, a fontanna wyrzucała wodę o dobrych kilka centymetrów wyżej niż jej słynny pierwowzór w Genewie, co czyniło z niej najwyższą fontannę świata.

Rozmowa była miła, to znaczy wydawało się, że Jerome uważa mnie za niezwykle dowcipną, ponieważ za każdym razem, gdy powiedziałam coś choć trochę zabawnego, skwapliwie wybuchał śmiechem. Jego wielkie usta z ostrymi kłami rozciągały się przy tym szeroko jak u drapieznika, tak że można było zajrzeć w ich ciemną czelusć.

Dużo palił. Miał oryginalny, dynamiczny sposób zjednywania sobie ludzi. Jego wielkie ciemnobłazowe oczy misia błyszczały; czarne wytylantynowane loki też. Twarz była zdominowana przez wyraziste duże oczy i wyraźnie zarysowaną męską szczękę; można rzec, że był atrakcyjny.

- I co tutaj robisz? - zapytałam. - Pracujesz w biurze?

Uznał to za zabawne i zaczął tzeć. Śmiał się tak niepoohamowanie, że prawie zaczęłam się obawiać, czy nie mam przed sobą przypadku męskiej hysterii.

Ha, ha, ha! Dobry żart! Z powodu jakiejś parszywej, nisko płatnej pracy biurowej facet jego kalibru nie wyemigrowałby przecież do Arabii Saudyjskiej! Jest asystentem dyrektora firmy IBC, która rekrutuje personel sprząający z Azji dla urzędów państwowych w Arabii Saudyjskiej.

- Przecież wszyscy przyjeżdżamy tu tylko dlatego, że dostajemy tutaj ptacę, której nie możemy zdobyć w domu.

Praca była dla niego w ogóle najważniejszą rzeczą w życiu, przynajmniej w jego życiu.

Gdy tak razem śmialiśmy się i żartowaliśmy, z powodu ciepła kiełkującego w moim sercu zapomniałam o chłodzie w restauracji.

Po posiłku, który mimo słonych cen był co najwyżej średni, odwiózł mnie wprost do Saudia City.



Na imprezę u Jeromea założyłam liliową bawełnianą sukienkę. Zrobiłam mocny makijaż, prawdopodobnie po to, by odwrócić uwagę od tego, że w kącikach moich oczu zagnieździła się nuda.

Jerome wydawał się ulubionym gospodarzem imprez. Jego przyjaciele, współpracownicy i sąsiedzi pojawili się licznie.

Był tam tunezyjski steward Slim i jego grecka flama Joanna. Kuzynka Jeromea Dominique, jej narzeczony Desmond, para starszych Szkotów, piękny Mustafa z towarzyszką oraz dziwny, gruby sąsiad Jeromea, Bruce, Aishwarya i Marie-Noelle...

Złapałam się na tym, że obserwuję Jeromea wśród jego gości z coraz większym zainteresowaniem. Aby odwrócić uwagę, tańczyłam ze Szkotem, gdy Jerome jak bąk kręcił się w tłumie gości; od samego patrzenia mogło się zakręcić w głowie. Mimo to wydawało mi się, że wszystkie jego rundki, kółka i fale zaadresowane były do jednej osoby: do mnie.

Najpierw tańczyliśmy z dala od siebie, potem obok siebie, a w końcu ze sobą.

Niestrudzenie obracał mnie w rock and rollu wokół własnej osi, aż w końcu komuś przyszło do głowy włączyć coś wolniejszego. Nie musiałam już bronić się przed zawrotami głowy, bo natychmiast objęły mnie silne ramiona.

Gdy pierwszy raz patrzyliśmy sobie w oczy, wszystko dookoła pograżyło się w bezkształtnym wirze. Coś silniejszego i piękniejszego niż zwykłe odurzenie radością życia oderwało nas od ziemi

i uniosło do góry. Przez chwilę wydawało się, że czas stanął, dopiero gwar wymarszu wyrwał nas z tego odurzenia.

- Odwożę cię tetaz - powiedział przytomnym głosem - ale nies-tety, nie ciebie samą, muszę zabrać jeszcze inne dziewczyny.

Wskoczyłam ochoczo w swoją abaję.

- Już za tobą tęsknię,

- Ja też.

Przepełniało mnie uczucie radosnej błogości, które nieco stop-niało dopiero po jego telefonie następnego dnia.

- Chwilowo nie możemy się spotykać - szeptał. - Dostałem anonimową groźbę z powodu wczorajszej imprezy.

- Żartujesz?

- Wcale nie jest mi do śmiechu! Ktoś chce mi ściągnąć na głowę policję religijną.

- Dlaczego po prostu nie wyrzucisz tej anonimowej pisaniny do śmieci, gdzie jej miejsce?

- Bądź rozsądna! Nie chcemy przecież z powodu czegoś takiego wszystkiego ryzykować, prawda? Niczego nie pragnąłbym bardziej, niż być z tobą! Muszę teraz kończyć, później do ciebie zadzwonię.

Zachowanie rozsądku i pocieszanie się jakimś nieokreślonym „później” akurat w tym momencie przychodziło mi z trudem, a jed-nak musiałam zrozumieć, że ze spotkaniem trzeba poczekać, aż sytuacja się trochę uspokoi.

*Flight attendants, take off in two minutes** - rozbrzmiała infor-macja z kokpitu, gdy lockheed TriStar L1011 ruszał na pozycję startową na krańcu pasa.

* Ang.: Obsługa lotu, start za dwie minuty.

Trzy potężne silniki odrzutowe zaczęły pracować, grzmiały, huczały, samolot ruszył i wkrótce pasy przy moim rozkładanym siedzeniu, zwróconym w kierunku tyłu samolotu, się napięły.

Dudniliśmy, sunąc po pasie, trzęsieni drobnymi nierównościami jego nawierzchni, coraz szybciej i szybciej, już mieliśmy się oderwać od ziemi, gdy stało się: nagle znaleźliśmy się w samym środku potężnego i gwałtownego manewru hamowania i ślizgaliśmy się z piskiem opon po pasie startowym. Moje wybiegające w przyszłość myśli błyskawicznie spadły z powrotem na ziemię. Przerwany start, w ostatnim z możliwych momentów! Jeden ruch i nic nie było już takie, jak powinno być. Z chwili na chwilę z normalnej sytuacja stała się nienormalna, dokładnie tak, jak uczyliśmy się na kursie.

Pojedyncze okrzyki paniki przenikały przez gwar głosów. Co się stało? Dlaczego hamujemy? Kilkoro pasażerów rozpięto już pasy bezpieczeństwa i ciekawie wyciągało głowy w kierunku okien.

Pytające spojrzenia zatrzymały się w końcu na mnie, reprezentantce linii lotniczych, która przepisowo siedziała wciąż przypięta na swoim rozkładanym siedzeniu.

- Proszę usiąść! - poleciłam z odpowiednim ruchem ręki. - Wszyscy siadają i czekają!

Przetrwaliśmy manewr hamowania. W niespiesznym taksówkarskim tempie toczyliśmy się dalej. Pozbawiona informacji i coraz bardziej niepewna, odpięłam w końcu swój pas i wyjrzałam przez okienko w drzwiach.

Dwa wozy straży pożarnej na sygnale, które nas eskortowały, zburzyły moje nadzieje na szybki ponowny start. Usiadłam z powrotem i powtarzałam w myślach kroki awaryjnego otwierania drzwi.

Ale wciąż jeszcze się toczyliśmy. Toczyliśmy się i toczyliśmy... Kołatała mi się po głowie jedna myśl: chcą nas odstawić jak najdalej od budynków portu lotniczego!

Gdy w końcu stanęliśmy, wszystko działało się szybko:

- *Flight attendants, evacuate passengers immediately**\

Moja dłoń poszybowała automatycznie do czetwonego uchwytu „T” - powstrzymałam się, zanim pociągnięciem w dół uruchomiłam awaryjne otwieranie drzwi i pompowanie trapu ratowniczego. Teraz ważne jest tylko, by nie działać impulsywnie! Hałas w kabynie był spory i zanim zrobiłam ten decydujący krok, wołałam się upewnić co do tego, co usłyszałam.

Nad głowami pasażerów mogłam dostrzec, że żaden członek obsady kabiny nie wykonał rozkazu, wszyscy byli zajęci raczej uspokajaniem pasażerów. Zanim zdążyłam pomyśleć, z systemu nagłaśniającego zadudniło:

- *Flight attendants, deplane passengers immediately. Open L1 and L3 doors**]*

Dziewczyna odpowiedzialna za pozycję L3 nie wykonała rozkazu. Moje wołanie utonęło w zamęcie robionym przez ludzi, którzy tłoczyli się przed drzwiami. Energicznie przepchnęłam się do niej.

- Otwieraj drzwi, schody już stoją przed nimi!

W końcu zareagowała, potwierdziła sygnał „okej” z zewnątrz i wcisnęła przycisk otwierający drzwi. Jak w statku kosmicznym uniosły się do góry. Gdy tylko dtoga była wolna, pasażerowie zaczęli spieszenie wychodzić; tych, którzy reagowali nie dość szybko, poganiałiśmy.

Ang.: Obsługa lotu, natychmiastowa ewakuacja pasażerów.

Ang.: Obsługa lotu, natychmiast wysadzić pasażerów. Otworzyć drzwi L1 i L3!

Na zewnątrz pracowała już straż pożarna i chłodziła wodą rozgrzane silniki. Po pasażerów podjechały autobusy i zattzymały się w bezpiecznej odległości. Pojawiła się Julie, żeby nam pomóc.

- Czym się tak denerwujesz? - obsztorcowała mnie, gdy trochę pospiesznie i bez butów (te zdjęłam jeszcze w ptzekonaniu, że będę opuszczać samolot trapem ratowniczym) poganiałam ostatnich pasażerów.

- Już mi się coś takiego przytrafiło. To się zdarza w lotniczym biznesie - powiedziała i jak dama zeszła z pokładu po schodach, na jej mundurze nie było widać nawet jednej zmatuszczki.

Zbiegłam jako jedna z ostatnich, w samych rajstopach, i w bezpiecznej odległości dołączyłam do grupki mundurowych, wśród nich była dwójka z kokpitu. Zadałam im pytanie, które w ciągu ostatniego kwadransa słyszałam najczęściej:

- Co się stało?

- Przegrzanie silników. Próbują właśnie odzyskać nad tym kontrolę.

Podeszwy mnie strasznie piekły od rozgrzanego asfaltu.

- Mogę wrócić do samolotu, żeby zabtać swoje tzczy?

- Tak, ale pospiesz się.

Pojechaliśmy do niskiego, podobnego do baraku budynku - centrum operacyjnego załóg. Tam radzono właśnie nad naszym losem. Ten lot musiał się odbyć i zastępczy samolot TriStar był już w drodze.

- Przykro mi - poinformował szef centrum - nie mamy zastępczej załogi. Musicie lecieć, wasz samolot zastępczy ląduje za dwadzieścia minut.

- Co? Po awarii? Czy to w ogóle legalne?

- Wiecie równie dobrze jak ja, że w wypadku problemów technicznych czas służby może zostać przedłużony do szesnastu godzin.

- Problemy techniczne? To był przerwany start z powodu przegrzania silników!

- Wasz kapitan podjął decyzje. Musicie się zwrócić do niego.

Dyszałam z tłumionej wściekłości na tych, którzy byli za to odpowiedzialni, tych, którzy podejmowali takie decyzje ponad głowami obsady kabiny, ale zespół wydawał się już pogodzony z tym, że musi lecieć. W końcu wszyscy tu byli odpornymi na obciążenia *flight attendants*, a roboczych wołów z kabiny samolotu nikt o zdanie nie pyta.

W samolocie zastępczym nie działała klimatyzacja i piekliśmy się jak kuczaki na rożnie.

Później znów wsiedli pasażerowie. Wściekli, a po części też załęknieni. Ostatnie, co chcieli zobaczyć po tym, co przeszli, to ta sama nefartowna załoga. I to jeszcze w maszynie tego samego typu co tamta uszkodzona. Jak gdyby piekielny upał nie wystarczył! Jeśli ktoś nie musiał lecieć do Az-Zahran, z głośnym protestem od razu wysiadał z samolotu.

Jeszcze raz znaleźliśmy się w sytuacji, która wymagała od nas zebrania wszystkich możliwych sił. Każdy z nas musiał poradzić sobie z nadmiernym obciążeniem i wyczerpaniem. Ale jeszcze raz się nam udało.

Rozdział czwarty

Zaczął się miesiąc postu - ramadan. Dysponowaliśmy teraz mocno ograniczonym serwisem. Podczas lotu SV 8888 do Abhy było niewielu pasażerów. Ponieważ w czasie wschodu słońca byliśmy w drodze, nasi pasażerowie nie chcieli jeść. Zatem serwis zupełnie odpadał i czas nam się dłużył.

- Rozumiem, dlaczego nie chcecie jeść, ale to nie jest szczególnie zdrowe, by przez cały dzień nic nie pić - zwróciłam się do jednego z poszcząjących stewardów.

- Wszchemocny, który nas stworzył, jest najlepszym lekarzem. On wie, ile potrafimy wytrzymać.

Stewardesy i stewardzi, którzy chcieli wypełniać swoje obowiązki religijne, musieli walczyć z całym szeregiem dodatkowych problemów, takich jak: zmiany stref czasowych, nieregularne godziny pracy, posiłki, różnice ciśnień i wysokości. Ciśnienie atmosferyczne w kabinie samolotu podczas lotu odpowiada mniej więcej ciśnieniu na wysokości trzech tysięcy metrów. Powietrze w kabinie jest skrajnie suche, skutkami są odwodnienie i zmęczenie. Personel pokładowy często musi pracować akurat wtedy, kiedy inni mogą przerwać post. Podczas ramadanu przepaść pomiędzy

chrześcijanami a muzułmanami jest wyjątkowo mocno wyczuwalna.

Wkrótce zaczęłam rozróżniać dwa rodzaje poszczających stewatdes i stewatdów: tych, którzy pościli z własnej potrzeby, i tych, którzy pościli pod naciskiem społeczeństwa. Ci drudzy byli w większości. Ci pierwsi pościli, nie robiąc z tego problemu, ci drudzy skarżyli się na bóle głowy i zmęczenie. Wielu czerpało korzyści z tej sytuacji, oczekując, że chrześcijanie będą pracować za nich.

- Jeśli oni wszyscy są zbyt zmęczeni, żeby pracować, po co w ogóle jeszcze się tutaj pojawiają? - pytałam samą siebie, ale przeznornie milczałam i załatwiałam ptzypadającą mi nadprogramową robotę.

Kiedy my, innowiercy, chcieliśmy coś zjeść, zaciągaliśmy zasłonę od kuchni. Musieliśmy się oddzielić i zjeść tak szybko i niepostrzeżenie, jak to tylko możliwe. Nie można było palić publicznie, ttzeba się było ukrywać.

Podczas ramadanu rosła zbiorowa wrażliwość i osobista odporność na stres stawała się bardziej pottzebna niż zwykle.

Julie i ja chowałyśmy się do kuchni, by za zaciągniętymi zasłonami zapalić papierosa i czegoś się napić.

- Abdullah chce mnie w przyszłym miesiącu zabrać do Jemenu - powiedziała Julie,

- Jakie to fascynujące!

- A skąd! Ludzie są tam biedni jak żebracy, a kraj słabo rozwinięty i brudny.

- Takiego kraju nie można oceniać tylko według kryteriów gospodarczych - dałam jej pod rozwagę.

Podczas trzeciego lotu z dwustu trzydziestu pięciu miejsc w klasie ekonomicznej zajętych było tylko trzydzieści. Pierwszego dnia

ramadanu nie było to niczym nadzwyczajnym. Jeśli ktoś nie musiał, nie podróżował.

Ponieważ w naszych strefach nie było pasażerów, Julie i młoda Greczynka podczas startu usiadły nie na swoich składanych siedzeniach, tylko na fotelach pasażerskich, żeby chociaż przez chwilę popatrzeć na start. Jeśli one mogą, to ja też, zdecydowałam i od razu zrobiłam to samo.

Reakcja naszego przełożonego nastąpiła później. Kiedy zgasty kontrolki pasów bezpieczeństwa, zwołał nas, kazał usiąść w rzędzie złożonym z trzech miejsc i wyłożył:

- Co wam przyszło do głowy? Dlaczego podczas startu nie siedziałyście na przypisanych wam miejscach?

Tego dnia naszym saudyjskim supervisorem był mały, chudy, kościsty człowieczek o wojskowych obyczajach. Jego czarne oczy patrzyły twardo i kłująco.

- Myślałyśmy... Bo nie miałyśmy żadnych pasażerów...

- Żadnych pasażerów? Mamy pasażerów! To nie jest lot z ładunkiem, moje panie! Jesteśmy winni naszym pasażerom profesjonalne zachowanie i całkowitą uwagę zawsze i w każdym momencie! Gdzie w waszym zachowaniu był wzgląd na bezpieczeństwo? Dlaczego podczas startu i lądowania musicie być na waszych stanowiskach? - pokazywał na onieśmiałą Greczynkę.

- Bezpieczeństwo... - zaskomlała. - Trzeba mieć telefon pod ręką... Pilnować drzwi... - głośnej się załamała.

- Wiecie, czego Saudia od was oczekuje. Znacnie zasady, to nie jest wasz pierwszy lot! Teraz poproszę o wasze dokumenty, to pociągnie za sobą konsekwencje.

Greczynka, która latała dopiero od trzech miesięcy, była bliska łez. Julie unikała jego ognistego spojrzenia i z pokerową twarzą wpatrywała się w czubki swoich butów. Ja, zamiast zgodnie

z oczekiwaniami spuścić oczy ze wstydem, spokojnie na niego patrzyłam; to wprawiło go we wściekłość.

- Do ciebie też mówię! Tak, do ciebie! - groził i obrzucał mnie złymi spojrzeniami jak czarna panterajakieś mniejsze, o dziwo nie-przerażone zwierzę, które nie drży przed jej autorytetem.

Potem zupełnie nieoczekiwanie nas opuścił i zniknął z naszymi licencjami w pierwszej klasie.

Wymieniłyśmy spojrzenia.

- Teraz napisze raport - powiedziałam.

Greczynka zaczęła płakać:

- Zwolnią nas.

- Przecież nie z takiego powodu! - oburzała się Julie. - Trzeba poczekać i nie wchodzić mu w drogę.

Podczas ostatniego lotu zawołał nas, jedną po drugiej, do siebie, do pierwszej klasy. Był teraz podobny do szybkaru, z którego uszło ciśnienie. Gest, którym zwracał mi licencję, był niemalże kruchy, jedynie oczy patrzyły surowo i nieprzyjaźnie jak zawsze. No, ale chciał odstąpić od napisania meldunku. Z ulgą go przeprosiłam i obiecałam w przyszłości ściśle trzymać się procedury. Jego zamiar się powiódł; napędził nam strachu i sprawił, że trochę bałyśmy się o pracę.

Tak, często tak bywało - bacik i marchewka.

W czerwcu 1982 roku król Chalid miał zawał w swojej letniej rezydencji w Taif. Trudno powiedzieć, by stało się to nieoczekiwanie, już od dawna było wiadomo o kłopotach ze zdrowiem jego wysokości.

Fahd, jego przyrodni brat, został obwołany królem. Przyrodniego brata Fahda, Abdullaha, wyznaczono na następcę tronu.

W saudyjskiej telewizji trwała transmisja pogrzebu. Charlotte i Marika oglądały te obrazki z dużym zaangażowaniem i od czasu do czasu wygłaszały pochwałę zasług i osoby zmarłego. Można by uwierzyć, że były w żałobie po bliskim krewnym.

- Allahi - biedny człowiek! - zawołała z patosem Marika, ta wiedeńska komediantka, i moja uśpiona niechęć do niej odżyła. W jej obecności Charlotte wciąż była inna niż wtedy, gdy była ze mną sama, a Marika wydawała się zagrożona przeze mnie w swoich roszczeniach w stosunku do Charlotte. Ja w każdym razie nie miałam tu nic do roboty i zbierałam się do wyjścia.

- Opuśćcie was teraz. Muszę jeszcze wyjść.

- Oszalałaś? Chcesz wyjść, kiedy cały kraj jest w żałobie? Prawdopodobnie i tak zaraz wprowadzą całkowity zakaz wychodzenia! Gdybym była tobą, nie robiłabym tego - ostrzegła Marika. Ale ja nie pozwoliłam udzielać sobie dalszych dobrych rad, a już na pewno nie Marice, i chłodno odrzuciłam te obiekcje.

- Nie obawiaj się - już ja wiem, co robię.

U Jeromea w domu Slim i Joanna dyskutowali o tym, co, jeśli w ogóle, zmieni się za panowania nowego króla. Jerome odwiózł tę parkę około dziesiątej wieczorem do Saudia City, a ja w oczekiwaniu na jego powrót zasnęłam. Gdy się obudziłam, Jerome leżał w ubraniu i cicho chrapał obok mnie. Moje drugie spojrzenie padło na budzik i lęk trafił mnie jak błyskawica nagie drzewo: było dwadzieścia minut po północy!

- Jerome, Jerome! Obudź się!

Ale Jerome się nie ruszył, zaczęłam więc nim potrząsać. Trochę trwało, zanim zaczął nadążać za moim nerwowym jękaniem. Jego rozmyte spojrzenie nabrało wyrazu i zapytał:

- Wypisałaś się z listy przy wyjściu?

- Nie, na szczęście nie. Ale mimo wszystko - zakaz wyjść, dodatkowe loty, na które mogą mnie wpisywać, brak wolnych dni - akurat teraz musiało mi się to przytrafić.

- W tym momencie nic nie możemy zrobić, chyba że chcesz zorganizować nocną akcję we mgle, podczas której wdrapiesz się po murze do kampusu stewardes. Nie byłabyś pierwsza.

- Łatwo ci żartować, Jerome, twoja kariera nie wisi na włosku. Och, co ja teraz zrobię?

Przygnębiona opadłam z powrotem na poduszkę. W duchu wiedziałam już, jak pakuję walizki i opuszczam ten kraj w pogardzie i hańbie, z pieczętą „kurwa”.

- Och, Jerome. Jak chętnie poznałabym cię bliżej. Ale prawdopodobnie początek jest jednocześnie końcem.

Jerome, który nie wiedział, czego jeszcze mógłby spróbować, by mnie uspokoić, powiedział:

- Postaraj się nie widzieć tego wszystkiego w czarnych barwach. Zawsze wydawało mi się, że ta praca nie znaczy dla ciebie aż tak wiele.

- Skąd mógłbyś to wiedzieć? To stresujące zajęcie jest najlepszą pracą, jaką w życiu miałam. Wyobraź sobie, że potrzebują mnie w tym momencie i nie znajdują mnie tam, gdzie powinnam być. Zostanę natychmiast zwolniona, jak ostatnio moja była koleżanka z kursu, Pia. Wyrzucili ją, bo imprezy przy grillu i romanse były dla niej ważniejsze niż punktualne pojawianie się przed odlotem. Nie chcę wyjeżdżać z Arabii Saudyjskiej, a przynajmniej nie w niesławie.

Cienie tej nocy nie nastrajały do tego, by patrzeć na sytuację w jasnym świetle, a więc przewracałam się do rana, nie mogąc zasnąć i snując plany aż do białego świtu.

Inflight Services, gdzie Jerome odwiózł mnie z rana, był podłużnym, dużym białym budynkiem, w którym mieściły się między innymi centrala operacyjna załóg, centrala planowania lotów, urząd

celny i biura kadrowe. Personel pokładowy mógł w wysokiej, jasnej hali i samoobsługowej restauracji spędzać czas przed i pomiędzy lotami.

W nocy wymyśliłam następujący plan: chciałam pełnym autobusem dla załóg przeszmuglować się niepostrzeżenie do kampusu stewardes. Sprawa zapowiadała się niezłe; czekały już trzy dziewczyny w cywilu i dwie w mundurach. Gdy doszło jeszcze dziewięć stewardes z obsady jumbo, uznałam moje szanse za znaczne i zaaranżowałam to tak, że siedziałam w samym środku moich niewinnie szczenioczących koleżanek po fachu.

Bus szarpnął i ruszył. Podczas drogi wciąż patrzyłam przez okno. Mijaliśmy zielone trawniki i palmy przy ulicach dojazdowych. Podczas weekendu na kolczastej murawie pomiędzy palmami i krzakami całe rodziny szukających wytchnienia Saudyjczyków urządzają sobie pikniki.

Wkrótce dotarliśmy do jednego z pierwszych zakładów produkcyjnych w regionie - olbrzymiej, zamkniętej fabryki cementu, która wznosiła się nad tym jałowym, nudnym krajobrazem jak szary wrzód.

Po drugiej stronie drogi widać było pokryte cementowym pyłem skromne mieszkania pracowników. Zakłady produkcyjne i domy dla obcokrajowców zawsze były położone niedaleko od siebie, tak żeby nie dochodziło do spotkań przyjezdnych z miejscowymi. Gdy kontrakt się kończył, firmy musiały swoją siłę roboczą natychmiast odesłać z powrotem do kraju pochodzenia.

Ruch był płynny, szybko dotarliśmy na miejsce. Bus skręcał już we wjazd do tak zwanego starego kampusu stewardes. Wskazane było szybkie działanie. Aby wyjść w miarę możliwości niezauważona, musiałam wysiąść tam, gdzie większość pasażerek. Wydawało się, że najlepiej właśnie tu i teraz, ponieważ cała obsada jumbo i dziewczyny w cywilu były gotowe do wyjścia.

Z podwyższonego biura kontrolerka stewardes uważnie wpatrywała się już w bus, który nadjechał. Również dwaj strażnicy obserwowali nas przy wysiadaniu. Grzecznym sznureczkiem dziewczyny szły do biura kontroli stewardes.

Wykorzystałam tłok przed biurkiem kontrolerki, by błyskawicznie rozpuścić się w powietrzu. Prawdopodobnie nie zdążyła mnie nawet zauważyć, ponieważ nikt mnie nie ścigał, gdy znikałam pomiędzy piaskowobeżowymi szeregami domów.

Serce mocno mi biło, pierwsza przeszkoda została pokonana. Niewiele później dotarłam do końca starego kampusu stewardes; przede mną przelewała się woda w basenie i odbijała od jego brzegów. Mur dzielący stary kampus od nowego, gdzie byłam zakwaterowana, na rogu miał wąskie, obramowane krzakami przejście, do którego teraz dotarłam.

Pobiegłam prościutko do teczki w recepcji, gdzie leżały aktualne harmonogramy lotów z wieloma lotami specjalnymi. Dosłownie rzuciłam się na nie, nie umknął mi żaden payroll, żadne nazwisko. Gdy przestudiowałam plan, przepełniło mnie nieopisane uczucie ulgi. Panika i potworny strach ubiegłej nocy rozwiały się jak zły sen.

Wyciągnęłam z kieszeni klucz do mieszkania i ruszyłam do domu. Jerome czekał na mój telefon.

Dżudda, 11.7.1982

Kochana mamo,

bardzo dziękuję za twój list, chociaż nie było w nim dobrych wieści. Mam ogromną nadzieję, że tata dobrze zniesie operację i nie będzie musiał iść pod nóż w dniu swoich urodzin.

Od mniej więcej miesiąca jest tu bardzo gorąco, ciągle ponad

czterdzieści stopni. Teraz jest sam środek ramadanu. Podczas tego postu jedzenie, picie i palenie w miejscach publicznych jest zabronione. Zwraca się pilną uwagę na to, by te zasady były zachowywane, dotyczy to również obcokrajowców i wyznawców innych religii niż muzułmańska, każdy szpicluje każdego. Podczas postu noszenie abai to obowiązek kobiet. Mimo wszystkich szykan jestem szczęśliwa jak nigdy dotąd, Jerome i ja chcieliśmy się w przyszłym miesiącu oficjalnie zaręczyć na Mauritiusie...

Jerome z wielkim bukietem kwiatów oświadczył, że nie chce już żyć beze mnie i uważa za dobry pomysł nasze zaręczyny. Zupełnie zaskoczył mnie swoją propozycją, znaleźliśmy się przecież dopiero od dwóch miesięcy! Ale znacznie bardziej niż widoki na bliskie zamążpójście podobało mi się to, że w końcu znalazł się mężczyzna, który traktuje mnie poważnie.

Poszukiwanie pierścionka zaręczynowego nie sprawiało wyłącznie samej radości: ponieważ moje palce były szczupłe, a dłonie drobne i małe, pasowało na nie niewiele potężnych precjozów, które mógł zaoferować jubiler. Po dojrzałym namyśle wybrałam - ku rozczarowaniu Jeromea, który uważał zakup za zbyt tani - pierścionek nierzucający się w oczy i najbardziej elegancki z dostępnych. Składał się z 23 brylantów rozmieszczonych w kształcie drożdżowej baby wokół wyjątkowo pięknego, gładko oszlifowanego szafiru.

- Przykro mi, że moje ręce są takie kiepskie, Jerome. Ale jeśli koniecznie chcesz pozbyć się swoich pieniędzy, to proszę! Potrzebuję nowych ubrań.

Zachwycony, zaprowadził mnie do najbliższego butiku, gdzie ocenialiśmy przykrojoną do arabskiego gustu, grzesznie drogą, zachodnią damską odzież.

- To nie może być na poważnie! - protestowałam, gdy przykładał do mojego ciała błyszczącą suknię koktajlową z falbankami w intensywnie różowym kolorze.

Wybuchliśmy śmiechem i opuściliśmy sklep, a sprzedawca patrzył za nami skonsternowany.

- W przyszłym tygodniu będę w Londynie i kupię ci kilka modnych teczyc u Miss Selfridge. Cieszę się, że wspomniałaś o ubraniach, czasem przychodzisz - nie zrozum mnie źle, dobrze? - jak sprzątaczką: pasek, buty i torebka, wszystko w innym kolorze!

- Cooo?

- Nie miałem na myśli nic złego, to tylko konstruktywna krytyka. Ale najgorsza jest twoja torebka! Ta indyjska szmata, którą ciągle ze sobą nosisz!

- Nie mów nic o mojej torbie! Dostałam ją w spadku!

- To paskudztwo nie będzie już pasować do twojej nowej garderoby. Bądź więc tak miła i już się z nią rozstań. Ze względu na mnie, proszę...

Nie byłam na niego zła za tę małą lekcję w sprawach elegancji. W końcu wiedział, jak ubierać się modnie i w dobrym guście, wygląd był dla niego ważny. Nie, u boku takiego mężczyzny nie chciałam wyglądać jak sprzątaczką.

...w tym miesiącu polecę B747. Za trzy dni leci do Manili.

W końcu to mój pierwszy pobyt zagranicą od egzaminacyjnego lotu do Londynu w styczniu. Charlotte leciała tam już w zeszłym tygodniu, ale nie była zachwycona. Jedenastogodzinny lot z międzylądowaniem w Rijadzie był dla niej zbyt wyczerpujący. Ja jednak nie dam sobie odebrać radości.

Serdecznie pozdrawiam z Dżuddy

Wasza Teresa

W maju skończyłam kurs doszkalający na boeinga 747 i od tego czasu z dumą latałam największym samolotem pasażerskim, jaki kiedykolwiek zbudowano.

Nasz samolot do Manili zabierał trzystu sześćdziesięciu dziewięciu pasażerów z bagażem, dwudziestu jeden członków załogi, tony ładunku i tyle paliwa, że można by nim napełnić basen.

Napędzana czterema silnikami odrzutowymi maszyna pędziła po pasie startowym. Przy prędkości dwustu dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę kapitan ściągnął wolant i B747 elegancko uniósł się z ziemi. Ziemia oddalała się coraz bardziej, osiemnastokątowe podwozie zostało wciągnięte i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki B747 z ciężko stąpającego po ziemi woła roboczego zmienił się w wers poezji na nocnym niebie.

Pierwsze potężne zmęczenie dopadło mnie, jeszcze zanim porządnie zajęłam się serwisem. Walczyłam ze sobą i pozostałam rześka, również podczas niekończących się godzin po nocnym posiłku i przed śniadaniem, gdy moi pasażerowie spali.

Gdy nasze nieprzestawione zegarki wskazywały ciemną noc, przez niestaranie zasłonięte okienka już wnikało światło dnia. Dla mnie to był dzień, gdy mój ojciec drugi raz w ciągu roku musiał się poddać operacji, ponieważ znów odkryto jakiś guz w jego odbytnicy.

Im bardziej zbliżaliśmy się do celu naszej podróży, tym pogoda była gorsza. Ulewa siekała, silny wiatr przyginał palmy prawie do ziemi i rozdzierał powierzchnię morza. Co za dzień! Co za pogoda! Pora tajfunów.

Zrobiliśmy pętlę nad międzynarodowym lotniskiem w Manili. Zbierałam gazety, poduszki i koce, a myślami byłam przy ojcu. Czy mama poinformowała go o moim zamiarze zaręczenia się, o którym pisałam jej w liście?

W końcu! Zapalona lampka z zakazem palenia oznaczała początek ostatniej fazy lotu. Dokładnie piętnaście godzin po starcie w Dżuddzie B747 podchodził do lądowania na międzynarodowym lotnisku w Manili i lądował, walcząc z wiatrem, twardo, ale pewnie.

Wysiedliśmy przy luksusowym hotelu Philippine Plaza, należącym do żony prezydenta, Imeldy Matcos. Brooke Clayton i ja dzieliśmy dwuosobowy pokój z widokiem na morze.

To również był nasz świat: być rozpieszczanym w luksusowym hotelu jak jeden z dziesięciu tysięcy najbogatszych ludzi, żeby potem, gdy ten pobyt się skończy, samemu obsługiwać innych w samolocie.

Godziny po przylocie Brooke i ja spędziłyśmy w towarzystwie połowy załogi w hotelowym barze. Każda z nas miała ulubiony, a od dawna zabroniony koktajl przed zmęczoną, zmarszczoną twarzą.

Zespół złożony z trzech przemiłych piosenkarek z całych sił starał się umilić nam spożywanie płynów melodyjnymi hitami w języku tagalskim.

- Śpiewać umieją, te Filipinki, ale kobiety są tu brzydkie jak mały - bełkotał jeden z członków załogi, który do swojego pokoju hotelowego wszedł tylko po to, by zostawić tam mundur, i tetaz gapił się na piosenkarki z nieskrywanym pożądaniem.

Zanim sytuacja zrobiła się jeszcze bardziej krępująca, zmyłyśmy się z Brooke.

Następnego ranka obudziliśmy się w promieniach słońca. Uznaliśmy, że to najlepsza pogoda na długi spacer po zakupy.

Wciąż trochę mi się wydawało, że nasza zamknięta mała gtuja jest czymś na kształt statku powietrznego, który szybuje nad nowymi, obcymi miejscami. Szukaliśmy naszej drogi przez zagraniczne miasta, ale pozostawaliśmy nimi nietknięci.

Wieczorem, gdy głodne studiowałyśmy kartę dań w jednej z hotelowych restauracji, zagadnął nas korpulentny, dojrzały saudyjski biznesmen:

- Przecież wy jesteście stewardesami z mojego wczorajszego lotu! Moi przyjaciele i ja chcielibyśmy zaprosić was na kolację - i wskazał pięciu otyłych panów w średnim wieku, którzy w oczekiwaniu siedzieli przy stole.

Wymieniłyśmy niezdecydowane spojrzenia. Brooke powiedziała cicho, że nie uważa jedania z pasażerami za szczególnie dobry pomysł. Po kolejnym spojrzeniu na astronomiczne ceny w tym lokalu i ze względu na nasze burczące brzuchy Brooke i ja przyjęłyśmy zaproszenie.

Nasz pasażer z pierwszej klasy, pan Abdel Hakim, przedstawił nas panom przy stole.

Mnie przyszło siedzieć obok pana Kima z Korei. Ze swoim wylewającym się brzuchem i dobrotliwymi oczami był podobny do spokojnego Buddy, okazał się też nadzwyczajnie przyjemnym towarzyszem przy stole, który zapobiegliwie proponował mi najlepsze potrawy i cieszył się z mojego apetytu.

Na wspaniały koniec kolacji zapraszający wymyślił coś zupełnie wyjątkowego: zamówił cygaro; ja jednak niespecjalnie lubiłam cygara.

Drobna pracownica w świeżej białej bluzce podała kosztowny wyrób na błyszczącej srebrnej tacy. Ostrożnie wzięła cygaro pomiędzy dłonie i łagodnie je rolowała. Zręcznymi palcami lekko nim potrząsała, głaskała je i masowała. Ten rytuał znalazł swoje ukoronowanie w sugestywnym geście przypominającym dojenie. Na życzenie gościa skropiła je jeszcze kilkoma kroplami olejku, zanim odcięła końce srebrnymi cążkami. Tak przygotowane cygaro troskliwie włożyła panu Abdel Hakimowi pomiędzy wargi i przypaliła.

Panowie mieli zaparowane okulary; cygara zamówili dwaj kolejni.

Gdy kolacja dobiegła końca, Brooke i ja wmiszałyśmy się pomiędzy gości imprezy firmowej, którą w sali balowej urządziły jakieś amerykańskie linie lotnicze.

Dopiero wczesnym rankiem wpadłyśmy podpite do naszych hotelowych łóżek i próbowałyśmy spać, przynajmniej do czasu, kiedy zapaliło się światło i Brooke wrzasnęła:

- Robale! Cholera, w moim łóżku są robale!

I na dowód wyciągnęła do mnie swoje liliowobiałe ramię, żebym sprawdziła:

- Popatrz, pokąsały mnie!

Szeroko otworzyłam oczy, ale w słabym kręgu światła nocnej lampki nie mogłam nic wypatrzeć.

Przyszedł chłopak z obsługi, żeby zmienić pościel, ale gdy tylko Brooke położyła się w świeżej pościeli, znów coś ją ugryzło. O czwartej nad ranem zażądała innego łóżka, ale niestety nie było wolnego.

Potem jeszcze przysnęłam i obudziłam się po, tak myślę, dwóch godzinach snu, ze strasznie zeszywniałym karkiem. Nie mogłam obrócić głowy ani na prawo, ani na lewo, a moja pogryziona towarzyszkajeszcze uważała to za zabawne!

W powrotnym locie do Arabii Saudyjskiej Brooke i ja pracowałyśmy w przedniej części klasy ekonomicznej. Podczas przerwy zaproponowała mi w saloniku na górnym pokładzie pomoc chiropraktyczną, aby rozluźnić mój zeszywniały kark.

- Mam w tym wprawę. Wiesz, ile razy tak sobie pomagałyśmy, gdy byłam tancerką w Vegas? Tancerze wciąż mają jakieś zeszywnienia i skurcze. Pokażę ci, co zrobię, ale nie wolno ci się usztywnić.

Ułożyła rękę pod moją brodą, a drugą na głowie. Szybki i wprawny obrót spowodował, że moja głowa została skierowana w bok. Coś

chrupnęło, zatrzeszczało i zapiekło jak ogień, ale blokada po lewej stronie zniknęła. Po prawej nie udało nam się całkiem usunąć problemu, bo znów się usztwywniłam i Brooke nie mogła nic zrobić.

Gdy o drugiej w nocy wróciłam do kampusu stewardes, Betty siedziała samiuteńka na dywanie w salonie i bawiła się z dwoma młodymi kociakami, które Jeannie przyniosła przed kilkoma dniami.

- Cześć Betty. Co tu robisz sama, gdzie reszta? - zapytałam zdziwiona.

- Jeannie poleciała, a Connie śpi. Czekałam na ciebie.

- Na mnie?

Betty chwyciła jedno z kociąt, które próbowało wdrapać się na jej głowę, i ułożyła je na kolanach.

- Dobra, Tereso, był do ciebie telefon ze Szwajcarii. Powinnaś natychmiast zadzwonić do domu, nieważne o jakiej porze.

- Coś z moim ojcem?

Betty patrzyła na mnie z mieszaniną współczucia i klinicznego zainteresowania.

- Obawiam się, że tak. Bardzo mi przykro, ale ktoś musi ci to przecież powiedzieć. Twój ojciec umarł.

Co ta Betty opowiada? To musi być pomyłka, przecież po tej operacji wszystko znów miało być dobrze. Bezwzględnie pognałam z powrotem do budynku recepcji i zamówiłam rozmowę międzynarodową ze Szwajcarią, ale w domu nikt nie odbierał.

Mimo ciężkiej choroby ojca nie byłam przygotowana na jego odejście. Po prostu wypierałam każdą myśl o takiej możliwości, jak to zwykle bywa - z powodu egoistycznego instynktu, z naturalnej potrzeby spokoju duszy człowiek ma skłonność do odsuwania lęków i trosk.

Gdy ojciec zaczął skarżyć się na dolegliwości przy siedzeniu i leżeniu, trudne noce i zaburzenia snu, choroba już od dawna niszczyła jego organizm. W krótkich odstępach czasu następowały kolejne badania lekarskie, kolonoskopie, coraz silniejsze bóle, pierwsza operacja, sztuczny odbył.

Walczył o swoje życie w tej osobiwej przestrzeni pomiędzy nadzieją a rozpaczą. Mocno wierzył w to, że znów będzie zdrowy, i prowadził wewnętrzną walkę przeciwko przygnębiającym przecuciom przedwczesnego końca.

Kilka godzin później telefon wytwał mnie z meczącego, niespokojnego snu.

- Cześć - zameldował się hałaśliwie mój narzeczonny. - Jak było w Manili? Przywiozłaś mi coś ładnego?

- Manila? Nieważne. Mój ojciec umarł. Możesz mnie zawieźć na lotnisko?

- Uch, cóż ty masz za nastrój? W Manili musiało być bardzo ciężko.

Przerwałam mu szorstko:

- Naprawdę nie mam nastroju do żartów.

Na chwilę zapadła cisza. Gdy przemówił, jego głos zabrzmiał trzeźwo; był zmieszany, teraz w końcu to pojał.

- Bardzo mi przykro, kochanie. Oczywiście, że mogę cię zawieźć na lotnisko.

Mimo przymusowej sytuacji musiałam się jeszcze targować o wolne dni z szefową mojej grupy, Nasrin.

- Potrzebujemy każdej! - uparcie twierdziła Nasrin. - To środek sezonu. Linie lotnicze nałożyły embargo, są komplety pasażerów, a ty chcesz do domu!

- Nasrin, mój ojciec umarł i lecę do domu na pogrzeb. Jeśli nie chcesz mi dać tego wolnego, to... to sama je sobie wezmę! - Po raz pierwszy od informacji o śmierci ojca wybuchłam płaczem. Nasrin się przestraszyła i sięgnęła po telefon, aby porozumieć się ze swoim kochankiem, menedżerem Inflight Services.

- I? Jak poszło? - zapytał Jerome, który wszystko zostawił, aby mi pomóc. Ponuro pomachałam podpisanym pozwoleniem na wyjazd.

- Jedźmy do Swissair, jutro lecą do Szwajcarii.

- Pytałem już - powiedział Jerome. - Wszystkie miejsca są zabukowane przez płatnych pasażerów, aleja to załatwię, zaufaj mi! Najpierw zadzwoń do siostry, powinna wysłać teleks do Swissair w Genewie, że twój ojciec umarł i powinnaś jak najszybciej wrócić do domu. I w ten sposób popracujemy nad kierownikiem tutejszej placówki osobiście. Żadnych obaw, ten jutrzejszy samolot nie odleci bez ciebie.

Siedziałam w samolocie do Genewy, gdy ojciec został pochowany. Wszystkimi środkami walczyłam o miejsce w tym samolocie, chociaż i tak nie mogłam zdążyć.

Nocą dotarłam do rodzinnego domu. Z otwartego okna salonu padało światło na taras, na w pół osłonięty palmowym klonem czernolistnym, białym świerkiem i jarzębem.

Świerszcze cykały w ogrodzie a południowy wiatr podkreślał szum jadących niedaleko aut na drodze N6; serce kazało mi się spieszyć.

Teraz, gdy tuż przede mną było spotkanie z rodziną, po raz pierwszy tak naprawdę uświadomiłam sobie: już nigdy więcej nie będziemy wszyscy razem. Jednego z nas zawsze będzie brakowało.

*

- Zgadnij, gdzie teraz jestem? - Jerome był zawsze skory do niespodzianek. Stawiałam na Londyn, ale okazało się, że jest niecały kilometr od domu moich rodziców, w kwaciarni Miros. Udało mu się wyrwać jeden dzień z podróży służbowej do Londynu, przesunąć tetminy i przełożyć spotkania tylko po to, aby być przy mnie. To zrobiło na mnie duże wrażenie. Jeszcze żaden mężczyzna nie zrobił dla mnie tak wiele.

- Wyjdziemy gdzieś dziś wieczotem? Może do kasyna? Nie musimy, jeśli uważasz to za niezręczne i nie na miejscu, chcę tylko na chwilę odetwać cię od tych myśli.

Rzeczywiście, uważałam tę propozycję za trochę dziwną, gdy wieczorem w towarzystwie mojej siostry i przyjaciółki jechaliśmy wynajętym samochodem do Interlaken. Jerome zaszokował pocziwych niedzielnych graczy w kasynie Kursal, niezwłocznie przysiadając się do stołu z ruletką i ustawiając przed sobą wieżyczki z żetonów. Zafascynowany ktupiet przyglądał się przez chwilę pospiesznym ruchom Jeromea, zanim zwrócił mu uwagę na najwyższą stawkę i ustawę hazardową.

Jerome roześmiał się ubawiony:

- Ach tak, maksymalna stawka - i wcisnął nam, kobietom, żetony do rąk. - Chodźcie, pograjcie!

Kulka się toczyła. Budziliśmy sensację. Kim był ten mężczyzna, który rozrzucał pieniądze wokół siebie? A jego młode towarzyski? W innych okolicznościach pewnie rozkoszowałabym się tą sytuacją, ale tego wieczoru czułam się nie na miejscu. Moje wcześniejsze wizyty w kasynie nie odbywały się z mojej inicjatywy, świat gier hazardowych nieszczególnie mnie interesował. Nie podniecało mnie ryzykowanie moich ciężko zarobionych pieniędzy w ten sposób, ale wydawało się, że Jerome nie wyczuwa moich mieszanych uczuć.

Szorstkim gestem, przy którym brylanty z pierścionka zaręczynowego na mojej lewej ręce zapłonęły blaskiem, postawiłam na „22” i przegrałam, znów postawiłam na „22” i patrzyłam, jak grabie wymiatają wszystko do stanu „zero, przecinek, zero”.

- Jak dla mnie wystarczy. Chodźmy stąd.

- Zaraz. Jest coś dobrego w szwajcarskiej ustawie hazardowej. Można grać, niewiele tracąc.

W sierpniu moją partnerką w pracy była akurat najlepsza przyjaciółka Marie - Noelle, Aishwarya, lecz mimo moich początkowych obaw doskonale się rozumiałyśmy.

- Będiesz miała pokój hotelowy w całości dla siebie - poinformowała mnie podczas naszego pierwszego wspólnego lotu do Dhaki w Bangladeszu. - Mój chłopak studiuje w Dhace. Zatrzymam się u niego.

Hotel Sonargaon w Dhace stanowił hermetycznie zamkniętą oazę luksusu pośrodku jawnej biedy. Goście hotelowi byli oddzieleni od nędzy, dopiero po opuszczeniu budynku człowiek wszędzie się na nią natykał.

Z jednej strony byliśmy my, w klimatyzowanym hotelu jak pałac, z basenami, boiskami, salonem masażu, galerią handlową, restauracjami, barami i wieloma innymi atrakcjami do dyspozycji, a po drugiej stronie - tutejsi ludzie na ulicy, którym gazeta służyła za łożko, góra odpadów za płac zabaw, a pojemnik na śmieci za stolówkę. Bieda była żenująca i wywoływała lęk w tych, którzy mieli coś do stracenia.

Dlatego wielu członków załogi bało się konfrontacji z głodnymi, żebrzącymi ludźmi na zewnątrz i woleli podczas pięciodniowego

%emr pustyni

pobytu w ogóle nie opuszczać hotelu. Spotykali się każdego dnia na basenie, gdzie wciąż siedziała połowa załogi i wymieniała stereotypowe poglądy na temat wielkiego, szerokiego świata.

Aishwarya tuż po naszym przybyciu opuściła hotel w towarzystwie swojego studenta, a ja przyłączyłam się do dwóch koleżanek, Angielki Kelly i Greczynki Penelope, które łagodne, romantyczne usposobienie stało w całkowitej sprzeczności z jej pomarańczowymi włosami i przezroczystymi bluzkami.

Kelly miała znajomych w Dhace, między innymi importera samochodów Lablu, którego od razu polubiłam. Chciałyśmy wspólnie pójść do zakonu sióstr, które z produkcji i sprzedaży rękodzieła finansowały szkołę dla dziewcząt i sierociniec. Lablu, Kelly i ja czekaliśmy w lobby. Penelope, ubrana w przezroczystą liliową bluzkę, przez którą widać było jej biały biust, zatopiona w marzeniach schodziła po schodach.

- Mogę tak iść? - zapytała trochę niepewnie.

Lablu spojrział w bok zakłopotany. Kelly jako pierwsza zapanowała nad sobą i odesłała Penelope z powrotem do pokoju, żeby założyła jakiś neutralny T-shirt.

Wizyta u indyjskich i angielskich zakonnice zrobiła na nas duże wrażenie.

Te kobiety całe swoje życie poświęciły służbie biednym i bezradnym. Żyły swoimi chrześcijańskimi ideałami miłości bliźniego i pracowały na bożą łaskę.

My też wybrałyśmy służbę na obczyźnie, ale w przeciwieństwie do zakonnice same byłyśmy swoimi bliźnimi; tylko po to, by zajmować się konsumpcją, żeby jeść, oddychać, zajmować przestrzeń i uganiać się za swoim małym szczęściem — po to chyba nikt na świecie nie żyje. To nie może być sensem i celem życia. Chodzi

raczej o to, żeby się do czegoś przyczynić i zrobić ze swego życia coś wyjątkowego.

Kelly chyba podobne myśli przelatywały przez głowę, ponieważ podczas powrotu do hotelu, z zakupami na kolanach, powiedziała poruszona:

- Podziwiam te kobiety. Nie potrafiłabym tak żyć, a ty?
- Chyba niespecjalnie nadaję się na zakonnice.

Po Elephant Road przejeżdżały obok nas chmary rikszy, na których migały czarne, wychudzone łydki mocno pedałówujących rikszarzy. Przedpotopowe autobusy, które trzeszczały na wszystkich łączeniach, kopały chmurami śmierdzących spalin. Mała mazda Lablu z opanowaniem torowała sobie drogę przez ten komunikacyjny chaos; na resztę drogi pogrążyłam się w smutnej zadumie.

*

W tak krótkim czasie po śmierci ojca nie było co myśleć o oficjalnej uroczystości zaręczyn, ale Jerome i ja przysięgliśmy sobie, że w sierpniu pojedziemy razem na Mauritius, niech się dzieje, co chce.

Okazało się, że nici z planów. Ponieważ była pełnia sezonu, mój pracodawca zrobił użytek ze swoich praw, by w razie potrzeby również w moim wolnym czasie obsadzać mnie na lotach specjalnych i dyżurach. Wizy wyjazdowej udzielano tylko za specjalnym pozwoleniem i musiałam taką po cichu załatwić.

- Pozwól mi to rozegrać - powiedział Jerome z przekonaniem. - Wkrótce będziemy siedzieć razem w samolocie na Mauritius.

Nie wątpiałam w to nawet przez minutę, gdy triumfująco podsunął mi pod nos najnowszy wytwór swojej fantazji, adresowany do menedżera służby kabinowej.

W tym piśmie, które od razu kazał swojemu sekretarzowi przetłumaczyć na arabski, przeszedł sam siebie. Twierdził w nim,

że moja obecność przy otwarciu testamentu ojca jest ustawowo nieodzowna.

- Ale czy nie posunąłeś się trochę za daleko? - rozważałam i przeczytałam na głos:

Jakiegokolwiek dalsze opóźnienie w podpisaniu przeze mnie koniecznych dokumentów oznacza finansowe trudności dla mojej matki i dwóch małoletnich siostr, ponieważ przeprowadzenie jakichkolwiek działań prawnych i dokonanie przekazów pieniężnych jest niemożliwe dopóty, dopóki każdy z upoważnionych członków rodziny nie podpisze tego dokumentu.

Promieniał, zadowolony z siebie:

- Tereso, zawsze musisz pamiętać, do kogo kierujesz swoje działania: ten mężczyzna jest Saudyjczykiem, nie zna szwajcarskiego prawa i na pewno nie zachowa się jak potwór. Uwierz mi, wiem, jak tutaj dawkować różne rzeczy.

Piątkowy wieczór, trzynasty sierpnia. Jerome i ja siedzieliśmy prawie sami w pierwszej klasie jumbo jęta linii Air France, który leciał przez Seszele na Reunion. Wykorzystaliśmy osiem godzin pobytu na Reunionie, aby odwiedzić krewnych Jeromea, którzy mieszkali na drugim końcu wyspy.

Reunion był soczyście zielony, jak gdyby właśnie wyłonił się z morza. W tropikalnym oceanicznym klimacie rozkwitały przepiękne orchidee o kwiatach wielkości melonów; również w ogrodzie wuja Jeromea, gdzie w miłym półcieniu wyrastały z czarnej wulkanicznej gleby.

Po południu obejrzelśmy położoną przy wzgórku drobnomieszczańską stolicę wyspy.

- Jak wy tu macie spokojnie i przyjemnie!

Piętnastoletnia kuzynka Jeromea dodała z przekąsem:

- Tak, tu się absolutnie nic nie dzieje. *Przecież* Saint-Denis kompletnie się zawieruszyło gdzieś poza światem.

Późnym popołudniem lecieliśmy dalej B737 linii Air Mauritius. Podczas całego lotu Jerome był bardzo podniecony, chyba stałe wydzielanie adrenaliny trzymało go na nogach. Po pierwsze: leciał do domu, po drugie: ze mną, po trzecie: mógł następnego dnia przedstawić swoją koncepcję reklamy wakacyjnej wyspy Mauritius w Arabii Saudyjskiej odpowiedzialnemu za to ministrowi.

- Tylko teraz nie zasypiaj! Podczas lądowania na Mauritiusie będziemy traktowani jak VIP-y!

Wiedziałam, że jest zwariowany, ale rzeczywiście z lotniska do budynku mieszkalnego podobnego do baraku jechaliśmy limuzyną. Tam oczekiwał na nas komitet powitalny, złożony z matki Jeromea Christine, jego siostry Marie i przyjaciela rodziny.

Z nocnej podróży do luksusowego hotelu Saint Geran nie za wiele pamiętam - tylko tyle, że mój dotąd nadzwyczajnie pobudzony narzeczony złożył głowę na moim ramieniu i nagle zaczął głośno chrapać.

Saint Geran zaprojektowano tak, że bez względu na to, gdzie się człowiek znajdował, widział wodę: czy to morze, basen, czy wewnętrzną lagunę; wszystko było otoczone mnóstwem zieleni i girlandami kwiatów. Było tak, jakby się wchodziło wprost do folderu, który nagle ożył, i człowiek znajdował się pośrodku scenarii ze zdjęcia, przekraczającej najśmielsze marzenia o pięknej wyspie.

- Bajeczne!

- Ceny też bajeczne - powiedział Jerome sucho. - Zostaniemy tu tylko jedną noc, więc się rozkoszuj. Chciałem ci to tylko pokazać.

- Szkoda, że jestem zbyt zmęczona, żeby to docenić tak, jak na to zasługuje. Ale mogłabym się do tego przyzwyczaić.

Byłam totalnie niewyspana, gdy następnego ranka zadzwonił budzik.

- Wstawaj! Wstawaj! Pakuj swoje rzeczy, nie mogę się spóźnić do ministra - poganiał Jerome, dla którego takie pojęcia jak „wakacje” czy „luz” były tylko pustymi słowami.

Przez wyboiste uliczki, obok robotników zbierających trzcinę cukrową, droga wiodła do Port-Louis, gdzie zajęty się mną Christine i Marie, podczas gdy Jerome rozmawiał z ministrem.

Znacznie później, niż się umówiliśmy - byłam już lekko zaniepokojona - w prostym, ale przestronnym bungalowie, który Christine wynajęła na czas swojego pobytu na Mauritiusie, pojawił się w końcu mój aktywny narzeczony.

- No i jak było u twojego ministra republiki bananowej? - zakpiłam, ale on w ogóle do tego nie nawiązał.

- Nie uwierzysz, podczas mojej rozmowy z ministrem nasz wynajęty samochód został okradziony, a moja walizka zniknęła.

- Co? Ale samochód stał przecież na parkingu budynku rządowego i był z pewnością pilnowany!

- W zasadzie tak. Ale wpadł mi tam w oko taki jeden, który podejrzanie się przechadzał i patrzył dziwnie na mnie i na samochód. Złapię tego drania, już ja wiem jak!

- Co było w tej walizce?

- Moja książeczka czekowa, nowe letnie ubrania z Londynu, jeszcze nienoszone, wspaniałe, drogie spodnie... Kosmetyki... Bielizna, nasze nowe buty i twoja elektryczna lokówka.

Oburzona złożyłam ręce, ale potajemnie cieszyłam się ze straty elektrycznej lokówki, prezentu od Jeromea.

- Najgorsze są czeki, moje drogie spodnie i nowe buty. Ale nie dam sobie zepsuć wakacji! Jesteśmy przecież tutaj, we dwoje, i to się naprawdę liczy. A dziś wieczorem idziemy do kasyna, muszę odegrać te straty!

Z początku pobyt w kasynie Saint Geran był jeszcze całkiem przyjemny, ale z czasem przestałam poznawać Jeromea; wydawało się, że gra go pochłaniała, przegrywał całe góry żetonów i stawiał coraz więcej.

Marie odciągnęła mnie na bok.

- Musimy go stąd wyciągnąć! Mnie nie słucha, zrób coś, żeby przestał, inaczej wszystko przegra.

- Marie, już próbowałam i musiałam się zadowolić odmownym „Zaraz, zaraz”.

- Spróbuj jeszcze raz! - naciskała.

Znów podeszłam do Jeromea, który po *rien ne va plus* jeszcze szybko rzucił kilka żetonów, które krupier odsunął.

- Jerome, Marie i ja bierzemy teraz taksówkę i jedziemy z powrotem do bungalowu. Pożycz nam trochę pieniędzy na powrót.

Nieobecny duchem, wręczył mi swój portfel, a ja szybko przekazałam go Marie.

- Hej, co wam przyszło do głowy! Natychmiast oddajcie mi moje pieniądze! - krzyczał oburzony Jerome.

- Nie, wystarczy grania! Wracasz teraz z nami do domu czy chcesz splajtować już pierwszego dnia wakacji? - powiedziała Marie.

- Akurat wygrywam! Mam teraz dobrą passę, jeszcze tylko raz - błagał, ale łagodną przemocą wyciągnęliśmy go z kasyna i posadziliśmy za kierownicą wynajętego samochodu.

- No już! - zawołała Marie. - Do domu i bez przystanków przy La Pirogę! Nie widzisz, **Że** Teresa jest śmiertelnie zmęczona?

Bez słowa dał za wygraną. Jeśli przedtem tylko to podejrzewałam, to teraz już byłam pewna, że mój narzeczony miał problem z hazardem.

W soboty cały świat ciągnął na hipodrom w Port Louis.

Cała populacja wyspy wydawała się zbierać na wyścigach konnych i tłoczyła się przed okienkami, aby wykupić zakłady.

Na przemysłowej tymbunie wrzało życie jak w drewnianym niebie: zaprzysięgłe okrzyki, dzikie podskoki, dudniące tupanie miało zagrzewać faworytów do walki.

Ja zdecydowanie nie miałam szczęścia i ciągle stawiałam na przegranych, podczas gdy dwunastoletnia siostrzenica Jeromea Jane wygrywała instynktownie i za każdym razem cieszyła się zachwycona. Chciałam skończyć ze złą passą i postawiłam tak jak ona; przegrałyśmy obydwie.

- Szkoda, że twój nowy filcowy kapelusz z woalką był w skradzionej walizce. Zabrałem go specjalnie na tę okazję - powiedział Jerome.

Zatkało mnie.

- Co takiego?

Potem wybuchłam śmiechem. Pan Higgins i kwiaciarka Eliza* na wyścigach w Ascot. Skręcałam się ze śmiechu, łzy toczyły mi się po policzkach, nie mogłam się uspokoić.

- Nie wiem, co w tym takiego zabawnego - zauważył Jerome oburzony i skonsternowany.

Prawdopodobnie mój nieskrępowany śmiech na hipodromie

Bohaterowie dramatu „Pigmalion” Georgea Bernarda Shawa - profesor Higgins, który założył się ze swoim przyjacielem, że wprowadzi na salony prostą kwiaciarzkę Elizę.

w Port Louis był pierwszą reakcją na usiłowania Jeromea, by zrobić ze mnie *lady* w jego guście. Moje zachowanie, moje ubranie, moja postawa, mój język były ostatnio coraz częściej przedmiotem konstruktywnej krytyki, której towarzyszyły propozycje naprawy tego stanu rzeczy. Dotychczas traktowałam te pouczenia z dobroduszną pewnością, że rzeczywiście w pewnych względach mogłabym się od niego uczyć, ale powoli zaczynał mnie wkurzać ten jego bzik na punkcie perfekcji.

Kolejne dwa dni były wypełnione wizytami u krewnych, krótkimi wycieczkami na plaży, wizytą w Muzeum Historii Naturalnej w Port Louis i wycieczką do ogrodu botanicznego Jardin de Pamplemousse, gdzie w przyspieszonym tempie zaliczyliśmy oglądanie olbrzymich żółwi, stawu z kwiatami lotosu i wspaniałego stylu kolonialnego z filmu „Paul i Virginie”. Wybiegający myślami daleko naprzód Jerome poganiał nas, żebyśmy szybciej zwiedzali, wskutek czego wprawdzie miałam całą masę wrażeń zmysłowych, ale nie potrafiłam powiedzieć, jaki klimat miało to miejsce. Nie tylko ogród botaniczny, cała wyspa pozostała dla mnie obca, zaginęła w pośpiechu nadmiernej aktywności.

Co za paradoks. Czyż nie po to wyjechaliśmy tak daleko, aby w końcu spędzić trochę czasu ze sobą? Właściwie nieco inaczej wyobrażałam sobie te cenne wakacyjne dni, z dala od saudyjskich przymusów i środków ostrożności...

Wieczorem przed odlotem poszliśmy do La Pirogę. Znow lukusowy pensjonat przy fantastycznej białej piaskowej plaży, nocny klub z danciem i... kasynem. Większym niż w Saint Geran. Jerome na początku nad sobą panował, chociaż rysy twarzy mu się zmieniały.

Nie dawałam po sobie poznać dezaprobaty i usiadłam obok niego. Od czasu do czasu odważałam się na coś postawić; detal w porównaniu z moim lubym, który wygrywał i przegrywał albo przegrywał i wygrywał.

W napadzie przesytu postawiłam wszystkie żetony na osiemnastkę. Chciałam szybko skończyć grę, a na osiemnastkę nikt nic jeszcze nie postawił. Jerome rzucił mi krótkie, zaciekawione spojrzenie.

- *Rien ne va plus** - kula się potoczyła, turlała się, przeskakiwała z jednego numeru na drugi i w końcu się zatrzymała.

- *Dix-huit*** - zameldował głośno krupier.

Przy stoliku zapanowała cisza. Wszyscy gapili się na mnie. W Jeromea jakby piorun trzasnął, jego oczy zapłonęły. Krupier przesunął grabiami w moim kierunku góry żetonów. Siedziałam tam i próbowałam się opanować, gdy Jerome już wyciągał ręce po moją zdobycz.

- Łapy precz - zasyczałam. - To moja wygrana! Żebyś się nie pomylił, nie pytając mnie wcześniej o pozwolenie!

- Mylisz się, to należy do mnie! W końcu pożyczylem ci pieniądze na grę.

Towarzystwo przy stole z napięciem przysłuchiwało się naszej kłótni. Zwróciłam się do krupiera, demonstracyjnie kładąc dwa żetony napiwku.

- Proszę o wymianę na gotówkę!

Jerome stracił panowanie nad sobą:

- Co? Kończysz?

- Tak, mój drogi. W przeciwieństwie do ciebie wiem, kiedy skończyć.

Fr.: Więcej nie wolno już stawiać.

• • Fr.: Osiemnaście.

Jednym ruchem skasowałam ekwiwalent mniej więcej trzech tysięcy dolarów i figlarnie wyrównałam nierówne brzegi grubego pliku banknotów. Opuszczałam kasyno z miłym poczuciem, że jestem w łaskach bogini Fortuny.

- Ile wygrałaś? O ludzie, to jest... Schowaj szybko to błogosławieństwo w swojej torebce i uciekajmy, zanim cię ktoś obrabuje! - radziła podniecona Marie.

- Marie, tak dużo banknotów nie zmieści mi się w torebce.

- Chciałabym mieć takie problemy jak ty! Ale teraz szybko stąd chodźmy, za pół godziny i tak jest uroczystość i Jerome musi koniecznie wrócić do domu.

W bungalowie w towarzystwie Marie przekazałam pieniądze matce Jeromea, Christine, z prośbą, by oddała mu je dopiero w dniu odlotu. Nie powinien mieć więcej okazji, by je przegrać.

W mieszkaniach w Saudia City panował ciągły ruch, ktoś wchodził, ktoś wychodził. Ludzie ciągle spotykali się w drzwiach, przed lotami i po nich oraz po drodze. Rzadko się zdarzało, żebyśmy wszystkie cztery naraz były w domu, tak jak tego późnego popołudnia.

- J a k leci, Connie? Dawno się nie widziałyśmy.

Connie pomachała do mnie zza pleców **Ozlem**. Poszłam za nią do sypialni, gdzie Jeannie siedziała po turecku na podłodze i z zaciętą miną przeliczała plik banknotów.

- Wychodziłyśmy dziś po południu z Sułtana - wyszeptwała Connie.

Sułtana, jedyna na wpół saudyjska stewardesa w tych liniach lotniczych, zawdzięczała pozwolenie na pracę swojemu egipskiemu rodzicowi. Dysponowała wszystkim, by być najbardziej zapraco-

waną rajfurką kampusu stewardes: kontaktami, dyskrecją, chciwością i wciąż podporządkowaną sprawie wybujałą zmysłowością. Nawet jeśli akurat nie miała specjalnej ochoty latać, wciąż była gotowa ciemnym, leniwym głosem rozszerzać swoje kontakty biznesowe i je utrzymywać.

- Tak? I jak było?

- Pandemonium. Jeannie jest jedyną, która coś zarobiła. Spotkałyśmy się z trzema klientami Sultany z Rijadu. Ich szef obejrzał nas z dezaprobatą, podchodził do każdej i wypluwał z siebie: „Brzydka! Brzydka! Brzydka!” Potem zwrócił się do Sultany: „Nie masz nic lepszego do zaproponowania niż te bezbiuste, małe, bezbarwne kobiety? Chcę ciemne, rasowe wspaniałe kobiety, zrozumiano?”. Prawie pękałyśmy z wściekłości, nie mogłyśmy jednak nic po sobie pokazać, w końcu byłyśmy skazane na to, żeby nas odwieźli. Potem jeden z jego towarzyszy wybrał sobie Jeannie. Ta Angielka, która z nami była, oburzona wyszła z domu, żeby mimo ostrzeżeń Sultany poszukać sobie taksówki na ulicy. Najchętniej poszłabym razem z nią, ale przecież nie mogłam zostawić Jeannie samej.

Nasze spojrzenia skierowały się na Jeannie, która drugi raz przeliczała swoje banknoty. Akurat Jeannie, ta wrażliwa, dziecinna Jeannie, tym razem okazała słabość i poszła.

- Przynajmniej kasa się zgadza? - zapytałam ze współczuciem.

Jeannie w ciężkim milczeniu kiwnęła głową i rzuciła się na łóżko, odwracając twarz do ściany.

- Poza tym - szeptała Connie - skoro już jesteśmy przy tym, znasz już najświeższe nowinki o naszej księżniczce „chętnie to zrobię” Beverly?

- Nie, ale z pewnością zaraz mi opowiesz.

- Ostatnio spotkała się w Rijadzie z księciem Sulejmanem!

Wiesz - to ten, który ciągle do nas dzwoni.

- Tak, tak. No i jaki on jest?

- Ach, jaki on jest? Jeannie i ja kiedyś przez moment się z nim widziałyśmy, w kawiarni hotelowej w Rijadzie. Jest mały i chudy. Nosi okulary. Ma mocnego zęza. Dziwny koleś. A więc: Beverly dała się zawieźć kierowcy do jego rezydencji. Tam, w salonie, przycisnął ją do ściany i przeleciał! Beverly była tak osłupiała, że nawet się nie broniła. A jest przecież o całą głowę wyższa od niego.

- Och!

Connie napawała się wrażeniem, jakie zrobiły jej słowa, i zachichotała z niekłamana satysfakcją:

- Ha, ha! A to suka, dobrze jej tak!

W mojej partnerce do pracy we wrześniu, Bridget Price, z pozoru wszystko było harmonijne: od kształtnej kobiecej, alejędrnej figury, przez zadbaną blond fryzurę a la lady Di po wielkie, błyszczące, niebieskie oczy w opalonej twarzy.

Ale pod wymalowaną fasadą wrzała mieszanina nienawiści, lęku, żądz i pogardy. Bridget pochodziła z angielskiego środowiska robotniczego i niechętnie powiedziała mi - a znałam Londyn dość dobrze - gdzie się wychowała: w południowej części miasta, na południe od Tamizy. Najwyraźniej wstydziła się swego pochodzenia.

Wkrótce zauważyłam, że z Bridget coś jest nie tak. Zaczęło się już w Dhace: wszędzie rozkładała swoje antybiotyki. Przyjrzałam się dokładniej tym tabletkom - Bridget akurat leczyła chyba jakąś chorobę weneryczną.

Również Kelly znalazła się w naszej załodze podczas lotu do Dhaki w Bangladeszu, z czego bardzo się cieszyłam.

Pewnego dnia Lablu zaproponował wycieczkę do jego kuzyna

na wsi, posiadacza małej fabryki, w której drukowano kupony materiału na sari.

Bridget pojawiła się z dwudziestominutowym opóźnieniem, w towarzystwie naszego saudyjskiego pursera (jej alfonsa, jak się później dowiedziałam). Po drodze narzekała na wyboiste drogi, a u celu naszej wycieczki, w obecności kuzyna Lablu, pokazała się ze swojej grubiańskiej, humorzastej strony.

Kuzyn Lablu były ewidentnie pięknym, zadbanym młodym mężczyzną. Niestety, spodobały mu się wielkie błękitne oczy Bridget.

Pech chciał, że gdy miała zamiar usiąść, by nieco odpocząć, kuzyn chciał jej elegancko odsunąć krzesło, a ona padła na ziemię jak wór mąki. Nie mogliśmy powstrzymać się od śmiechu, to po prostu wyglądało przezabawnie.

Na twarzy Bridget miejsce początkowej konsternacji zajęła nieskrywana złość. Wydawało się, że doszła do wniosku, że oto ktoś jej kosztem stroi sobie żarty. Skwaszona udawała, że się potłukła. Naszemu gospodarzowi było głupio i gdy on z uwagą troszczył się o Bridget, ja nie pierwszy raz tego dnia żałowałam, że zabrałam z nami tę zrzędliwą, głupią kozę, zamiast zostawić ją w hotelu, żeby umarła z nudów.

Wieczorem w hotelu Sonaragon odbyło się spontaniczne zakrapiane spotkanie integracyjne personelu saudyjskich i kuwejskich linii lotniczych. Gdy zamknięto bar, bawiliśmy się w pokojach pracowników kuwejskiego towarzystwa lotniczego.

Zauważyłam, jak pewien ciemnoskóry Arab o ptasiej twarzy przystawiał się do Bridget. Usiadł obok niej na dywanie, ona rozmawiała z kimś innym, zaczął więc leciutko głaskać ją palcem wskazującym po przedramieniu.

- Ej! Przestań! - mknęła i demonstracyjnie odwróciła się od niego.
- Wiem, jak odczytać przyszłość z płam wątrobowych na ramio-

nach i tułowiu - próbował zwrócić moją uwagę kragły kuwejcki supervisor.

- Ach, naprawdę? - spytałam i obserwowałam, jak ptasiogęby znów zaczął umizgi i umiejętnie drażnił głaskaniem jasny meszek na przedramieniu Bridget. Tym razem trwało to nieco dłużej, aż w końcu, raczej przypadkowo, zabrała rękę.

- Chodzi o liczbę tych plamek - kontynuował mój rozmówca.

- Ach, jest coś takiego jak szczęśliwa liczba?

Tymczasem ptasiogęby zdobył ramię Bridget i już nie odrywał od niej wzroku. Ona nadal, nie przeszkadzając sobie, rozmawiała z tym drugim i zachowywała się, jakby ptasiogęby w ogóle nie istniał.

- Tak jest - przygotował grunt mój rozmówca i zapytał, czy może policzyć plamy wątrobowe na moim ramieniu.

- Ależ proszę - powiedziałam nieobecna, podczas gdy ptasiogęby i Bridget namiętnie się całowali, a on odważył się włożyć rękę pod jej bluzkę.

- Tu jest za mało światła. Chodź ze mną do mojej łazienki, tam jest dostatecznie jasno. Dokładna liczba plam wątrobowych to podstawa.

- No dobra - powiedziałam i wstałam. - Ale Kelly idzie z nami. Poprowadził mnie do łazienki i włączył światło.

- Muszę też policzyć plamy na twoim tułowiu.

- Od tego mam Kelly - powiedziałam i wystawiłam łobuza za drzwi.

Po chwili podałam temu ekspertowi liczbę znalezionych plam.

- Tak mało? Jesteś pewna, że nie masz więcej? - zapytał, gdy ja szybko zapisywałam kilka liczb na jakiejś gazecie. - To niestety nie jest szczęśliwa liczba.

- Jeśli i to wszystko, co potrafisz na ten temat powiedzieć, to lepiej

pójdę teraz spać. Taką zabawę to sobie mogę sama zorganizować - powiedziałam, energicznie otworzyłam drzwi pokoju i... zatrzasnęłam je z powrotem: pośrodku korytarza Bridget i ptasiogęby przevalali się w zaawansowanym akcie namiętności. Byli tym tak zajęci, że nikt i nic nie mogło im przeszkodzić.

O ludzie! Czego jeden nie jest w stanie osiągnąć podstępem, inny osiąga wytrwałością. Ale wszystko ma swoją cenę. Ptasiogęby z pewnością wkrótce musiał za swoje krótkie seksualne oszołomienie zapłacić drogimi antybiotykami, a Bridget, przy całym szacunku do siebie, znalazła się w przyprawiającej o zawrót głowy kolejce górskiej wiozącej ją w dół, w otchłań własnego ja.

W październiku zdecydowałam się na służbę rezerwową, żeby znów z darmowym biletem móc polecieć do domu. Złapałam pięć przepięknych jesiennych dni i upchnęłam podczas nich tyle, ile się dało.

- Arabia jakoś cię zmieniła - zauważyła moja ciocia Bernie w swój zwykły cichy sposób, kiedy ja, nieobecna duchem, wsypywałam trzy łyżeczki cukru do czarnej herbaty i wydłubywałam korniszony z chleba ze sklepu ze zdrową żywnością.

Nie tylko Arabia. Stałam się nadwrażliwa i humorzasta, wsłuchiwałam się w siebie jak sowa w nocny las. Miałam ataki wilczego głodu i o północy przeczesałam lodówkę. O dziwo, moje ulubione potrawy teraz mi nie smakowały. Wciąż miałam w ustach nie-dobry smak, moje piersi nabrzmiwały i były nieprzyjemnie napięte. Oczywiście wkrótce pojęłam, co to może oznaczać.

Po powrocie do Dżuddy pojechaliśmy z Jeromeem do prywatnego lekarza, angielskiego ginekologa.

- I co? - naciskał Jerome, gdy po konsultacji prowadził mnie szybkim krokiem do firmowego samochodu.

- Gratuluję tatusiowi - powiedziałam arogancko.

- Jesteś w ciąży? - wyraźnie podniecony usiadł za kierownicą. Obydwoje milczeliśmy, oszołomiona patrzyłam przed siebie.

- I co chcesz teraz zrobić?

Nie odpowiedziałam natychmiast.

- Wytrzymać... A po urlopie w grudniu złożyć wypowiedzenie.

- Pobierzemy się oczywiście - obiecał Jerome. - Gdy tylko moja była wyśle mi z powrotem z Ameryki papiery rozwodowe, zaraz wszystko załatwię. Pytam tylko, co zrobisz do tego czasu? W Arabii Saudyjskiej nie możesz zostać - zauważył mój narzeczony.

- Wiem - odpowiedziałam, przeciągając to słowo.

- Mam odwiedzić cię z powrotem do Saudia City czy wolisz pojechać do mnie? Ale zaraz muszę wracać do pracy.

- Myślę, że teraz potrzebuję spokoju, żeby to przemyśleć. Zawieź mnie, proszę, do siebie.

- Czy cieszysz się, że zostaniesz ojcem? - badałam.

- Wiesz przecież, jak uwielbiam dzieci... Ale teraz, kiedy sprawy zaszyły tak daleko... - przerwał i nerwowo szukał papierosa. - Daj mi trochę czasu, Tereso, daj mi trochę czasu.

Czas! Jak gdybym ja miała go Bóg wie ile do stracenia! Czas zaczął biec nieubłaganie szybko. Gdy w wilgotnych, miękkich jamach moich narządów reprodukcyjnych komórki mnożyły się zgodnie z prawami natury, w mojej głowie rodził się ferment. Czy powinnam podporządkować swoje życie jakiemuś zbłąkanemu zarodkowi? Zamienić moją pracę i finansową niezależność na ciężkie życie pani domu?

Już widziałam siebie z noworodkiem w małym mieszkaniu Jeromea, jak czekam na to, że mój mąż w końcu wróci z pracy.

Musiałyby przynosić mi do domu zakupy i od czasu do czasu wozić mnie do miasta, moja zależność byłaby totalna. Czy nasz związek wytrzymałby tak wiele zależności, czy dałabym radę?

Ciężko westchnęłam i wpatrywałam się w dziury w ciemnoczerwonych zasłonach okien sypialni. Ach, gdyby tylko nie było mi wciąż tak niedobrze!

Takie dziecko... Przecież ono kogoś potrzebuje! Żeby go nie unieszczęśliwić, muszę przyjąć całym sercem odpowiedzialność za to przysze życie i jak najszybciej do tego dorosnąć. Ale dokładnie na tym polegał problem: w gruncie rzeczy nie chciałam dorosnąć i obawiałam się tak dużej odpowiedzialności. Chciałam nadal radośnie i bez obciążeń zaczynać dzień i wierzyć, że wszystko jest jeszcze możliwe.

- Musisz wiedzieć, że będę z tobą, bez względu na to, jaką podejmiesz decyzję - powiedział Jerome, gdy odwoził mnie około szóstej wieczorem do Saudia City.

- Wiem - powiedziałam. - Ale dlaczego mi to mówisz, jeśli chcesz urodzić to dziecko?

- Bo wyglądasz na nieszczęśliwą, dlatego.

- Tak też się czuję. Boję się.

- Tak nie powinno być - wymamrotał Jerome i drgnął. - Muszę cię, niestety, znów zostawić samą. Lecę dziś wieczorem do Kairu. Zadzwoń, gdy tylko wrócę.

Byłam zaskoczona.

- Ja też lecę dziś wieczorem do Kairu.

- Ja lecę z szefem, firmowym samolotem.

- Fajnie masz. Ten romansjak dotąd rozgrywa się raczej pomiędzy twoim szefem a tobą niż między nami - złośliwie zakpiłam, a Jerome roześmiał się z udręką.

Obawa, że moje najbliższe otoczenie zauważy zmianę, okazała się nieuzasadniona, każda była zbyt zajęta sobą.

Ozlem leżała jak czarna, burzowa chmura na łożku obok telefonu. Ledwie zarejestrowała, że przyszłam. Gdy zadzwonił telefon, natychmiast odebrała i zasyczała:

- Mówiłam ci przecież, Dave, że możesz już do mnie nie dzwonić. Nigdy więcej!

Potem rzuciła słuchawkę na widełki i wymruczała:

- Baran!

- Co się stało?

- Już nic. Wyobraź sobie, ten Dave jest żonaty i ma dwoje dzieci w Anglii! Nic mi o tym nie powiedział, musiałam się tego dowiedzieć od innych. Jak gdybym kiedykolwiek miała zamiar wychodzić za niego za mąż! Nienawidzę, kiedy ludzie są w stosunku do mnie nieuczciwi!

No dobra, zatem Ozlem też znów będzie tu siedzieć podczas wolnych wieczorów.

Listopad taki już jest. Zaliczyłam wyczerpujące i nie lubiane loty na czterech różnych typach samolotów.

Poczułam ulgę, gdy siedemnastego listopada w programie był krótki lot na liniach krajowych; to miała być mała wycieczka do świata pracy, nic więcej.

Założyłam granatowy mundur ze spodniami, starannie się umalowałam i polakierowałam paznokcie na śliwkowo, przypięłam złote skrzydełka do filcowego kapelusza i żakietu. Mimo wysiłku, by dobrze się zaprezentować, wyglądałam równie źle, jak się czułam.

Mimo to około piątej po południu wyruszyłam. Po drodze na lotnisko machinalnie zapaliłam papierosa i zdusiłam go po kilku

płytkich zaciągnięciach się, znów rozłuszczona tym, że nic, absolutnie nic mi już nie smakowało.

Po przyjeździe na lotnisko jako pierwsza sprawdziłam nazwiska pozostałych członków załogi.

Aha, kapitan Barber! Ten arogancki Anglik ze swoim podgrzewanym mleczkiem i półtorej torebki cukru w słabej kawie dobrze utrwalił mi się w pamięci podczas wcześniejszych lotów. Z powodu kawy, którą mu przyniosłam, objechał mnie i potem przez cały lot nieufnie na mnie spoglądał.

Drugi pilot i purser mieli saudyjskie nazwiska. Dwóch młodszych stewardów zajmie się kompletem pasażerów w klasie ekonomicznej. Jako najstarsza w służbie i jedyna kobieta w załodze byłam przypisana do pierwszej klasy.

Lot SV 934 do Gizanu, trwający godzinę i pięćdziesiąt minut, przebiegał planowo.

Kapitan Barber przypomniał mi sobie i traktował mnie nieco mniej protekcyjnie niż podczas naszego pierwszego wspólnego lotu. Załoga ogólnie była pracowita, na szczęście. Saudyjski purser Abdul pomógł mi nawet przy wydawaniu posiłków, co nie było takie oczywiste - na liniach krajowych B737 stewardesa w pierwszej klasie nierzadko musiała sama dać sobie radę z całą pracą, ponieważ saudyjscy purserzy byli zupełnie wykończeni czytaniem gazet, wypoczynkiem, objężdżaniem stewardes albo modlitwą.

W Gizanie znów czekał na nas komplet pasażerów, między innymi wielu Europejczyków spieszących na połączenie do Paryża. Wystartowaliśmy z małym opóźnieniem.

Przypięci pasami, Abdul i ja siedzieliśmy na dwuosobowym składanym siedzeniu i czekaliśmy, aż zgasną kontrolki w kabinie. Tym razem trwało to niezwykle długo, zanim zgasły obydwie. Poszłam

do kokpitu, ale jeszcze zanim cokolwiek powiedziałam, kapitan Barber rozkazał:

- Przeprowadź mi pursera, szybko!

Weszłam z powrotem do ciemnej kabiny, w której paliły się tylko tabliczki nad siedzeniami. Wiedziałam już, że coś jest nie tak.

- Mamy problem techniczny i musimy awaryjnie lądować w Gizanie - poinformował mnie Abdul chwilę później. - Masz przy sobie zapowiedź do lądowania awaryjnego?

Lęk rozpełzł się po mnie, z żołądka rozprzestrzenił się do nóg, do mózgu.

- Tak z pewnością, musi gdzieś tu... - Drżącymi rękami przeszukiwałam strony czerwonego podręcznika, mój mózg zachowywał się, jakby go ktoś wyłączył.

Abdul chwycił książkę.

- To tu! I pokazuj głównie pozycję do awaryjnego lądowania tak, aby wszyscy mogli się dobrze przyjrzeć.

Abdul uderzył w oparcie jednego z foteli pasażerskich, zapalił światło i poszedł porozmawiać ze stewardami. Patrząc na pasażerów, którzy spokojnie i w większości przypięci pasami siedzieli na swoich miejscach, opanowałam się.

Odchrząknęłam i zaczęłam spokojnym, mocnym głosem zapowiedź przed awaryjnym lądowaniem, jak gdybym robiła to codziennie. Nauczyłam się, jak niewiele trzeba, aby wybuchła panika i sytuacja kompletnie wymknęła się spod kontroli. Uśmiechnięta gospodyni przestworzy w przypadku awarii musi zmienić się w wydającego rozkazy generała, od jej zachowania może zależeć ludzkie życie.

Dzwonek wezwał mnie do kokpitu.

- Lądowanie za piętnaście minut. Musimy przedtem jeszcze wznieść się na wymaganą wysokość, aby zrzucić paliwo. Potem

lecimy wprost do Gizanu. Jak bardzo jesteście zaawansowani z przygotowaniem w kabinie?

- Wszystko idzie zgodnie z planem. Podaliśmy zapowiedź przed lądowaniem awaryjnym i pokazaliśmy pozycję do awaryjnego lądowania. Będziemy potrzebować trapów?

- Tak, najprawdopodobniej tak. Przyrowadź mi, proszę, pursera.

Gdy Abdul był w kokpicie, przeszłam się kontrolnie po kabinie, sprawdziłam pasy i przedmioty, które mogłyby stać się przyczyną ewentualnych urazów. Ostre, spiczaste, ciężkie oraz jakkolwiek niebezpieczne, na przykład okulary, buty i bagaż ręczny - skonfiskowałam i upchnęłam w bocznych toaletach. Rozdałam poduszki, zgaszałam kilka papierosów i odpowiadałam na pytania tak dobrze, jak tylko umiałam.

Gdy pierwsza klasa była przygotowana do awaryjnego lądowania, pospieszyłam do tyłu, żeby pomóc obydwu stewardom.

Pasażerowie w klasie turystycznej byli w większości prostymi beduinami, którzy nie do końca rozumieli, co ich czeka. Wciąż domagali się wody i innych rzeczy. Zamiast przynieść im to, czego sobie życzyli, pokazywałam niezapięte pasy i rozkazywałam:

- *Sakr hizam!**

Był już najwyższy czas, żeby zrobić tu porządek.

Jeden z jordańskich stewardów powiedział do mnie:

- To mój drugi tydzień pracy w Arabii Saudyjskiej i już coś takiego! Czy to tu reguła?

- Cóż, ja latam od dziesięciu miesięcy i to moja druga awaria.

Dalej w rozmowie nie zaszliśmy, bo światła pustynnego portu lotniczego Gizan pojawiły się nagle niebezpiecznie blisko. Rzuciłam

" Arab.: Zapnij pas!

się do mojego składanego siedzenia i zapięłam obok Abdula pasy; potem krzyczeliśmy:

- Pochylić się do przodu! Pozostać w tej pozycji!

Część pasażerów przyjęła w odpowiedzi na to coś na kształt pozycji do awaryjnego lądowania, podczas gdy inni albo skamienieli ze strachu, albo patrzyli na mnie i na Abdula, jakbyśmy byli cyrkowcami dającymi przedstawienie.

Wylądowaliśmy twardo, podskakiwaliśmy wysoko jak piłka tenisowa, aby znów uderzyć o ziemię. Hamując, mknęliśmy przez lotnisko, w myślach przebiegałam poszczególne kroki użycia trapu ratowniczego, gdy zadzwonił telefon z kokpitu:

— Żadnych trapów ratowniczych, pasażerowie mogą wysiąść jak zwykle.

Kamień spadł mi z serca.

Samolot się zatrzymał. Do drzwi już podjechały schody i agent z obsługi naziemnej wbiegał po nich, przeskakując po kilka naraz. Abdul otwierał, gdy ja byłam zajęta zwrotem skonfiskowanych przedmiotów ich właścicielom.

Lot SV 935 z Gizanu do Gizanu bezpiecznie wylądował.

Ostatni pasażer opuścił samolot, a moje oczy szybowały ponad pustymi rzędami siedzeń, które wydawały się czekać na następnych pasażerów, ekipę sprzątającą, następny lot...

Dopiero teraz poczułam, jak niewiarygodnie byłam wdzięczna i jaką odczuwałam ulgę.

Listopadowe noce w tym południowym pasie przybrzeżnym są chłodne i narzuciłam sobie na ramiona szorstki zielony wełniany koc, zanim wysiadłam, żeby obejrzeć prawy silnik.

Kapitan Barber i drugi pilot stali już i prowadzili fachową rozmowę z mechanikiem lotniczym, który właśnie podniósł obudowę.

- J e s t źle? Do kiedy może pan to naprawić?

Ostry wiatr dmuchał piaskiem nad płytą lotniska i mocniej owinęłam się kocem. B737 stał zupełnie sam. W tle rysowały się niskie budynki portu lotniczego. Poza tym żadnych oznak cywilizacji, tylko piach i kamienie, cisza i gwiazdy. Północ na pustyni.

- Taaa... Wygląda na to, że trzeba wymienić małą, ale ważną część - wyjaśnił drugi pilot. - Trzeba będzie ją sprowadzić z Dżuddy, nie ma tu takiej na stanie.

- Do czego dokładnie służy ta część?

- Jest odpowiedzialna za to, żeby silnik się nie przegrzewał. Musi się kręcić jak kółeczko.

- Lewy silnik jest przecież sprawny. Nie moglibyśmy wrócić na jednym silniku?

- Teoretycznie tak, ale to niedozwolone. Nakazano nam awaryjne lądowanie.

- Ach, to tak! Utknęliśmy więc tutaj na dobre. Położę się teraz trochę, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

W samolocie było ciepło i duszno, powietrze było zużyte i zastałe, klimatyzacja przy otwartych drzwiach nie działała.

Wzięłam kilka poduszek z półki, podniosłam podłokietniki i wsunęłam pasy w szczeliny między siedzeniami a oparciami. W wiciu sobie gniazdka w samolocie zdążyłam już nabrać wprawy. Położyłam się ze zgiętymi nogami na siedzeniach, naciągnęłam na siebie koc i przykryłam twarz kapeluszem od munduru. Niedługo potem z drzemki obudziło mnie wycie silników. Nieco później nagłe szarpnięcie samolotu rzuciło mnie na ziemię pomiędzy rzędy siedzeń.

Świt, mój słaby pęcherz i uciążliwe mdłości związane z ciążą zakończyły moją walkę o sen. Zataczając się, ruszyłam do toalety, zwymiotowałam i odświeżyłam makijaż. Gdy uznałam swój wygląd

za w pewnym stopniu do przyjęcia, udałam się do przodu, do pierwszej klasy, gdzie mężczyźni przysypiali albo grali w karty.

- I co? - zapytałam, przygotowując świeżą kawę dla wszystkich, przy czym mój żołądek zawiązywał się na supeł już na sam jej zapach.

- Za trzy kwadranse ląduje samolot rejsowy z Dżuddy. Zabiorą nas - powiedział spokojnie Abdul.

- Mam nadzieję, że pierwszą klasą - zauważyłam.

- J u ż ja się o to postaram - obiecał kapitan Barber.

Zaraz po lądowaniu w Dżuddzie udałam się do centrum obsady lotów.

- Jestem z lotu SV 935, który o północy lądował awaryjnie w Gizanie.

- Awaryjne lądowanie? Nic o tym nie wiem - powiedział zagadnięty urzędnik. - Kto był kapitanem?

- Kapitan Barber. On zaraz potwierdzi, tam idzie.

Ku mojemu zdziwieniu Barber, pogrążony w rozmowie z kolegą, przeszedł obok biura w kierunku wyjścia. Odchrząknęłam:

- Zatem po awaryjnym lądowaniu przysługują mi dwadzieścia cztery godziny spokoju. I jestem pewna, że ten termin zostanie dotrzymany. Mam linię 16. Zestaw lotów 90, we czwartek, odlot 10.35 Zulu, wtedy znów będę mogła legalnie lecieć.

Urzędnik policzył.

- To mało czasu. Może pani partnerka z pary sama przejmie obowiązki. Dla pani będziemy mieli później coś innego.

W to nie wątpiłam, gdy około południa zmęczona wchodziłam po schodach pustej klatki schodowej do mieszkania.

Szerokie spodnie od munduru powiewały wokół moich nóg, a ciężkie buty stukały na gładkich, nakrapianych kamiennych płytach. „Klak - klak - klak” - rozbrzmiewało echem w mojej głowie.

Nagle silne bóle w podbrzuszu rzuciły mnie na kolana. Zgięta wół opadłam na schody i przerażona chwytałam powietrze. Potem skierowałam się, tylko siłą moich ramion, powoli ku balustradzie i kurczowo się jej chwyciłam. Tak, stopień po stopniu, wciągnęłam się na górę. Zagryzałam wargi i pociłam się ze strachu, gdy drżącymi rękami otwierałam drzwi mieszkania.

Rzucając kilka cierpkich słów, przeczołgałam się przez salon. Coś się we mnie oderwało, fala dusznej wilgoci. Później zrobiło mi się czarno przed oczami.

Do pustego mieszkania Jeromea w Londynie w South Kensington już dwukrotnie się włamywano i od tego czasu mieszkała w nim Marie, bo Jerome nadal chciał je wynajmować.

Mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze starej, wąskiej kamienicy i zimą było w nim lodowato. Nie było centralnego ogrzewania, za to w okopconym salonie stał monstrualny angielski kominek.

Tam odpoczywałam po gwałtownym końcu mojej ciąży. Moment nie mógł być lepszy, miałam akurat pierwszy dłuższy urlop. Jerome wydawał się bardzo zatroskany i codziennie do mnie dzwonił. Tęskniłam za nim bardziej niż kiedykolwiek i wciąż go prosiłam, żeby po prostu wszystko zostawił i przyleciał najbliższym samolotem do Londynu.

- Ale Tereso, jak ty to sobie wyobrażasz? Nie mogę tu rzucić wszystkiego, bo mi tak pasuje! Dlaczego nie odwiedzisz swojej przyjaciółki Charlotte? Mówiłaś przecież, że teraz mieszka w Londynie.

Jerome gorzko mnie rozczarował. Nie rozumiałam, dlaczego nie zrobi czegoś, żeby się ze mną zobaczyć. Byłam sfrustrowana i naprawdę nie czułam najmniejszej ochoty, by odwiedzać Charlotte.

Charlotte pod koniec listopada nagle złożyła wypowiedzenie, aby podążyć do Londynu za Hamdim, który chodził tu do szkoły komputerowej.

- Cóż to ma za sens, jeśli on jest w Londynie, a ja w Dżuddzie
- biadoliła, kiedy ostatni raz spotkałyśmy się, zupełnie przypadkowo, w sekretariacie centrum lotów. Zdziwiłam się, że z taką nonszalancją oddawała swoją licencję i dokumenty, tak jakby sobie nic nie robiła ze swojej samodzielności.

- Co chcesz teraz robić? - zapytałam Charlotte.

- Wyjść za mąż! Tak szybko, jak to możliwe.

Zabrzmiało to tak, jak gdyby zależało od tego zbawienie jej duszy.

Rozdział piąty

Gdy wróciłam do sił, poczułam gwałtowną potrzebę zmiany. Nie byłam już taka sama jak przedtem. Dawny wygląd hip-piski się wysłużył i musiał ustąpić nowemu, bardziej eleganckiemu wizerunkowi. Dlatego przeczesałam Kensington Market i Hyper Hyper w poszukiwaniu oryginalnych ubrań stylizowanych na lata czterdzieste i pięćdziesiąte, które pasowały do modnego wówczas stylu. Przestałam nosić rozpuszczone włosy, które wyglądały, jakby rozwiały je wiatr. Teraz były porządnie zaczesane do tyłu i wysoko upięte. Zaczęłam nosić złotą biżuterię, którą podarował mi Jerome, i codziennie przed wyjściem się malowałam. Przedtem byłam na to zbyt leniwa.

Po dziesięciu dniach w Londynie, podczas których Jerome mnie odwiedził, opuściłam Anglię. Moim celem był Hongkong. Jednak tak blisko Bożego Narodzenia wszystkie loty były zajęte.

Ale przecież istniał Jerome, który czasem potrafił znaleźć jakieś wyjście dzięki swoim dobrym kontaktom. Przez Karaczi i Manilę prześliznęłam się do Hongkongu. Musiałam wprawdzie kupić bilet — na szczęście zapłaciłam za niego jedynie połowę ceny - by zyskać pewność, że będę miała miejsce, ale trudno! Nie mogłam się wprost

doczekać, by w dalekim Hongkongu rzucić się w egzotyczne, pulsujące życie wielkiego miasta.

Dotarłam do Hongkongu nocą. Gdy już zakwaterowałam się w małym hotelu przy Nathan Road, natychmiast ruszyłam poznawać miasto.

Szłam w tłumie ludzi do World Trade Centre, gdzie fotografowie hobbisci montowali swoje aparaty na statywach, by uwiecznić rozrzną świąteczną iluminację, a ptzechodnie, którzy spacerowali bez celu, zagłądali im przy tym przez ramię.

Gdy w gigantycznym centrum handlowym fotografowałam galopujących na świetlnych girlandach mikołajów, ktoś zagadnął mnie od tyłu:

- Chciałabyś swoje zdjęcie na tle tej dekoracji?

Zaprzeczyłam i odwróciłam głowę, żeby zobaczyć, kto do mnie mówi. To był młody Chińczyk, mniej więcej mojego wzrostu, z płaskim nosem i żywymi oczami. Miał na sobie džinsy i srebrną kurtkę.

Opuściłam tę świątynię konsumpcji, poszłam za powiewem świeżej molskiej bryzy i nagle stanęłam, oszołomiona widokiem.

Światła tańczyły w tytm fal na czarnym, nocnym, poprzecinany dżonkami i łódkami morzu. Za nimi wznosiły się, świątecznie oświetlone, drapacze chmur wyspy Hongkong.

Wiatr zmusił girlandę z żarówek nad moją głową do poruszenia się i pobrzękiwania, rozwiewał moje włosy i ubranie i przyprowadził mnie o dreszcze. Pachniało algami i solą. Zamknęłam oczy i głęboko odetchnęłam. Strasznie dawno nie czułam się już tak ożywiona i dynamiczna. To miasto robiło mi dobrze - było pełne obietnic, jak propozycja rozpoczęcia wszystkiego od nowa.

Ale już nie byłam sama. Chłopak w srebrnej kurtce przyszedł za mną. Zanim zdążyłam go niegrzecznie odstraszyć, usłyszałam, jak deklamuje wiersz:

1

*Płynę przez morza, przemierzam lądy,
A jednak jestem zupełnie sam;
W ciszy kroczę po plaży
W ciszy podziwiam księżęcy tron;
Z zamartwym sercem słucham głosów
Wiatru i wody, lecz na próżno;
Wszystko bezgłośnie zamiera;
A ja trwam bez nadziei!**

Najpierw trochę zła, potem coraz bardziej ubawiona, pozwoliłam mu recytować do końca.

- Potrafisz też coś zaśpiewać?

- Och tak! Chętnie dla ciebie zaśpiewam! - i z zapałem zaintonował pierwsze tony popularnego przeboju.

Szłam dalej w milczeniu, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Ten trubadur deptał mi po piętach i nie przeszkadzając sobie, śpiewał dalej. Tak zawarłam znajomość z Jinem Lingiem, dwudziestodwuletnim dziwakiem, który miał słabość do niebieskookich blondynek i rozkwitał w moim towarzystwie.

Pokazał mi swoje miasto, zabawiał opowieściami, a później pisał do mnie jedynym w swoim rodzaju pięknym odręcznym piśmem listy pełne naiwnych komplementów i przedziwnych obsesji.

Pochodził z południowych Chin, wiedział tylko, że jego matka wraz z nim, gdy był malutki, uciekła do Hongkongu. Wyrastał

" Fragment poematu „The World of Dream” Georgea Crabbea, tłum. Piotr Zacharczuk.

u swojego wuja i wstąpił w Hongkongu do policji. Jin Ling był na świecie naprawdę sam, przyzwyczał się do tej samotności od dzieciństwa. Jak wielu samotnych ludzi kochał zwierzęta. W tygodniu karmił ptaki na gzymsie swojego okna, a w niedzielę - mały w parku.

Swoją małą mieszkalną celę, zaraz za luksusowym hotelem na Nathan Road, dzielił z wielkim akwariem pełnym piranii. Zafascynowanie Jina zachodnim ideałem urody akurat nie ułatwiało mu życia. Była w jego życiu stewardesa Lufthansy, która od czasu do czasu przylatywała do Hongkongu, i pewna Australijka, kelnerka w pubie dla obcokrajowców. Dwa mało znaczące i niezadowolające romanse.

Aby zdusić w zarodku jakiegokolwiek nadzieje na trzeci nic nieznający romans, wyjaśniłam mu, że chcę tylko spędzić urlop w Hongkongu.

— To pozwól mi być twoim przewodnikiem! - poprosił. Towarzyszył mi na Wzgórzu Wiktorii i do wioski, której początki sięgały czasów dynastii Song.

Później zaprosił mnie na świąteczną biesiadę hongkońskiej policji w dużej restauracji na półwyspie Koulun. Tam, dumny, przedstawił mnie swoim kolegom i przełożonym. Były wontony, uchowce, kaczka po pekińsku, pieczone prosię i jeszcze mnóstwo potraw, które sześciu panów przy okrągłym stole zajadało z apetytem i czekało bez zahamowań. A ja razem z nimi, tylko bez mlaskania i czkania.

Dobrze nastrojeni mężczyźni chwalili jedzenie i zachęcali, by spróbować tego i owego. Jin Ling, który przed przełożonymi i kolegami mógł się pochwalić znajomością angielskiego, zachwycony robił za tłumacza.

Gdy skończył się ten urozmaicony posiłek, rozsiedliśmy się wygodnie na swoich krzesłach, piliśmy whisky i koniak, a kelnerka

przyniosła nam mahjonga*. I dopiero się zaczęło. Żwawo rzucano kostki, a jeszcze żywiej przesuwano płytki. Z początku nawet nie próbowałam zrozumieć skomplikowanych teguł tej gry, ciekawie było po prostu przyglądać się policjantom w cywilu, gdy tak próbowali się nawzajem oszukać, ptzechytryć, wyprzedzić.

Rozpieszczona, najedzona i ze wszystkich stron podziwiana, zbliżyłam się po raz pierwszy od miesięcy do czegoś na kształt dobrej formy duchowej. Tak, takie życie mi się podobało!

* Mahjong - popularna chińska gra.

Rozdział szósty

Aby nie zaczynać drugiego roku służby karą dyscyplinarną, wkalkulowałam spóźnienie i opuściłam Hongkong wcześniej. Zdażyłam bardzo się przywiązać do mojej pracy. Nie potrafiłam sobie wyobrazić niczego oprócz latania.

Ze świeżą energią studiowałam mój harmonogram lotów. Już w niedzielę wieczorem, drugiego stycznia, był w nim trzydziestogodziny pobyt we Frankfurcie. Ze wszystkich możliwych zestawień komputer znów wylosował dla mnie Brooke Clayton jako partnerkę w pracy.

Brooke wyglądała porywająco, nawet po nocy ciężkiej pracy w samolocie, a jej niewyparzona gęba się nie zamykała, gdy w poniedziałkowy poranek wsiadałyśmy do hotelowego autobusu na frankfurckim lotnisku.

- Patrz tylko na naszą załogę - powiedziała nieprzychylnie - nie jest jednolita! Jeden steward z wielkim brzuchem, na którym nie dopina się koszula od munduru. Drugi jak szparag, co wystrzelił z ziemi. Dwie małe Azjatki bez makijażu i dwie ciężkie, wytuszone tureckie gąbki, które nic nie pojmują i do tego intensywnie pachną potem i perfumami Opium. A naszego saudyjskiego

kapitana można by wytoczyć z kokpitu! Jak załoga strzelnicy na jarmarku, można umrzeć ze śmiechu! I jeszcze ten snuj - saudyjski supervisor ze swoim pożądlwym spojrzeniem! Temu na wszelki wypadek schodziłabym z drogi. Pytam cię, Teresa, czy tak wygląda profesjonalna załoga? Wstydzę się, kiedy inni mnie z nimi widzą.

- Taaa... Brooke, nie każdy ma tyle szczęścia, żeby wyglądać na modelkę jak ty!

- Wcale nie o to chodzi. Oni są zaniedbani i niechlujni. Wyglądamy jak nieszczęsna delegacja narodów zjednoczonych. Spójrz za to na załogę Lufthansy, to będziesz wiedziała, o czym mówię.

Załoga Lufthansy, która w zwartej formacji maszerowała obok naszego busa, demonstrowała dokładnie tę jednolitość, za którą Brooke tęskniła, patrząc na naszą ekipę.

- Coś takiego budzi zaufanie, nieptawdaż? Ja w każdym razie jestem w stanie sobie wyobrazić, że dla nich pracuję.

Nasze pobyty we Frankfurcie przebiegały zawsze według tego samego schematu: przylot, jazda do hotelu, zakwaterowanie w pokoju, posiłek w pokoju, drzemka, zakupy, kolacja, dyskoteka.

Zajęliśmy pokój na drugim od góry piętrze frankfurckiego hotelu Plaza i patrzyliśmy z wysoka przez szarą ścianę deszczu na teren Targów.

- Cholera, ceny są słone! - mruzczała Brooke z listą napitków w ręce. - A klucza do barku nie widać. Na pewno go schowali! Wiedzą *przecież*, że jesteśmy saudyjską załogą i nie wolno nam pić.

Brooke i ja wyszykowałyśmy się do dyskoteki. To znaczy Brooke bez specjalnego wysiłku, tylko z odrobiną różowej pomadki i w kłoszowej wełnianej sukience w kratkę wyglądała fantastycznie, a ja, w wąskich dżinsowych rurkach i z mocno wytuszuowanymi rzęsami, dreptałam w jej cieniu.

W ciemnym, jeszcze prawie pustym pomieszczeniu, w którym niespokojnie zapalały się i gasły światełka, wypatrzył nas supervisor, ten z osobliwymi oczami, i zaprowadził nas - nie było sensu się sprzeciwiać - do stolika, gdzie siedziała dobra połowa załogi, zmęczona, ale zdecydowana dobrze się bawić.

Na parkiecie snuły się dwie pary: panowie w chustach, arabskiego pochodzenia, z odważnie ubranymi niemieckimi dziewczynkami. Te kołysały się na przyprawiających o zawrót głowy obcasach jak statki na wzburzonych falach i starały się promieniować znudzoną zmysłowością.

To wszystko skłaniało naszego supervisora do intensywniejszego spożywania alkoholu. Gdy w końcu jakiś obcy poprosił do tańca azjatycką stewardesę z naszej załogi, jego tętnica szyjna niebezpiecznie nabrzmiała. Zanim zdążyliśmy się obejrzeć, rzucił się na obcego jak kogut bojowy, który musi przepędzić lisa z zagrody swoich kur. Szczęśliwie dwóch mężczyzn z załogi odwiódł go od przemawiania pięściami.

To był marny spektakl i zdenerwowana Brooke wznosiła swoje bursztynowe oczy do nieba:

- Typowe! O ludzie, czyja się muszę tak wstydić!

Był poniedziałkowy wieczór i nic ponadto.

Gdy po kilku dniach służbowej nieobecności w kampusie stewardes wróciłam i w dobrym humorze sprawdzałam zawartość lodówki, zadzwonił telefon.

- Teresa? Payroll 3007? Tu Marianni z kontroli stewardes. Od paru dni próbuję się z tobą skontaktować, mam dla ciebie ważną wiadomość: musisz jak najszybciej wyprowadzić się ze swego mieszkania, potrzebujemy całego budynku numer dziesięć dla zamieszekowych stewardes.

- Cooo?... Ale... To się nie da tak szybko! Jeannie i Connie są przecież jeszcze na urlopie i wrócą dopiero pod koniec miesiąca. Ich rzeczy są porozkładane dookoła, nie można tak po prostu wpuszczać tu i wypuszczać tranzytowych stewardes.

- Wiemy, że te dwie są na wakacjach. Opróżnią swój pokój, gdy tylko wrócą. Ale ty musisz jak najszybciej znaleźć coś innego, twoja współlokatorka z pokoju, **Ozlem**, już się wyprowadziła.

- J a k mam w takim pośpiechu znaleźć coś odpowiedniego?

- Zadzwoń najpierw do swoich przyjaciółek. Jeśli u nich nie ma niczego wolnego, Franco sam coś ci znajdzie.

- No, świetnie - wymruczałam. Mój dobry humor od razu uleciał. Padłam plecami na łóżko i zastanawiałam się, od czego zacząć.

Nazajutrz zadzwoniła do mnie Marika Móbius.

- Słyszałam, że musisz się wyprowadzić z mieszkania. Znalazłaś już coś nowego?

- Nie, jeszcze nie.

- Posłuchaj, może chcesz się wprowadzić do mnie? Kontrola stewardes już mi zapowiedziała, że dokwaterują mi jakąś nową. Nie chcę, żeby mi przysłali jakąś Pakistankę albo Turczynkę, dlatego pomyślałam sobie, że jeśli już muszę dzielić z kimś pokój, to wolałabym z tobą. Mieszkam w budynku numer trzy, na drugim piętrze, apartament A.

Patrzcie państwo, pomoc przyszła niespodziewanie, i to z nieoczekiwanej strony. I tak odsunęłam na bok swoje wątpliwości i po krótkim zastanowieniu przyjąłam ofertę Mariki.

Szybko spakowałam swój dobytek: dwie walizki, moja stara torba podróżna i kuferek-kosmetyczka Saudii. Gdy skończyłam, otworzyłam pokój Jeannie i Connie i zgromadziłam tam ich mun-

dury, które na skutek braku miejsca wisały na grubych gwoździach w korytarzu, ich buty, książki i zeszyty, kasety z muzyką, urządzenia elektryczne, naczynia kuchenne, artykuły toaletowe, pamiątki z podróży i tak dalej. Gdy to robiłam, starannie zamknęłam za sobą drzwi i rozejrzałam się jeszcze raz po zajmowanym mieszkaniu.

Tylko ciężka wieża stereo Connie królowała jeszcze na stelażu w salonie. W jakiejś zapomnianej szufladzie znalazło się jeszcze kilka kaset i innych drobiazgów. Na ścianach nadal wisały olbrzymie, rozmyte plakaty przyjaciółki Connie, didżejki. Po krótkim kontrolnym spojrzeniu wokół zamknęłam drzwi i opuściłam mieszkanie, które przez rok było moim domem.

Gdy się wprowadzałam, Marika leżała na swoim łóżku i rozmawiała przez telefon z kontrolą stewardes.

- Jale, na Allaha, jestem wściekła! Właśnie ukradziono mi z suszarki trzy nowe bluzki od munduru!

Marika zauważyła mnie w drzwiach, pozdrowiła oschle i wskazała łóżko pod klimatyzatorem. Wtaszczyłam swoje walizki na łóżko i otworzyłam szafę na ubrania. Była wypełniona po brzegi. Ani odrobiny miejsca - nawet na moją najcieńszą letnią koszulkę.

Marika przerwała swoje skargi, przykryła mikrofon dłonią i powiedziała:

- Ustawiłam dla ciebie plastikową szafę w korytarzu.

Dobrze słyszałam, mam swoje rzeczy trzymać w korytarzu?

- Słuchaj, Marika, tak się nie da. Musisz mi zrobić miejsce w szafie na ubrania.

- No dobrze! - powiedziała niechętnie i wróciła do swojej rozmowy telefonicznej.

- Policja? Nie, Jale, na pewno nie znajdą moich bluzek. Ach, jestem taka wściekła!

I tak użalała się głośno jeszcze dobry kwadrans. Nie można powiedzieć, że ta wiedeńska dziewczyna nie potrafiła zorganizować sobie posłuchu.

- Uważaj, Tereso, kradną tu jak lisy. Radzę ci, nie ufaj nawet własnemu cieniowi! - ostrzegała teatralnie.

- Będę o tym pamiętać - obiecałam i przypadkowo otworzyłam szufladę, który była wypchana po brzegi.

- Opróżniłam dla ciebie te dwie dolne - poinformowała mnie i odebrała następny telefon.

- Och, Danilo! - zaszczebiotała, a jej głos rozpływał się jak karmelowy cukierek w ciepłej buzi dziecka. Przysłuchiwałam się, zadziwiona. - *Agapi mou**, tak tęsknię za tobą!... Nie, twojej niuni idzie baaardzo źle! Danilo, skarbie, posłuchaj, co mi się dziś przydarzyło! Zostałam okradziona... Tak, to bezczelne i podłe, ktoś ukradł mi nowe bluzki od munduru prosto z suszarki.

W głosie dąs, wielkie niebieskie oczy wpatrzone w pustkę — moja współlokatorka grała dzidzię-piernik, którą trzeba utulić, pocieszyć i ukochać przez telefon. To był mój pierwszy kontakt z wielogodzinnymi rozmowami telefonicznymi Mariki z Danilo, których później nauczyłam się bać.

Libańczyk Danilo był nowym kochankiem Mariki. Podobnie jak ona mieszkał przez jakiś czas w Grecji i nieźle mówił po grecku. Tę wspólnotę losów Marika chętnie wykorzystywała, by wymieniać miłosne przysięgi i banały po grecku.

Danilo nigdy nie usłyszał ostrego słowa ani władczego tonu jej przyzwyczajonego do rozkazów głosu. Życie było tylko sceną dla

* Gr.: Kochanie moje.

tej pełnokrwistej komediantki, która chyba sama nie wiedziała, kim właściwie jest, tak bardzo była zajęta zmienianiem ról.

W zamkniętym sąsiednim pokoju wciąż dzwonił telefon. Mieszkała w nim Greczynka Evanthia Christopoulos, której nie było od kilku dni.

- Nie wiem, co się dzieje — zauważyła Marika. - To z pewnością jej saudyjski przyjaciel, on ciągle dzwoni. Ale ona nie chce już z nim rozmawiać.

Trzy dni po moim wprowadzeniu się Evanthia wróciła. Była wysoka, szczupłą atenką o ciemnobrązowych przenikliwych oczach, orlim nosie i długich rozjaśnianych włosach, które miały łagodzić cierpką ostrość rysów jej twarzy, ale bez skutku.

Telefon znów dzwonił, gdy Evanthia bez pośpiechu i jak na totury szła przez mieszkanie. Nie byłam w stanie dłużej tego znieść.

- Może zechcesz wreszcie odebrać? To ciągłe dzwonienie szarpie nerwy!

Evanthia spojrzała na mnie kontrolnie, a potem wybuchła:

- Niech sobie dzwoni, aż szernieje, ten perfidny, niewierny zdrajca! W każdym razie mojego głosu nigdy więcej nie usłyszysz, bo dla mnie umarł. Przykro mi, Tereso, ale nie podejść do telefonu.

Wszystko jasne. Mój telefon był ciągle zajęty, bo dwa gołąbeczki ustanawiały rekord świata w świergotaniu na odległość, a telefon w sąsiednim pokoju bez przerwy dzwonił, szarpiąc nerwy, bo czyjaś miłość legła w gruzach.

Ale kto tu potrzebował snu? Ja przecież nie, bo przede mną akurat była trzydniowa ciężka praca z porannymi lotami.

Naszym supervisorem była chuda Libanka o wyjątkowo jasnej cerze, czarnych lokach, kłującym, inkwizytorskim spojrzeniu i pogardliwie dumnym zachowaniu.

- Ludzie, ludzie! - szeptała Brooke Clayton. - Z takimi oczami powinna mieć pozwolenie na broń. Możemy z nią mieć wesoło.

Zanim wystartowaliśmy o piątej rano, madame już zdążyła objechać połowę zaspanej załogi za niekompetentne odpowiedzi podczas briefingu i tak zapewniła sobie rzeszkę i uważną ekipę. Brooke i ja zauważyłyśmy wkrótce, że dokuczała przede wszystkim mężczyznom. Ta kobieta wiedziała, jak zapewnić sobie respekt.

Trzeciego i ostatniego dnia wspólnej pracy, tuż przed lądowaniem w Rijadzie, widziałam, jak Brooke wstała, rzuciła kontrolne spojrzenie przez okno i szybko poszła po szefową.

Patrzyłam, jak Libanka sztorcowała młodego, czerwonego po uszy pasażera i przecinała go czarnym spojrzeniem. Co się tam działo? Niemalże pękałam z ciekawości.

Po lądowaniu rozkosznie oburzona Brooke powiedziała mi, co się wydarzyło.

- Ten plugawiec podczas całego lotu dłubał sobie przy rozporku. Próbowałam to najpierw zignorować, wiadomo, jacy ci kołesie tutaj są seksualnie wygłodniali. Gdy usiadłam naprzeciwko niego przypięta do lądowania, nagle się obnażył i zaczął onanizować bez zahamowań! Nad tym nie mogłam, oczywiście, przejść do porządku, więc niezwłocznie przyprowadziłam madame. Spojrzenie z oczu jak rewolwery i jej męski urok... - Brooke zgięciem dłoni pokazała mi wyraziście, co się zdarzyło.

- No i? Jak sobie dała radę z tą sytuacją?

- Z początku chciała go po wylądowaniu oddać w ręce policji, ale błagał ją: „Proszę, nie policja! Jestem chory - ciągle muszę myśleć o jednym”.

- Madame dała się zmiękczyć?

- No tak, jak widać. Z policją obyczajową ona też, oczywiście, nie chciała mieć do czynienia. Musiał mnie przeprosić i obiecać, że

nigdy więcej nie będzie się publicznie zachowywał nieobyczajnie. Zapisała sobie jego personalia i nastraszyła go zgodnie ze wszystkimi regułami tej sztuki. Ale właściwie to już nie było potrzebne, ten koleś prawie zrobił ze strachu w swoją koszulinę.

Brooke patrzyła z namysłem na swoje długie, smukłe uda, tkwiące w szorstkich gabardynowych spodniach od munduru.

- Człowiek czuje się jak w jakimś nędznym peep-show! To typowe dla Arabii Saudyjskiej!

W domu czekało na mnie zaproszenie od Connie, która przeniosła się z Jeannie do domu numer siedem, na parter.

Pięć minut później stałam przed ich drzwiami. Na moje pukanie otworzyła zmęczona, niechlujna Arabka z tłustymi włosami i ciemnymi podkowami pod oczami. W tle słyszałam Connie:

- Teresa, wchodź wreszcie!

Arabka odsunęła się na bok.

- O ludzie, ale było nerwów - wyklądała Connie. - Jeannie i ja już w Nowym Jorku słyszałyśmy, że teraz do naszego mieszkania wchodzi i wychodzą z niego stewardesy tranzytowe, podczas gdy nasze rzeczy leżą zgruzowane na korytarzu i każdy może z nich skorzystać

- Ale to przecież nieprawda, to z tymi teczami. Kto wam coś takiego powiedział?

- No, Brooke Clayton!

- Ona? To do niej podobne.

- Widziałyśmy przecież, że to nie było tak. Wielkie dzięki, że zatroszczyłaś się o nasze rzeczy, tak nam ulżyło! Poza kilkoma drobiazgami nic nie zginęło. O Boże, co to był za stres! Wraca człowiek wyczerpany z urlopu i musi się od razu przeprowadzać!

Wepchnęła mnie do ich pokoju i wyszeptwała:

- Chodź, pokażę ci, co przywozłam ze sobą.

Triumfalnie wyciągnęła małą szklaną fiolkę, w której były kryształiczne okruchy.

- Ha! Jeden taki podarował mi to w Nowym Jorku. To narkotyk. Ma działać jak gaz rozweselający i przedmuchiwać mózg.

- Connie, czy ty kompletnie zwariowałaś, żeby coś takiego tutaj szmuglować?

Connie odchrząknęła złośliwie:

- Wypróbujemy to razem, Tereso?

Podejrzliwie spojrzałam na fiolkę.

- J a k się to coś przyjmuje?

Connie usiadła na łóżku i zaczęła się bawić zapalniczką.

- Trzeba to rozgrzać, potem paruje... mniej więcej tak - och! - zaskoczona odsunęła fiolkę od siebie. Wzięłam ją i instynktownie powąchałam. Był to jak lodowaty huk na poddaszu; przerażona przycisnęłam obydwie ręce do czaszki, żeby nie odfrunęła.

Drobnym ciałem Connie wstrząsały salwy śmiechu. Jej ramiona jak cepy uderzały o materac, poczerwieniała z wysiłku, a u mnie też już zaczynało się piekielne, wstrząsające przeponą działanie. Prawdopodobnie skazałyśmy się na to, by umrzeć ze śmiechu. Ten koszmarny trwał mniej więcej dwadzieścia minut, potem na szczęście narkotyk gwałtownie przestał działać. Wytarłam sobie z twarzy łzy i pożegnałam się z Connie z pękającą głową i mieszanymi uczuciami.

Marika właśnie się obudziła i z zamkniętymi jeszcze oczami chwyciła za telefon.

- Danilo, kochanie, och! Tak bardzo za tobą tęskniłam! Czy mój cukrowy misiaczek też trochę tęsknił za swoim garnuszkiem miodku?

Gdy cukrowy misiaczek zapewniał swój ziewający i czochrający się po głowie garnuszek miodku, że tęsknił za nim jak stąd na

Marsa, wzięłam książkę i uciekłam na dach. Między Mariką a mną doszło już do kłótni o jej nieustające, trwające dniami i nocami rozmowy telefoniczne. Jak Charlotte tak długo z nią wytrzymała? I co mi przyszło do głowy, żeby wprowadzać się akurat do jedynej osoby, z którą musiałam rywalizować o względy Charlotte?

Gdy godzinę później dudniący ból głowy i nadmiar słońca wygończyły mnie z powrotem do mieszkania, Marika akurat była gotowa zaręczać się przez telefon. Zrezygnowana uniosłam w górę oczy i zamknęłam się w łazience, gdzie chwilę potem zapukała Evanthia, która potrzebowała kosmetyków do makijażu. Wpełzłam do łóżka i naciągnęłam kołdrę na głowę, gdy garnuszek miodku z cukrowym misiaczkiem planowali miodowy miesiąc nad południowymi morzami.

Ukończenie corocznego kursu odświeżającego wiedzę i obowiązkowe badanie lekarskie stanowiły warunek przedłużenia licencji lotniczej na kolejny rok.

Odpowiednio oddalona od mojej sąsiadki, siedziałam w pomieszczeniu lotniczego centrum treningowego bez okien i zastanawiałam się nad pytaniami z testu końcowego.

Mogliśmy zrobić co najwyżej pięć błędów, ale nie miałam pewności co do poprawności odpowiedzi na kilka pytań, gdy po upływie czasu przeznaczonego na test oddawałam kartkę.

Na omówieniu testu skonsternowana instruktorka lustrowała zebraną w oczekiwaniu klasę przez okulary w czarnych oprawkach.

- Co się stało? Prawie połowa z was nie zdała! Coś takiego jeszcze mi się nie zdarzyło. Nie zrozumieliście pytań napisanych po angielsku? Zauważyłam, że wszyscy odpowiedzieli źle na to samo pytanie. Ale zanim to sobie razem wyjaśnimy - i tu przerwała, aby

roздаć wyniki - poproszę tych, którzy nie zdali, by zameldowali się u mnie po tych zajęciach.

Serce podeszło mi do gardła. Należałam do tych, którzy nie zdali. Ach, gdybym przed kursem jeszcze raz przekartkowała swoje matet iały!

- A teraz wróćmy do pytania, na które wszyscy odpowiedzieli źle. Otwórzcie rozdział piąty.

Ratując nasz honot, wkrótce stwiedziliśmy, że wśród podanych odpowiedzi na to pytanie żadna nie była prawidłowa.

Pytanie zostało ze skutkiem natychmiastowym wyrzucone z testu. Odzyskałam nadzieję; ponieważ ten błąd już się nie liczył, musiałam zdać i ja - chyba nie mogłam popełnić więcej niż sześciu błędów.

Siedem!

Oprócz mnie testu nie zdali atrakcyjna Amerykanka imieniem Bunny i zaspany saudyjski purser.

- Mój Boże, to blamaż - szeptała zawstydzona Bunny. - Latam już od trzech lat i potykam się o jakiś test, który chociaż trochę zawiły, napisany jest w moim ojczystym języku.

Putser przyjął to spokojnie, jego obojętna mina pokazywała wyraźnie, że nie musi się martwić o pracę.

Zostałyśmy zobowiązane do dokładnego przestudiowania naszych podstaw latania i zgłoszenia się za trzy dni do centrum treningowego na powtórkę z testu.

W Bunny i we mnie obudziło się poczucie solidarności, które na jakiś czas łączy ludzi dotkniętych tym samym nieszczęściem. Współlokatorki Bunny wyjechały akurat na urlop, miałyśmy więc mieszkanie, w którym nie szalał tajfun i gdzie można było się uczyć.

Na ścianach wisiały oprawione czarno-białe fotosy tancerki Marthy Graham i nadawały salonowi chłodną, elegancką nutę, która mi się podobała.

- Myślę, że wiem, dlaczego oblałam ten test - Bunny wciąż przeżywała porażkę. - Właściwie to mam dość latania i chciałam rzeźbić maski i zostać projektantką wewnątrz, tylko jeszcze, niestety, brakuje mi pieniędzy na kształcenie w Nowym Jorku. Och, przepraszam, zesłam z tematu! Wyjaśnij mi lepiej jeszcze raz różnicę pomiędzy niedotlenieniem a hiperwentylacją, potem możemy przejść do rozdziału o awaryjnym wodowaniu.

Dzień później ja zdałam powtórkowy test, a Bunny i purser znów nie. Zgodnie z regulaminem skutkiem powinien być natychmiastowy zakaz lotów aż do ukończenia następnego pięciodniowego kursu podstawowego, ale dla obojga doświadczonych pechowców za zamkniętymi drzwiami wynegocjowano bardziej elastyczne rozuzłanie.

Pewnego ranka przy moim kapeluszu od munduru nie zauważyłam przypinanych złotych skrzydełek. Ponieważ przy rozkładanym kapeluszu Mariki nigdy nie widziałam skrzydełek, założyłam, że nie pytając mnie, po prostu sobie pożyczyła. Ale Marika wmiała mi, że nie dotykała moich skrzydełek.

- Popatrz, ja też nie mam! Moje też gdzieś się zawieruszyły.
- Skrzydełek nie ma i nikt ich nie wziął - mamrotałam.
- Zawsze ci mówiłam: nie ufaj nawet własnemu cieniowi. Telefon zadzwonił i wyjątkowo był to telefon do mnie.
- Hej! Co się dzieje? Twój numer jest wciąż zajęty!
- Och, Jerome! Czemu zawdzięczam łaskę jednego z twoich rzadkich telefonów?
- Nie ma powodów, byś była aż tak sarkastyczna. Widzimy się dziś wieczorem, punkt ósma! Ale tylko przez dwie godziny, muszę potem jeszcze popracować.

- W porządku - powiedziałam szybko, gdyż Marika strzygła uszami.

- Czy to był on? Widziałam was oboje w hotelu Móvenpick. Ach, ale on jest przystojny! Taaakie wieceeeelkie brązowe oczy jak u misia.

Nie bez dodatkowych myśli szykowałam się na randkę bardzo starannie. Miałam na sobie nowy, szary garnitur w prążki z Hongkongu, czarne lakierowane szpilki i mój najpiękniejszy i najdroższy naszyjnik.

- Widzisz, uczysz się - skwitował Jerome moje starania. - Wyglądasz lepiej niż kiedykolwiek. Teraz pójdziemy do Chińczyka coś zjeść, a potem muszę, niestety, wrócić do biura.

- Wciąż tylko słyszę o pracy. Czy ty w ogóle jeszcze wiesz, jak wygląda życie i miłość?

- A ty myślisz tylko o seksie! Tereso, spróbuj zrozumieć, że nasza branża teraz przeżywa boom. Siedzimy po uszy w zleceniach. Co jest ważniejsze: praca czy przyjemność?

Na wszelki wypadek milczałam. Moim zdaniem dość już było ofiar, spędzaliśmy ze sobą coraz mniej czasu, po cichu nie godziłam się z takim rozwojem spraw.

Nagle uderzył się dłonią w czoło.

- Dobry Boże! Byłbym zapomniał o ważnym telefonie od szejka Ahmeda! - gwałtownie zawrócił, nacisnął pedał gazu i gnał z powrotem do biura.

- Przykro mi, Tereso, kolacja musi poczekać. Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie zła. Kupisz nam na rogu kanapki u Libańczyka? Dla mnie z mózdzkiem.

Rozczarowana kupiłam dwie kanapki i dwie butelki lemoniady. Gdy weszłam z nimi na górę, królowała za swoim biurkiem i rozma-

wiał przez telefon. Przysiadłam na brzegu biurka i gdy skończył rozmowę, zapytałam szorstko:

- Teraz już zawsze ma tak być? Będziesz pracował dzień i noc, a ja mam ci się przy tym przyglądać?

- Teresa! Niestety, muszę stwierdzić, że masz zero ambicji i zmysłu do interesów; jeszcze mi marudzisz, narzekasz, chcesz być ciągle prowadzana tu i tam i zabawiana! Nie masz zrozumienia dla takiego mężczyzny jak ja! Myślę, że będzie lepiej, jeśli nie będziemy się widywać.

Pełne złych przeczuć napięcie prawie zatrzymało moje serce.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - drażylałam bez tchu.

- Ze koniec z nami. Koniec i cześć! - odpowiedział ostro.

Zamiast szybkiego rozwoju, na który miałam nadzieję, nagle wszystko się skończyło. Czyżby w sprawach sercowych nigdy nie można było mieć choćby odrobiny pewności? Zawsze trzeba budować tylko po to, żeby jednym świadomym ruchem znów wszystko obrócić w perzynę?

- Skoro już o wszystkim zdecydowałaś, pozostaje ci tylko odwieźć mnie do domu. Teraz, już! - usłyszałam własny głos.

Bez słowa wziął kluczyki do samochodu i chwilę później znalazłam się, machinalnie zmierzając do mojego mieszkania, z powrotem w kampusie stewardes. Na szczęście w mieszkaniu nikogo nie było, przynajmniej nie musiałam przed nikim ukrywać swojego bólu.

Co mu przyszło do głowy tak się mnie czepiać? W końcu ja też miałam ciężką i wymagającą pracę! Mój wolny czas chciałam po prostu spędzać jak najprzyjemniej z nim, czuć się podziwiana, kochana i bezpieczna. Dlaczego zrobił ze mnie wymagającego, roszczeniowego, egoistycznego potwora? Nie, tak dalek być nie mogło.

W czarnej rozpachy padłam na łóżko, rzuciłam butami przez pokój i zaszlochałam w poduszkę.

Aby zagłuszyć ból po rozstaniu, wszystko było dobre - nawet propozycja Sultany, by wziąć udział w popołudniowej imprezie w weekendowym domku przy Obhor-Creek.

- To sami dobrzy przyjaciele z Rijadu, którzy chcą się tu troszkę zabawić - wyjaśniała Sułtana leniwym głosem, a jeśli ta prześwietna rajfurka mówiła o „dobrych przyjaciółach”, zawsze miała na myśli pieniądze i władzę.

Nieco później niż byłyśmy umówione Sułtana, dwie młode Tunezyjki i ja zostałyśmy zabrane spod bramy starą czarną limuzyną przez Saifa, chudego, ciemnoskórego supervisora Saudii.

Sułtana siedziała z przodu obok Saifa, który podobnie jak ona miał zlecenie, by załatwić dziewczyny na imprezę, i kłóciła się z nim, dłubiąc przy swoich neonowo różowych plastikowych tipsach.

Wiał duszny, gorący pustynny wiatr. Niebo było jak brudnożółty dach namiotu zawieszony na ulicznych lampach i dachach domów.

Zostawiliśmy Dżuddę za sobą dobry kwadrans temu, gdy samochód, na prostej drodze, nagle zaczął szarpać i przystawać, aż w końcu z mocnym szarpnięciem się zatrzymał.

Kilka kilometrów przed nami burza piaskowa wirami unosiła piach. Widzieliśmy żółtobeżową ścianę do nieba, która rozszerzała się na wschód.

- I jeszcze to! - wymamrotał Saif. - Burza szaleje w pobliżu Creek.

- Patrz lepiej, żebyś zdążył naprawić samochód! - rozkazała Sułtana z dezaprobatą i przygryzała odklejający się tips. - Chyba że chcesz, żeby nas tu wszystkich razem złapali.

Saif wysiadł i z pewnym wysiłkiem otworzył maskę.

- Silnik jest przegrzany - powiedział na chybił trafił. - Musimy czekać.

Sułtana milczała i znów zajęła się swoimi paznokciami. Wyciągnęła buteleczkę neonowo różowego lakieru do paznokci.

Nieco później Saif ponownie spróbował uruchomić samochód.

- Mamy wsiąść i popchnąć? - zażartowała.

- Tylko nie to! - odpowiedział Saif, który moją uwagę potraktował poważnie.

- Ale tak też siedzimy w pułapce! - wymamrotała jedna z Tunezyjek.

- No nie! Kto to powiedział? Przyjacieli! - nagle wykrzyknął podniecony Saif i zatrąbił.

Nadjeżdżający z przeciwka samochód gwałtownie zahamował, wysiadł z niego młody człowiek, przeszedł przez drogę i z rozpromienioną twarzą szybko ku nam zmierzał. Pokrzepił Saifa kilkoma dowcipnymi słowami i umiejętnie kilkoma ruchami rąk pomógł nam wyjść z kłopotu. Dzięki niemu mogliśmy znów ruszyć dalej.

Nasz cel widać już było na horyzoncie: niewysoki, płaski, piaskowy budynek z zamkniętymi okiennicami. Jego przestronna weranda otwierała się na Morze Czerwone, dziś w kolorze ochry.

Po domu widać było, że przez większość czasu statzał się, niezamieszkały. Drzwi z tarasu prowadziły wprost do wąskiego, ciemnego pomieszczenia, gdzie nasi gospodarze, panowie z Rijadu, w białych tradycyjnych strojach siedzieli na podłodze i przyjaźnie gawędzili. W tle gupka młodych zagranicznych kobiet tłoczyła się wokół upieczonego w całości jagnięcia.

Nas, spóźnialskie, przedstawiono gospodarzom i ze słowami *Welcome! Ablan!* odprowadzono do reszty kobiet.

Wyglądało to jak impreza w stylu typowym dla tego kraju: mężczyźni i kobiety pozostawali oddzielnie, ale mężczyźni nie chcieli się bawić bez podniecającej obecności kobiet.

Dwaj służący bez słowa wnieśli *bummus* (pastę z ciecierzycy) i *tabouleh* (sałatkę z bulguru, pomidorów, dymki i pietruszki z cytryną i oliwą) i natychmiast zniknęli. Saif zdążył mi wcisnąć do ręki drinka. Właśnie stwierdziłam, że piję rozwodniony gin, gdy z cienia wyszła czarnowłosa piękność, wydłubała jagnięciu lewe oko i zjadła wśród okazjonalnych pomruków. Rozpoznałam w niej dziewczynę, która podczas wieczoru informacyjnego w sali balowej Sheratona w Stambule siedziała dokładnie za mną.

Saif troszczył się o to, by moja szklaneczka nawet przez chwilę nie była pusta. Kiedy najwyraźniej uznał mnie za dostatecznie pijaną, zaproponował mi rundkę po domu.

Gdy tylko zostaliśmy sami w pustym pomieszczeniu obok, którego jedyną ozdobą była piękna mozaikowa podłoga, rzucił się na mnie i zaczął pożądliwie całować. Najpierw, skamieniała ze strachu, przyzwoliłam mu na to, ale potem ogarnęła mnie fala żalu nad sobą i opadłam bez sił na mozaikę, gorzko szlochając.

On usiadł obok mnie, zaskoczony, i kiedy bezradnie głąskał mnie po zgarbionych plecach, moje łzy kapały na cieniutką warstwę piasku na mozaikowej podłodze.

Rozgrzany, przycisnął mnie do podłogi, na wpół położył się na mnie i pocierał swoim sztywnym członkiem o moją kość łonową. Niecierpliwie majstrował przy klamrze mojego paska i szeptał mi do ucha:

- Nie płakać! Przestań płakać, ja myślę z tobą dobrze!

W tym momencie otworzyły się drzwi i błyskawicznie się podniósł. Ja, gramoląc się, wstałam i uciekałam na taras.

Uderzyła mnie fala ciężkiego, ciepłego powietrza. Jałowy, jak przysłonięty woalką, krajobraz rozjarzył się trwożliwie wieczornymi pastelami. Przy balustradzie tarasu stała samotnie piękna Turczynka i znudzona patrzyła w dal. Zagadnęłam ją:

- No i jak ci się podoba impreza?

Odwróciła do mnie owalną, w kontraście z czarnymi lokami niezwykle jasną twarz.

- Czysta strata czasu. Gdy to tylko będzie możliwe, chcę wrócić do domu.

- Pozwolisz, że się do ciebie przyłączę? Ja też mam dość.

Jej ciemne migdałowe oczy z czarnymi jedwabistymi rzęsami lustrowały mnie z łagodnym zainteresowaniem.

- Wyglądasz na trochę przybitą. Nie czujesz się dobrze?

- Chyba za dużo wypiłam... Często chadzasz na takie imprezy?

- Chodzę, kiedy tylko mnie zaproszą. Jestem tu dla pieniędzy, jak wszystkie dziewczyny. Ale interesy coś nie idą.

- Nie rozumiem. Wyglądasz tak, że mężczyźni muszą się o ciebie bić.

Uśmiechnęła się, mile połączona.

- Mylisz się. Nie wiem, na czym to polega, ale to głównie inne robią interesy.

W tym momencie podszedł do nas Saif, chwycił mnie za łokieć i zaprowadził poza zasięg słuchu Turczynki.

- Powiedz, chcesz zostać tu na noc? Podobasz się naszemu gospodarzowi. Masz szczęście, jest nie tylko bogaty, młody i przystojny, ale też bardzo wspaniałomyślny, hojny i przyjemny w obyciu.

- Pozostanie tu na noc nie wchodzi w rachubę. Nie chcę z powodu jakiejś przygody ryzykować pracy.

- Nic nie stracisz, przeciwnie! Wynagrodzi cię bardzo hojnie, jeśli tu zostaniesz - naciskał Saif, który widział w tym swój interes.

- Jest tak, jak już powiedziałam - wyjaśniłam niegrzecznie i wskazałam na Turczynkę. - Zapytaj ją, czy chce!

- O niej nie mówił.

- To była miła impreza, Saif, ale teraz czas iść.

Wkrótce potem siedziałyśmy, Turczynka i ja, każda zajęta

swoimi myślami, obok siebie we wnętrzu przestronnego luksusowego pojazdu z przyciemnionymi szybami i pozwalałyśmy się stylowo odwieźć do domu.

Akurat zawzięcie szukałam butów od munduru i paska, gdy zadzwonił telefon. Zanurkowałam przez pokój, żeby go odebrać.

- Hallooo... Nigdy byś chyba do mnie nie zadzwoniła? - odezwał się ciemny, skruszony głos, którego najmniej się spodziewałam.

Z miękkimi kolanami przysiadłam na brzegu łóżka.

- Co robiłaś przez te pięć dni? - pytał Jerome.

Długo milczałam, w końcu powiedziałam:

- Nie sędzę, żeby cię to obchodziło.

- Zgadza się, prawdłowo!... Tereso, byłem w stosunku do ciebie tak batdzo niesprawiedliwy i proszę o wybaczenie. Tak bardzo za tobą tęskniłem przez te dni... Uwierz mi, nie przyszło mi łatwo po tym wszystkim, co się zdążyło, do ciebie zadzwonić. Ale... nie chcę cię stracić. Czy ty też chociaż troszkę za mną tęskniłaś?

Siedziałam jak skamieniała i nie wierząc w to, co słyszę, wciąż trzymałam słuchawkę przy uchu.

- J e s t e ś tam jeszcze, Tereso? Chcesz się ze mną znów zobaczyć? Może od razu, teraz? Wybaczysz mi?

Przepełniało mnie nieopisane szczęście. Moje serce rozciągnęło się z taką mocą, jak gdyby chciało się rozprysnąć.

- Tak - wydusiłam z siebie w końcu. - Odpowiedź brzmi: „tak”. Na wszystkie twoje pytania.

Nasza załoga miała w planie czterodniowy pobyt w New Delhi i zakwaterowano nas w starym hotelu Oberoi. Na jego trzeszczących

parkietach i wydeptanych indyjskich dywanach w stonowanych barwach, wśród pluszowych kanap człowiek czuł się, jakby się przeniósł 0 sto lat wstecz. Wszystko to zamykało w sobie przeszłość i wszystko pachniało tym samym starawym, ale nie nieprzyjemnym zapachem polityty, zwędzonych kwiatów i nadmiernie dojrzałych owoców.

Dzieliłam dwuosobowy pokój z moją partnerką Xenią, Greczynka wychowaną w Rodezji. Xenia była poważną dziewczyną z zasadami, akurat po taz pietwszy zakochaną. Nie chciała uczestniczyć w wycieczce do Agry, bo „to wszystko” już widziała. Umówiłam się więc spontanicznie z Muriel i trzema innymi koleżankami.

Agra to chyba jedno z najbrudniejszych miast Indii, ale nie można się było napatrzeć na jej monumenty. Droga do Tadź Mahal w pierwszych promieniach porannego słońca była przeżyciem z gatunku *deja vu*: jak piramidy w Gizie, wieża Eiffla i inne jeszcze nadzwyczajne budynki Tadź Mahal jest tak głęboko zakorzeniony w ogólnej wiedzy ludzkości, że należy do każdego po trochu.

Z szacunkiem wchodziłam po marmurowych stopniach, lekko gładząc opuszkami palców inkrustacje z półszlachetnych kamieni, które zdobiły monument. Moje mokasyny bezgłośnie ślizgały się po pozornie nieskończonych powierzchniach białego, chłodnego marmuru - sceny zawieszanej gdzieś między niebem a ziemią.

Ale ten elizejski spokój był pozorem. Tadź Mahal, mauzoleum i pomnik wiernej małżeńskiej miłości sięgającej za grób, powstał kosztem krwi swoich budowniczych. Bezlitosny, okrutny Wielki Mogoł kazał zgładzić wszystkich, którzy na jego zlecenie ten marmurowy monument budowali. Chciał mieć pewność, że plany budowli i jej tajemnice nigdy nie wyjdą najaw.

Opuściliśmy ten grobowiec i jego zielone, wypielęgnowane ogrody i poszliśmy do ściany drzew. W ich cieniu czaili się

zaklinacze węży, którzy czekali na turystów. W wiklinowym koszu leżał wąż, a w klatce siedziała łośnica. Za opłatą można było obejrzeć walkę węża z łośnicą. Taka krwawa wojna zwierząt nas nie interesowała. Poszliśmy dalej.

Przed portalem, który okazał się wejściem do hinduistycznego miejsca kremacji, stało sporo ludzi. Niedaleko portalu, na brzegu rzeki, trafiliśmy na rytuał palenia zwłok. Przez luki w żywopłocie patrzyliśmy, jak młody mężczyzna z płonąca pochodnią zapalał stos. Wkrótce dotarł do naszych nosów dym, który z czasem zyskał przenikliwy słodkawy-węglowy dodatkowy zapach.

Jedna z Angielek wskazała przeciwległy brzeg rzeki i zwróciła uwagę na wyjątkowe nagromadzenie sępów.

- No, te to są dobrze odżywione!

- O ile wiem, hindusi nie palą zwłok małych dzieci - wyjaśniła Muriel. - Budują tratwę, kładą na niej martwe dziecko i wysyłają w podróż z biegiem rzeki.

Chaotyczny ruch na zakurzonych drogach podlegał własnym, niepisany prawom; siła to prawo, mniejszy ustępuje miejsca większemu - tak wydawało się to działać. Czerwony Fort oferował nie tylko jedyny w swoim rodzaju widok na leniwe zakola rzeki, okazał się również doskonałym miejscem obserwacji drogi nad rzeką. Poobijane samochody, przepełnione autobusy, riksze, obdarty chłop z ogromnym wysiłkiem ciągnący swoją furę siana, trzykołowe trzeszczące taksówki, grzechoczące motory, przeszkadzający pieszy, wózki zaprzężone w woły, wałęsające się psy, święte krowy i słonie - to były Indie.

Następne dni wypełnione były zakupami i odkrywczymi wycieczkami po New Delhi. Tam, na zbutwiałych, poczerniałych

od spalin ulicach trafiliśmy na ostatnich hippisów i dzieci kwiaty z końca lat sześćdziesiątych. Po wszystkich tych latach pseudoreligijnego prania mózgów i tak zwanego rozszerzania świadomości, po wszystkich tych ekstazach i seksualnych ekscesach interesowało ich jeszcze tylko, gdzie i jak zdobyć trawkę - końcowa stacja Delhi.

Brażowe, sztywne od brudu żebrzące dzieci stawały nam na drodze. Pucybuci podchodzili i koniecznie chcieli wypastować moje białe mokasyny brązową albo czarną pastą. Na światłach zagadnęło nas dwoje młodych, sympatycznych turystów z plecakami. Czy nie chcielibyśmy czegoś razem przedsięwziąć? Jeśli chodzi o Xenię, źle trafili!

- Ludzie! Ale oni byli zupełnie nieszkodliwi - odważyłam się zauważyć.

- Ach tak! Jeśli wolisz iść z nimi, proszę, są tam z przodu!

Tak, taka właśnie była Xenia. Za ładnym czółkiem krył się silny, niezłomny charakter. Jej zakochanie i skłonność do samotności nie czyniły z niej idealnej towarzyszkii tak żadnego rozrywek stworzenia, jakim byłam ja.

Kilka dni po moim powrocie do kampusu stewardes odkryłam zniknięcie swojego ulubionego naszyjnika, który poprzedniego dnia włożyłam do toaletki. Skonsternowana przerzucałam zawartość szuflady i gdy okazało się, że naszyjnika w niej nie ma, zaczęłam sprawdzać inne szuflady.

Marika, która udawała, że przeszkadzam jej w drzemce, nagle otworzyła oczy i wymamrotała:

- Co się dzieje, co to za hałas?
- Nie ma mojego naszyjnika!
- Jakiego naszyjnika? O czym ty w ogóle mówisz?

- Mówię o moim naszyjniku ze splecionych ze sobą białych i złotych pasm. Nie ma go na swoim miejscu w szufladzie.

Przetarła oczy i usiadła na łóżku.

- Jesteś całkiem pewna, że tam go położyłaś?

- Tak, jestem!

Pełzałam w tym czasie na czworakach i przeszukiwałam dywan. Gdy to nic nie dało, ptzetrząsnęłam swoje łóżko, komodę, szukałam w łazience, korytarzu, salonie - wszędzie. Ani śladu mojego naszyjnika.

- Poszukaj też w moich szufladach i pod moim łóżkiem. Być może gdzieś się potoczył, wpadł - rzeczowo poradziła mi Marika.

Zrobiłam, jak powiedziała, ale nadzieja, że znajdę tam naszyjnik, była praktycznie żadna. Gdyby Marika miała coś wspólnego z jego zniknięciem, z pewnością nie wskazywałaby mi go własnym nosem.

Po godzinie bezskutecznych poszukiwań Marika, wsuwając sobie dla wygody poduszkę pod plecy, podsumowała:

- Naszyjnik został z pewnością ukradziony. Mam nadzieję, że to nie to, ale w pokoju Evanthii nocowała dziś wyjątkowo jej przyjaciółka Sophia. Sophia stacjonuje w Atenach i leci tam z powrotem wczesnym rankiem. Myślę, że powinnaś ją przeszukać, tak na wszelki wypadek.

Marika miała rację. Naszyjnik był zbyt cenny, aby nie wykorzystać każdej możliwości. Ta Sophia, sprzątaczką, Marika i ja byliśmy, z tego co wiedziałam, jedynymi osobami, które wchodziły do mieszkania przez ostatnie dwa dni.

Zapukałam zdecydowanie. Sophia odpowiedziała dopiero po drugim uporczywym pukaniu.

- Co się dzieje? Już śpię!

- To ja, Teresa z pokoju obok. Przykro mi, że muszę ci przeszkodzić, ale to ważne. Zginęła mi cenna sztuka biżuterii. Muszę cię poprosić, żebyś mi otworzyła.

Westchnęła oburzona i otworzyła drzwi. Zobaczyłam małą, ciemnowłosą osóbkę w szerokim białym T-shircie.

- Wchodź, jeśli tak musi być - powiedziała z wyrzutem, zaspana - ale pozwól mi wrócić do łóżka, padam ze zmęczenia. Wzięłam tabletki, bo nie mogłam zasnąć, i teraz jeszcze przychodzisz ty i mi przeszkadzasz, ale proszę!

- Bardzo mi przykro - powtórzyłam. - Ja też jestem zażenowana. Ale nie chciałabym cię podejrzewać o kradzież, dlatego muszę to zrobić.

- Rozumiem - wymamrotała, poddając się. - Na drzwiach szafy wisi mój mundur, przeszukaj go też.

Gdy wszystko przeszukałam i niczego nie znalazłam, przeprosiłam jeszcze raz i opuściłam zaspaną Greczynkę.

- I co? - prowadziła śledztwo Marika. - Znalazłaś naszyjnik?

- Oczywiście nie.

Nie miałam wrażenia, że Sophia była złodziejką, ale nie dało się tego całkiem wykluczyć. Istniała w końcu niezliczona ilość schowków, również poza mieszkaniem. Poza tym była jeszcze filipińska sprzątaczką, która przychodziła każdego dnia. Również w jej przypadku mój instynkt podpowiadał mi, że nie sięgnęła bez pozwolenia do mojej szuflady. Jeśli czegoś brakuje, tak czy owak służba to pierwsze osoby, które się podejrzewa. A moja koleżanka z pokoju, Marika? Niemożliwe, żeby była tak przebiegła i miała tyle zimnej krwi. Marika miała swoje wady, ale chyba nie mogła być aż tak podła i zepsuta. Pozostawało jednak faktem, że mój piękny, cenny naszyjnik zniknął, a ja czułam się jak kretynka, nie wiedząc, co się dzieje w moim pokoju.

Klnąc pod nosem, w końcu zaprzestałam poszukiwań i poszłam do łóżka.

*

- Kurka, kurka, kurka! - zawołała Dominique, która chciała się odzwyczaić od wulgaryzmów, bo to nie przystoi przyszłej żonie Desmond'a Harrisa. - Właśnie wpisali mnie na VIP-owski lot do Rijadu.

Przysłuchiwałam się.

- Kiedy?

- Teraz, zaraz! Nie mogę obejrzeć do końca tego cudownego filmu o Gandhim, zaraz muszę iść. Ale zostań w moim mieszkaniu i obejrzyj film do końca. Klucz do mojego pokoju możesz potem zostawić u Sabriny.

Dominique miała trochę ponad trzydzieści lat, była kuzynką Jerome'a. Atrakcyjna, wysoka, o autentycznie wesołej naturze, była po prostu idealną towarzyszką, osobą, z którą aż chce się przebywać. Gdy miałyśmy wolne, Desmond, jej narzeczony, chętnie woził nas do Creek, miejscowości nadmorskich przy strumieniach, gdzie kąpałyśmy się w morzu i próbowałyśmy surfować.

Podczas drugiej części filmu zadzwonił telefon. Po chwili zwłoki odebrałam.

- Cześć, czy mogę rozmawiać z Dominique?

To był przyjemnie brzmiący baryton Jerome'a, którego już dawno nie słyszałam. Już tak dawno, że zadawałam sobie pytanie, czy nasz miłosny pociąg nie zjechał po cichutku i mało spektakularnie na boczny tor.

- Dominique nie ma, mam coś przekazać? - powiedziałam i nie dałam po sobie poznać, że rozpoznałam głos Jerome'a.

- Kim jesteś? - zapytał.

Zatkało mnie: Czyżby naprawdę nie rozpoznał mojego głosu?

- Jestem przyjaciółką Dominique - grałam dalej.

- Taaa, może potrafisz mi pomóc... Chodzi o imprezę urodzi-

nową, którą organizuje dla mojej narzeczonej - dokładniej mówiąc, o niespodziankę. Dominique zna *przecież* wielu ludzi. Powiedz jej, żeby zaprosiła ich wszystkich na imprezę jedenastego marca. Będzie wspaniałe jedzenie, chcę, żeby przyszło dużo gości! Kiedy ona wróci?

- Cóż za wspaniały pomysł! Twoja narzeczona powinna się czuć szczęściarą... Jaka szkoda, że teraz z niespodzianki nici - parsknęłam śmiechem.

Na drugim końcu linii zapanowało milczenie.

- To przecież ja, Teresa. Właściwie powinieś w trakcie rozmowy poznać już mój głos!

- No coś takiego! To możesz sobie teraz sama zaprosić gości na swoje niespodziewane urodziny! - odpowiedział skonsternowany. Zrobiło mi się ciepło koło serca. Jak miło z jego strony, że chciał mi w ten sposób dowieść, że znaczę dla niego tak wiele. A teraz, nawet jeśli niechcący, zepsułam tę piękną niespodziankę.

- Ależ chętnie - powiedziałam - tylko dziś jest ósmy, a jutro 1 pojutrze jestem w Karaczi. Za wiele czasu, żeby zaprosić gości, nie zostało.

Nasz boeing 747 miał lądować o szóstej rano czasu lokalnego na międzynarodowym lotnisku w Karaczi. Ale z powodu gęstej mgły lądowanie znacznie się opóźniło.

Pokój w hotelu Holiday Inn dzieliłam z małą, brązową Marokanką, której twarz przypominała filuterną małpkę. Po krótkiej przerwie na odpoczynek poszliśmy razem na suk w Karaczi. Na samym szczycie naszej listy zakupów znajdowały się intarsjowane drewniane stoliczki i zamykane szkatułki na biżuterię. Targowanie się pozostawiłam małpce, która mimo zmęczenia wynegocjowała dla nas obu przystępne ceny.

Obładowane wróciłyśmy do hotelu, by przebrać się na barbecue nad basenem. Reszta załogi najwyraźniej wpadła na ten sam pomysł, więc biesiadowaliśmy w szóstkę przy jednym stoliku, obsługiwani z uwagą przez najpiękniejszego kelnera świata.

Po kolacji przeszliśmy się na mały spacer po spokojnym sąsiedztwie. Steward Chaled zaprowadził nas do oświetlonego neonami, pustego baru szybkiej obsługi, gdzie zamówiliśmy napoje. Nie było sensu jechać taksówką do miasta, tak twierdził znudzony Chaled. Tam się nic nie działo i coś mocniejszego niż lemoniada pomarańczowa można było kupić, wyłącznie jeśli się nie było muzulmaninem, i to za okazaniem paszportu.

Ponieważ tak się sprawy miały, Chaled i ja umówiliśmy się, że pozwolimy sobie w pokoju hotelowym na jeszcze jeden, nasenny drink. Gdy Chaled złożył nasze zamówienie, pojawił się pod drzwiami mroczny człowiek w turbanie. Zażądał mojego paszportu, który skontrolował ze spojrzeniem celnika i od razu zatrzymał.

- Dostanie go pani z powrotem rano przy wymeldowaniu - powiedział i zniknął.

Prawdopodobnie zostałam uznana za niepoohamowaną pijaczkę, któżta ulega swojemu godnemu pogardy popędowi. Z mieszanymi uczuciami znów otworzyłam drzwi, gdy usłyszałam pukanie. Młody kelner wszedł i odstawił tacę z drinkami. Milcząco podsunął mi rachunek do podpisania. W tym czasie napięte rysy twarzy Chaleda się wygładzały, gdy pochłaniał swój Manhattan. Nie zdążyłam podpisać rachunku, gdy on zamówił jeszcze raz to samo. Kelner spojrział na mnie pytająco.

- W porządku. Proszę przynieść.

I tak tej nocy przez moje gardło przepłynęły trzy musujące drinki z ginem, a więcej niż dwa razy tyle long drinków, popijanych piwem - przez gardło kolegi.

Około trzeciej nad ranem rozkołysana wyprostowałam swoje ciężkie jak ołów kończyny, by wstać z fotela.

- Po co ten pośpiech? Możesz spać u mnie.
- Nie złość się, jeśli nie przyjmę twojej propozycji.
- Jak chcesz, mała Christin, ale coś tracisz.

Miałam głowę jak z waty, po jednej stronie dudnił w niej młot pneumatyczny, gdy trzy godziny później podskoczyłam do góry na dźwięk budzika.

Małpka akurat klęczała na swojej przepełnionej plastikowej walizce i bezskutecznie usiłowała ją domknąć. Z jękiem zatoczyłam się w kierunku łazienki i stanęłam przed lustrem; wyglądałam jak stopiony ser.

Bus na lotnisko już odjeżdżał, gdy przybiegł za nami recepcjonista, machając jakąś kartką. Okazało się, że chodzi o rachunek za naszą grzesznie drogą nocną popijawę, który, skonsternowana, pokryłam, podczas gdy załoga musiała czekać.

Do tego wszystkiego moja szefowa grupy, Nasrin, siedziała w busie w swoim granatowym mundurze - promieniejąca, piękna jak letni poranek i w odrażający sposób świeża i wypoczęta.

- Dzień dobry, Tereso, wracam z tobą do Dżuddy.

Przywołałam uśmiech, którego brakowało mi na twarzy.

Prawie pięciogodzinny lot powrotny z międzylądowaniem w Rijadzie wykończył mnie, ale obecność Nasrin nie pozostawiała mi wyboru: musiałam się uczciwie przyłożyć, żeby - przynajmniej jeśli chodzi o pracę, wygląd tego dnia i tak był do niczego - nie dać jej powodów do niezadowolenia.

★

Moje przyjęcie urodzinowe odbywało się w kampusie rodzinnym, w dużym salonie przyjaciela Jeromea, który akurat był na urlopie.

Gdy weszłam do tego pomieszczenia, dobrze zaopatrzony bufet, po którego obu stronach stały dwie filipińskie kelnerki z serwisu pewnego luksusowego hotelu, wzbudził okrzyki mojego zachwytu.

Podniecony jak mały chłopiec Jerome z wybrylantynowanymi lokami, elegancki jak sam szyk Londynu, wręczył mi mój urodzinowy prezent: przepiękny płaski, niebieski zegarek na rękę, zrobiony przez Cartiera dla księżniczki tej ziemi.

- Na kartkę urodzinową, niestety, nie starczyło pieniędzy, dlatego zerwałem plakat ze Snoopym w jakiejś toalecie na suku - i szerokim gestem wręczył mi pergamin, którego przesłanie w powodzi uczuć szybko przeleciałam wzrokiem, bo czym są słowa, jeśli się jest tak kochanym.

- Ale nie myśl sobie, że będę ci co roku urządzał takie przyjęcie urodzinowe - Jerome przywrócił sprawom ich właściwą miarę. - To twój wieczór, rozkoszuj się nim!

Mój wieczór. Moje pierwsze prawdziwe przyjęcie urodzinowe, wydane w pompatycznym stylu, który Jerome tak lubił. Nie brakowało niczego, delikatesów i napojów spokojnie starczyłoby dla trzydziestu osób, a pojawiła się tylko piątka: Dominique i jej narzeczony Desmond, kapryśna Doris ze swoim niemieckim towarzyszem i sama, rasowa obywatelka Mauritiusa, Olive.

Olive i Doris były poróżnione, to stara historia. Każda próbowała zignorować tę drugą, co na dłuższą metę nie mogło się udać. Doris wprost fukała na Olive jak drapieżna kotka. Po takim incydencie Doris i jej towarzysz pożegnali się. Pozostali jeszcze Dominique, Desmond, Olive i Jerome, by oplotkować niesłychane zach-

wanie Doris. Obydwie kelnerki stały z uprzejmymi uśmiechami na ustach, nogi wrastały im w tułów, a ja dzielnie się uśmiechałam, ukrywając rozczarowanie. Cała Arabia Saudyjska: zaproszeń na imprezy było bez liku, dziewczyny, zblazowane, czuły przesyt i wybierały co lepsze kąski.

Mój wieczór. Klęska. Zaprosiłam wiele osób, a żadna z moich współpracownic i koleżanek nie przyszła, żeby ze mną świętować.

Kilka dni później trafiła się okazja, żeby trochę podpytać Evanthię o Marikę Móbius.

- Zadaję sobie pytanie, czy nie lepiej byłoby, żebym się wyprowadziła - zaczęłam. - Ciągłe giną mi rzeczy. Marika nadużywa mojej cierpliwości swoimi kłamliwymi historyjkami i niekończącymi się rozmowami przez telefon. Mam nieprzyjemne uczucie, że uważa nas wszystkich za durniów.

- Och, nie! - zawołała przerażona Evanthia. - Nie wyprowadzaj się, nie zostawiaj mnie samej!

Natychmiast to wykorzystałam.

- Co o niej wiesz:

- Cóż, Marika zgłosiła się do naboru w Atenach i jako jedyna nie była Greczynka na moim kursie. Chciała nam wszystkim pokazać, jaka jest świetna, i była najlepszą stażystką. Mieszkała z początku z Daphne. Znasz Daphne, taką małą brunetkę?

Zaprzeczyłam niecierpliwie.

- Myślę, że się pokłóciły i Marika się wyprowadziła. Pewnego wieczoru, gdy czekała przy bramie, Daphne zobaczyła Marikę w spodniach, które jej dawno temu zginęły. Daphne podeszła do Mariki i zażądała, by ta oddała jej spodnie. „Musisz się mylić - odparła Marika chłodno - to moje spodnie”. „Ale przecież rozpoznaję moje własne spodnie!

- obstawała Daphne - Ukradłaś mi je!". Marika, poczerwieniała na twarzy, rzuciła się na Daphne jak furia. Daphne przestraszyła się i już nie obstawała przy zwrocie spodni.

- To niesłychane! Dlaczego opowiadasz mi to dopiero teraz?

- A dlaczego miałabym cię oświecać? Myślałam, że dajesz sobie z nią radę i w ogóle to stąta historia z drugiej ręki... - broniła się Evanthia.

Najwyraźniej również Evanthii zginęło parę drobiazgów. Nagle znów przypomniały mi się słowa Charlotte: „Taka krowa, mówię ci, gdy wyjechałam, po powrocie nie znalazłam połowy moich rzeczy. Nie wiem, co z nią jest, naprawdę!”

Cofnęłam się myślami do dnia, kiedy wprowadzałam się do Mariki i ona skarżyła się kontroli stewardes na to, że zginęły jej bluzki od munduru. A co, jeśli nikt jej niczego nie ukradł? Co, jeśli to wszystko było tylko przedstawieniem, aby oszukać mnie i innych, może nawet, aby mnie ostrzec: uważaj, tu się kradnie wszystko, co nie jest przybite gwoździem do ściany! Musiałam tę sprawę wyjaśnić.

Gdy Marika poleciała na dwa dni, otworzyłam szafę i przeszukałam jej ubrania.

To były góry ubrań; Marika wydawała się należeć do ludzi, którzy wszystko gromadzą i nie potrafią się z niczym rozstać. Naliczyłam pięć bluzek od munduru więcej, niż dawała nam Saudia. Zachęcona, szukałam dalej i znalazłam w pudełku pełnym różności śliczną futtżaną broszkę, którą podarował mi pewien wielbiciel!

Co teraz? Nie mogłam przecież oskarżyć Mariki z powodu małej, niewiele wartej broszki. Również dla nadprogramowych bluzek od munduru można było znaleźć wiarygodne wytłumaczenie.

Musiałam być naiwna, żeby mieć nadzieję, że coś tutaj znajdę. Kto kradnie w kraju, gdzie za karę może stracić dłoń, musi się przedtem dobrze zabezpieczyć. Stało się dla mnie jasne, gdzie można byłoby

znaleźć złodziejskie łupy - w mieszkaniu ślepo zakochanego, niemającego o niczym pojęcia Danilo.

Mnie pozostało tylko jedno: wyprowadzić się z tego pokoju.

Dwa dni później w biurze kontroli stewardes spotkałam Tulay, koleżankę z kursu.

Turczynka najwyraźniej była zachwycona, że mnie spotkała. Jeszcze zanim zdążyła mi opowiedzieć nowinki, wybuchłam z moim problemem:

- Powiedz, Tulay, nie wiesz o jakimś wolnym pokoju? Pilnie poszukuję jakiegoś nowego lokum!

- O, to się świetnie składa! - zawołała zaskoczona Tulay. Wyjęła z torebki klucz i wcisnęła mi go w rękę. - Masz, apartament jednaście dwa B, twoje nowe mieszkanie! Ponieważ ja dziś wieczorem przenoszę się do bazy w Londynie, pokój będzie wolny, moja współlokatorka też się wyprowadziła. Mam tam tylko jeszcze jedną walizkę, którą zabiorę po południu. Możesz się od razu wprowadzić. Obok mieszkają dwie miłe nowe Francuzki, Claudine i Aude. Na pewno się z nimi dogadasz.

Promieniejąc z radości, pospieszyłam do swojego pokoju. Jak się należało spodziewać, Marika jeszcze spała. Jak zwykle gadała przez całą noc, a potem odsypiała do drugiej po południu.

- Co tak hałasujesz?

- Pakuję się.

Zupełnie nie wyglądała na zaskoczoną.

- Musisz to robić akurat teraz?

- Tak, muszę teraz.

Westchnęła, zła, i demonstracyjnie naciągnęła poduszkę na uszy. I dobrze, bo już tylko maleńka resztką panowania nad sobą dzieliła mnie od tego, by się na nią rzucić.

Oddałam w biurze kontroli stewardes klucz do starego mieszkania i bez ogródek podałam powód mojej wyprowadzki, co zostało przyjęte z kamienną twarzą. Ciemne, mocno umalowane oczy kontrolerki wciąż mnie lustrowały.

- Niestety, wkrótce będziesz musiała dzielić pokój z jakąś młodszą stewardesą. Oczekujemy w tych dniach grupy Koreanek na kursie.

- Po tym wszystkim, co tu przeszłam, zasłużyłam, by w końcu mieć pokój tylko dla siebie - poinformowałam niewzruszona. Kontrolerka, jakby nie słyszała moich słów, wróciła do swojej pracy.

Gdy wróciłam do swojego nowego lokum, Tiilay już zabrała swoją walizkę. Pokój był dokładnie taki sam, jak w moich dotychczasowych mieszkaniach. Mieszkania w kampusie stewardes można było dowolnie zamieniać - tak jak stewardesy, które w nich mieszkały.

Promienie zachodzącego słońca zalały salon płynnym złotem. Z pobliskiego meczetu rozbrzmiało wołanie na modlitwę. Z ulgą, że udało mi się zrealizować swoje przeprowadzkowe plany tak szybko i bez tarć, położyłam się na łóżku i po prostu rozkoszowałam się tym, że miałam pokój tylko dla siebie.

Od mojej przeprowadzki minęło już parę dni, gdy z przedniej sypialni nagle rozległy się mocne, krótkie salwy śmiechu. Mówiono po angielsku z silnym francuskim akcentem. Zaraz potem otworzyły się drzwi i osobiście poznałam obydwie moje współlokatorki.

Szorstki głos należał do kościstej, chudej Claudine. W jej wodniście niebieskich oczach i krótko ostrzyżonych brązowych włosach było coś chłopięcego. Była wylewna i miała ognisty temperament typowy dla południowców - była Korsykanką.

Przed Arabią Saudyjską zarabiała jako mechanik samochodowy w Paryżu. To do niej pasowało. Z łatwością mogłam ją sobie wyobrazić w porządnie wysmarowanym olejem kombinezonie, leżącą pod zepsutym samochodem.

Błada, drobna Aude ze lśnięcymi, brązowymi oczami wydawała się dręczona wielką boleścią, od której nie mogła uciec. Smutek i depresja otulały ją gęstym woalem, nigdy nie poznałam równie smutnej dziewczyny.

Jej ojciec, z którym była bardzo związana, przed kilkoma tygodniami zmarł w Paryżu na chorobę nowotworową, kiedy ona znajdowała się w samym środku kursu w Arabii Saudyjskiej. Robiła sobie wyrzuty, że nie była przy nim, gdy odchodził. Aude otwierała usta wyłącznie po to, by powiedzieć coś negatywnego. Wyglądało na to, że tylko z braku odwagi, koniecznej do podjęcia tej decyzji, nie rzuciła zniechęconej pracy stewardesy. Aude mnie jednak lubiła, zapewne dlatego, że rozpoznała we mnie kogoś, kto nie tak dawno w podobny sposób stracił ojca. Również Claudine cieszyła się z mojego towarzystwa -jako przeciwwagi dla zaraźliwego smutku Aude.

Często spędzałam noce w centrum operacyjnym załóg na terenie lotniska w Rijadzie, aby polecieć pierwszym porannym samolotem do Dżuddy.

Korytarz w kształcie litery T prowadził do dwóch dużych pomieszczeń, mieszczących się jedno obok drugiego: saloniku dla załóg, gdzie panował ciągły ruch, załogi wchodziły i wychodziły, oraz saloniku wypoczynkowego. Było tam ciemno, umeblowanie składało się z rozkładanych foteli z pierwszej klasy wyposażonych w szorstkie koce lotnicze, które raczej słabo chroniły przed chłodem klimatyzowanego pomieszczenia. Przytulnie zatem nie było.

Po przeciwległej stronie korytarza mieściło się biuro obsady lotów oraz biuro meteorologiczne i informacja. W pobliżu znajdowała się sala konferencyjna, gdzie odbywały się briefingi, były także toalety i mały bar przekąskowy.

Około piątej rano, gdy zebrała się cała załoga, a piloci dostali najnowsze informacje o pogodzie, liczbie pasażerów i ładunku na nasz lot do Dżuddy, pojechaliśmy do samolotu. Na pokładzie każdy członek załogi sprawdził wszystko w zakresie swoich obowiązków, czy jest bezpiecznie, w porządku i czysto, a następnie zabraliśmy się do przygotowania posiłków i napojów w ramach serwisu.

Jako stewardesa kuchenna sprawdziłam dostarczone przez catering śniadania, skontrolowałam ekspresy do kawy i przygotowałam torebki z kawą i herbatą. Lubiłam pracować w kuchni. Człowiek nie był aż tak bardzo skazany na pasażerów. Do zamrażarek i ekspresów do kawy nie trzeba się było uśmiechać.

Podczas rozkładania gazet podjechał pierwszy bus z pasażerami. Goście wchodzili po schodach na górę i tłoczyli się przy wejściu. W tym czasie zabezpieczałam kuchnię i sprawdzałam, czy nie przeoczyłam żadnej dźwigni, żadnej nakładki, żadnej blokady. Ach, wszystkie te konieczne, szybkie, sprawdzające spojrzenia i ruchy przed odlotem! Wystarczy zapomnieć o jednym, a bezwzględnie zemści się to podczas startu maszyny.

Gdy kołowaliśmy przed startem, dopasowałam sobie pasy. Zabrzmiał umówiony sygnał do odlotu, samolot ruszył. Toczył się coraz szybciej, rozkoszowałam się przyspieszeniem, już dziób unosił się znad ziemi, podczas gdy tylne koła jeszcze jechały po pasie z prędkością trzystu kilometrów na godzinę, aż i one się oderwały i maszyna zaczęła się wznosić.

Dominique prawie pękała z ochoty, żeby podzielić się nowinkami. Pewna wysoko postawiona osoba podczas lotu dla VIP-ów zapatrzyła się w nią i zaprosiła ją do swojej rezydencji w Rijadzie.

- Co ja zrobię? - wołała podniecona Dominique. - Trudno mi będzie dać kosza, jemu nikt nie odmawia!

Desmond ścisnął jej dłoń i spojrzął na nią prostodusznie:

- Cokolwiek zrobisz w tej sprawie, kochanie, mam do ciebie pełne zaufanie.

Dominique zwróciła się do mnie:

- Poza tym, Tereso, na zewnątrz jest harmonogram na jutro. Lecisz do Casablanki.

- Do Casablanki? Ale to przecież lot dla starszych stewardes z bazy w Tunisie.

- Już nie. Casablanka jest teraz obsługiwana przez L1011, zamiast, jak dotąd, przez boeingi 707.

Padał lekki wiosenny deszczyk, gdy lądowaliśmy na lotnisku Mohammada V w Casablance. Następnego ranka wyruszyłam, żeby poznać pobliski suk.

Wkrótce pożałowałam mojej samotnej wycieczki, bo miejscowi jeden przez drugiego deptali mi po piętach. Tak bardzo chciałam się ich pozbyć, że prawie nie widziałam otoczenia. Tu jaskrawy kolor, tam nieznaną zapach, a gdzie indziej wąskie przejście do ciemnego, małego warsztatu.

- *Psst... psst, mademoiselle!* Skąd pochodzisz? Anglia? Szwecja? Niemcy? *Est ce-quejepeux t'accompagner?** - gardłowo szeptał obok mnie drobny chłopak. - *I'm good, very good!*

Fr.: Czy mogę iść z tobą?

Gdy mój uparty towarzysz zajmował się zagadywaniem mnie, ja w milczeniu oglądałam wyłożony towar jakiegoś sklepiku ze skórami i zdecydowanie do niego weszłam. Gadatliwy chłopak został za progiem i zaczął się przechadzać. Z czarną skórzaną spódnicą, schludnie zapakowaną w pakowy papier w róże, opuściłam sklep i salwowałam się ucieczką do hotelu.

O jedenastej byłam umówiona z członkami załogi w hotelowym lobby. Nasz supervisor Ahmed, z pochodzenia Pakistańczyk, polecił nam pewną restaurację, położoną kawałek za miastem. Z początku się zgubiliśmy, ale pojawił się przed nami w końcu: biały budynek w stylu mauretańskim, otoczony wodami Atlantyku, jak orle gniazdo na skalnym klifie.

Silny, chłodny pasat szybko przegonił ostatnie strzępki chmur, pozwalając nam oglądać niebo w kolorze głębokiego błękitu. Na horyzoncie, gdzie fale mocno uderzały o brzeg, od otoczenia w kolorze ochry odcinał się, oświetlony słońcem, skromny biały zarys Casablanca. Sam ten widok wart był całej podróży.

Po mocno przyprawionym mięsie z rusztu byliśmy dostatecznie posileni, by wyruszyć na obowiązkowe zakupy w miasto.

Zakupy w Maroku oznaczają włączenie się, wachanie, dotykanie, targowanie się i picie mocno posłodzonej herbaty miętowej. Albo się potem zawiera transakcję, albo idzie dalej. Oznacza to przede wszystkim jedno: trzeba mieć czas. Tak mniej więcej wyobrażałam sobie kiedyś życie stewardesy: wspaniałe loty, obce miasta, kolorowe bazyry i ekscytujące spotkania. *Zagraj to jeszcze raz, Sam,*

- Wszyscy już wypoczęliście? Będziecie mieli co robić! Z Algieru będziecie mieli komplet pasażerów na pokładzie. A Algierczycy... Macie już z nimi jakieś doświadczenia? Cóż, nie należą do najła-

twiejszych gości. Zanim rozdzielę pracę pomiędzy was: kto jest najdłużej w służbie?

Zgłosiła się Marokanka imieniem Fatima.

- A pozostali latają już dłużej niż rok?

- Nie całkiem - trzy Irlandki zgłosiły się, jak gdyby to była jakaś skaza.

- Ale z pewnością to nie jest wasz pierwszy lot na długiej trasie samolotem L1011. Chcę najpierw obsadzić kuchnię na dolnym pokładzie. Ktoś zgłasza się dobrowolnie?

Kuchnia na dolnym pokładzie była pozycją kluczową, jeśli chodzi o organizację, koordynację serwisu i jego przebieg. Kto ją zajmował, musiał szybko się orientować, być zwinny i pracowity i perfekcyjnie znać przebieg serwisu w pierwszej klasie i w klasie ekonomicznej. Jak należało oczekiwać, nikt dobrowolnie się nie zgłosił. W końcu usłyszałam siebie, jak mówię w ciszy pełnej napięcia:

- Ja to zrobię.

Reszta wyraźnie odetchnęła, zarejestrowałam spojrzenia z boku.

- Dobrze, Tereso, robiłaś to już na długich dystansach?

- Dotychczas nie.

- Bez obawy, pomogę ci. Jest jeszcze dodatkowy problem: tutejszy zespół cateringowy nie zna jeszcze naszego L1011. Praktycznie nie wiedzą, jak rozmieścić ładunek. Dlatego musisz im powiedzieć, co gdzie włożyć. Na dole masz sześć kuchenek, powiedz mi, proszę, jak gasić ogień w kuchence.

Akurat skończyłam wyliczać kolejne kroki walki z ogniem, gdy wparadował nasz amerykański kapitan.

- No, ludzie, dobrze bawiliście się w Casablance? Wspaniale! Spodziewamy się dobrej pogody na całej trasie. Najwyżej od Algieru podczas wznoszenia może trochę trząść. Czas lotu do Algieru: godzina pięćdziesiąt pięć minut. Z Algieru do Dżuddy: cztery

godziny czterdzieści minut. Która z was, młode damy, pracuje dziś na pozycji R1?

Znów zgłosiła się Fatima.

- Dobrze, Fatimo, przed wejściem do kokpitu najpierw dzwoń, potem dwa razy zapukaj. Zaraz po zgaśnięciu komunikatu świetlnego poproszę gorącą kawę, czarną z dwiema torebkami cukru. A teraz powiedz mi, proszę, co musisz zrobić, gdy wchodzisz do kokpitu i widzisz, że wiszę w pasach nieprzytomny?

Fatima wyglądała na trochę oszołomioną, prawdopodobnie nie spodziewała się żadnych pytań.

- Odciągam cię za pas do tyłu, z dala od urządzeń kontrolnych. Potem dźwignią po prawej u dołu uwalniam siedzenie z pozycji pracy i przesuwam fotel do tyłu.

- Właśnie tak! Widzę, że jesteś w dobrych rękach.

Dwie windy, obliczone na jednego człowieka lub wózek z posilkami, zjeżdżały do kuchni pokładowej, która znajdowała się poniżej kabiny pasażerskiej. Kuchnie pokładowe samolotu TriStar były całkiem wyjątkowym miejscem, którego pasażerowie nigdy nie widywali. Dolna kuchnia miała własne drzwi do serwisu, przez które ją załadowywano i rozładowywano i których w razie awarii można było użyć jako dodatkowej drogi ucieczki. Naprzeciwko drzwi stało w szeregu sześć kuchenek, nad nimi znajdowały się zamrażarki. Pod kuchenkami i przed nimi zaparkowane były wózki, zablokowane przesuwanymi blokadami w kształcie grzybków. Pomiedzy windę a ścianę po lewej wciśnięte było składane siedzenie i maleńki zlew. Dalej drzwi prowadziły do przedziału elektrycznego, gdzie królował inżynier pokładowy. Ten przedział składał się z gmatwaniny wiązek kabli, drutów i przewodów. Powietrze wewnątrz było gorące, naładowane i pachniało elektrycznością. To była centrala nerwowa samolotu.

Sprawdziłam zatem wyposażenie związane z bezpieczeństwem i zawiązałam inżyniera pokładowego, aby skontrolować z nim przewody i alarm ewakuacyjny. Ludzie z cateringu ładowali w tym czasie jedzenie do kuchni i prosili mnie o pomoc.

- Gdzie włożyć lód i postawić wózek z przekąskami?

Sprawdziłam kuchenki, nastawione timery tykały i dzwoniły na wyścigi.

- I jak? Zamrażarki już wszystkie pełne? Tych wózków potrzebuję dopiero w drugiej części lotu, pod piątą kuchenkę z nimi. Uff! Ile jeszcze wózków mi przyniesiecie?

Z głośnika zabrzmiał głos Fatimy:

- Teresa, wyślij, proszę, na górę niebieską skrzynkę z napojami dla pierwszej klasy! Dostałaś świeży sok pomarańczowy?

Potrzebowałam dziesięciu rąk i jeszcze nie byłam gotowa z liczeniem, przygotowywaniem i zaopatrywaniem, gdy samolot zaczął kołować na pas startowy. Ponieważ podczas startu i lądowania nikogo nie mogło być w kuchni pokładowej, szybko wszystko zabezpieczyłam i wjechałam windą na górę, aby zająć swoje miejsce w kabinie.

Po starcie w Algierze pod naszymi stopami coś potężnie załotało i runęło z łoskotem. Ahmed i ja w milczeniu wymieniliśmy spojrzenia.

Gdy kąk wznoszenia się już to umożliwił, zjechałam na dół, aby obejrzeć pobjowisko.

Impet przy starcie oderwał podwójnie zabezpieczony wózek przed kuchenką numer jeden i rzucił nim o windę. Teraz dwieście kilogramów blokowało drzwi windy, tak że można je było tylko trochę uchylić.

Z całej siły zaparłam się o drzwi i przecisnęłam przez szparę. Drugi wózek przechylił się ukośnie na ten przewrócony. Ten

szybko ustawiłam w pionie, szkody w nim okazały się w granicach normy, czego niestety nie dało się powiedzieć o zawartości przewróconego wózka dla pierwszej klasy - potłuczona porcelana, pogniecione lniane serwetki, rozsypana sól i pieprz, plamy z sosu... Podniosłam wózek i szybko usunęłam go z drogi. Gdy przyszedł Ahmed, akurat włączałam kuchenki.

Bez gadania zabrał się do wysyłania na górę wózków z napojami, podczas gdy ja czyściłam sztucce dla pierwszej klasy, zastępowałam potłuczoną porcelaną tą z pierwszej części lotu i przy pospiesznym myciu w maleńkim zlewie skaleczyłam sobie palec na jakiejś skorupie.

Mój respekt dla Ahmeda rósł, gdy patrzyłam, jak w milczeniu i świadomie pracuje. W końcu jeden, który zasłużył na swoje stanowisko. Jego przykład był dla mnie regularną zachętą. Wspólnymi siłami osiągnęliśmy to, że ani pierwsza klasa, ani klasa ekonomiczna nie odczuła godnych wzmianki opóźnień czy wręcz widocznego pogorszenia jakości.

- Dobra robota, Tereso! - pochwalił mnie Ahmed, gdy tuż przed siódmą dotarliśmy na cło w Dżuddzie.

- Dziękuję, Ahmed. Bez twojej pomocy nie dałabym rady.

- Nie bądź taka skromna, odważyłaś się na nie byle co! Wyglądasz na wyczerpaną. Kiedy znów lecisz?

- No właśnie. Nie wiem, jak do 23.30 odzyskać siły.

Gdy do zmęczenia dołączyły bóle kończyn i podwyższona temperatura, poszłam do centrum medycznego w kampusie rodzin. Zrędlivy doktor Metar, który zasadniczo w każdej pacjentce dopatrywał się symulantki, po krótkim namyśle wypisał mi dzień zwolnienia.

Dominique nie czuła zbyt silnej potrzeby dzielenia się wrażeniami, jeśli chodzi o dalszy ciągłej historii z zaproszeniem od VIP-a.

Zgodnie z jej własną opowieścią, osłonięta abają i nikabem po briefingu ze słynną szefową stewardes wsiadła na pokład porannego samolotu do Rijadu.

- Co ty wyprawiasz? - dziwiły się koleżanki podczas lotu, ponieważ w Arabii zarówno saudyjskie kobiety, jak i stewardesy nie mogły podróżować po kraju na własną rękę.

W Rijadzie Dominique została odebrana przez kierowcę wysoko postawionego mężczyzny, któremu się nie odmawia, i zawieziona do jego rezydencji. Tam wypić z nim herbatę, zjadła trochę słodyczy i pogadała. Gdy ten próbował się do niej zbliżyć, szybko mu uciekła i w tej przymusowej sytuacji zamknęła się w jednym z pokoi. Rozmowa odbywała się zatem przez zamknięte drzwi, dopóki nie obiecał, że zostawi ją w spokoju. Na co Dominique wyszła i dalej nic. Pod wieczór mogła z powrotem przylecieć do Dżuddy. Tydzień później dostała czek na ponad piętnaście tysięcy saudyjskich riali. Piętnaście tysięcy za wypicie herbatki, zjedzenie ciasteczek i zamknięcie się w pokoju? No, nie wiem.

- J a k zawsze - sucho skomentował Jerome. - Ta dziewczyna chce zorganizować swoje wesele na Mauritiusie. Z piętnastoma tysiącami riali spokojnie można sfinansować uroczystość życia i jeszcze zaprosić na nią całą wyspę.

Urok mojego zawodu nie polegał na podawaniu posiłków i czego tam jeszcze, również niekoniecznie na wielu kontaktach międzyludzkich, o czym tak dużo się mówi, bo ograniczały się one do uśmiechu, powitania i kilku słów. Fascynacja wynikała

z przewycięzania w locie czasu i przestrzeni, co nadawało naszemu życiu jakiś nierzeczywisty wymiar, uzależniało.

Za każdym razem, gdy lądowaliśmy na małym lotnisku w Sanie, w Jemenie, czułam się jak na innej planecie, w zamierzchłych czasach. Tuż obok lotniska stały domki z ziemi i gliny w kolorze ochry, miały one geometryczne zdobienia i można je było zobaczyć już ze schodów samolotu. Każdy dom był inny, ale wszystkie zostały zbudowane według tego samego schematu: na dole małe szczeliny wentylacyjne, nad nimi większe okna i bogatsze ornamenty, pojedyncze, małe, ażurowe wykusze. Chętnie obejrzałabym sobie kiedyś taki dom od środka i dowiedziała się, jak się w nim żyje. Ale było tu jak wszędzie w Arabii: za fasadę mogła zajrzeć tylko wyobraźnia.

Co pozostawało? Ukradkowe spojrzenia, dłoń, która poprawiała kwef zasłaniający twarz, trochę ostry zapach potu i korzeni i brak czasu, by podążać za takimi myślami. Gdy maszyna znów kołowała na start, zauważyłam ruch zakurzonych wysokich traw i krzaków obok płyty lotniska, jakby w ucieczce kładących się płasko pod naporem powietrza z silników odrzutowych.

To były drobne, zwykłe rzeczy, które utkwiły mi w pamięci w poszukiwaniu wieczności w mgnieniu oka.

W kwietniu miałam trzy partnerki w pracy; koniczynka.

Były to Ruba, chuda, niepozorna Syryjka, której perfumy budziły wspomnienie greckich plaż po deszczu. Najmłodsza miała na imię Carmen, była czarnooką studentką z Libanu. Jej obyczajność i leniwa powaga sprawiały, że wydawała się starsza i poważniejsza, niż w istocie była. Krępa i żwawa Greczynka, pomarańczowa z Macedonii, jak o niej mówiłam, pozostawała w służbie najdłużej i była najpracowitsza z naszej czwórki. Lekko sepleniąca Gianna

była świeżo upieczona męzatka, jej mężem został docent uniwersytetu w Atenach, Nikos. Opowiedziała mi, po początkowych uważnych spojrzeniach, o nowych skandalach wśród stewardes. Zaczęła pisać książkę o stewardesach i prostytutce w Arabii Saudyjskiej, a o jednym i drugim wiedziała wiele! W końcu dzieliła mieszkanie z dwiema dziwkami - piękną jasnowłosą Heleną i jej przyjaciółką Mią.

- Helena też już wpadła mi w oko, wygląda tak niewinnie i świeżo. Jak się mieszka z tymi dwiema?

- Dogadałyśmy się jakoś. Helena i Mia nie muszą się przede mną kryć i dostarczają mi mnóstwo materiału do mojej książki. Helena w niecałe dwa lata dorobiła się własnego mieszkania w Pireusie i sportowego samochodu. Wczoraj wieczorem jeden z wielbicieli podarował jej złotego roleksa, a godzinę później, kiedy odkrył, że nie jest jedynym, którego obdarza względami, zażądał jego zwrotu.

- Co powiedziała Helena, gdy musiała mu oddać zegarek?

- Zachowała się tak, jak gdyby mężczyźni musieli stać do niej w kolejce, by móc podarować jej drogi prezent. Powiedziała: „Przynajmniej przez jeden wieczór należał do mnie”. Ale powiem ci jedno: jestem szczęśliwa i dumna z tego, że jestem zamężna, chociaż nieczęsto widuję mojego męża w Atenach. Idzie mi o wiele lepiej, niż może iść Mii i Helenie, mimo tej kupy pieniędzy.

Większość koleżanek po fachu mówiła wprawdzie, że najstraszniejszy jest Kair, ale dla mnie najgorsze były loty do Damaszku.

Dzieci skakały po siedzeniach i biegały po korytarzach. Matki o pustym wzroku karmiły piersią niemowlęta i w ogóle nie zajmowały się starszymi pociechami. Ojcowie, pałac, chodzili po korytarzach i zmuszali nas do interwencji w imię bezpieczeństwa. Resztki

jedzenia i woreczki na wymiociny leżały porozrzucane na korytarzu. Ktoś ciągle się bawił przyciskami w podłokietnikach.

Tym razem jakaś kobieta nie chciała wsiąść. *Ground agent* stał bezradnie z walkie-talkie w dłoni przed starą kobietą, ubraną po wiejsku, która niewzruszenie broniła swojego miejsca przy oknie.

- Co się dzieje? Chce z nami lecieć z powrotem do Rijadu?

- Nie. Chce zabrać do domu pamiątkę z tego samolotu i nie rozumie, że nie możemy jej tego dać.

- Pamiątkę?

Wskazał okno obok kobiety i powiedział trochę zażenowany:

- Chce wziąć ze sobą do domu to okno.

- Okno? - zdziwiłam się. - Ale dlaczego akurat okno?

- Może podobał jej się widok podczas lotu? To i owo już przeżyłem, ale żeby ktoś chciał zabrać z samolotu okno...

W locie powrotnym dobra jedna trzecia pasażerów miała mniej niż dwanaście lat. Małe, hałaśliwe, dzikie stworzenia, które bez kontroli szalały po kabinie, rozrzucały jedzenie i pluły, bawiły się, szarpały i zamieniały lecący samolot w przedszkole grozy.

Tuż przed lądowaniem w Rijadzie zagoniłyśmy dzieciaki z powrotem na miejsca obok tych krów, ich matek. Akurat sprawdzałam i zamykałam toalety z tyłu kabiny. Wszystkie były zatkane, a podłogi zalane. To zadziwiające, co pasażerowie mogą narobić w ciągu jednego, trwającego dwie i pół godziny lotu. Poszłam do swojego siedzenia przed rozmieszczonymi łukiem toaletami i właśnie chciałam usiąść, gdy zauważyłam na nim świeżą, czerwonawą kupkę wymiocin. Z okrzykiem obrzydzenia zastygłam w połowie ruchu. Oczywiście nie było w pobliżu ani jednego wolnego miejsca pasażerskiego, musiałam więc usiąść na siedzeniu przyozdobionym zawartością czyjegoś żołądka. Szybko wygrzebałam jakąś gazetę,

rzuciłam ją na siedzenie, z pogardą dla śmierci posadziłam na niej swój tyłek i końcami palców zapięłam wilgotny, kwaśno śmierdzący pas.

Podczas lądowania woda z zatkanych toalet i pisuarów się przelewała, wypłynęła na korytarz i przelewała się pod moim składanym siedzeniem to w tę, to w tamtą stronę, zanim wsiąkła w wykładzinę.

- Zaszrana robota! - mamrotałam. - Dlaczego ja to w ogóle robię?

Jerome wraz z Patriceem i Jeanem przeniósł się do dużego, jasnego, umeblowanego trzypokojowego mieszkania niedaleko Saudia City. Ci dwaj byli jego protegowanymi, ściągnął ich z Mauritiusa i załatwił pracę w swojej firmie.

Wieczorem często zostawaliśmy teraz w domu i gotowaliśmy kreolskie potrawy z ryb i ryżu. Potem spędzaliśmy czas przy dominie albo na grze w karty. Mieszkanie Jeromea było na parterze, zaraz nad nim mieszkała saudyjska rodzina i dlatego zaczęły się niesnaski.

- Schyl się! - rozkazał Jerome, który kierował swoim służbowym samochodem. - Muszę najpierw zobaczyć, czy teren jest czysty.

- Co to za teatr?

- Saudyjski sąsiad z pierwszego piętra ma na mnie oko. Ostatnio mnie pytał, czy nie mógłbym wysłać mu na górę tej blondyny. Powiedziałem oczywiście, że jesteś moją żoną. Wówczas zapytał o tę drugą, prawdopodobnie miał na myśli Dominique. Ale z żalem odmówiłem, bo w tym wypadku chodziło o moją siostrę. Ten Saudyjczyk sądzi z pewnością, że prowadzę tu burdel! Wciąż siedzi na swoim posterunku w rogu balkonu i mnie szpieguje. Ale to jeszcze nie wszystko: jego brat pracuje dla policji religijnej.

W mieszkaniu Jerome szybko zaciągnął wszystkie zasłony i włączył muzykę.

- Musimy być ostrożni, on wysyła też swoje dzieci na przespiegi.

Minęło kilka tygodni i nic już nie słyszeliśmy o sąsiedzie z góry. Jerome stopniowo rozluźniał środki ostrożności, a ponieważ był człowiekiem towarzyskim, nierzadko w jego mieszkaniu bywali goście.

Siedzieliśmy we czworo przy stole i rozgrywaliśmy partię domina, gdy pojawił się Tawfik, libański kolega z pracy Jeromea. Przyproceedził napaloną angielską pielęgniarce, od której nie mógł oderwać rąk i z którą, gdy Jerome mu pozwolił, zniknął w sypialni.

- Pozwalasz im korzystać ze swojej sypialni?

- Raczej wbrew mojej woli, ale to przecież Tawfik - Jerome spojrział znad swoich kostek. - Chętnie znalazłabyś się na jej miejscu, Tereso? Jesteś zazdrosna?

- Co ci do głowy przyszło? - odburknęłam oburzona. W duchu byłam chyba jednak bardzo zazdrosna o elementarne uczucia, która ta para wyrażała w sypialni, a które Jeromea i mnie jakoś opuściły.

W moim życiu był mężczyzna, była miłość, troska i obietnica małżeństwa. Jedynie szalona namiętność wydawał się uczuciem minionym i po obu stronach ustąpił pewnemu rozczarowaniu.

Nikt nie podejrzewał, jakie zło szykowało się w tym czasie nad naszymi głowami.

Gdy zapadła ciemność, mężczyźni otoczyli dom i szpiclowali nas przez szczeliny w zasłonach. Nasz sąsiad napuścił na nas policję religijną!

Rankiem przyszła policja religijna, żeby aresztować Jeromea. Próbowali sprawdzić tożsamość jego rzekomych gości oraz krew-

nych i znajomych. Tylko natychmiastowej interwencji szefa Jeromea, który czuł się zmuszony wykorzystać swoje najlepsze stosunki, aby uwolnić Jeromea ze szponów policji religijnej, zawdzięczaliśmy to, że wszyscy pozostaliśmy na wolności.

W tym mieszkaniu nikt mnie nigdy więcej nie widział. Jerome wkrótce potem przeprowadził się wraz z Patriceem i Jeanem do miasta, do wieżowca.

Od kiedy Semiran usidliła i poślubiła bogatego playboya Mohammeda, jednego z wielu braci Samira - aktualnie była w zaawansowanej ciąży - Ayfer nie dało się już pohamować.

Angielski mojej byłej koleżanki z kursu i partnerki w maju był równie niezrozumiały jak kiedyś.

- Adel an me biglo.

- Co?

- Adel an me biglo.

Oświeciło mnie, miała na myśli *big love*. Adel, moja wielka miłość! No cudownie, teraz chodziło o to, by Adela, brata Samira, jak najszybciej doprowadzić do Urzędu Stanu Cywilnego, aby wyprzedzenie, jakie miała Semiran, pozostało jak najmniejsze.

- Nie przeszkadza ci, że będziesz mogła opuszczać Dżuddę tylko za pozwoleniem męża i prawdopodobnie jeździć do domu tylko raz w roku?

- Moja przyszłość jest tu, z Adelem. On jest przecież Saudyjczykiem. Poza tym mam Semiran, z którą mogę rozmawiać po turecku.

- A co właściwie robi Samir?

- Samir jest teraz na Florydzie w szkole pilotów. Od trzech miesięcy go nie ma.

- Aha, to ciekawe.

Gdy Ayfer i ja czekałyśmy na bus na lotnisko w hotelu Marriott w Rijadzie, przeczytałam na plakacie: „Zadziwiające zniżki! Jeszcze siedemnaście dni do zamknięcia hotelu Marriott”. Tak, wkrótce będzie można zapomnieć o niekończących się podróżach z lotniska, pełnych objazdów. O dobrym amerykańskim serniku i francuskiej zupie cebulowej serwowanej do pokoju. O drogich butikach z wszelakimi drobiazgami w okolicach recepcji i klubie fitness dla mężczyzn. Marriott miał zostać przebudowany na szpital.

- Ostatnio siedziałam w autobusie obok Zajnab i jej nie poznałam - próbowałam na nowo rozpocząć rozmowę.

- Wiem, opowiadała mi - powiedziała Ayfer, która akurat kończyła list do rodziców, w którym na koniec przesyłała im tysiąc pozdrowień i całusów.

- Po co kazała sobie zoperować nos? Miał przecież charakter, to znaczy jej nos.

- Zajnab zawsze miała potężne kompleksy na tle swego nosa. Teraz jest szczęśliwa. - Ayfer wstała, aby oddać list w recepcji.

Tak, teraz wszyscy są szczęśliwi: Semiran z Mohammedem, Zajnab ze swoim nowym nosem, Samir ze szkołą pilotów, Ayfer z myślą o swojej wielkiej miłości. A ja? Mnie groziło, że zginę w szarej codziennej harówce; zajmowało mnie jeszcze tylko to, by wypełniać swoje obowiązki, a w wolnym czasie brać dodatkowe loty. Właściwie już nie żyłam własnym życiem, o tym, co robię, decydowali inni. To może być w pewnych okolicznościach wygodne, tak oddać odpowiedzialność za swoje dobre samopoczucie. Trybik w maszynie też nie zadaje sobie pytania, czy jest szczęśliwy.

W domu czekało na mnie wezwanie od mojej szefowej grupy, Nasrin.

- Teresa, co ja słyszę, powiedziałaś, że nie polecisz?

Siedziałam naprzeciwko niej w małym biurze na lotnisku i próbowałam nie dać po sobie poznać tego, że jestem niepewna.

- To nie było legalne. Za mało wypoczynku pomiędzy dodatkowymi lotami.

A tak się to stało, że wpadłam w gniew: na początku miesiąca, w okresie przejściowym, spędziłam moje wolne dni na lataniu na trasie Kair-Rijad. Gdy wezwano mnie po raz trzeci z rzędu, krew mi zawrzała.

- Nie ze mną! Odmawiam! - warknęłam i rzuciłam słuchawkę na widełki. Przepełniało mnie gorzkie uczucie triumfu, że im pokażałam. Teraz wszyscy liczyli, czy odmówiłam zgodnie z przepisami. Jeśli obliczenia wypadną na korzyść tego, kto planował loty, muszę się liczyć z dotkliwą karą dyscyplinarną.

Nie było żadnej kary dyscyplinarnej. Zamiast tego kilka osób wzięło mnie sobie na ząb. Numer payroll stewardes odmawiających latania i rzucających słuchawką zapamiętuje się, aby w wolnych od służby dniach wpisywać je na te loty, na których z powodu zwolnień lekarskich brakuje stewardes. Zawsze z miłą świadomością, że się ma przewagę.

Uznałam, że lepiej będzie zapisać się na dwunasty maja na lotniczy maraton, po którym będę o szesnaście godzin starsza i o osiem wylatanych godzin bogatsza.

Suchym śmiechem skwitowałam fakt, że byłam jedynym członkiem podstawowej załogi, który przed tym lotem nie przyniósł zwolnienia lekarskiego.

Gdy planujący loty i kontrolerzy stewardes byli zajęci szukaniem zastępców dla zastępców, którzy się nie pojawili, supervisor skrzyknął tych, którzy byli, na briefing i powitał nas apatycznie.

- Panie i panowie, mamy dziś operację złożoną z pięciu lotów na L1011 i powrót jako pasażerowie na kursie 3.05 h z powrotem do Dżuddy. To jest łatwe. Wybierzcie sobie pozycje, na których będziecie pracować, odpowiednio do stażu pracy i porozmawiajmy o bezpieczeństwie. Bezpieczeństwo lotu jest ważne. Dlaczego bezpieczeństwo lotu jest tak ważne?

Uniosłam brwi i głęboko westchnęłam. Tylko się nie denerwuj, pomyślałam, ten człowiek jest najwyraźniej kompletnym kretynem.

Drzwi do sali konferencyjnej się otworzyły i weszła młoda, niewyspana, zastępcza stewardesa bez makijażu. Z tego, co dowiedziało się supervisor, latała dopiero od miesiąca.

- Ale masz, jak sądzę, uprawnienia na L1011?

- Tak.

- Dobrze. Jak otwiera się drzwi pasażerskie w wypadku awarii?

- *Puli the handle up and aft** - odpowiedziała dziewczyna.

Po sali przeszedł szmer.

- Pytam cię, jak otworzyć drzwi pasażerskie w L1011 w wypadku awarii, a ty mi mówisz, jak otworzyć drzwi jumbo jęta?

I tak byliśmy już zredukowaną załogą kabinową i nie mogliśmy z nikogo zrezygnować. Ponieważ czas naglił, supervisor zdecydował się ją zabrać mimo ewidentnej niezdolności do służby.

- Panie i panowie, porozmawiajmy o bezpieczeństwie lotu. Bezpieczeństwo lotu jest ważne... - kpiłam, gdy wyszliśmy na asfalt.

- Co się denerwujesz, Tereso? - żartował pewien steward. - Tak długo, jak co miesiąc dostaję swoją pensję, jest mi wszystko jedno.

Taka mentalność była szeroko rozpowszechniona. Ponieważ nie bardzo wiadomo było, jak skutecznie się bronić przed wykorzystaniem, niechętnie i w jak najmniejszym wymiarze odrabiało się

Ang.: Pociągnąć uchwyt do góry i do tyłu.

swoje pensum. Motywacja wyczerpywała się często już przed zgłoszeniem się na lotnisko.

- MGQ, gdzie to jest? - zapytałam, gdy studiowałam swój harmonogram lotów na czerwiec.

- W Mogadiszu - odpowiedziała Claudine i wytarła nos.

Personel kabinowy nie lubił lotów do czarnej Afryki, już same różnice społeczno-kulturowe i trudności z porozumiewaniem się sporo wymagały od obsługi.

Klimatyzacja naszego boeinga 707 bezskutecznie walczyła z silnym zapachem potu i przypraw w kabinie. Nasi somalijscy pasażerowie wydawali się dręczeni nieugaszonym pragnieniem, ciągle prosili o wodę albo żądali jedzenia, którego nie było w żadnym menu serwisu cateringowego.

Ale była za to rekompensata. Jeśli ktoś lubił egzotyczną urodę, mógł się nacieszyć widokiem afrykańskich kobiet. Drobne ciała owinięte kolorowymi, wzorzystymi chustami, wytatuowane czoła, ramiona ozdobione jak największą liczbą filigranowych bransoletek z Arabii. Stary mężczyzna o dzikich oczach miał drewnianą laskę w kształcie wijącego się węża. Z pewnością była to czarodziej-ska różdżka, która po rzuceniu zmieniała się w żywego, wijącego się gada.

Boeing 707 skręcił w prawo, a ja dojrzałam spiczasty Półwysep Somalijski, zwany też Rogiem Afryki. Zapierające dech w piersiach niebieskie morze, surowo uderzające o zalany słońcem brzeg, rozpościerało się w nieskończoność. Powalił mnie ten widok. To światło! Przecudowne! I tam na dole ludzie mieli umierać z głodu i prowadzić ze sobą wojny?

Zapaliły się kontrolki. Nadszedł czas, by przygotować kabinę do lądowania. Z żalem patrzyłam, jak wspaniałe wybrzeże się oddala i ustępuje jałowemu, piaszczystemu krajobrazowi.

W Mogadiszu wszedł na pokład Somalijszyk z personelu naziemnego i zapytał, czy nie mogłabym mu dać mydła albo wody toaletowej. W nagłym odruchu szybko zgarnęłam z toalety kilka kostek mydła i wodę toaletową, zapakowałam wszystko w białą torbę higieniczną i dałam mu. Potem straciłam z oczu tego młodego mężczyznę, którego twarz zadziwiająco się rozjaśniła. Ale życie jest czasem pełne niespodzianek: tuż przed wejściem pasażerów przyszedł do mnie wielkimi krokami, promieniejąc, wcisnął mi mocno wypełniony plastikowy worek w ręce i powiedział:

- Bierz, to dla ciebie! Gdy przyjedziesz następnym razem, dostaniesz jeszcze więcej.

Powiedział i uciekł tak szybko, jak potrafił.

Popatrzyłam za nim zdziwiona i otworzyłam ciężki worek. Były w nim wspaniale pachnące owoce mango, które stanowiły moje śniadanie przez następne dni.

*

Hotel Sahary przy starym lotnisku w Rijadzie uchodził niegdyś za najlepszy w tym mieście. Obecnie nie był już w stanie sprostać rosnącym wymaganiom współczesnej klienteli. Pokoje były małe i bez ozdób, łóżka - staromodne i wyleżane, a urządzenia sanitarne trudno było nazwać nowoczesnymi. Ta współpraca pomiędzy linią lotniczą z ambicjami a upadającym hotelem budziła ogólne zdziwienie. Czy Saudia chciała przyszczędzić na personelu kabinowym, czy może nasz pracodawca nie miał już pieniędzy?

Moja partnerka w pracy, Halime, sprawdzała czystość bielizny pościelowej. Halime była gąbczastą, jasnoskórą, krągłą Turczynką,

która cierpiała na fobię kurzowo-roztoczowo-bakteryjno-wirusową i bała się Bóg wie czego jeszcze, dlatego przy każdej okazji zasłaniała chusteczką usta i nos. Gdyby wolno było tak pracować, prawdopodobnie żaden człowiek nie miałby szans zobaczyć dolnej połowy jej twarzy.

Gdy Halime odpoczywała, ja ruszyłam poznawać hotel. Nie-równy parkiet skrzypiał pod moimi nogami. Przez wypukłe kolo-rowe szybki wpadało światło wieczornego słońca jak płynny bursz-tyn. Panował czarodziejski, ulotny nastrój.

Rzuciłam krótkie spojrzenie do pomieszczenia dla załóg i zauważyłam kilka grających w karty stewardes. Mężczyźni pozostawali we własnym towarzystwie, telewizji nikt nie oglądał. Nie pozostało mi nic innego, jak doczekać do godziny gratisowego bufetu wieczorem, kiedy spotykali się członkowie załogi, aby napełnić brzuchy, i chociaż na chwilę uciec z klaustrofobicznej cianoty pokoi hotelowych. Podczas rozmów tematem numer jeden był oczywiście hotel Sahary.

- Teraz już wysyłają nas do takiej grożącej zawałeniami rudery.
- Ale przynajmniej pościel jest czysta.
- Bufet też nie do pogardzenia.
- No, chociaż tyle muszą nam zaoferować, aby utrzymać nas w tej potwornej budzie w jako takim humorze.
- A ja wam mówię, że tu są myszy i szczury!
- Nie ma obawy, nie zostaniemy tu długo, to tylko jakieś awaryjne rozwiązanie.

Niezbyt długo było dobrze. Niecały tydzień po mojej pierwszej i jedynej nocy w starym hotelu jedna ze stewardes została w swoim pokoju ugryziona przez szczura i to był koniec współpracy z hotelem Sahary.



Gdy pewnego ranka usiadłam na łóżku, drzwi się otworzyły i zobaczyłam na progu buzię jak Księżyc w pełni, o raczej grubych rysach.

- Czy to - spojrzała na swoją kartkę - apartament jednaście dwa B, pokój B?

Potwierdziłam. To zatem była ona - ta, którą grożono mi od tygodni, nowa współlokatorka: przed trzydziestką, koścista, ubrana porządnie, o złotej cerze. Cóż, miss Korei mi akurat nie przysłali.

- Mam na imię Kim - przedstawiła się. - Dopiero co przyleciałyśmy z Seulu, rano zaczynamy naukę.

Nowa była bardzo pobożna, zauważyłam to kilka wieczorów po jej wprowadzeniu się. Znajdowałam ją klęczącą przed swoją szafką nocną i pogrążoną w głębokiej modlitwie. Mebel ten, dzięki świętemu obrazkowi, świecom i różańcowi, został ołtarzykiem.

To była robota jej przyjaciela, europejskiego misjonarza. Jego sile przekonywania zawdzięczałyśmy, że ta solidna i porządna sekretarka pewnej koreańskiej firmy handlowej w ogóle przyjęła pracę stewardesy. Zapewne w przyszłości będzie lwią część swojej pensji wysyłać na misje.

Kim zapytała, czy na złotym suku można też kupić ozdobne krzyżyki.

- Ozdobne krzyżyki? - odparłam, jak gdybym nie dosłyszała. - Nie wiesz, gdzie jesteś? W całym tym kraju nie znajdziesz ani jednego krzyża, ani jednej gwiazdy Dawida.

- Och! Ale dlaczego nie?

- Oni się tu boją krzyży jak diabeł święconej wody - wymknęło mi się.

Kim wpatrywała się we mnie z niedowierzaniem.

- Ostatnio celnik w Rijadzie pewnej stewardesie zerwał z szyi złoty krzyżyk. Rzucił go na ziemię, deptał i syczał *haram*.

- Co znaczy *haram*? - zapytała Kim, jasnożółta na twarzy.
- Zakazane.
- Ale przecież celnik nie ma prawa tak robić?
- Myślę, że nie. Ale nie osiągną go żadne konsekwencje, jeśli mimo to tak zrobi. Twój regulamin mundurowy mówi wyraźnie, że nie powinnyśmy nosić biżuterii o charakterze religijnym. Nie czytałaś go jeszcze?

Teraz dopiero się przestraszyła, ta Kim, która pierwszy raz w życiu była za granicą. I musiała przyjechać akurat do najbardziej antychrześcijańskiego ze wszystkich krajów.

Wokół mnie szalała gorączka bazy w Bangkoku: Julie, Ołive, Claudine, nawet Aude - nagle wszystkie chciały do Bangkoku. Miały dość tego, że nie było tu żadnej sfery prywatności, i tego, że były wciąż kontrolowane przez pracodawcę. Nie chciały, żeby strażnicy i mury dłużej ograniczali ich swobodę poruszania się. Arabia Saudyjska nie pozwalała im oddychać, one chciały w końcu swobodnie dysponować swoim życiem, a w Bangkoku koniecznie byli potrzebni ludzie.

Nie wszyscy jechali dobrowolnie. Aby zaoszczędzić na wynajęciu mieszkania, Kim chętnie została by jeszcze trochę w Dżuddzie. Ale linie lotnicze zaplanowały, że wszystkie nowe Koreanki po zakończeniu kursu wyśle do Bangkoku - aż do otwarcia bazy w Seulu.

Ja postanowiłam najpierw obejrzeć sobie Bangkok podczas najbliższych wolnych dni. Jednak zamiast tego zawiozłam sokoły do saudyjskiej miejscowości turystycznej Taif.

Szacowny prezent pewnego księcia dla gubernatora Taif został w drewnianej skrzyni załadowany na pokład boeinga 737 i przy-mocowany w tylnej części kabiny. Moim zadaniem była opieka

nad sokołami. To był nadzwyczaj piękny, wypoczynkowy lot, który niemalże zrekompensował mi to, że wolne dni znów spędziłam w pracy.

Trudno powiedzieć, co się ze mną stało. Podczas powrotnego lotu z Frankfurtu przez Genewę do Dżuddy miałam dostatecznie dużo czasu, żeby pozbyć się nadgryzionej tabliczki czekolady z likierem. Zamiast tego czekolada wciąż znajdowała się w moim czerwonym kuferku kosmetycznym, którego zamek celnik w Dżudzie właśnie otwierał.

- *Ma hada?* - zapytał od razu, podnosząc *corpus delicti* jak wędkarz złowioną rybę do pamiątkowego zdjęcia.

- Szwajcarska czekolada - byłam samym spokojem.

- A ta butelka likieru na opakowaniu? To zabronione.

Ruchem dłoni kazał mi poczekać, gdy konfiskował czekoladę i mój dowód. Patrzyłam, prawie nie zauważając, jak ostatni członkowie załogi, z kredowymi krzyżkami na walizkach, opuszczają pomieszczenia. Pozostał tylko kapitan, który, wydawało się, też miał kłopoty. Powstrzymując nerwowość, stanął przy mnie.

- A pani co przeszkrobała?

Kapitan Stange był Niemcem urodzonym w Argentynie, tam wychowanym i ożenionym z Amerykanką stamtąd. Z daleka mógłby wprawdzie przypominać gwiazdora Hansa Alberta i mówić najczystszą literacką niemieczyzną, ale mentalnie bliższy był stekowi z Broncos Steak House niż białej kiełbasie. Okazało się, że Stange też był fanem szwajcarskiej czekolady z likierem. Ale w przeciwieństwie do mnie on dokładnie ukrył swoją tabliczkę i teraz udawał nieświadomego, który z czystej nieuwagi wszedł w posiadanie zakazanego towaru.

Powoli udzielał mi się niepokój kapitana:

- Na kogo czekamy?
- Na samochód, który zawiezie nas do szefa Urzędu Celnego.
- Mam nadzieję, że nie przeszukają tam dokładnie mojej walizki.

Mam w niej więcej tego towaru - przyznałam się.

- Ja też - powiedział szybko Stange - przedtem jeden mnie zapytał, czy wiozę więcej czekolad. Twardo zaprzeczyłem.

Przyjechał urzędnik celny i poprosił o nasz bagaż. W obstawie dwóch mundurowych Stange i ja wsiedliśmy do samochodu. Na skraju płyty lotniska samochód zatrzymał się przed niskim barakiem. Stange i ja milczeliśmy w cichym porozumieniu. Zauważyliśmy, że nasza krótka wymiana zdań po niemiecku wzbudziła podejrzliwość.

W baraku na samotnym biurku nadzorcy leżały skonfiskowane czekolady i nasze dowody.

- Wasze położenie jest poważne - ostrzegał strażnik, aby zwiększyć nasz lęk. Ale to nie było potrzebne. O ile wiedzieliśmy, możliwe było wszystko, od grzywny aż po więzienie.

Był ramadan, tuż po zachodzie słońca. Poszczący od wschodu słońca ludzie zjadali teraz w spokoju posiłek przerywający post - poczynając od wody, przez daktylę, zupę po kruche pierożki sambusa. Nie wolno było im przeszkadzać. Również mężczyzna, który miał osądzić nasze wykroczenie, na pewno siedział teraz w kręgu bliskiej rodziny przy radośnie uroczystym posiłku. Niechże go on nasyci i zaspokoi.

- Dwóch ludzi ma uprawnienia do tego, by nas osądzić. Jeden jest, tak mi powiedziano, ludzki i sprawiedliwy, drugi ma być podobno nieobliczalnym fanatykiem i nienawidzić obcych - wyszeptał do mnie Stange po niemiecku.

Słałam ciche modlitwy do nieba.

Po mniej więcej dwóch godzinach czekania pojawił się młody, wysoki mężczyzna w białej diszdaszy, wprawnym ruchem odrzucił luźne końce przytrzymywanej opaską chusty do tyłu i usiadł za swoim biurkiem.

Współpracownik poinformował go o stanie rzeczy i wskazywał przy tym na przemian na kapitana, na mnie i na czekoladę.

Urzędnik krótko pokiwał głową, przestudiował nasze dowody, obejrzał sobie moją nadgryzioną tabliczkę czekolady i kiwając palcem, przywołał mnie do siebie.

Serce łomotało mi tak, że czułam je aż w szyi, gdy wyszłam naprzód. Którego miałam przed sobą: tego, który nienawidził obcych, czy tego umiarkowanego i Ten mężczyzna miał gładko ogoloną, inteligentną twarz. Przyglądał mi się czarnymi, surowo błyszczącymi oczami.

- Czy to pani czekolada?

Przytaknęłam.

- Nie wie pani, że takie czekolady są w Arabii Saudyjskiej zabronione?

- Wiem. Błędem było zabieranie jej ze sobą.

- Pani, kobieta, jada takie rzeczy? Przecież tym można się upić!
- zauważył z odrazą.

Co najwyżej uzależnić, pomyślałam i odpowiedziałam:

- Nie, sir; owszem, mogłoby się komuś zrobić niedobrze, ale tylko od nadmiaru cukru. Ta czekolada zawiera bardzo niewiele alkoholu, można by rzec tylko tyle, by nadać jej smak.

- Kiedy zjadła pani połowę tej czekolady?

- Wczoraj, sir. A potem już o tym w ogóle nie myślałam.

Sędzia zostawił mnie i zwrócił się do kapitana Stange:

- Pan jako najwyższy szef załogi samolotu powinien być wzorem dla załogi. Zamiast tego przekracza pan swoim nagannym

działaniem przepisy ustawy celnej i święte prawa Królestwa Arabii Saudyjskiej!

Stange wyglądał na skruszonego i gotowego przyjąć karę. Jednocześnie uparcie próbował jakoś wywinąć się z tej afery.

- Czy przepraszacie za to, co zrobiliście?

Stange i ja przytaknęliśmy jednocześnie. Sędzia kazał dać nam białe arkusze.

- Piszcie przeprosiny - polecił.

Stange przystąpił do wypełnienia tego żądania z godną zazdrości łątwością, ja najpierw musiałam się dowiedzieć, jak powinny wyglądać takie przeprosiny, zarówno w formie, jak i treści.

- Najpierw opisuje się przekroczenie prawa. Potem następują przeprosiny Urzędu Celnego Królestwa Arabii Saudyjskiej, której prawo pani przekroczyła. Na koniec wyraża się skruchę i zaręcza, że nigdy więcej nie przekroczy się tego prawa.

Stange i ja oddaliśmy nasze przeprosiny jak uczniowie zadania za karę. Sędzia przyjął je bez słowa.

- Zatem po siedemdziesiąt riali grzywny od każdego! - zdecydował szorstko. Ledwie zdążył to powiedzieć, już Stange wyjął swój portfel i położył na stole sto pięćdziesiąt riali.

- Proszę dać spokój - bronił się, gdy otworzyłam swój kuferek, aby wyjąć pieniądze. - Wyjdźmy stąd jak najszybciej, zanim on zacznie żałować swojej łągodności!

Dostaliśmy z powrotem nasze dowody, znów mieliśmy jakąś tożsamość. Wraz z naszymi walizkami zostaliśmy zapakowani do dżipa i strażnicy towarzyszyli nam przy przejściu przez cło. Właściwie moglibyśmy teraz odetchnąć z ulgą, ale sprawa jeszcze nie była zamknięta. Jak nasz pracodawca zareaguje na przekroczenie przez nas przepisów?

Następnego ranka ze snu wyrwał mnie dzwonek telefonu. Menedżer personalny chciał mnie widzieć o wpół do dziesiątej w swoim biurze na lotnisku. Niepewna otuliłam się abają i pojechałam tam pierwszym autobusem dla załóg.

Mimo menedżerskiego stanowiska pana S. jego biuro nie było większe niż te w kontroli stewardes. On, ważny, z telefonem w rękę, królował za swoim biurkiem. Wskazał mi krzesło.

Co takiego ma mi do powiedzenia? Już za mniejsze przewinienia ludzie wylatywali z pracy.

- Tak, tak, to ty jesteś tą, która wczoraj została złapana na cle z czekoladą z likierem - lustrował mnie nie bez ciekawości.

Tego się spodziewałam. Najpierw chciał mi napędzić strachu, swój apel do mojej zrujnowanej moralności przyprawić groźbami? No to proszę! Byłam na to przygotowana.

Potem podał mi arkusz białego papieru, na którym - ale miałam już w tym wprawę - powinnam napisać przeprosiny do mojego pracodawcy. Zaraz zabrałam się do roboty.

- Tss, tss... Czekolada z likierem! - szeptał, pochylając się do przodu, by mi się dokładniej przyjrzeć. Jego ton przybrał konfiden- cjonalne zabarwienie:

- Czy coś takiego może być smaczne? Jeśli chcesz, zaproszę cię do mnie do domu. Mam dobrze zaopatrzone barek: whisky, gin, wódka! No, jak będzie?

Jakby trafił we mnie piorun, od razu zaczęłam trzeźwo myśleć, zaalarmowana. Czy to dwuznaczne zaproszenie jest na poważnie, czy to tylko prymitywna pułapka? Chciał mnie sprawdzić, czy szukał tylko kompanii do wypitki na grzeszne godziny we dwoje?

- Nie, dziękuję, nie piję. Po prostu lubię czekoladę z likierem - zadowolona z mojej przytomnej odpowiedzi, szczerze patrzyłam na niego niebieskimi oczami.

- Jeśli to przemyślisz i zmienisz zdanie, wiesz, gdzie mnie szukać, tak?

Przytaknęłam i podpisałam swoje przeprosiny. Przeleciał je szybko wzrokiem i powiedział:

- W porządku, możesz już iść.

Wstałam.

- To wszystko?

- Tak, a co sobie myślałaś? I nie daj się nigdy więcej złapać na cle! W przeciwnym razie nie będziemy już mogli pomóc, zrozumiano?

I to jeszcze jak zrozumiano. Ochota na czekoladę z likierem całkownie mi przeszła.

W apartamencie jedenaście dwa B zrobiło się cicho. Claudine, Aude, Kim i OHve zostały przesunięte do bazy w Bangkoku, gdzie Aude już złożyła wypowiedzenie.

Po tym jak w lipcu zgłosiłam się do służby rezerwowej, rozpętało się piekło. Latałam na maksymalnej liczbie lotów i ciągle liczyłam, czy mój wyznaczony prawem najkrótszy możliwy okres wypoczynku zdążył minąć czy nie. Wydawało mi się, że kręcę się jak chomik, który biegnie coraz szybciej na swojej karuzeli.

Było jeszcze jedno nazwisko, które na liście gotowości do służby pojawiała się wyjątkowo często przed lub za moim: Lorna Anderson. Kim była ta Lorna? Młodsza stewardesą, której brak doświadczenia tak wykorzystywano? Buntowniczką, która coś przeszkrobała? Pięknym nazwiskiem, które podobało się planującym skład załóg? Jej nazwisko pobudzało moją fantazję, ale nigdy się nie spotkałyśmy. Do czasu...

Jerome tymczasem przestał się wzbraniać przed używaniem modnego menedżerskiego narkotyku - kokainy. Nałogi zdominowały jego życie i nasz związek. Coraz częściej byliśmy obok siebie. Ale im bardziej stawałam się nerwowa i ulegałam emocjom, tym trudniej było mi go dosięgnąć. Pozwalał, żeby się we mnie gotowało, i zasadniczo unikał jakiegokolwiek kłótni. Mimo to nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby go porzucić. Pech i przeciwności losu lepiej cementują związek, niż mogłyby to zrobić radość i szczęśliwe chwile.

Stało się jednak inaczej. Moja sytuacja w pracy w połowie lipca się zaogniła, gdy Nasrin, szefowa grupy, z powodu brakującego szczepienia przeciwko cholercie wstrzymała mi wypłatę.

- Zaszczepię się, gdy tylko będę miała czas. Wstrzymanie wypłaty z tego powodu jest niezgodne z prawem, w końcu żyję z pieniędzy, które tu zarabiam.

- Poza tym masz wpisane dziesiątego czerwca no-show - nie pojawiłaś się w pracy. Za to zabiera się trzydniowe pobory - oświadczyła chłodno Nasrin.

- Och nie, z pewnością tego nie zrobiłam, wiedziałabym przecież! A teraz do rzeczy: mam dość tych nazistowskich metod i oskarżeń wziętych z powietrza. Składam wymówienie! Tak, jutro możesz je mieć na piśmie.

Skumulowana frustracja, znużenie, przepracowanie wylały się ze mnie w postaci strumienia łez. Nie chciałam i nie mogłam tak dalej żyć. Koniec, kropka, do widzenia!

Zaskoczona moim wybuchem Nasrin patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

- Och nie, Tereso, nie przyjmuję twojego wymówienia! Jesteś dobrą stewardesą, Saudia cię potrzebuje. Słuchaj, jeśli masz dość bazy w Dżuddzie, możemy cię z następną grupą przenieść do Bang-

koku. Mogę to dla ciebie zrobić. Nie *zechcesz* jeszcze zastanowić się nad tym wypowiedzeniem i powiedzieć mi jutro, co postanowiłaś?

Bacik i marcheweczka. Najpierw kara i nagany, potem pochwały i namawianie do pozostania, z cukiereczkiem w postaci Bangkoku na przynętę. Ale propozycja została przedstawiona, miałam wybór.

Dwudziesty piąty sierpnia 1983 roku, późne popołudnie: moje godziny w Dżuddzie były policzone. Walizki i torby spakowane, Jerome pożegnany z niepokojem w sercu. Z nostalgią i jednocześnie patrząc naprzód, siedziałam w jadącym w kierunku lotniska autobusie dla załóg. Do Bangkoku jechało nas pięć: dwie Marokanki, Fatma i Saida, i dwie młodziutki Amerykanki, Shirley i Lorna. Ta Lorna Anderson.

Lorna była przejrzyście blada, jej delikatna twarz w kształcie serca obramowana była brązowymi dziecięcymi lokami. Mimo kobiecych krągłości i dużego biustu nie wyglądała na silną. Shirley, jej pełna temperamentu przyjaciółka w fatalnym nastroju, podczas podróży tonęła za kołyszącymi się liśćmi i gałęziami zabranych ze sobą roślin pokojowych.

W hali odlotów naszła mnie nieodparta potrzeba, by jeszcze raz, ostatni raz zadzwonić do Jeromea. Nie było wiele do przekazania, wszystko już zostało powiedziane. Właściwie chciałam tylko usłyszeć jego głos, poczuć, że należymy do siebie, i przegonić mój strach przed odlotem.

Jego stłumiony, zdystansowany głos nie był akurat tym, co ogrzałoby moje serce. Czego oczekiwałam? W końcu to ja byłam tą, która wyjeżdżała, która go, jakby to powiedzieć, zostawiała samemu sobie. Wydawało się, że emocjonalnie jeszcze nie strawił mojej decyzji. Na zdrowy rozum mój wybór był dla niego

oczywisty; on również by nie zwlekał, gdyby mu ktoś gdzieś zaproponował lepszą pracę, piękniejsze życie.

Maszyna do Bangkoku była gotowa, by się wznieść. Przy wyjściu zgromadzili się głównie pasażerowie płci męskiej. Nasze miejsca znajdowały się z tyłu boeinga 747, w strefie dla palących. Tam miałyśmy w ciągu najbliższych ośmiu godzin zjeść kolację, obejrzeć film, przespać się i zjeść śniadanie.

Loty pomiędzy Arabią Saudyjską a Tajlandią są jak podróże w czasie w sensie kalendarzowym, w osiem godzin człowiek przeskakuje 1123 lata. Wylatujemy według muzułmańskiego kalendarza w roku 1403 i lądujemy w Bangkoku w roku 2526 według budyjskiej rachuby czasu, ale kto z tych, którzy latają na tej trasie, myśli o czymś takim?

Shirley i Lorna z zapałem grały w blackjacka jedną partyjkę po drugiej, Saida i Fatma drzemały, gdy przyszła do nas filipińska szefowa kabiny, Pamela. Ze zwycięskim uśmiechem zaproponowała nam pierwszą klasę.

Godziny spędzone w charakterze pasażera, z dala od ziemi, pozostawiły we mnie wrażenie wprawdzie nagłego, ale łagodnego kroku z powrotem w życie. W samolocie, który był zamkniętym małym światem, gdzie głównie kobiety matkują pasażerom i ich rozpieszczają.

Z westchnieniem wtuliłam się w szerokie siedzenie i naciągnęłam koc na uszy. Poddając się pozornemu bezruchowi lotu, wkrótce zapadłam w lekką drzemkę.

Część druga

Rozdział siódmy

Po wyjściu z samolotu w Bangkoku uderzyła nas duszna fala wilgotnego tropikalnego upału. Po suchym, klimatyzowanym powietrzu w samolocie Bangkok zatykał wręcz wilgocią. Nawet lekka bawełniana koszulka wydawała się ciężkim wełnianym kocem.

Na horyzoncie zbierały się ogromne deszczowe chmury, które podczas długiej, wciąż przerywanej podróży do centrum miasta gwałtownie się rozładowały. Otoczenie mogliśmy zatem dojrzeć tylko przez gęste zasłony potężnej ulewy.

Gdy mały bus przedzierał się przez słonawą wodę, mijaliśmy ozdobne, złote świątynie - budowle, które były jawnym przeciwieństwem skromnych, podobnych do baraków budynków mieszkalnych wzdłuż ulic.

Im bliżej byliśmy celu, hotelu Siam Intercontinental, gdzie nasza linia lotnicza wynajmowała pomieszczenia, tym mniej płynny stawał się ruch. Już wkrótce w ogóle nie dało się jechać i staliśmy w korku. Ten ruch uliczny to obłąd! Po wszystkich pustych, prostych jak strzała ulicach w Arabii Saudyjskiej, gdzie można było pędzić - otaczający ze wszystkich stron szalony chaos

komunikacyjny. Każdy centymetr do przodu trzeba tu było sobie wywalczyć.

W końcu skręciliśmy w szeroki, zadbanej wjazd. I patrzcie państwo: za paskudnym ulicznym zgiełkiem, w rozpusznie zielonym, parującym i wilgotnym parku pojawił się elegancko wygięty, trójkątny dach hotelu Siam Intercontinental, gotowego do przyjęcia wszystkich tych, którzy mogli sobie pozwolić na kawałek nieba już na ziemi.

Zostałyśmy przywitane przez małego, drobnego Afrykańczyka z błyszczącą łysiną nad czołem, menedżera bazy, pana Karima. Pokazał nam pomieszczenia biur i objaśnił, jak funkcjonuje baza w Bangkoku.

Ponieważ w Dżuddzie zapomniano na czas zarezerwować nam pokoje w hotelu Siam, na następne pięć dni zostałyśmy umieszczone w położonym w pobliżu, supereleganckim hotelu President. Natychmiast poszłam spać, dopiero pod wieczór uporczywe pukanie wyciągnęło mnie z łóżka. Otworzyłam drzwi i stanęłam naprzeciwko uśmiechniętego chłopaka w liberii, który chciał się pozbyć prezentu powitalnego - świeżego ananasa ułożonego na srebrnej tacy. Poczułam, jak cieknie mi ślinka. Pożądliwie zjadłam ten soczysty, słodko-kwaśny delikates, by zaraz potem z powrotem wskoczyć pod kołdrę. Tam, gdzie czułam się bezpiecznie i mogłam znów zasnąć do wtóru nieustającego, dudniącego z łoskotem monsunowego deszczu.

Bangkok był światem najrozmaitszych smaków i zapachów. Wywary, ścieki, para, spaliny, ogień, fekalia, sfory psów, przewożne garkuchnie, suszone ryby, pieczona szarańcza, ostre przyprawy, pachnące trociczki, kwiaty lotosu, drewniane domki dla duchów...

Bangkok to był świat, który chciał zostać odkryty i który - w odróżnieniu od Arabii Saudyjskiej - nie zamykał się przed obcymi.

Przede wszystkim intensywnie świętowałyśmy odzyskanie wolności. W tym momencie przestałyśmy być pod jakąkolwiek kuratelą. Mogłyśmy robić, co chciałyśmy, z kim chciałyśmy i tak długo, jak chciałyśmy!

Claudine, moja była współlokatorka z kampusu stewardes, zaprowadziła nas do Superstar, dyskoteki w samym środku grzesznej wieży Babel - Patpongu.

Na dole był bar go-go, gdzie lśniące męskie oczy pożądliwie obserwowały wijące się przy metalowych rurach dziewczyny. Dla ułatwienia każda tancerka miała numer. Atmosfera była dość prymitywna. Głośne, roześmiane prostytutki w skąpych bikini siadały na kolanach mężczyznom, którzy kompletnie tracili przytomność z pożądania i nadmiaru alkoholu. *Mój rozum mówi mi nie, ale moje ciało, moje ciało mówi mi tak, kochanie.*

Na pierwszym piętrze, oddzielona od baru go-go, znajdowała się dyskoteka. Pomiędzy świetlnymi stożkami i dyskotekową mgłą rozbrykane nastolatki hałasowały i przytupywały w rytm najnowszych przebojów. Jeśli didżej puszczał akurat jakiś tajski hit, mnóstwo z nich kołysało się i śpiewało do wtóru. Porywająca fala młodej żądzy życia, dokładnie to, czego trzeba było obydwu Amerykankom, Shirley i Lornie. Przy pełnych podziwu spojrzeniach młodych tajskich chłopaków rozwinęły swój najwyższy taneczny kunszt.

Dwa wieczory po naszej wizycie w dyskotece dziewczyny chciały ze mną porozmawiać w barze hotelu President. Znalazły piękny, umeblowany dom, położony na strzeżonej prywatnej ulicy, niecałe pięć minut pieszo od hotelu Siam Intercontinental.

- Dom należy do szanowanej tajskiej damy, która byłaby naszą sąsiadką - opowiadała Shirley. - Na początek chciała jednaście tysięcy sześćset bahtów miesięcznie, teraz jest gotowa spuścić do dziesięciu tysięcy sześciuset. Dla nas dwóch czynsz jest za duży, ale to najlepsze ze wszystkiego, co dotychczas oglądaliśmy. A ponieważ w tym domu są trzy sypialnie, pomyśleliśmy sobie, że mogłabyś zamieszkać z nami. Co ty na to?

- Wasza propozycja jest tak niespodziewana... Po moich doświadczeniach w kampusie stewardes wołałabym mieszkać sama. Słabo się znamy, to niesie ze sobą pewne ryzyko.

- Dobrze, porozmawiajmy o nas - powiedziała energicznie Shirley. - Ja mam dwadzieścia lat, pochodzę z Sacramento w Kalifornii, mam za sobą dwa lata collegeu, rok w amerykańskiej szkole w Tessin w Szwajcarii, gdzie poznałam Lornę. Mój ojciec pracuje jako inżynier w Arabii Saudyjskiej. Moją słabością są silni, owłosieni, muskularni mężczyźni. Ale bez obaw, nie będę ich przyprowadzać do domu. Nie jestem wprawdzie szczególną miłośniczką porządku, ale za to jestem dość schludna, nie wiszę ciągle na słuchawce i palę umiarkowanie.

- Ja skończę w połowie października dwadzieścia lat - zaczęła Lorna - i pochodzę z małego miasteczka w Michigan. Moi rodzice są rozwiedzeni, mój ojciec ma na przedmieściach małą stację benzynową. Mój chłopak pracuje jako drugi pilot dla Saudii. Może się zdarzyć, że przyjedzie do mnie w odwiedziny.

Zaczęłam przyglądać się tym dwóm z większym zainteresowaniem niż dotychczas i zwróciłam się do Shirley:

- Owłosieni, silni mięśniacy?

- Taaak... Ale nie jestem już tak ciekawa jak dwa, trzy lata temu. Wtedy każdy, komu udało się mnie odwiedzić do domu, miał moją rękę w swoich spodniach.

Zupełnie nie wyglądała na pożeraczkę męskich serc z moich wyobrażeń: dziewczęca i chuda, mała, bezbiusta, łykowata. Jej bujne rudawe włosy były splecione w kunsztowny warkocz. Wąska twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi, której irlandzka blada, piegowata cera ożywiała się tylko pod wpływem rózu na policzkach, zdominowana była przez parę żywych zielonych oczu. Natomiast Lorna wyglądała łagodnie i harmonijnie. Gdy się śmiała, najej policzkach pojawiały się uroczę dołeczki, a oprócz tego widać było szczelinę pomiędzy górnymi siekaczami. Miała drobne zęby. Duży, ciężki biust i krągły jak jabłuszko tyłek podkreślały jej kobiecość.

- Znacie się więc od czasów szkoły z internatem w Szwajcarii i potem obydwie zaciągnęłyście się do pracy w Saudii?

- Nie, aplikacje złożyłyśmy niezależnie od siebie i potem byłyśmy zaskoczone i uradowane, gdy w dniu wyjazdu spotkałyśmy się przy odprawie na lotnisku Kennedyego przed stanowiskiem Saudii.

- Poczulałam taką ulgę, że znam kogoś i nie będę musiała sama pokonywać tej dalekiej drogi do Arabii Saudyjskiej - wyjaśniła Lorna swoim delikatnym głosem elfa.

- Dobra, myślę, że jutro obejrzę sobie ten dom - zdecydowałam.

Dom był zbudowany w tradycyjnym tajskim stylu i otwierał się na zajmujący cały parter salon. Na prawo od wejścia znajdowała się wnęka kuchenna z piecykiem gazowym i lodówką. Duży, przeszklony front z rozsuwanymi drzwiami otwierał się na ogród. W salonie stał ratanowy komplet wypoczynkowy w zielony wzór, w oknach wisały zasłony w kolorze zielonego mchu. Ze środka salonu drewniane, kręcone schody prowadziły na górę, gdzie były trzy sypialnie i dwie łazienki, rozmieszczone wokół drewnianej balustrady.

Dom od razu mi się spodobał. Zgodziłyśmy się i podpisałyśmy umowę najmu.

Na następny dzień przypadała moja przeprowadzka do nowego domu i odlot na urlop do Szwajcarii.

*

Byłam już dwa tygodnie w domu u mamy, gdy z Londynu zadzwonił Jerome. Ponieważ dostał krótki urlop, poleciałam na parę dni do Anglii.

- Tereso, w końcu przyjechałaś! Co się stało? Oczekiwałem, że przylecisz wcześniejszym samolotem - przywitał mnie Jerome na londyńskim lotnisku Heathrow.

Wzięłam głęboki wdech i opowiedziałam tę żenującą historię:

- Coś poszło nie tak! Dureń w biurze podróży, gdzie kupowałam tani bilet, wpisał na nim niewłaściwą datę, a ja nie sprawdziłam. W końcu musiałam kupić na lotnisku bilet za pełną kwotę, żeby w ogóle tu dotrzeć.

- Tereso, jesteś niemożliwa! No, ale przynajmniej tu jesteś. Wynająłem eleganckie umeblowane mieszkanie w Kensington Garden, będzie ci się podobać.

Mieszkanie było jak urwany korytarz; wciąż przychodzili i wychodzili przyjaciele i znajomi Jeromea.

Wieczorami wychodziliśmy do miasta. Najczęściej do Chelsea, do modnej włoskiej restauracji, do uczęszczanych nocnych lokali, a potem do kasyna. Pod pojęciem „my” należało rozumieć jego wysokość Jeromea, moją niskość i jego dwór żądnych rozrywek paziów, błaznów i lokajów. Jerome porywał wszystkich swoją rozrzutnością i przesadną żwawością. Wydawało się, że jego kumplom jest wszystko jedno, jak doprowadzi się do zguby. Byleby stało się to z pompą i stylowo.

Na moje nieszczęście wśród londyńskich znajomych Jeromea była mała włoska fryzjerka Gina, która zupełnie jawnie z nim flirtowała.

- Czyżbyś była zazdrosna? - pytał złośliwie.

Wyjął przy tym kopertkę z białym, sproszkowanym siarczanem amfetaminy, uformował na stole dwie cienkie linie i zwinął w rurkę banknot pięćdziesięciofuntowy.

- To nie jest cool, Jerome! Teraz wiesz już tylko, co zrobić z narkotykami?

- Przyleciałaś do Londynu po to, żeby mi prawić kazania umoralniające? Gina jest łatwiejsza, ona się śmieje, jest wesoła i ciepła.

Rozzłościłam się.

- Cóż! Przyleciałam do Londynu, żeby być z tobą! Bo za tobą tęskniłam. Ale teraz widzę, że ty nawet podczas urlopu nie masz dla mnie czasu. Biegasz ciągle dookoła jak jakiś komiwojażer, wszystko i wszyscy są dla ciebie ważniejsi niż ja. Co się dzieje, Jerome? Boisz się zostać ze mną sam na sam? Nudzę cię?

Ponieważ i tak mnie nie słuchał, bo był zajęty rytuałem przyjmowania narkotyku, przerwałam swoje skargi. Kierowana nagłym impulsem, rzuciłam się na kopertkę.

- Precz z tym głównem!

- Nie! - protestował Jerome, który zdążył wyrwać paczuszkę z moich rąk. - Mam ci odświeżyć pamięć? Komu zawdzięczam to, że w ogóle tego spróbowałem, Tereso? Na pewno sobie przypominasz, wtedy, w mieszkaniu Nilsa w Džuddzie.

- Ach, to tak. Nie za łatwo ci przychodzi zrzucanie na mnie winy za swoje nałogi? Z mojej strony było to tylko małe zboczenie z drogi, prowokacja, nic więcej.

- Nie jestem uzależniony, kontroluję to!

- Wszyscy tak mówią.

Mój urlop się kończył. Podupała na zdrowiu i głęboko zaniepokojona, musiałam sprawdzić, jak wrócić do Bangkoku. Udało mi się polecieć KLM.

Nie byłam pewna, czy odnajdę mój nowy dom. Podanie taksówkarzowi adresu i założenie, że sam znajdzie drogę, było przykładem najczystszej myślenia życzeniowego. Musiałam nim kierować.

- W mieście były podtopienia, miss, nie wszędzie można przejechać - poinformował mnie taksówkarz.

- Rama 1, tuż przed skrzyżowaniem ulicy Patumwan.

W odpowiedzi zapakował moje walizki do bagażnika i przeprowadził mnie przez tłumek kolegów po fachu, którzy próbowali mu odebrać *farang**. Niepotrzebnie się martwiłam, znalazłam nasz dom od razu. Shirley na powitanie postawiła przede mną miskę świeżo pokrojonego ananasa.

- No, fajny miałas urlop?

- Pomijając ostre zapalenie pęcherza, wszystko było w porządku.

- Ale pech, zachorować na urlopie!

- Przyzwyczaiałam się do tego. Od dzieciństwa na wakacjach choruję na co tylko się da i się nie da. Ale dajmy temu spokój. Gdzie Lorna?

- W pracy. Słuchaj, Tereso, wkrótce przyjdzie nasz sąsiad Jan. Zaprosił mnie dzisiaj wieczorem na kolację.

- Aha. Jaki on jest, ten Pan Sąsiad?

- Hmmm, tak... Wysoki, chłopięcy i wysportowany. Jest Holendrem, mniej więcej w twoim wieku i pracuje tu jako geolog.

- Interesujące. Mam nadzieję, że interesują cię kamienie i warstwy geologiczne.

"Taj.: obcy.

- Och, on nie jest jednym z tych zapatrzonych w pracę idiotów, którzy godzinami opowiadają fachowe bzdury. Interesuje się też innymi rzeczami. Na przykład mną.

- Wspaniałe, Shirley, to życzę ci dużo radości dziś wieczorem.

Ostatniego dnia mojego urlopu padał deszcz, dlatego odczekałam trochę, zanim ruszyłam w drogę do biura personalnego w hotelu Siam Intercontinental. Miałam zamiar odebrać stamtąd mój harmonogram lotów na następny miesiąc.

Zamiast wściekłego hałasu ulicznego panowała dziś niezwykła cisza. Z parujących, ociekających wodą drzew słychać było trwożliwe ptasie głosy. Przesiąknięte wilgocią powietrze pachniało deszczem. Wyszłam z naszej ulicy, na której było tylko kilka kałuż, i skręciłam w Rama 1. Ku mojemu zdziwieniu z wody wystawały tam tylko najwyższe elementy chodnika. Samochody z trudem przedzierały się przez płynące potoki i jechały zygzakiem, aby ominąć stojące pojazdy. Ten, kto nazwał Bangkok azjatycką Wenecją, nie przesadził - brakowało tylko gondoli.

Woda chlupała wokół moich łydek i lizała mury domów. Machinalnie zdjęłam sandały i obserwowałam innych przechodniów. Jedni stali niezdecydowani na wyższych partiach chodnika i wahali się, czy iść dalej, patrząc z odrazą na wodę, jak gdyby oczekiwali, że się przed nimi rozstąpi - jak niegdyś Morze Czerwone przed Mojżeszem. Inni odważnie wchodzili do mętnych strumieni i nie troszcząc się o swoje ubranie, przedzierali się przez wodę z zupełną obojętnością.

Ta odwaga mogła się źle skończyć. Gdy ostrożnie macałam nogami brzeg chodnika, zobaczyłam małego mężczyznę, który nagle wpadł po biodra w wodę. Woda była tak mętna, że nie dało się dojrzeć dna, zdradzieckich dziur i nierówności. Odważnie wcisnęłam swoją torebkę pod pachę, wzięłam sandały do ręki, zrobiłam krok do

wody, zachwiałam się i straciłam jeden but. Szybko pochyliłam się, aby pochwycić płynący sandał. Obok mnie przepłynął szczur z łapkami na patyku. Coś owinęło mi się wokół nóg. Ryby? Pusta plastikowa torba? Wąż? Właściwie wolałam nie wiedzieć. Komizm tej sytuacji rozbawił mnie tak, że parszkając śmiechem, uparcie brnęłam do przodu. Od czasu do czasu zatrzymywałam się, aby ocenić, która droga jest najlepsza, i wymieniałam współczujące uśmiechy z innymi przechodniami.

Plac Siam i jego okolice są położone na wzniesieniu. Jak to mogło wyglądać w niżej położonych częściach miasta, nie byłam w stanie sobie wyobrazić. W Bangkoku mieszka dziesięć milionów ludzi, jeden tuż przy drugim na bagnistej równinie. Zbudowane na glinie miasto obniża się co roku o kilka centymetrów. Większość kłongów, czyli kanałów wodnych, jest zamulona lub zasypana, co prowadzi do regularnych powodzi podczas pory deszczowej.

W końcu dotarłam do Siam Intercontinental, który wyłonił się z odmętów jak zielona wyspa. Na moich dzinsach zaznaczył się poziom wody i zostały one dyskretnie zlustrowane przez boja hotelowego. Sekretarka w biurze personalnym zapiszczała, zaskoczona, gdy weszłam, ociekając wodą.

- Myślałam, że mnie wzrok myli! Że też dziś w ogóle ktoś tu przyszedł!

W wigilię Bożego Narodzenia 1983 roku leciałam z pewną „młodą” załogą na długiej trasie Rijad-Seul. Większość z nas dostała ten lot tylko dlatego, że ci z dłuższym stażem woleli święta spędzić w domu z rodzinami.

Na pokładzie była również Gianna Leandros, wieśniaczka z Macedonii, zwana Tsanna z powodu wady wymowy. A także młodsza stewardesa Susan Riße, pochodząca z małego probostwa w Westirland, której podczas lotu regularnie robiło się niedobrze.

Z jakiegoś zawianego piachem zadupia na skraju pustyni, gdzie skorpion i żmija mówią sobie dobranoc, pochodził też Amor, Tunezyjczyk. Starał się o jak największy zysk przy jak najmniejszym wysiłku. Amor migał się od roboty jak tylko mógł, zapewniał sobie najlepsze kąski z pierwszej klasy, zamykał się z poduszką pod pachą w toalecie i czytał bez przeszkód gazety, nawet jeśli w kabinie ktoś uparcie dzwonił.

U jego boku podczas lotu do Seulu pracowałyśmy Francuzka Odette i ja. Odette wpadła mi w oko po raz pierwszy przed ponad dwoma laty na jakiejś imprezie w Dżuddzie. Nie dlatego, że była wysoka i gibka i tańczyła obok mnie w ramionach jakiegoś złotobrazowego pięknisia, tylko dlatego, że w swoim jasnoczerwonym kostiumie od Chanel bez trudu prześcigała elegancją każdą kobietę.

Odette miała twarz Madonny, z delikatnie zaróżowionymi policzkami, obramowaną matowymi brązowymi włosami. Zawsze, gdy coś przerastało wyobrażenie Odette, jej wielkie brązowe oczy zaokrąglały się trochę jak u krowy. Ale to niczego nie ujmowało jej wizerunkowi *tresjolie filie**.

Odette była niezwykle pobudzona i rozgadana. Powód tego stanu miał na imię Samir i pracował w strefie C. Rozpoznałam w nim spotkanego już tancerza.

Wraz z nami leciały nowe koreańskie stewardesy: Kim, Song, Park i Lee. Wydawały się jeszcze trochę niepewne, ale

" Fr.: **Bardzo ładna dziewczyna.**

rekompensowały to gorliwością i gotowością do pomocy. Przekładały wszystkie zapowiedzi i komunikaty na koreański i w stosunku do koreańskich pasażerów, którzy komenderowali nimi, jak gdyby były kelnerkami w podupadłej knajpie, zachowywały się z uprzejmą uległością.

Dziesięć godzin i dwadzieścia minut po starcie z Rijadu nasz boeing 747 wylądował planowo na pasie seulskiego lotniska Kimpo. Po kilku minutach pasażerowie zeszli z pokładu, chwilę później wyszła też załoga.

Wyczerpana i zatopiona w sobie, siedziałam w hotelowym busie i patrzyłam bezmyślnie na płaski, zimowy krajobraz, który przesuwał się obok mnie. Było Boże Narodzenie, ja byłam w Seulu i chciało mi się tylko spać.

Nasz hotel Shilla znajdował się na wzniesieniu, trochę za miastem. Byłam sama w dwuosobowym luksusowym pokoju. Odette, gdy tylko zdjęła mundur, pospieszyła do swojego Samira.

Drugiego dnia świąt mimo osiemnastostopniowego mrozu odważyłam się z Tsanną i Amorem wyjść na zewnątrz w mojej starej brązowej skórzanej kurtce. Naszym celem były centra handlowe Hamilton, do których wygodnie dojechaliśmy ogrzewanym hotelowym autobusem. Przy wysiadaniu uderzył w nas okropny mróz, przy każdym oddechu powietrze wprawiało płuca w lodowaty szok. Z dwudziestu czterech stopni Celsjusza w Rijadzie do minus osiemnastu w Seulu - również to stewardesy musiały wytrzymywać.

Hamilton to były podobne do garaży budynki bez ozdób, przypięte jak pod sznurek wzdłuż ulicy. W każdym z tych sklepów, ukryta za wypchanymi po brzegi regałami i stojakami z ubraniami, znajdowała się często opatulona, pochylona nad gazowym albo węglowym piecykiem postać, którą nagle zaskakiwała obecność

trzech drżących, opalonych obcych. Gromadziliśmy się wokół tych piecyków i wyciągaliśmy przemarznięte na kość palce w kierunku ciepłego powietrza. Koreańskie słowa mieszały się z ogólnie zrozumiałymi dźwiękami, takimijak: brrr, sss, hu!

Następnego dnia mróz zelżał. Zero stopni z lekkimi opadami śniegu to była już bardzo przyjemna pogoda. Seul był rajem zakupów. Uwielbiałam jaskrawe, nasycone kolory tradycyjnych pasias-tych wzorów. Nabyliśmy cenne, eleganckie jedwabne suknie wprost z fabrycznego magazynu za śmieszne ceny, torebki ze skóry węgory, biżuterię, szkatułki, parawany, chińskie naczynia - szafu zakupów nie było sensu ograniczać.

Tuż przed godziną policyjną większość członków załogi poszła do hotelowej dyskoteki, aby spożyć ostatni legalny alkohol przed lotem powrotnym. Przyglądali się przy tym wymalowanym jak lalki Koreankom, podrywającym żołnierzy o byczych karkach. Ale to nie one zadbały tej nocy o dostarczenie mocnych wrażeń, tylko Odette.

Około północy przyszła, na rauszu, z Samirem i dwoma członkami załogi kokpitu. W ciemnej sukience z jedwabnej tafty a la Grace Kelly była rozkoszą dla oczu. Niecałkiem trzeźwa. Zakołysała się na wysokich obcasach, klapnęła ciężko na krzesło i parskając, zażądała czerwonego wina. Potem podciągnęła rękawy swojej sukienki i powiedziała:

- Patrzcie no tu! Czyż to nie przepiękne ramiona?

Jeden z Saudyjczyków przy stole wprost nie wierzył własnemu szczęściu i chętnie pokrył wystawione ciało bogobojnymi całusami. Jego kolega, rozmarzony, głaskał drugie ramię i podnosił kieliszek do ust.

- Jestem piękna - bełkotała porwana nastrojem chwili Odette - patrzcie tylko, jaka piękna jestem tej nocy!

Następnego dnia podczas pracy Francuzka, teraz cichutka i na ciężkim kacu, była jak przezroczysta dla żeńskich członków załogi. Większość mężczyzn też już zobojętniała na jej wdzięki.

Na początku stycznia zostałam wezwana na coroczny kurs odświeżający umiejętności. Było słoneczne i świeże przedpołudnie w Saudia City. Wiatr, który gładził moje nagie przedramiona, nie-szczególnie zachęcał do kąpieli - ale byliśmy tu po to, żeby się kąpać. Również tym razem nie oszczędzono nam wątpliwej przyjemności skakania do basenu w ubraniach.

- Uwaga! Będziemy ćwiczyć awaryjne wodowanie, przerobienie i zagospodarowanie tratwy z trapu ratowniczego, użycie zestawów ratunkowych i wykonanie zadaszania. Zatem teraz po kolei wskakujecie do wody. Na moją komendę: *jump!*

Obok mnie młoda Hinduska się skurczyła.

- *Jump!* - zaszczekał saudyjski instruktor.

Niezwłocznie posłuchała, wypłynęła z rozszerzonymi ze strachu oczami, gwałtownie chwytając powietrze. Jej ramiona młóciły wodę jak cepy, zanim pojawiła się jak ratunek moja szyja. Zacisnęły się na mnie z całą mocą rozpachy człowieka w panice. Z trudem dociągnęłam dziko walącą dokoła siebie dziewczynę do brzegu basenu, gdzie instruktor Aziz zwrócił na nas uwagę.

- Dlaczego cię w ogóle zatrudniono, jeśli nie umiesz pływać? Jak chcesz w wypadku awarii pomóc innym?

Od razu rozległo się kilka głosów, które twierdziły, że umiejętności pływania nie mają już w wymaganiach rekrutacyjnych do tego zawodu.

- Cóż, za moich czasów to był warunek konieczny. Wszyscy z wody i chwytają kamizelki ratunkowe. He, he, to musi iść szyb-

ciej! Zakładać i na moją komendę pompować. Hop, hop! Co z was za kupa leniwców!

W zapiętych kamizelkach ratunkowych wskoczyliśmy z powrotem do chłodnej wody i podpłynęliśmy do kołyszącej się tratwy. Hinduska dzięki kamizelce odzyskała godność. Dwie silne stewardesy dotarły do tratwy jako pierwsze i wciągały te, które okazały się mniej sprytnie, potem rozmieściliśmy się równomiernie plecami do ścianek.

Następnie trzeba było wyciągnąć z wody zestaw ratunkowy. Rozwinęliśmy słonecznie żółte plastikowe zadaszanie, ustawiliśmy w odpowiedni sposób i zabezpieczyliśmy. Gdy tylko wyeliminowaliśmy wiatr i słońce jako zagrożenia, zrobiło się pod daszkiem ciepło - efekt szklarni. Rozchodził się zapach chloru, mokrych ubrań i rozgrzanego słońcem plastiku.

- Jeszcze jakieś pytania?

Wszyscy siedzieli milcząco w kałużach wody. Nikt nie miał ochoty przedłużać pytaniami nieprzyjemnego ćwiczenia bardziej, niż to było konieczne.

- Dobrze. Jeśli nie ma żadnych pytań, możecie iść się przebrać. Za kwadrans spotykamy się na teorii w budynku.

Drżąc z zimna, z sinymi wargami, w ciasnej, śmierdzącej uryną toalecie zdjęłam z siebie mokre ubrania. Bardzo ceniłam sobie wojskowy dryl i rozrywkową wartość tych ćwiczeń w wannie. Ale nie za cenę przeziębienia, które w tych okolicznościach łatwo było złapać.

Po powrocie do Bangkoku pewnego wieczoru kompletnie nie miałam ochoty iść sama na kolację. Nasza zawsze troskliwa gospodyni zaofiarowała się, że kupi mi chop suey w przewoźnej

garkuchni. Wróciła z plastikową torbą pełną ryżu, kawałków wieprzowiny, zwiędłych warzyw z błyszczącym pleśniawo-szarym stuletnim jajem. Byłam tak głodna, że nieostrośnie przeoczyłam ten fakt i zjadłam też jajo.

To był wieczór przed planowym lotem, na który gorączkowo czekałam, ponieważ miałam się znów zobaczyć z Arzu. Do spotkania, które wzbudziło we mnie zainteresowanie nią, doszło kilka dni temu. Stało się to w Pizza Hut przy placu Siam. Chciałam tylko szybko zamówić sobie coś do jedzenia, gdy usłyszałam za sobą rozradowany, jasny głos:

- Hej, Teresa!

To była Canan, która niedawno zmieniła bazę w Londynie na Bangkok. Była w towarzystwie starszej kobiety w chustce na głowie i atrakcyjnej, wysokiej Arzu.

- Chodź, przysiadź się do nas!

- Nie chcę przeszkadzać. Właściwie chciałam tylko szybko kupić coś do jedzenia.

- Nie przeszkadzasz! Chodź, chcę ci przedstawić moją mamę! Mam akurat urlop i przyjechała do mnie na dwa tygodnie. A to Arzu, stacjonuje tutaj, odkąd otworzyli bazę w Bangkoku.

Arzu i ja powiedziałyśmy jednocześnie:

- Już ze sobą latałyśmy.

Podczas naszego pierwszego wspólnego lotu Arzu pracowała jeszcze jako purserka. Była odpowiedzialna za serwis w pierwszej klasie, a także sprzedaż towarów bezcłowych. Nie mówiła wiele. Z lunatyczną pewnością wykonywała swoją robotę, którą przyswoiła do najmniejszego szczegółu. Dysponowała większym doświadczeniem w lotach niż większość z nas. Wszyscy zostawiali ją w spokoju.

W małym barku dla załóg na starym lotnisku w Rijadzie, gdzie podczas zmiany samolotów się odświeżałam, usiadła nagle obok mnie na barowym stołku.

- Skąd pochodzisz, Tereso? Podoba ci się w Bangkoku? Masz już przyjaciół?

Nasze spojrzenia się spotkały. Patrzyłam w pociągające, głębokie, ciepłe brązowe oczy. Przenikliwe spojrzenie Arzu pozostało na mojej twarzy nieco dłużej niż zwykle. Jej widoczne zainteresowanie wywołało we mnie dziwne zmieszanie. Nie byłam na to przygotowana.

Kilka tygodni później leciałyśmy razem po raz drugi. Miała zostać awansowana na supervisor. Wspierana i obserwowana przez kontrolerkę supervisorów Lopitę, prowadziła swój pierwszy briefing.

- Latam już od... - wstrzymała się na chwilę - od siedmiu lat. Przyszedł czas, żeby przyjąć więcej odpowiedzialności. Mam nadzieję, że współpraca będzie się nam wszystkim dobrze układać.

Jej wiedza i doświadczenie były godne podziwu, ale nie dawała sobie rady ze stresem i naciskami. Od początku działała nerwowo i niekonsekwentnie. Czy dorosła do takiego obciążenia jak praca supervisor? Lopita zdecydowała, że tak.

Stałam jeszcze niezdecydowana przy stoliku tych trzech Turczynek. Jeśli nie chciałam okazać się niemila, musiałam się do nich przysiąść i trochę poplotkować. Usiadłam pomiędzy Arzu i Canan.

Radość z naszego ponownego spotkania, serdeczność i ciepło Canan dobrze mi zrobiły. Była w dobrej formie, jej wspaniałe zielone oczy promieniały energią. W przemalowanych na rudawy blond lokach było jej do twarzy. Emanowała czymś na kształt podwyższonej wrażliwości zakochanych. Przez głowę przeleciała mi pewna myśl: czy z Arzu łączy ją coś więcej niż zwykła przyjaźń? Ta sprawa zaczynała mnie interesować.

Arzu siedziała tymczasem nad miską truskawek. Truskawki to było jedyne, co od wielu dni jadała. Uważała, że jest za gruba w biodrach. Patrząc na mnie z boku, westchnęła:

- Co ty robisz, żeby utrzymać taką figurę?

- Jem wszystko, co chcę.

- Naprawdę? Można ci pozazdrościć. Poza tym masz śliczne włosy. To naturalne loki?

I już byłyśmy w samym środku typowych babskich gadek o wyglądzie, fryzurze i figurze.

Jako dziecko zawsze chciałam mieć takie włosy, jakie miała Arzu: kaskady błyszczących, czarnych loków, które swobodnie opadają na ramiona i przekornie spadają na czoło. Srebrne pasemko, który wyrastało z przedziałka, świadczyło o dojrzałości.

Niewymuszona, intymna atmosfera naszego spotkania przy stole przeniosła się na mnie i na Arzu. Była sympatyczna i otwarta. Może sobie tylko wymyśliłam, że w jej obecności można się też czuć dziwnie?

W końcu chciała wiedzieć, która scena najbardziej mi się podobała w najnowszym filmie z Jamesem Bondem.

Tym, co mi się podobało u Arzu, i to im dłużej na nią patrzyłem, tym bardziej, była jej twarz. Klasyczne rysy, magiczna siła wielkich, ciemnych oczu, szlachetnie wąski nos, zmysłowe usta, miękko zaokrąglona broda, policzki - po prostu wszystko. Porywała mnie i fascynowała. Dziwiłam się, dlaczego tak wiele piękna wcześniej nie wpadło mi w oko. Na koniec tej odkrywczej podróży moje spojrzenie zatrzymało się na małym zagłębieniu kąkajanej ust.

- Która scena? Ach, tak - kiedy Kim Basinger ma zostać sprzedana jako niewolnica, a Bond chwyta ją i uprowadza na koniu, a potem w galopie rzucają się w otchłań morza.

A propos morza opowiedziała mi pewną okropną historię, która zdarzyła się przed kilkoma laty przy Obhor Creek, nad Morzem Czerwonym.

Arzu pływała sama na otwartym morzu, gdy nagle, mniej niż pięć metrów od niej, wynurzył się rekin. Krew zastygła jej w żyłach. Nie spuszczać rekina z oczu, płynęła, jak najmniej rzucając się w oczy, do jachtu swojego znajomego, który nagle wydawał się niewyobrażalnie daleko. Drżąc ze strachu i zimna, po niekończących się minutach dotarła do drabinki i wdrapała się na bezpieczny pokład. Tam zemdlała.

Talerze były od dawna puste, napoje wypite, gdy Arzu zaproponowała, by skoczyć do Orientu. Przy tej okazji chciałam się pożegnać, ale wszystkie zdecydowanie zaprotestowały.

- Żadnych wymówek, Tereso, jesteś zaproszona!

Arzu uwielbiała chłodny, luksusowy nastrój najlepszego hotelu świata. Przechadzałyśmy się wzdłuż starego kolonialnego skrzydła, gdy nagle przyszło mi do głowy, żeby się przekomarzać.

- Canan mówi, że zgłosiłaś się do służby w Stambule, rozumiesz też po turecku?

- Co najwyżej parę słów.

- Aha... A wiesz, co znaczy *biliyorum**?

- *Biliyorum*? Nie wiem.

Zaśmiała się przebiegle i starała się dogonić Canan, która szła przed nami. Przytrzymałam ją za rękę.

- Powiedz mi, co to znaczy!

Arzu uwolniła swoją rękę, miała na ustach drwiący uśmiech.

Później siedziałyśmy obok siebie w ciemnym wnętrzu tak-sówki i poznawałyśmy się trochę lepiej. To znaczy Arzu lepiej mnie

"Tur.: Wiem

poznawała. Ja na swoje pytania otrzymywałam nawet jeśli przyjazne, to dziwnie nieokreślone odpowiedzi.

Od czasu do czasu wpadał do nas jakiś promień światła, muskał nasze ciała i ginał, ślizgając się po jej włosach. Obydwie milczałyśmy i nagle uświadomiłam sobie, jak to pięknie, tak jechać razem z nią tą taksówką. Obecność tej kobiety elektryzowała mnie. Z czaru tej chwili wyrosła tęsknota, którą Arzu, tak mi się przynajmniej wydawało, dzieliła ze mną.

Samochód zatrzymał się przed moim domem. Życzyłam jej dobrej nocy i dodałam jeszcze, jak się cieszę, że wkrótce razem lecimy.

- Ja też, kochanie, ja też - zapewniła szybko, a jej głos był jak aksamit.

Gdy obudziłam się następnego ranka i jeszcze przepełniona intensywnym uczuciem szczęścia otwierałam okno, ku mojemu zachwytowi z niskiego, gęstego drzewa zerwało się stado zielonych papug. Prawie natychmiast musiałam znów o niej pomyśleć. Nadal nie wiedziałam, co znaczy *biliyorum*.

Gdy zatem zjadłam tę niezwykłą kolację, poszłam wcześniej do łóżka. Ale kręciłam się i kręciłam, i nie mogłam zasnąć. Przeszkadzał mi jakiś dyskomfort w okolicy żołądka. Nagle podjechała mi do gardła fala regularnych mdłości. Pobiełam do toalety i zdążyłam jeszcze umieścić tę falę w sedesie. Ale to była dopiero przygrywka, można by rzec: podniesienie pałeczki dyrygenta do uwertury.

Moje narządy trawienne wypowiedziały wojnę zawartości żołądka: w żołądku i jelitach eksplodowały wystrzały; zdawało mi się, że moje wnętrzości postanowiły z całą siłą wywinąć się na drugą stronę i wydostać na zewnątrz. Drżąc, przykucnęłam na podłodze łazienki.

W końcu zostałam w tej bitwie pokonana i dogorywałam bez sił obok miski klozetowej. Tak znalazły mnie następnego ranka moje współlokatorki Shirley i Lorna, które zatroszczyły się o to, żebym niezwłocznie została zabrana do Deja General Hospital.

Młody pielęgniarz, który się mną zajął, był współczującym, łagodnym człowiekiem. Ostrożnie wkłuł w żyłę na grzbiecie mojej lewej dłoni igłę z przewodem, który prowadził do zawieszzonego woreczka z glukozą. Z wdzięcznością przypatrywałam się, jak kropelka po kropelce do mojego wstrząśniętego, odwodnionego ciała wpływa nowa energia. W tym czasie „mój” samolot leciał na zachód wysoko nad Zatoką Bengalską.

Nie musiałam oczywiście dostarczyć zaświadczenia ze szpitala do biura personalnego dokładnie w tym momencie, gdy załoga Arzu była oczekiwana z powrotem. Normalnie (ale w moim przypadku normalnie to już dawno nic nie było...) później też nie czekałabym jeszcze godzinę w hali przylotów, pętając się dookoła, żeby tylko doprowadzić do w miarę możliwości przypadkowego spotkania.

Chociaż nie zajmowałam się niczym innym oprócz dyskretnej obserwacji wejść i wyjść w znajdujących się naprzeciwko aneksach, niewiele brakowało, a przeoczyłabym „moją” załogę. Ponieważ Arzu nagle stanęła - sama i w oczekiwaniu - pośrodku pod zadaszonym wjazdem do hotelu.

Z bijącym sercem podeszłam do niej. Zauważyła mnie dopiero, gdy moje „Cześć!” tuż obok wyrwało ją z zamyślenia. Przestraszyłam ją; to trochę zaburzyło moją koncepcję działania.

- To ty...? Co się z tobą działo? Bardzo się zdziwiłam, że nie zgłosiłaś się na lot.

W tym momencie przyjechała taksówka i Arzu zaprosiła mnie, Żebym z nią wsiadła.

- Ale to tylko parę kroków - protestowałam słabo, gdy już wsia-
dałam do samochodu. Jeszcze zanim taksówka ruszyła, wzięła mnie
za rękę i delikatnie ją uścisnęła.

- J a k miło cię widzieć. Ach, jestem taka zmęczona.

Prawie pękałam ze szczęścia. Lubiła mnie, to było oczywiste, ale
ja, jają uwielbiałam!

- Ten menedżer bazy potrafi człowieka wkurzyć. Po prostu nie
chciał mi dać wyjść. Ale opowiedz mi lepiej, co się z tobą działo,
Tereso.

- Miałam zatrucie pokarmowe i musiałam pojechać do szpitala.
Ale teraz już jest mi lepiej.

Jak należało oczekiwać, wyraziła swoje współczucie. Ale nie po
to tu byłam, żeby się jej żalić. W myślach tysiąc razy odgrywałam
scenę naszego ponownego spotkania, prowadziłam subtelne roz-
mowy, przybierałam pełne wyrazu pozy - a teraz siedziałam jak na
rozżarzonych węglach.

- J a k i był lot?

- Całkiem dobry. Szkoda, że cię z nami nie było.

- Tak, szkoda - zawtórowałam. - Chętnie bym z tobą poleciała.

- Ach, mogłabym zasnąć na stojąco. Powrotny lot zdawał się nie
mieć końca - wymamrotała zmęczona Arzu.

Była tak wyczerpana, że głowa jej się kiwała, a powieki opadały.
Oparła się na moim ramieniu. Jej loki łaskotały mnie w szyję, pach-
niała mundurem, dymem papierosowym, samolotem i jakimś nie-
zdefiniowanym zapachem perfum połączonym z potem. W swo-
jej błogości byłam ze wszech miar gotowa w tym delikatnym geście
upatrywać więcej niż tylko wyraz nieludzkiego zmęczenia.

Taksówka się zatrzymała, żeby mnie wysadzić. Wszystko we
mnie broniło się przed opuszczeniem jej. Jedno jej słowo - jedno
jedyne słowo! Ponieważ go nie było, powiększyła się przepaść

pomiędzy marzeniem a rzeczywistością. Wiedziałam, że to niemożliwe, ale oczekiwałam, że zabierze mnie tam, gdzie ja dam się „zawieźć”. Właśnie za tym tęskniłam,

- Mam nadzieję, że wkrótce razem polecimy, Tereso.

- Ja również. Spij dobrze i dziękuję za podwiezienie.

- Nie ma za co, kochanie. Wiesz, bardzo cię lubię.

Czy Arzu miała pojęcie o moich uczuciach? Czy je odwzajemniała?

- I ja ciebie też! - odparłam szybko i patrzyłam za odjeżdżającą taksówką.

Od tego momentu moja swoboda w stosunku do niej była tylko *grą*-

★

Odkąd Saudia przeprowadziła się do nowego hotelu Hyatt Central Plaza, musiałam brać pod uwagę prawie godzinny dojazd.

W sali konferencyjnej na końcu korytarza, gdzie odbywały się briefingi, zebrali się już prawie wszyscy członkowie załogi. Docierały do moich uszu angielskie, arabskie, francuskie i malajskie fragmenty rozmów - znany, wielojęzyczny gwar załogi Saudii. Jak zwykle tworzyły się grupki, najczęściej ze względu na narodowość.

Julie, Joelle i Odette oburzały się na najnowsze podwyżki podatków we Francji. Obie tunezyjskie stewardesy paliły i rozmawiały o meczu piłki nożnej, podczas gdy Malajkom tematu do rozmowy dostarczyło wesele koleżanki. Jeszcze w pośpiechu lakierowały sobie przy tym paznokcie albo poprawiały makijaż w lusterku z kufierka. Był już najwyższy czas na briefing. Gdzie się podziała Arzu?

W końcu weszła. Trochę bez tchu, trochę spóźniona. Przeprasiła od razu za niepunktualność, widać, że było jej wstyd. Ale to pan Karim, menedżer bazy, najwyraźniej zatrzymał ją na naradzie.

Usiadła u szczytu stołu i przebiegła wzrokiem po wszystkich zebranych. Jej ciemne oczy rzucały niezwykle, niedający się opisać czar.

- Będziemy razem latać przez cały miesiąc, cieszę się z tego. Dzisiaj porozmawiamy o zagrożeniu bombowym i uprowadzeniach samolotów. W tym momencie to, niestety, znów temat aktualny.

Arzu była pełna dobrych intencji. Chciała dyskutować, podsuwać tematy do przemyśleń i motywować nas do tego, żebyśmy wciąż odświeżali swoją wiedzę o bezpieczeństwie. Niewątpliwie poświęcała sporo swojego wolnego czasu, aby dokładnie przygotować tematy briefingów.

Ja jednak pojmowałam przede wszystkim jedno: jeśli nadal mam pozostać w jej łaskach, muszę natychmiast moją energię miłosną włożyć w pracę. Niezależnie od tego, czego będzie ode mnie oczekiwać, chciałam być jej filarem, jej podporą, niezawodną, innowacyjną, w dobrym nastroju i pozornie niezmordowaną.

Wyrosłam na tytana pracy zespołowej i pracowitości. Mój serwis był szybszy, krok - pewniejszy, wygląd - bardziej zadbany, a wiedza fachowa osiągnęła nowy, najwyższy poziom. Jak ćpun żyje tylko dla swego towaru, tak ja żyłam tylko dla jej pochwał i je otrzymywałam.

*

Dżduda, dwudziesty czwarty lutego. Podczas briefingu przed lotem powrotnym do Bangkoku: Arzu właśnie poprosiła szepczące Francuzki Joelle i Odette o spokój i ponownie zwróciła się do grupy:

— Jakim językiem posługujemy się w lotnictwie?

- Angielskim - odpowiedział jakiś steward.

— Tak, owszem, ale nie to chciałam usłyszeć.

Podejrzewałam, co chciała usłyszeć. Nie doszło jednak do tego, że przezwyciężyłam swoją niechęć do przymusu brylowania jako perfekcyjna stewardesa, bo nagle ostrym głosem Arzu rozkazała:

- Joelle i Odette, opuśćcie natychmiast ten pokój, proszę!

Joelle chciała coś odpowiedzieć. Ale Arzu, biała na twarzy, nie pozwoliła jej dojść do słowa.

- Precz obydwie! Teraz, natychmiast, jeśli mogę prosić!

Joelle i Odette wstały, jedna z kpina, druga przestraszona. W pomieszczeniu zapanowała grobowa cisza. Można by usłyszeć szpilkę, która spadła na podłogę. Drzwi za tymi dwiema zostały demonstracyjnie zamknięte na klucz.

Arzu siedziała drżąc u szczytu stołu i starała się opanować.

- Przykro mi, że musiałam posunąć się aż tak daleko, ostrzegłam te dwie. W ten sposób nie mogę prowadzić briefingu, jeśli nie mają przynajmniej na tyle przyzwoitości, żeby siedzieć cicho i słuchać.

Zniesmaczona tą nadmiernie emocjonalną reakcją, opuściłam wzrok na jej drżące ręce. W żadnym razie nie chciałam teraz napotkać jej spojrzenia.

- Cóż, lataliśmy razem przez cały miesiąc. W tym czasie poznałam was wszystkich i wiem, co potraficie. Ci spośród was, którzy dobrze pracowali, jeszcze o mnie usłyszą.

Arzu dotrzymała słowa. Dwa tygodnie później, opróżniając swoją półkę na korespondencję w Hyatt Central Plaza, natknęłam się na pismo polecające, adresowane do mnie i czterech innych koleżanek.

Supervisor Arzu chwaliła w nim naszą koleżeńską współpracę, wysoki poziom naszego profesjonalizmu i wzorowe nastawienie do pasażerów i załogi.

Ledwie zdążyłam przeczytać te pochwały, pojawiła się ich autorka i stanęła jak wryta.

- Znów dziś lecimy razem?

- Możliwe, jestem w rezerwie. Dzień dobry Arzu. I - pomachałam koperta, którą jeszcze trzymałam w rękach - dziękuję za list miłosny!

- Zasłużyłaś na niego, moja droga - odparła energicznie. Zacerwieniła się przy tym z wdziękiem i opuściła pomieszczenie dla załóg, jakby uciekała. Nie jestem w stanie opowiedzieć, jak bardzo się tym rozkoszowałam!

Każdy lot powrotny do Bangkoku oznaczał zawsze to samo wyzwanie: akurat wtedy, gdy fizyczna i intelektualna wytrzymałość była z natury najniższa, musieliśmy dawać z siebie wszystko.

- Nie potrafię zrozumieć, jak można jeść o tej porze - ziewnął steward Walid i pochylił się po tacę do wózka. Powieki zamykały mi się same. I specjalnej ochoty do pracy też nie miałam, zwłaszcza że to były moje dwudzieste siódme urodziny.

Gdy skończyliśmy serwis i zaczął się pokaz filmu, na szczęście większość pasażerów już spała. Po ostatnim kontrolnym przejściu przez kabinę spotkałam Arzu. Była pochłonięta rozmową z jednym z członków załogi. Gdy energicznie przeszłam obok, Arzu zawołała:

- Teresa, dokąd idziesz?

- Do pierwszej klasy.

- Nie teraz! Tam możesz pójść później. Teraz mam dla ciebie zadanie. Masz... ehm... pilnować strefy C i pozostać tam, dopóki cię nie zwolnię.

Zdziwiłam się. Od kiedy strefa C wymagała specjalnego pilnowania? I od kiedy mogła mi zakazywać chodzić do Lorny i Shirley w pierwszej klasie, gdy już skończyłam swój serwis?

- Nie rozumiem...

Wpadła mi w słowo:

- Zrozumiesz. Bądź tak dobra i zrób, o co cię proszę, kochanie. Mój Boże, ta kobieta była znów idiotycznie nieprzenikniona - i w kimś takim w dodatku musiałam się zakochać!

Dwadzieścia minut później zadzwonił telefon kabinowy obok mojego siedzenia.

- Teresa, chodź natychmiast do kuchni w pierwszej klasie - rozkazała Arzu. Zmieszana, ruszyłam w drogę. Co ma mi zamiar objawić?

Długa kuchnia klasy biznes tonęła w ciemnościach. Jedyne na metalowym blacie, zasłoniętym ludzkim zarysem, paliło się światło świec. Zarys przesunął się na bok i odsłonił urodzinowy tort z palącymi się świecami. W tym czasie z ciemności wyłoniło się ze dwanaście postaci, zgrupowały się wokół mnie i zaśpiewały mi „Sto lat”.

Kompletnie zaskoczona, stałam w świetle świec i słuchałam życzeń. Potem przy brawach zdmuchnęłam świeczki i zapytałam 0 inicjatorów tej niespodzianki.

- No a kto? Lorna ija! - powiedziała Shirley z szelmowską radością. - Wykorzystałyśmy nasze stosunki i zamówiłyśmy ten super-tort w cateringu.

Gdy większość członków załogi z kawałkiem tortu wróciła na swoje stanowisko, pozostała Arzu. Nagle znów stała się tak miła i dostępna, że jeszcze niedawno uznałabym to za niemożliwe.

- Ja również chcę ci coś podarować, chodź ze mną i wyszukaj coś dla siebie z wolnocłowego wózka.

- Ale Arzu, nie trzeba! Już i tak wystarczy niespodzianek na dzisiejszą noc.

- Ale nie ode mnie! - Wzięła mnie za rękę i poprowadziła, nie dopuszczając sprzeciwów, do kręconych schodów, gdzie purserka June otworzyła nam bezcłowy wózek. Wyciągała szufladę za

szufladą, wyjmowała markowe produkty z tego sezamu. Perfumy, kosztowne zegarki na rękę i delikatne jedwabne chustki ukazywały się w przyćmionym świetle kabiny.

- Wyszukaj sobie to, co ci się podoba!

Po krótkim zastanowieniu wybrałam wodę toaletową w pretenjonalnym czerwonym flakonie, który można było uzupełniać - żeby nawet za dziewięćdziesiąt lat można go było napełnić tym samym zapachem (pod warunkiem że jeszcze będzie dostępny).

- To wszystko, co chcesz? A ten zegarek, nie podoba ci się? A ta jedwabna apaszka?

Kręciłam głową, w tym chwilowym nastroju Arzu najchętniej podarowałyby mi cały wózek.

Purserka June zniknęła tymczasem z pola widzenia, czar chwili działał jednoznacznie na moją korzyść. Zdecydowana, przyciągnęłam Arzu do siebie i pocałowałam ją. Nie wyglądała na zaskoczoną. Oszołomiona jej wytęsknioną bliskością, położyłam głowę na jej ramieniu i wdychałam jej ciepło.

- Och, Arzu, tak bardzo cię lubię.

Poczułam lekki dreszcz i z jej piersi wyrwało się gorące westchnienie.

- Ja ciebie też, Tereso.

Zachęcona, objęłam ją mocniej ramionami, czemu się poddała. Podejrzywałam, że od dawna nie pozwoliła nikomu na aż tak wiele bliskości. Ze względu na przyzwoitość musiałam ją teraz puścić, ale nie powiedziałam jeszcze ostatniego słowa.

- Możesz do mnie zawsze zadzwonić, Arzu. Dla ciebie jestem zawsze dostępna.

- A właściwie to masz już mój nowy numer telefonu? - Poczuła się zobowiązana ze swojej strony i na próżno szukała kawałka papieru. Podsunęłam jej dłoń, pstryknęła długopisem i coś na niej

napisała. Potem obejrzała w milczeniu i zamyśleniu wnętrze mojej dłoni. Prawdopodobnie sprawdzała cyfry, a może potajemnie czytała mój los z linii na dłoni? Potem, podążając za nagłym impulsem, podniosła moją dłoń do ust i wycisnęła na niej pocałunek. Ten moment przeszedł moje najśmielsze marzenia, z gorącego zachwytu prawie odebrało mi zmysły. Więcej nie mogłabym znieść.

Pewnego wieczoru, późno, zadzwonił telefon. Odebrała Shirley, moja współlokatorka. Z nieskrywanym zdziwieniem wręczyła mi słuchawkę:

- To Arzu!

Arzu była w zaawansowanym stadium załamania nerwowego i usprawiedliwiała się na swój formalny sposób, że przeszkadza mi tak późno.

- Ależ proszę cię... Zawsze jestem dla ciebie dostępna - zaprotestowałam.

Przy odrobinie wysiłku zrozumiałam z jej jąkania, a także z urywków tureckich zdań i angielskich formułek grzecznościowych, rzecz następująca: gdy Arzu wkładała kasetę, by przygotować jutrzejszy briefing, odmówił współpracy jej magnetofon kasetowy. Arzu pilnie potrzebowała sprawnego urządzenia, a to należące do jej przyjaciółki Nursen, do której dzwoniła, zanim zatelefonowała do mnie, było w naprawie.

- Mam to, czego potrzebujesz, Arzu! Zaraz przygotuję swój magnetofon, tak żeby Shirley, która jutro z tobą leci, mogła go ze sobą zabrać.

- Och! Jesteś pewna? Będzie działał?

- Możesz być spokojna.

- Bardzo dziękuję, kochanie. Ratujesz mój... mój jutrzejszy

briefing, *cok tesekkiir canim**! I proszę, wybacz, że przeszkodziłam, to naprawdę bardzo niegrzecznie z mojej strony, tak późno ci się naprzykrzać... aleja...

- Ależ od tego ma się przyjaciół! Cieszę się, że mogę ci pomóc - zapewniałam. Ponieważ sprawy zostały wyjaśnione, zakończyliśmy tę rozmowę. Byłam jak ogłuszona jej paniką. Wyglądało to, jakby zbawienie jej duszy zależało od udanego briefingu. Arzu była o wiele bardziej szalona, niż myślałam do tej pory.

Coraz częściej zostawałam w domu sama. Ta nagła cisza wzmacniała moją skłonność do niezdrowych snów na jawie, w których Arzu odgrywała główną rolę. Jej oczy, pożerające wszystko i niedające niczego, prześladowały mnie i pociągały, a jednocześnie zamykały się przede mną jak ogrody sułtana za murami pałacu. Co o niej wiedziałam? Co ją uszczęśliwiało? Co ją napędzało? Kim była?

Z okrucichów na temat jej przeszłości, które mogłam poznać, nie dało się złożyć człowieka.

Nieudane małżeństwo, ale o tym nigdy nie mówiła.

Podobno pracowała w aptece. To do niej pasowało. Wyobrażałam sobie, jak jej biały kitel odcinał się na tle porządnie poustawianych rzędów buteleczek i pojemniczków wypełnionych tajemnymi miksturami. Czarny szyld buja się na łańcuszku i reklamuje afrodyzjak sułtanów. Aptekarka jest piękna i potrafi przepowiadać przyszłość z fusów od kawy - ale ma przecież więcej niezwykłych zdolności... Nagle poczułam coś jak obecność kogoś obcego w swoim mózgu. Najpierw pomyślałam, że nerwy mi puściły. Ale wkrótce stało się dla mnie jasne, kto w ten sposób daje o sobie znać. W końcu

' Tur.: Wielkie dzięki, moja droga!

- te sekundy ciągnęły się w nieskończoność, a być może były to już minuty - mój mózg znów uwolnił się od obcej, sondującej obecności.

Ta gierka powtórzyła się w nadchodzących dniach i tygodniach jeszcze kilka razy. Ale moje początkowe zaciekawienie tego typu komunikacją szybko ustąpiło złości. Nie chciałam być wykorzystywana jako królik doświadczalny do telepatycznych eksperymentów Arzu. W ten sposób to, co niedopowiedziane, nieprzeżyte, niezrozumiałe, brało między nami górę.

Sprawy zaczęły przyjmować obrót, który mi się nie podobał. Dzięki Bogu, wkrótce miałam zaplanowany urlop i mogłam wyjechać. To, czego teraz potrzebowałam, to dystans, nowe impulsy i nowa radość życia. I to zanim zupełnie stracę rozum.

Deszcz uderzał długimi nitkami w szyby eleganckiego busa, który wiozł mnie z lotniska w Tokio do oddalonego o sześćdziesiąt kilometrów miasteczka. Na końcu trasy wysiadłam i się rozejrzałam. Była noc, nad moją głową jakaś kładka. Znajdowałam się na opuszczonym parkingu, a parkingi na całym świecie wyglądają równie paskudnie i nieprzytulnie.

Garstka ludzi, którzy wysiedli ze mną, szybko się rozproszyła. Pierwszy raz tego dnia czułam się zagubiona, musiałam sama dać sobie radę. Byłam w Japonii, gdzieś w wielkim Tokio, i było ciemno.

Ciągnąc za sobą plastikową walizkę, szłam cichą boczną uliczką, gdzie skromne reklamy świetlne odbijały się w kałużach, gdy nagle zatrzymała się obok mnie taksówka.

- Proszę do hotelu Kayabacho Pearl.

Hotel był w pobliżu. Wprowadziłam się do małego pokoju, gdzie w nogach łóżka znajdowały się jeszcze japońskie dodatki: kimono, kapie i termos na zieloną herbatę.

Z ulgą padłam na łóżko i przelatywałam po kanałach telewizyjnych. Młoda nauczycielka golfa starała się nauczyć ambitnych początkujących prawidłowego wybijania piłeczki golfowej z podstawki, bez czego awans do wyższych japońskich warstw społecznych był wręcz nie do pomyślenia. Znudzona szukałam dalej.

Małe, namydlone kobiece piersi zbliżały się do widza, jakby chciały rozsadzić ekran, w tle pożądlive męskie pomruki... Coś kliknęło; kontynuacja łagodnego pornosa była możliwa za opłatą. Naprawdę wszystko tu było przykrojone do gustu biznesmenów.

Następnego dnia głód zapędził mnie do uczęszczanej restauracji. Ludzie jedli, dużo mówiąc i wydając wiele dźwięków. Mlaskając, wciągali w siebie makaron z sosem sojowym i siorbali napoje. Wszystko działo się w pośpiechu i w ruchu - a w środku tego ja, sama i prawie niezauważona. Obce ciało, które nie drgało jeszcze w rytm tego miasta i mogło oddawać się swoim wrażeniom z dystansem outsidera.

Czas, jak wiadomo, to pieniądź, a Tokio również tu narzucało tempo: w pewnym dużym banku wymieniłam pieniądze i zostałam wysłana przez dziarskich facetów na pierwsze piętro. Młoda istota płci żeńskiej w schludnym kostiumiku z uprzejmie gorliwą miną wzięła mój paszport i dewizy. Potem pospieszyła z powrotem do komputera, sprawdziła aktualny kurs, przerwała na chwilę swoją pracę, aby podać tu jakiś segregator, tam jakieś pudełko z lunchem - ona, jedyna kobieta w tym bastionie mężczyzn, najniższy stopień w hierarchii, bankierka i służąca w jednym. Niewiarygodne, przeszło mi przez głowę, ona nie chodzi, ona biega! I musi jeszcze przy tym uważać, żeby jej się nie zmieniły rysy twarzy. Nie może się w najmniejszym stopniu odsłonić. Cóż za motywacja i dyscyplina się za tym kryją!

Wiśnie były w pełnym rozkwicie, karpie z papieru i tkaniny łożo-
tały na wietrze przed nadchodzącym „dniem chłopców” gdy zoba-
czyłam na placu na skraju dzielnicy rządowej wokół Pałacu Cesar-
skiego ogromną rzeszę ludzi stojących w kolejce.

Dowiedziałam się, że cesarz miał urodziny i z tej okazji część
pałacowych ogrodów, która zazwyczaj nie była dostępna, została
otwarta.

Z zaciekawieniem stanęłam w kolejce. Poruszała się naprzód
powoli, ale stale, i nagle stanęłam przed wielką otwartą księgą -
księgą gratulacyjną cesarza.

Jeśli chciałam pogratulować cesarzowi w dniu urodzin, miałam
do dyspozycji pionową szpaltę. Powinnam teraz malować literę pod
literą, jak w japońskich kaligrafiach, czy odwrócić księgę poziomo
i spójnie zapisać tę szpaltę od góry? Zdecydowałam się na drugi
wariant, byłam to winna alfabetowi łacińskiemu.

Zostałam wpuszczona do prywatnych ogrodów cesarza. Wsp-
niałe chmury róż zwisały nade mną, delikatny kwiatowy dywan
obramowywał moją drogę. Rzeczywistość jednak nie przerosła
moich oczekiwań, tak bajkowo wyobrażałam sobie prywatne ogrody
cesarza. Melancholia i nuda wiały od uporządkowanych dróg i jak
zakreślonych cyrklem kwiatowych klombów i gazonów. I nie były
tego w stanie zmienić ani śpiewające ptaki na gałęziach, ani mocne
i jasne wiosenne słońce. Musiałam wyjść, żeby nie ogarnęła mnie
melancholia.

Kto chciałby wyjechać z Japonii, nie zobaczywszy jej mitu -
szczytu Fudzi.

Nasza wycieczka stała na brzegu jeziora Ashi, po którym pły-
wały puste, duże, cudownie kiczowate łódki w kształcie łabędzi
i czekały na turystów.

- Tam jest, Fudzi-san - powiedziała nasza przewodniczka i wskazała na kilka niejasnych plam na szarym, rozmytym horyzoncie. Autobus wycieczkowy rzeził, wjeżdżając na piąty przystanek. Brudny śnieg leżał po bokach drogi, a widok ponurych hałd głazów wulkanicznych krył niewiele niespodzianek. Nagle przebiliśmy się przez zasłonę chmur i wulkan pozwolił nam zobaczyć swój pokryty śniegiem, perfekcyjnie uformowany stożek.

Mogliśmy wysiąść, odetchnąć świeżym powietrzem, zrobić zdjęcia, rzucić się na stwardniałą przy drodze kupę śniegu i rzucać śnieżkami, aż ręce grabiwały.

- Każdy Japończyk chce chociaż raz w życiu zobaczyć słońce wschodzące nad Fudzi - poinformowała nas młoda przewodniczka i dodała po krótkiej przerwie: - Raz w życiu! A ja tu wjeżdżam prawie każdego dnia!

Gdy w drodze powrotnej do Tokio jechaliśmy przez gęsty las Aokigahara, powiedziała nam, że ten las to ulubione miejsce samobójców.

- My, Japończycy, mamy - niestety - najwyższy odsetek samobójstw w całej Azji! Życie naszego wysoko rozwiniętego, uprzemysłowionego narodu jest ciężkie, a wymagania w stosunku do każdego są coraz większe.

Wolałabym nic nie wiedzieć o tych samobójstwach; mój wzrok, który dotychczas obojętnie przesuwiał się po zieleni przy drodze, wyszukiwał teraz skrupulatnie wszystkie te drzewa, które nadawałyby się do tego ostatniego aktu rozpaczy.

Ta wycieczka ukazała mi coś jeszcze - pojawiła się gwałtowna potrzeba zrobienia porządków w moim życiu uczuciowym. Musiałam w końcu wprowadzić jasność i otwartość w swoich związkach i działaniach, zwłaszcza jeśli chodziło o Arzu.

To się zdarzyło w jedno z tych wilgotnych i gorących letnich popołudni, gdy na ulicach Bangkoku kumulował się upał, a ludzie i zwierzęta w jednakowym stopniu tracili siły i energię.

Przy bazarze Indra zapłaciłam za wynajęcie trzykołowej takśówki tuk tuk, której kierowca, kamikaze, zasadniczo używając jedynie pedału gazu i klaksonu, pędził ze mną przez centrum Bangkoku, jak gdyby był swoim własnym wcielonym pojazdem. Gdy ja kurczowo trzymałam się drążka przy tylnym siedzeniu i patrzyłam bez przerwy na zagrażające nam w dzikim pędzie czerwone światła, znaki stopu, uczestników ruchu i inne przeszkody, ten wariat zawsze w ostatnim momencie znajdował otwierającą się nagle lukę.

- Dziękuję, to była prawdziwa jazda do piekieł! - po prostu nie mogłam sobie darować tej uwagi, chociaż, sądząc z jego głupawo brutalnej miny, była to tylko strata energii.

Jak wędrowiec ze snów dotarłam do miejsca spotkania, w którym umówiłam się z Canan. Buda na kółkach, w której sprzedawano napoje - były tam stoły i krzesła - przesunęła się spod zadaszenia bazaru i tonęła teraz w świetle.

- Tereso, tu jestem - zawołała ciepłym głosem Canan. Dojrzałam jej twarz za dużą szklanką soku owocowego i nad talerzem pełnym soczystych kawałków arbuza.

- Cieszę się, że cię widzę! - powitałam ją i opadłam na krzesło naprzeciwko. - Tylko opatrności zawdzięczam, że jeszcze żyję.

Uśmiechała się współczująco, ale niespecjalnie poruszona, gdy opowiadałam o diabelskim rajdzie. Wcześniej często korzystała w Turcji z takich środków lokomocji i też to już przeżyła.

Jak to się działo, że tak dobrze czułam się w jej towarzystwie, akceptowana i szanowana taka, jaka byłam, bez żadnych zastrzeżeń?

Ale nie wzajemna życzliwość była głównym powodem naszego spotkania. Canan niejednoznacznie dała mi do zrozumienia, że ona też już przeżyła co nieco z kobietami. „Więcej niż ciekawość, wiesz, to nie było szczególnie zachęcające” - powiedziała. Ale nie dałam się mamie półsłówkami, teraz musiałam przejść do sedna sprawy i dowiedzieć się, co było pomiędzy Arzu i nią.

Canan zaprowadziła mnie do swojego mieszkania na szóstym piętrze w bloku położonym niedaleko Soi Rangnam.

Plakaty na ścianach i tarcza do lotek sprawiały, że pomieszczenie przypominało pokój nastolatków. Obok wejścia stała wypełniona po brzegi szafa na ubrania, na której leżały walizka i przenośny keyboard. Zza drzwi widać było dwie rakietki tenisowe wystające ze sportowej torby.

Canan poczęstowała mnie rachatłukum, tureckimi słodyczami, z którymi usiadłyśmy obok siebie na podłodze. Miała pełną garść zdjęć. Z przeważnie pożółkłych i zamazanych fotek, po części ponadrywanych, miałam poznać niektóre momenty jej życia.

- To była moja pierwsza wielka miłość - zaczęła i pokazała chłopaka o długich jasnych włosach i zawstydzonych oczach. - Od czterech lat z powodu jakiejś narkotykowej historii siedzi w tureckim więzieniu. Piszę do niego regularnie, ale już dawno nie miałam od niego żadnych wieści. Przedtem wysyłał mi czasem swoje rysunki; on jest bardzo wrażliwy, artystyczna dusza. Obawiam się, że nie idzie mu dobrze.

Zauważyłam, że miała dużo więcej zdjęć przyjaciółek niż przyjaciół. Zdjęcia sąsiadek, koleżanek ze szkoły, wystrojonych stambulskich piosenkarek, stewardes - nagle w mojej dłoni znalazło się zdjęcie Arzu i Canan, zrobione gdzieś około Bożego Narodzenia w hotelowym barze w Seulu. Serce mi podskoczyło i tak niepozornie, jak to tylko było możliwe, zapytałam:

- Widujesz się z nią jeszcze?

- Z Arzu? - Canan wzruszyła ramionami. - Już od dawna nie. Nie rozumiem, co się stało. Gdy byłam w Bangkoku nowa, często do mnie dzwoniła, okazywała zainteresowanie i była przemiła, chciała wszystko o mnie wiedzieć. Ale teraz wydaje się mną już nie interesować.

Z trudem oderwałam spojrzenie od zdjęcia - pokazywało przyjemnie uśmiechniętą Arzu, trochę zmęczoną, z ciemnymi podkówkami pod oczami.

- Od kiedy została supervisorem, zmieniła się. Dystansuje się od swoich wcześniejszych przyjaciółek. Może po prostu boi się utraty autorytetu.

- Co masz na myśli? - zapytałam.

- Cóż, ona traktuje swoje nowe stanowisko bardzo poważnie. Jest bardzo sumienna.

- Ale człowiek nie żyje tylko wypełnianiem obowiązków. Jak ona żyje? Ładne ma mieszkanie?

- O tak, bardzo ładne... z basenem w ogrodzie, w bocznej uliczce od Phaya Tai. Ale chce się stamtąd wyprowadzić, żeby zaoszczędzić.

- Teraz, kiedy więcej zarabia?

- Kupiła sobie dom w Izmirze.

- A ty, też masz już dom?

- Mam jeden, który teraz chciałabym wynająć. I własnościowe mieszkanie, na razie w budowie - poinformowała mnie z dumą.

- O la la, to jesteś kobietą interesu! - zauważyłam z nutą podziwu i zazdrości. Za saudyjskie pieniądze w Turcji można było wiele kupić. Niewiele było w Saudii pracowników, którzy nie byli w stanie zbudować swego domu, swego hotelu, swojej przyszłości. Ja, jako obywatelka tak drogiego kraju jak Szwajcaria, mogłam o tym tylko pomarzyć.

Canan uśmiechnęła się łagodnie:

- Ja mam w życiu więcej szczęścia niż rozumu.

- Pozwolisz, że się na chwilę położę? Jestem dziś zupełnie do niczego przez ten upał - powiedziałam.

Canan zapraszającym gestem wskazała swoje podwójne łóżko. Położyłam się po prawej na wąskim pasku łóżka.

W pokoju cicho brzęczał wentylator, przez szczeliny spuszczonej rolet wdzierał się uliczny zgiełk i bursztynowe światło. Zamknęłam oczy.

Wkrótce materac się ugiął, Canan ostrożnie położyła się w pewnej odległości ode mnie.

Obróciłam się na brzuch i przesunęłam przy tym w ciepły obszar jej bliskości. Moja ręka ślizgała się kontrolnie po prześcieradle, pogłaskała jakby przypadkowo jej dłoń i z powrotem się cofnęła. Wydawało mi się, że leżymy tak obok siebie od wieków - z gorącymi powiekami i wysuniętymi do siebie nawzajem czułkami.

Nagle poczułam jej dłoń na swojej łopatce, zaczęła wprawnymi ruchami masować mój kark i ramiona. Troskliwy gest, pretekst do intymnego dotyku, bez zdradzania się. Chciałam pochwycić tę piękną dłoń i pocałować.

Jednocześnie się do siebie odwróciłyśmy. W milczeniu i trochę skrępowane leżałyśmy twarzą w twarz tak blisko, że jedna czuła na twarzy oddech drugiej. Przyglądałyśmy się jedna drugiej nieruchomym, sięgającym do głębi spojrzeniem, w którym wydaje się, że dwie dusze mieszają się ze sobą, a w końcu się pocałowałyśmy.

W jej pocałunku było wszystko, co mogło mnie uchronić przed popadnięciem w obłąd; dostatecznie dużo słodczy, aby mnie pocieszyć, odpowiednia dawka kunsztu, aby mnie zachwyć, dostatecznie dużo wiedzy, aby wtrącić mnie w wir podniecenia i zmieszania.

Następujący nagle zmierzch otulił nas w końcu i przeniósł łagodnie w nocną ciemność.

Wysłałam od niej dopiero następnego ranka, gdy już założyła mundur.

To, że Canan wyjechała na kilka dni, dało mi okazję, by zastanowić się nad wydarzeniami minionej nocy. Ale nie od razu, na to byłam po prostu nazbyt szczęśliwa, że przeżyłam to, za czym po cichu tęskniłam.

W nocy przed jej powrotem, nocy jak balsam, spacerowałam sama po parku hotelu Siam Intercontinental. Wśród palm i krzaków coś się poruszało i śpiewało, powierzchnia dużego stawu się marszczyła. Na trawniku niedaleko małego basenu odcinało się kilka oświetlonych przez Księżyc leżaków. Wyszukałam sobie jeden, położyłam się i patrzyłam na nocne niebo. Wyglądało jak czarna, pochłaniająca gwiazdy otchłań, obramowana nisko zawieszonymi chmurami.

Wkrótce moją uwagę przyciągnęły migające światła pozycyjne samolotów. Śledziłam ich trasy, aż zniknęły z mojego pola widzenia i pozostawało jeszcze tylko zwielokrotnione przez echo dudnienie.

Samolot Canan jeszcze nie wystartował, lądowanie było przewidziane dopiero za jedenaście godzin. Dzieliło nas siedem tysięcy kilometrów. Przed pięćdziesięciu laty oznaczałoby to pełną przygodę kilkutygodniową podróż. Ale pojawiły się podróże powietrzne i zrewolucjonizowały nasze życie. Galopowaliśmy na skrzydłach, pozerając kilometry, przekraczając granice, uzależnieni od prędkości, i nazywaliśmy to przyspieszone istnienie codziennością.

Tam! Czy to nie gwiazda spadała? Teraz tylko szybko wypowiedzieć życzenie!

Przy moim sprycie wyciągnięcie z ludzi informacji tak, żeby nie zdawali sobie z tego sprawy (a przy tym nie dowiedzieli się więcej, niż bym chciała), nie trwało długo. Wkrótce wiedziałam wszystko, co warto było wiedzieć o związku Canan z Arzu.

- Była dobra okazja - przyznała Canan. - Ja byłam akurat sama w biurze, a przede mną na stole leżał turecki paszport Arzu. Arzu zostawiła go, aby wznović saudyjską wizę. Kłamała w sprawie swojego wieku i pochodzenia. Nie było żadnej trzydziestoletniej Arzu z Izmiru, była natomiast trzydziestopięcioletnia z Iskanderu na samym południu, tuż obok syryjskiej granicy.

- I co? - rzuciłam. - Arzu mogła dojść do wniosku, że te detale nikogo nie obchodzą.

- Ta czarownica! - kontynuowała Canan. - I ja byłam w niej szaleńczo zakochana. Doszło do tego, że ją szpiegowałam i nocą chodziłam po jej uliczce tylko po to, żeby obserwować, czy była sama i kiedy gasiła światło. Możesz to sobie wyobrazić?

Sztylet przebił mi serce.

- Och, Canan - westchnęłam.

- Na szczęście nigdy nie zebrałam się na odwagę, żeby zwierzyć się jej z moich uczuć! Między nami był ciągle wyczuwalny dystans. Arzu pozostała dla mnie nieosiągalna. W końcu pojęłam, że nasza miłość nie jest możliwa, i pocieszyłam się z kimś innym.

Arzu nas połączyła, nie mając o tym pojęcia. Wzbudziła w nas rodzaj tęsknoty za miłością. Zjawiła się znikąd w naszym życiu, pomachała czarodziejską różdżką i już wszystko było inne. Ale tak nagle, jak się pojawiła, również znikła.

Gdy Canan wypowiadała mi się z tego, co od dawna podejrzewałam, postanowiłam swoje własne cierpienie w tej samej sprawie zachować dla siebie. Czasem milczenie jest złotem.

- Nie rozmawiajmy już więcej o niej - poprosiłam. - Nadajemy jej zbyt duże znaczenie. Nie może stać między nami.

- Ona nie stoi między nami, kochanie. Nigdy między nami nie stała - zapewniała Canan, nie mając o niczym pojęcia, i mocno mnie objęła.

Bez Lorny, która zdecydowała się przeprowadzić do swojego chłopaka, Shirley i ja nie byliśmy w stanie opłacić czynszu za nasz dom.

Szukałyśmy więc nowego lokum - albo we dwie, albo każda dla siebie z osobna. Shirley, która płaciła już czynsz w Pattaya za dom, w którym spędzała wolne dni, szukała właściwie taniej klitki z telefonem, ze względu na nieuniknioną gotowość do służby. Ale najlepsze, co oglądała, to było trzypokojowe mieszkanie na drugim piętrze bloku w okolicach Sukhumvit.

- Stosunek ceny do warunków jest w porządku, siedem tysięcy sześćset bahtów za trzy pokoje z balkonem, wnęką kuchenną i dwiema łazienkami. Przyznaję, że to trochę daleko, w bocznej uliczce od Soi 40, koło dworca autobusowego Ekkamai, ale jest czysto, spokojnie, a do domu należy mały basen. Poza tym Lorna ze swoim chłopakiem mieszka tuż za rogiem.

- Dobra, jutro to sobie obejrzę - obiecałam.

Wieczorem trzydziestego pierwszego maja wsiadłam z dwiema koleżankami do radzieckiego samolotu birmańskich linii lotniczych. Już wcześniej odczułyśmy, jak represyjna, żelazna i dosłowna jest administracja tego kraju, wstrząsanego powstaniem ludności i wojskową dyktaturą.

- Pani wnioski o wizę turystyczną jest nieprawidłowo wypełniony - straszyl Olive urzédnik ambasady w Bangkoku. - W pani paszporcie jest sześć imion! Wszystkie muszà byc wymienione.

Olive westchnęła, poddajac się.

- No to proszę oddac mi z powrotem formularze! Mam tylko nadzieję, że wystarczy w nich miejsca na moje sześć imion.

Mnie i Olive do Birmy towarzyszyła cicha Irlandka, Audrey Henderson. Audrey miała szczupłą figurę w kształcie gruszki, delikatną białà skóre i kryształowe, jasnoniebieskie, irytujaco nieruchome oczy. Jej ciemne, ostrzyżone bez pomyslu włosy okalaly owalnà twarz jak zwiédly szczypior i podkreślaly jej wizerunek panienki podpierajacej ściany.

Ledwie weszlyśmy na pokład samolotu, dwóch mówiacych po angielsku pasazerów poczuło się zmuszonych zakwestionowac zdolność tupolewa Tu-154 do latania i popisac przedpotopowe dekoracje. Steward, przysadzisty, brodaty Birmańczyk, którego niekorzystnie wygladajacy mundur walczyl o palmę pierwszeństwa w brzydocie z dekoracjami w kabinie, przyjal to ze spokojem. Jego powitanie zajmuje pierwsze miejsce na mojej liście kuriozów:

- Moje panie i panowie, jeśli Bóg pozwoli, za godzinę i trzydzieści minut wyladujemy w Rangunie.

Bóg pozwolił.

Przeszliśmy przez odprawę stosunkowo gładko, tylko po to, żeby zyskany czas znów stracic przy najdokładniejszej kontroli celnej w moim zyciu.

Dopiero kiedy cały nasz majątek zostal dokładnie przetrzàsnięty, ciemne dziury przeswietlono, nasze ciała obmacaly urzédniczki celne, a biżuterię na nas policzono i wpisano w deklaracjé, zostalyśmy przekazane w ręce mówiacego po angielsku taksówkarza.

- Hotel Strand - powiedziała OHve.

Autentycznej atmosferze legendarnego, zbudowanego w stylu kolonialnym hotelu Strand dziesięciolecia wydawały się nie szkodzić. Jak Śpiąca Królowa trwał w dawnych czasach. Nawet pojawienie się džinsów, T-shirtów i japońskich aparatów fotograficznych nic nie zmieniło. Czułyśmy się, jak gdyby ktoś przeniósł nas w inne czasy.

Trzy wąskie, trzeszczące łóżka z wyleżanymi materacami stały samotnie w skromnym pokoju. Z wysokiego stiukowego sufitu zwiisała goła żarówka, która ledwie była w stanie oświetlić to pomieszczenie, z jego wyblakłymi tapetami i wydeptanymi czerwonymi chodnikami.

Następnego ranka stwierdziłam, że zgubiłam swój bilet. Prawdopodobnie stało się to podczas pospiesznego pakowania po kontroli celnej. Pełna obaw pospieszyłam do biura podróży, które znajdowało się za rogiem. Ku mojemu zdziwieniu mój stan bezbiletowy szybko się skończył.

Olive i Audrey odetchnęły z ulgą. W końcu ruszyłyśmy w drogę do pagody Shwe Dagon, która wyglądała jak gigantyczny kleks śmietany najakimś torcie bogów.

Szeregi podupadłych domów stały wzdłuż szerokiej szosy, a ze szczelin w bruku wyrastały kępki trawy. Stare samochody podskakiwały na co większych wyrwach. W tych zbudowanych przez angielskich kolonialistów budynkach militarny komunizm prowadził teraz swój niecny proceder. Po dziesiątkach lat korupcyjnej władzy Birma stała na skraju przepaści i nie było nikogo, kto chciałby wyciągnąć ten wóz Z gnoju.

U stóp pagody Shwe Dagon musiałyśmy zdjąć buty. Pod naszymi rozgrzanymi stopami rozciągała się chłodna, gładka marmurowa

powierzchnia. Boso weszliśmy do krainy bogactwa, religii i duchów. Wiatr poruszał dźwięczącymi szkiełkami w formie dzwonek wietrznych i niósł przez plac aromatyczny dym. Ozdobne, małe, kolorowe pagody i malownicze, podzielone jak pudełka budynki ze ścianami szczytowymi, jeden bardziej kunsztowny od drugiego, rywalizowały o naszą uwagę. Ale pagoda Shwe Dagon przerastała wszystko. Jej okrągły, podobny do dzwonu, mocno zwężający się ku górze kształt musiał przyciągać spojrzenia, a oko, które nie było w stanie objąć takiej ilości złota naraz, szybko się męczyło. Nierzezywista budowla w nierzezywistym świecie.

Jeszcze tego samego wieczoru chcieliśmy zrobić nocną wycieczkę do Mandalaju. Ale żeby wybrać się w tę podróż, najpierw trzeba było uzyskać zgodę Państwowego Biura Podróży dla Turystów i wypełnić wszystkie możliwe formularze. Olive wpisywała już wszystkie swoje sześć imion bez pytania.

Noc była cicha jak na wsi. Oszczędne oświetlenie dworca kolejowego pod względem jasności nie mogło równać się z sierpem Księżycy, ale odcinało zarys budynku od ciemności.

Pociąg, angielski żelazny potwór, stał na swoim torze, gotowy do punktualnego odjazdu, a my miałyśmy pozwolenie, by do niego wsiąść i spędzić w nim następne piętnaście godzin. Jego równomierny stukot działał usypiająco, ale biada, jeśli ktoś poddał się jego rytmowi; budził się skonany i zeszytniały. Drewniane ławki pierwszej klasy z biegiem podróży stawały się coraz większą torturą.

Po drugiej stronie korytarza siedziała młoda birmańska para. Prawdopodobnie kupcy, prawdopodobnie często w drodze na tej trasie.

Przy pierwszych promieniach porannego słońca tych dwoje zaczęło poranną toaletę. Ich ruchy były tak dobrze skoordynowane,

że nie potrzebowali przy tym słów. Czyścili sobie zęby, wcierając palcem pastę. Potem myli sobie ręce i twarz. W końcu kobieta wychyliła głowę przez okno, a mężczyzna chwycił pojemnik z wodą i zwilżył jej powiewające na wietrze włosy, długie na metr. Potem ona z powrotem zabrała głowę zza okna, posmarowała sobie włosy olejem i splotła w gruby warkocz. Tuż przed Mandalajem zapakowali swoje kosze i torby i wysiedli.

W Mandalaju oczywiście znów była świątynia do zwiedzania, a dokładniej mówiąc, do wchodzenia i zwiedzania. Tysiąc stopni prowadziło na wzniesienie ponad miastem, skapanym w popularnym upale. Wspinającego się wynagradzały jedynym w swoim rodzaju widokiem okolicy.

Po nieprzespanej nocy w pociągu jeszcze wchodzić po schodach? Audrey zrezygnowała po czterystu stopniach.

- Do tego miejsca i ani stopnia dalej! - zdecydowała i klapnęła wyczerpana. - Możecie mi potem opowiedzieć, co tam na górze widziałyście, ja tu na was poczekam.

OHve i ja wytrwale wchodziłyśmy dalej. Nawet jeśli ze zmęczenia ledwie trzymałyśmy się na nogach, a serce biło jak oszalałe, pęcherze na stopach piekły, a głowa pękała. Chciałyśmy na górę. Na samą górę. I nawet gdybyśmy się tam miały wdrapać na czworakach, tak musiało być.

- Z powrotem będzie łatwiej! - dyszała OHve.

Roześmiałam się i dręczyłam dalej, popędzana - obcą mi poza tym - ambicją, żeby przetrwać samą siebie. Szybko pokonałyśmy ostatnią część drogi i nagle Olive przefrunęła przede mną jak gołębica. Koniecznie chciała wejść na górę pierwsza.

Przed nami rozpościerała się biała, zadaszona platforma, na którą się zwałyśmy, bez tchu i bliskie udaru słonecznego. Jak okiem

sięgnąć rozciągały się pastelowe, wyboiste pola, nakrapiane białymi, przeżartymi słońcem i wiatrem stupami. Nieco dalej śpiące miasto piekło się w żarze.

Ładna, bardzo młoda Birmanka, której czoło i policzki oproszone były białym pudrem z kory drzewa, stała samotnie, oparta o kolumnę. Olive dawała jej do zrozumienia, że chce ją sfotografować, na co dziewczyna z nieśmiałym uśmiechem jej pozwoliła.

Na szerokich schodach, które prowadziły w dół, zatrzymałyśmy się przy ciemnej, energicznej kobiecie, która mogła mieć niecałe czterdzieści lat i oferowała napoje i słodycze. Moje spojrzenie zatrzymało się na jej rękach i zwróciłam na nie uwagę Olive.

Prawa dłoń była szorstka i zniszczona słońcem, paznokcie krótko przycięte, popękane i przebarwione na brązowo. To była mocna, pracowita dłoń, dłoń chłopki, spracowana.

Lewa była wypielęgnowana i aksamitna. Paznokcie były długie, owalnie opiłowane i polakierowane na lśniący karmazyn. Pierścionki ze szlachetnymi kamieniami i bransoletka zdobiły tę dłoń, dłoń luksusu i piękna.

Prawa dłoń symbolizowała pracę i skromność. Lewa - bogactwo i nieróbstwo. Ta kobieta, która przez cały dzień handlowała na stopniach owej buddyjskiej świątyni, wysoko nad nizinami codzienności, wracała do swojego domu i swojej rodziny, gdzie prawdopodobnie zgromadziła swoje skarby - zagraniczną pomadkę albo złotą klamrę do włosów. Tam, gdzie były jej korzenie. I musiała uważać, żeby rzeczywistość nie wydarła jej marzeń.

Audrey poczuła ulgę, gdy wróciliśmy całe i zdrowe. W drodze do Mandalaju usłużny chłop zabrał nas na swój zaprzężony w woły wóz. Przejechaliśmy przez zniszczoną przez bomby dzielnicę mia-

sta, prawdopodobnie pamiątkę po drugiej wojnie światowej. Zyg-zaki fasad domów skierowane były w niebo jak palce, które napominają. Czterdzieści lat rozsypywały się w nicość. Wszędzie było cicho, dało się słyszeć tylko postukiwanie kół i stapanie wołów.

Nagle widmo zostało za nami. Toczyliśmy się przez zamieszkałą dzielnicę i wkrótce skręciliśmy w wyludnioną uliczkę ze sklepami, gdzie chłop nas wysadził.

W nędznym, lichym domostwie - kabuffie - gdzie spędziłyśmy noc, nosiłyśmy jedno wiadro wody za drugim, żeby wziąć prysznic. Gdy przyszło do śmiechów, zaczęłyśmy się wygłupiać pod prysznicem jak rozpuszczone dzierlatki w wieku szkolnym po lekcji gimnastyki. W końcu położyłyśmy się spać, bo o trzeciej nad ranem chcieliśmy pojechać wozem konnym do Pagan.

Kopyta stukały w nocnej ciszy. Zapłaciłyśmy i usiadłyśmy na wąskich bocznych ławkach. Wóz szarpnął i zaczął się toczyć. Po drodze ludzie się dosiadali, aż wóz był całkowicie pełny. Od czasu do czasu któraś z nas przysypiała, dopóki jej głową nie wstrząsnęło nagłe szarpnięcie i nie rozejrzała się przestraszona dookoła. Ku uciesze współpasażerów, którzy czas umilali sobie lustrowaniem siedzących vis-a-vis. Podczas jednej z takich drzemek głowa opadła mi na pierś pewnego chłopca, przytuliwszy policzek do jego brudnej koszuli, znów się obudziłam. Cały wóz, łącznie ze mną, wybuchł śmiechem. Nawet zazwyczaj cichą Audrey wstrząsały regularne paroksyzmy śmiechu.

- Ale teraz już wystarczy! - uznałam kwadrans później, gdy Audrey wciąż jeszcze gulgotała i dygotała. - Aż tak komiczne to nie było.

W Pagan uprawiano jeszcze dawną sztukę teatru lalkowego. Wspaniale ubrane drewniane lalki można było poruszać za pomocą

licznych sznurków w każdym, najmniejszym nawet stawie, tak że naprawdę ożywały.

Przeszliśmy obok domu, na którym ogłoszenie zapraszało na najbliższe przedstawienie. Ciekawe, kupiliśmy bilety wstępu i zaprowadzono nas do ciemnego pomieszczenia z krzesłami.

Z fabuły tej sztuki, jej intryg i komplikacji pojęliśmy co najwyżej to, co oczywiste i od razu rzucało się w oczy. Mimo to nawet przez chwilę się nie nudziłyśmy. Och, jak się śmiałyśmy, gdy lalkarz sprytnie, mówiąc falsetem, przedstawiał uwodzicielkę: małą, tęgą kobietę, która bezwstydnie kręciła tyłkiem i której piersi dzięki sznurkom podskakiwały jak prawdziwe. Przy niej odważny i wręcz zbyt grzeczny główny bohater był nijaki.

Podczas przedstawienia niezmordowanie rozdawano policzki i ciosy w szczękę. Od czasu do czasu niewypowiedzianie sztywny charakter na swoim ozdobionym koniu przejeżdżał przez scenę, aby rozstrzygnąć spór albo zasiać niezgodę. W tej burzliwej sztuce grały też psy, tygrys, węże i jedna sowa na drzewie. W końcu jednak dobro zwyciężyło nad złem. Kurtyna opadła, a my, zachwycone, biłyśmy brawo.

Nadszedł czas, by opuścić Pagan, a dzień później opadła też kurtyna na moją podróż do Birmy.

Gdy wróciłam z Birmy, zastałam pusty dom. Shirley i Lorna już się wyprowadziły - Shirley do naszego wspólnego mieszkania, Lorna do swojego chłopaka. Czułam się, jak gdyby dom ode mnie uciekał - zostałam bez tych dwóch, bez ich znajomych rzeczy, wesołych, beztroskich głosów i lekkich kroków.

Adieu, jasny pokoju z jabłkowo zielonymi zasłonami, staromodną, lakierowaną na biało toaletką i wielkim drzewem mango przed oknem. Adieu, domu ze szklanymi przesuwanymi drzwiami

i termitierą, z której nie da się wykurzyć termitów. Adieu, zmieniający kolory kameleonie w ogrodzie. Adieu, krzaku z mięsistymi białymi kwiatami, których zapach jest tak oszałamiająco słodki, że nikt nie może przejść obok, nie zrywając kwiatu. Żegnajcie, tłuste szczury z odpadów hotelu Reno, które nasz sąsiad z pasją ganiał, by z nimi skończyć. Żegnajcie, żabie koncerty po monsunowym deszczu. Żegnaj, ukryta idyllo w samym środku największej i najnowocześniejszej handlowej ulicy Bangkoku. Chętnie bym tu została, pożegnanie przychodziło mi z trudem.

Dobre czterdzieści minut później przyjechałam na nowe miejsce. Jak się umówiliśmy, zajęłam mniejszy, południowo-wschodni pokój. W większym, północno-zachodnim, pospiesznie rozpakowane i ułożone jedne na drugich rzeczy Shirley świadczyły o jej krótkiej obecności pomiędzy dwoma lotami.

Wciągnęłam właśnie jedną walizkę na swoje rezerwowe łóżko, gdy jakiś szeleśt, po którym nastąpiło „puk, puk” w szafie na ubrania, obudził moją czujność.

Zaskoczona wpatrywałam się w ten mebel: coś w nim jęczało i szeleściło, wydawało się poruszać, sapać i łomotać. Nagle drzwi szafy się otworzyły i wyszedł z niej, trzymając młotek i gwóźdź, nasz chiński najemca, czemu towarzyszył mój okrzyk grozy.

Jego twarz promieniała zadowoleniem, gdy wydawał z siebie powitalne chrząknięcia.

- Oh-ho, *bello, savatika**!

Mimiką i całą postawą dawał mi do zrozumienia, że właśnie zajmował się ostatnimi naprawami mojej krzywej drewnianej szafy na ubrania.

* **Savatika - tajskie powitanie.**

Ten mężczyzna, którego nazywałyśmy z Shirley żabą, był mały i chrząstkowaty. Miał cienkie, opalone na brązowo nogi z dużymi, okrągłymi kolanami, które zawsze wystawały z tych samych oliwkowo-beżowo-szarych bermudów i kończyły się płaskimi stopami z palcami podobnymi do żabich.

Mimika jego gumowej twarzy była tak wyrazista, a kwaczące i chrzęszczące dźwięki, które z siebie wydawał, aby zacząć posługiwać się swoim angielskim słownictwem, były tak niezmiernie komiczne, że jego przewisko dosłownie narzucało się samo.

Jego angielski słownik ograniczał się do słów: *bello, you, money, pay* i to zupełnie wystarczało, aby porozumieć się *zfarangs*, którym wynajął nieruchomość swojej rodziny.

Naszych sąsiadów spotykałyśmy bardzo rzadko na klatce schodowej, gdzie jak bojące się światła lemury prześlizgiwali się obok nas, ledwie nas witając.

Nigdy nie nawiązała się między nami żadna forma sąsiedzkich kontaktów, choćby przelotna rozmowa o pogodzie. Oni wiedzieli o nas więcej niż my o nich, ponieważ widzieli nas w mundurach wchodzące i wychodzące.

- Oni są dla mnie za spokojni - powiedziała Shirley - podejrzanie spokojni. Zadaję sobie pytanie, czy nie ukrywają jakiegoś trupa w swoim mieszkaniu.

- A potem opowiesz mi, że to zombie albo szpiedzy! - nabijałam się. - Ale właściwie jest trochę nieprzyjemnie, jeśli się zupełnie nic nie wie o ludziach, z którymi się dzieli dom.

Ku mojej radości Canan przysłała obejrzyć moje nowe mieszkanie. Gdy piłyśmy lemoniadę, przechwalała się swoją ostatnią seksu-

alną eskapadą - z mężczyzną. Jak uderzona w głowę, wyrzuciłam z siebie:

- Dlaczego opowiadasz mi o czymś takim?!

Canan przyglądała mi się dużymi, zaskoczonymi oczami.

-Ale...

- Nie ma żadnego ale! - przerwałam jej ostro. - Zdradzasz mnie z pierwszym lepszym i jeszcze się tym chwalisz. Ja to za mało, co? Wystarczy, że powiesz!

- Aleja cię przecież nie zdradzam. To był tylko mężczyzna, a tuż przed miesiączką moje ciało potrzebuje od czasu do czasu jakiegoś faceta, w przeciwnym razie jestem nie do zniesienia. Nic na to nie poradzę, to nie miało żadnego znaczenia.

Cudownie. Tymczasem przyszedł czas na godzinę tenisa Canan. Z kwaśną miną towarzyszyłam jej na ulicę Sukhunwit. Canan, która wyraźnie żałowała, że w ogóle mówiła o tej przygodzie, szła oszołomiona obok mnie.

- Boisz się, że mnie stracisz? - znów cicho zaczęła.

Milczałam.

- Przecież nie musisz! Nigdy cię nie opuszczę, jesteś tą, która mnie uszczęśliwia, jeszcze tego nie rozumiesz?

Canan była kobietą wielkich uczuć: namiętną, zmysłową, wrażliwą, perwersyjną. Lubiłam jej sportową żyłkę, jej muzykalność, jej samodzielność i - nie najmniej - jej współczujące serce. Poza tym prawie zapomniałam, że na płaszczyźnie intelektualnej, a także kulturalnej prawie mnie nie inspirowała.

To, że Canan nie okazała się taka, jak bym sobie życzyła, nie było jej problem, tylko moim. Rzuciłam się w tę przygodę na łeb na szyję i zanedo byłam zajęta sama sobą. Teraz dostawałam rachunek za moje połowiczne zaangażowanie.

- Ja przecież nic nie mówię w sprawie Jeromea - dodała Canan.

Parsknęłam z pogardą i energicznie pomachałam na taksówkę. Z ulgą patrzyłam, jak odjeżdża.

Trudno byłoby odebrać mi coś, co nigdy do mnie nie należało, a tak było z seksualną wiernością, którą błędnie u niej zakładałam. Ja, która zawsze gromko grzmiałam, że zaborcze i ograniczające związki mają wiele wspólnego z lękiem i kontrolą, a niewiele z miłością i że żaden człowiek nie powinien oczekiwać prawa wyłączności do innego człowieka, akurat ja dałam się ponieść i zrobiłam jej regularną scenę zazdrości! Nie poznawałam sama siebie.

Ten romans zaczął mi sprawiać nie tylko czystą rozkosz, teraz nadszedł czas, by zrobić końcową kreskę. Ale tak samo szybko, jak się ta myśl pojawiła, również ją porzuciłam.

*

Mój przyjaciel z młodości, Brandli ze Szwajcarii, już drugi raz spędzał urlop w Tajlandii.

- Brandli, dlaczego podobają ci się akurat tajskie kobiety?

- Tajskie kobiety mają taki ciepły uśmiech, którego nie mają Europejki - stwierdził zupełnie poważnie.

- Ach! Też byś się uśmiechał, gdybyś jedną nogą stał w rynsztoku i patrzył, jak zbliża się do ciebie twój najbliższy obiad! Uśmiech tych dziewczyn służy do tego, by ukryć upokorzenie. To tylko maska.

Moje spojrzenie podążyło za łódkami i tratwami w górę rzeki i zgubiło się w rozkołysanych refleksach zachodzącego słońca.

- Obejrzyj to sobie, Tereso - Brandli zmienił temat i wskazał na zdjęcie w gazecie, zatytułowane „Rekordowy chłód”.

Przedstawiało samochody, które stały w zaspach śnieżnych na autostradzie.

- Tak w tej chwili wygląda Szwajcaria! Toną tam w śniegu, a my siedzimy tu na tarasie Orientalu w ciepłym wieczornym powietrzu i rozkoszujemy się miejscowym klimatem.

- Szkoda, właściwie miałam zamiar wkrótce znów odwiedzić rodzinę. Ale jeśli tak to wygląda, lepiej zostanę tutaj i poczekam na lepszą pogodę.

- Mogłabyś pojeździć na nartach - zakpił Brandli, nie podnosząc głowy znad gazety.

- Jazda na nartach byłaby wspaniała, ale boję się zimna.

- To tylko wymówki! Kiedy w ogóle ostatnio byłaś w Szwajcarii?

- Niech się zastanowię... To musiało być w zeszłym roku w maju.

- Aha - Brandli spojrzał znad gazety - i nie zadzwoniłaś. Obiecuj mi, że zadzwonisz do mnie, kiedy następnym razem będziesz w Szwajcarii. Ucieszę się.

- No dobrze, pomyślę o tym.

- Ach, tylko tak mówisz...

Jakoś mile połechtano mnie jego naleganie. Bo nigdy, nawet podczas naszego krótkiego romansu przed czterema laty, nie dał mi odczuć, że jestem dla niego ważna. Być może jednak miałam stałe miejsce w jego sercu i to cieszyło mnie bardziej, niż chciałybyśmy przyznać.

Porwany egzotycznymi ofertami, Brandli spędził jednak większość dni i nocy pomiędzy ciepłymi uśmiechami a pulsującymi udami - na spotkaniach bez konsekwencji.

Nasi supervisorzy byli zobligowani co miesiąc do kilku dni administracyjnej pracy w biurze. Któregoś dnia przyszła kolej na Arzu.

Siedziała zgarbiona za biurkiem i powitała mnie krótko. W mięsistych płatkach jej uszu tkwiły olbrzymie srebrne kolczyki -

przeplecione ze sobą pierścienie, które nadawały jej wygląd cygańskiej wróżki. Brakowało tylko kryształowej kuli!

- Mam dla ciebie nowiny, Tereso. Twoje nazwisko znajduje się na liście transferowej nowej bazy w Paryżu. Proszę bardzo. Potwierdź albo anuluj tak szybko, jak to możliwe.

Poczułam ukłucie w piersi. Dlaczego pozwala mi tak po prostu wyjechać? Czy nasza przyjaźń i współpraca nic już dla niej nie znaczą?

Właściwie powinnam się teraz cieszyć. W końcu! Po trzech latach potrzeba tylko mojego podpisu, aby wyjechać do Paryża, miasta moich marzeń. Ale o dziwo, Paryż przestał być moim pragnieniem. Będzie mi trudno wyjechać z Bangkoku - moi przyjaciele, moje życie, wszystko było tutaj. Nie chciałam znów zaczynać od nowa w jakimś obcym miejscu.

Arzu patrzyła na mnie ze źle ukrywaną ciekawością.

- Cóż, Tereso Claire?

A zatem znała też moje drugie imię. Arzu chyba przeglądała moje akta. Zdecydowanie przycisnęłam papiery do siebie, uśmiechnęłam się jej w twarz i bez słowa wyszłam z biura. Jej spojrzenie wypalało mi dwie dziury w plecach.

- Naszemu lotowi grozi zamach bombowy - poinformował supervisor. - Dlatego wcześniej niż zwykle udamy się na pokład, żeby każdy mógł dokładnie sprawdzić swoje miejsce pracy. To oznacza: półki na bagaż, torby z kamizelkami ratunkowymi, wszystkie kosze na odpady w toaletach i kuchniach pokładowych, wszystkie małe luki i inne możliwe schowki. Sami wiecie. Pomyślcie o waszym bezpieczeństwie, pozostańcie czujni! I ani słowa o tym naszym pasażerom. Pracujcie jak zwykle.

- Przy takiej robocie człowiek powinien dostawać dodatek za niebezpieczne warunki pracy - mamrotał steward, który kontrolował strefę przed moją. Ja uklękłam, żeby zajrzeć pod rzędy siedzeń i sprawdzić paczuski z kamizelkami ratunkowymi. Ale miałam o wiele za mało czasu, aby wyjąć i obmacać wszystkie sześćdziesiąt trzy torebki.

- Pomyśl o tym, że jeśli coś się stanie i narzędzie do tego czegoś zostanie znalezione w twojej strefie, to będą cię oskarżać i robić takie kłopoty, że do końca życia się nie uśmiechniesz! - ostrzegłam go i pomyślałam o mojej byłej koleżance Brooke Clayton.

Jakiś czas temu na lotnisku w Zahran w pustym boeingu 737 eksplodowała bomba, która zniszczyła kokpit. Bomba została ukryta w przedniej toalecie, Brooke była ostatnią osobą, która ją przeszukiwała.

Już przy pierwszym przesłuchaniu zarzucono Brooke, że jest znaną mściwą. Najprawdopodobniej została zwolniona. Ale możliwe, że podczas jakiegoś pobytu za granicą po prostu odeszła. W każdym razie teraz pracuje jako stewardesa dla British Airways.

- A tak szczerze: jest nas szesnaście osób obsługi kabinowej. Naprawdę wierzysz, że każdy sumiennie przeszuka swoją strefę? Są przecież tacy, którym wszystko wisi oprócz dnia wypłaty - powiedział kpiąco mój kolega.

Doniesienie o zagrożeniu naszego lotu zamachem bombowym okazało się fałszywe. To był pierwszy z całej serii podobnych przypadków, które od tego czasu zaczęły się mnożyć.

Rozdział ósmy

Saudii dostarczono pierwszy transport nowiusieńkich airbusów A300-600. To rozpoczęło szeroko zakrojoną kampanię szkoleniową, na którą właśnie zostałam wezwana do Dżuddy.

Nasz boeing 747 z Bangkoku wylądował punktualnie w Rijadzie. Byliśmy gotowi przyjąć pasażerów na dalszy lot do Dżuddy. Obok mnie Arzu nakładała znienawidzony kapelusz od munduru.

- Tereso, jak wyglądam?

Odważyłam się spojrzeć w jej ciemne oczy. Wyglądały na nijakie i zmęczone. Nie do wiary, że te oczy kiedyś patrzyły na mnie z miłością i zainteresowaniem, aby mnie potem nagle odrzucić.

Policzki Arzu wydawały się zwiotczałe, lekkie zmarszczki otaczały jej delikatnie wykrojone wargi, na których czerwień nigdy nie była trwała, a spod kapelusza spływały kruche, farbowane loki. Ten widok poruszył mnie do głębi. Wyobrażałam sobie, że już sobie z nią poradziłam?

Nie było czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Pasażerowie tłoczyli się już przy wejściu do kabiny i wyciągali w naszym kierunku karty pokładowe. Ciągłe ten sam spektakl, jak gdyby chodziło o wyprzedaż miejsc. My, stewardesy, byłyśmy jak inwentarz, musia-

łyśmy się przyjaźnie uśmiechać i wskazywać pasażerom właściwy korytarz. Pod koniec takiego powitalnego maratonu uśmiech był już tylko bolesnym grymasem.

- Arzu, mogę teraz zamknąć drzwi?

- Czekaj! Mamy polecenie, żeby zabrać jeszcze pasażerów z Paryża do Dżuddy.

Kilka minut później przybyła pospiesznie grupka gości w zimowych ubraniach. Czy teraz to już wszyscy? Nie, jeszcze jeden z rozwinymi połami spieszył przejściem w dół.

Całą moją uwagę pochłonęła karta pokładowa marudera:

- *Salam alejkum*, sir, pańskie miejsce jest na górnym pokładzie w pierwszej klasie.

- *Alejkum salam...*, Tereso. No to znów się widzimy, co?

Serce nagle zaczęło mi bić mocniej. Ze wszystkich głosów z mojej przeszłości ten był ostatnim, który spodziewałabym się znów usłyszeć. Ten Syryjczyk i ja nie rozstaliśmy się w przyjaźni. Czułam, jak dostaję rumieńców, i spojrzałam w górę:

- Raszid? Co za przypadek.

Na twarzy Raszida pojawił się jego dawny uśmiech, a oczy lustrowały mnie z żywą ciekawością badacza przeprowadzającego wiwisekcję.

- To nie przypadek, to los - uśmiechnął się znacząco.

- J a k uważasz. Byłeś w Paryżu w interesach?

- Nie, teraz tam mieszkam. Wyjechałem z Dżuddy półtora roku temu, po tym wszystkim, co mi się przytrafiło. Ale to długa historia. Masz jutro czas? Mogę do ciebie zadzwonić?

- Lepiej byłoby, gdybym cię nigdy więcej nie spotkała, gdyby nas los w tym momencie nie zetknął - zauważyłam z pewnym wyrzutem.

- Czego chcesz, Tereso? To opatrność sprawiła, że się odnaleźliśmy. I w ogóle, coś jeszcze między nami trzeba oczyścić. Poza tym

jestem sentymentalnym głupcem, jeśli chodzi o moją przeszłość, nie potrafię zapominać.

Jechaliśmy wypożyczonym samochodem przez północną dzielnicę Dżuddy, do willi pewnego Syryjczyka, którego Raszid przedstawił melodramatycznie:

- Hiszem, mój najlepszy przyjaciel.
- Saudyjczykom nie można ufać, udowodnili mi to dostatecznie - dorzucił.

Były saudyjski wspólnik Raszida zdefraudował pieniądze - chodziło o milionowe kwoty - i zniknął jak sen. Raszid przyjechał do Dżuddy na jego proces.

- Pieniądze! Pieniądze! Wszyscy myślą zawsze tylko o pieniądzach - gorączkował się Raszid. - Również kobiety, a przede wszystkim stewardesy Saudii. Gdybyście mogły przynajmniej przyznać mi rację, to byłoby już coś na początek.

Ostatnie lato Raszid spędził na Ibizie i tam, nad wzgórzami San Antonio, wynajął willę, którą dzielił z dziewięcioma młodymi, pięknymi dziewczynami. Opowiadał, że dziewczyny nocowały na podłodze, na sofie, a kilka również w jego łóżku.

- Mam zamiar wrócić do interesów w modzie. To da mi okazję do poznawania młodych, seksownych modelek.

- Raszid, jesteś niepoprawny!

Gulgotał z uciechy, ale zaraz znów wpadł w melancholię, zażyczył sobie, żebym mu opowiedziała o swoim życiu.

Opowiedziałam tyle, ile chciałam mu opowiedzieć.

- Wygląda mi na to, że nie wygrałaś wielkiego losu na loterii - powiedział, gdy skończyłam swoją historię. - Myślę, że prowadzisz niezdrowe życie i powinnaś być o wiele bardziej kochana.

- Aż tak źle to znów nie jest. Jestem zdrowa, mam interesującą pracę, dużo wolnego czasu i nikomu nie muszę się opowiadać.

Siedzieliśmy nad basenem Hiszema, pomalowanym odrobiną błękitu, w słonecznym miejscu, chronionym przed spojrzzeniami ciekawskich przez białe mury.

- Chodź, Tereso, przebierz się, mam ochotę na partyjkę piłki wodnej!

Gdy zaraz potem graliśmy we troje, piłka rzucona przez Raszida w ferworze walki trafiła mnie z całą siłą w głowę. Raszid uznał to za tak zabawne, że co chwila wybuchał śmiechem. Tak, w ogóle nie mógł się uspokoić.

- Już wystarczy! - uciszałam go, nieco skonsternowana.

- Przepraszam, Tereso, ale to wyglądało naprawdę przekomicznie, hi, hi, hi, - ha, ha, ha...

Podciągnęłam się na brzeg basenu i oświadczyłam, że partyjka zakończona.

Gdy później stałam w eleganckiej łazience pod prysznicem, drzwi otworzyły się do połowy i wsunął się Raszid. Jego kąpielówki chlapnęły o płytki podłogi, a członek kołysał się, żądny rozrywki.

- J e ś l i pozwolisz, razem weźmy prysznic. Mam ochotę cię namydlić. Wyglądasz na zaskoczoną, dlaczego? Zapomniałaś, że znam twoje ciało?

Co skłaniało mężczyzn takich jak Raszid do tego, by po wszystkim, co się zdarzyło, próbować znów zacząć tam, gdzie kiedyś się zatrzymali? Prawdopodobnie to, że mężczyźni tacy jak Raszid nie chcieli oddać już raz zdobytego terenu. Raz zdobyta - na zawsze jedna z dam jego haremu.

- Słuchaj, Raszid, ze względu na pamięć dawnych dobrych czasów nikt tu nikogo nie będzie namydlał! Widzimy się później w salonie.

Rozdział dziewiąty

Zadniczym i centralnym punktem naszego nocnego życia w Bangkoku były często jaskrawe, hałaśliwe, wypełnione tysiącem zapachów ulice Patpongu. Nie było takiej potrzeby, której nie można by tu zaspokoić, żadnego popędu, do którego tu się nie odwoływano.

Gdy się chodziło nocami ulicami Patpongu w towarzystwie mężczyzny, mogło się zdarzyć, że się go traciło z oczu na końcu stumetrowej uliczki. Na progu każdego baru go-go i innych, stworzonych po to, by naciągać turystów, stała dziewczyna w bikini, która kusiła, by wejść do środka. Dziewczyny łowiły na uśmiech męski łup, aby go, w razie potrzeby siłą, wciągnąć do lokalu.

Jeden taki holownik deptał po piętach Shirley i mnie.

- *Sex-show miss!*

Shirley pociągnęła mnie za rękę, stanęłyśmy.

- Co dziś jest w menu? - zapytała i zachowywała się, jak gdyby nie znała jeszcze tego wszystkiego wystarczająco.

- Show „Cipka znosi jajka”, show „Cipka je banany” show „Cipka je żyletki” show „Cipka otwiera butelki coca-coli”...

- Hmm... Pokazujecie też show „Banany jedzą cipkę”? - zapytała Shirley.

Agitator gorliwie sprawdzał w swoim programie.

- No *miss, no have*.

- Ale ja chcę zobaczyć show „Banan zjada cipkę”! - podstępny uśmiech pojawił się na całej twarzy Shirley, gdy tylko skończyła mówić.

Zmieszany agitator zniknął jak sen, a my, chichocząc, poszliśmy dalej.

Na pierwszym piętrze włoskiej restauracji, z której najczęściej korzystaliśmy, zaoferowano nam stolik przy oknie z widokiem na kolorowy tłumek na ulicy i szereg domów naprzeciwko.

Gdy składaliśmy zamówienie, młody człowiek z obsługi wciąż ukradkiem wpatrywał się w okno. Cóż mogło być bardziej interesującego niż nasze zamówienie? Z ciekawością podążyliśmy za jego spojrzeniem.

W domu naprzeciwko, udającym statek piratów, zazwyczaj zasłony były starannie zaciągnięte, ale tego wieczoru ktoś pozwolił sobie na karygodną nieuwagę. Szczelina pomiędzy zasłonami odsłaniała widok wprost na scenę wydarzeń. To, co się tam wyprawiało, naprawdę mogło przyprawić niejednego o rumieniec wstydu.

Gdy kelnerka przyniosła nam jedzenie, bezpośrednio w polu naszego widzenia naga kobieta rozwaliła się właśnie na żylastym, chudym typie, który mocno obejmował jej poruszające się biodra. Widelec zatrzymał się w połowie drogi do ust - nie mogliśmy inaczej, wpatrywałyśmy się jak zahipnotyzowane, jak pod wpływem jakiegoś przymusu. Byłyśmy właśnie przy deserze, ja nad puszystym zabajone, które machinalnie wkładałam łyżeczką do buzi, gdy ta para, czasami poza zasięgiem wzroku, potem znów dokładnie w polu widzenia, przyjmowała różne, najwymyślniejsze pozycje seksualne.

Goście przy sąsiednich stolikach również zwrócili uwagę na ten seksualny pokaz w budynku jak statek piratów.

Kelnerka stała obok kucharza, włoskiego pianisty i szefa serwisu i wszyscy wyciągali szyje.

Szur! W końcu ktoś tam na górze zwrócił uwagę na źle zaciągnięte zasłony i z impetem zasłonił szparę jednym energicznym szarpnięciem. Tkaninajeszcze trochę falowała.

Gdy regulowałyśmy rachunek, młodakelnerkajeszczez wybuchła nerwowym chichotem, w którym rozładowały się po równo - skumulowane emocje i zawstydenie. Shirley i ja nie mogłyśmy zrobić nic innego, jak tylko jej zawtórować.

Wpadłam w jakąś dziurę. Nie z powodu spotkania z Raszidem i nie z powodu Canan. Te przygody były już za mną. Rozstaliśmy się w przyjaźni.

Nadal jednak przechadzałam się nocami z grupą młodych ludzi po Bangkoku i próbowałam dobrze się bawić. Ale wszystko to wydawało mi się niskie i puste. Paradoksalnie wyglądałam lepiej i młodziej niż kiedykolwiek. A przecież miałam już dwadzieścia osiem lat. Nawet jeśli czas nie pozostawiał na mnie żadnych zewnętrznych śladów, wewnątrz się zestarzałam. Patrzyłam na swoją przeszłość innymi oczami, widziałam moją zmarnowaną młodość, podczas której nie zrobiłam nic, co miałoby sens. Wiele spraw potoczyło się inaczej, niż sobie kiedyś życzyłam. Chwilowy brak orientacji i słaba motywacja nie ułatwiały mi podjęcia decyzji, która mnie czekała. A przecież wiedziałam: życie biegnie naprzód i jeśli ktoś nie umie rozstać się z przeszłością, tylko się cofa.

Lotnisko w Dżuddzie. Po siedmiogodzinnej próbie cierpliwości urzędnik przy odprawie zdecydował się jednak objaśnić mi:

- Bez wizej wyjazdowej nie polecisz dalej do Nowego Jorku!

Gotowałam się z wściekłości, zawładnęło mną poczucie - ty-powe dla Arabii Saudyjskiej - że jestem zdana na czyjąś łaskę.

- O czymś takim nigdy jeszcze nie słyszałam! - broniłam się energicznie. - Nie chce mi pan chyba wmówić, że w obszarze tranzytowym potrzebuję wizej wyjazdowej?

- Tak stanowi nowa regulacja, miss. Prawdopodobnie zostanie pani odesłana najbliższym samolotem do Bangkoku.

Zaniemówiłam. Widocznie w ostatnim czasie wprowadzono jeszcze więcej nowych przepisów i uregulowań. *This is for your compliance and stricte adherence, please**.

Najwyraźniej zaistniały niejasności w najnowszym nakazie. W końcu okazały się one tak wielkie, że udało mi się prześliznąć przez oczka urzędowych wymogów i mogłam wsiąść do samolotu lecącego do Nowego Jorku.

Po dwudziestu godzinach lotu i przesunięciu czasu o dwanaście godzin, wylądowałam w promiennym słońcu w Nowym Jorku.

Czy rzeczywistość okaże się zgodna z moim wyobrażeniem o Nowym Jorku? Czy potrafię sobie wyobrazić życie tutaj? Potrzebna była tylko jeszcze moja zgoda i moja baza będzie się nazywać Nowy Jork. Ale czy naprawdę tego chciałam?

Mój pierwszy cel stanowiła Piąta Aleja. Moją uwagę przyciągnęła umieszczona na ulicy tabliczka z napisem: „Nawet nie myśl o tym, żeby tu zaparkować!”.

* Ang.: Proszę tego przepisu ściśle przestrzegać.

Roześmiałam się z niedowierzaniem i jednocześnie żałowałam, że aparat fotograficzny zostawiłam w hotelu, bo to gburowate, dosadne zdanie według mnie trafiało idealnie w nowojorski styl życia lat osiemdziesiątych.

Następnego dnia w Rockefeller Center otworzył się przede mną przyprawiający o zawrót głowy widok na Manhattan. Zachwycona, wychyliłam się przez balustradę, żeby lepiej uchwycić aparatem perspektywę.

- Hej, proszę pani, proszę się cofnąć! - polecił strażnik.

Zatrzymałam się w małej włoskiej restauracji ze stolikami na chodniku i pergolą ozdobioną plastikową winoroślą. Zamówiłam sałatkę, którą podano mi w olbrzymiej misce.

- Smacznego.

Przy stoliku obok, w sumie na czterech krzesłach, siedziała para małżonków o naprawdę kolosalnych rozmiarach. Przed obojgiem stały takie same, mocno przesadzone miski z sałatką jak przede mną. Duże liście sałaty kryły paski sera i szynki, jajka, pietruszkę, rzodkiewki, opiekane kostki bułki i inne składniki. W skupieniu i z powagą wkładali widelce do ust, a ich zwisające podbródki poruszały się w rytm przeżuwania. Panowało pomiędzy nimi zgodne milczenie, rodzaj domowego paktu. Oto Ameryka, kraj, gdzie wszystko było „naj” - również rozmiary obywateli.

Aby zwiększyć ilość wrażeń, wykupiłam w końcu objazdową wycieczkę po Nowym Jorku. Greenwich Village, Wall Street, Little Italy, Chinatown i górne ulice Harlemu.

Nowy Jork wrzał ruchem dzień i noc. Żadne miasto nie kręciło się szybciej wokół samego siebie. Teraz zakupy, teraz życie, teraz wyjście, teraz rozkosze, bo jutro może już być na wszystko za późno.

Walka o przetrwanie toczyła się na pasie dla wyprzedzających pojazdów. Za wspaniałą, odważną fasadą tego miasta kryły się otchłanie nędzy i samotności. Wciąż wyły syreny karetek i policyjnych radiowozów.

Zamiast kulinarnych przeżyć w Sala albo Sea Food Market w Nowym Jorku mogłabym pozwolić sobie co najwyżej na obojętne przyklepanego, ociekającego tłuszczem hamburgera w zadymionym bufecie jakiegoś baru szybkiej obsługi. Nowy Jork skazywał ludzi z moimi dochodami na miejsca stojące, podczas gdy w Bangkoku przy tych samych zarobkach można było prowadzić komfortowe życie.

Mimo całej fascynacji prawdopodobnie nie czułabym się w Nowym Jorku dobrze. Zapewne byłabym osamotniona i jadała niezdrowo. Po prostu brakowało mi cierpliwości, żeby zaprzyjaźnić się z tym miastem. I na szczęście nie musiałam.

W drodze powrotnej do Bangkoku zatrzymałam się w Zurychu. Po pierwsze, dawno nie odwiedzałam rodziny, po drugie, miałam ochotę zobaczyć festiwal filmowy w Locarno. Pamiętałam oczywiście o obietnicy, jaką w Bangkoku złożyłam Brandlemu, i szybko wybrałam jego numer.

— To się świetnie składa, Tereso! Również mnie od dawna ciągnie znów na południe - usłyszałam przez telefon zachwycony głos.
- Zapraszam cię na ten festiwal filmowy, dobrze?

Od razu zamiotłam moje wątpliwości pod dywan i umówiłam się z Brandlim w Olsen, gdzie mieszkał. Nie bez powodu moje siostry uznały mnie za wariatkę, gdy wsiadałam do jego samochodu.

Po drodze do Locarno poczułam nagle, jak powstało pomiędzy nami nowe, przebudzone na powrót napięcie seksualne. Coś, na co nie byłam przygotowana i czemu w żadnym wypadku nie

powinnam ulec. Ale już przed tunelem Świętego Gotarda pożądanie stało się silniejsze niż wszystkie dobre intencje, które miałam względem naszego wspólnego weekendu.

W Locarno, po początkowych trudnościach, znaleźliśmy w pensjonacie pokój po korzystnej cenie. Ledwie drzwi się za nami zamknęły, zdarliśmy z siebie ubrania i rzuciliśmy się na siebie.

Brandli nie tylko budził we mnie głód miłości, ale też jeszcze motyle w brzuchu. Podczas nocnej kolacji nad jeziorem trzymaliśmy się za rączki jak świeżo zakochani, wymienialiśmy rozanielone spojrzenia i roznamiętnione winem pocałunki - odrodzenie naszej miłości wydawało się perfekcyjne.

Ale następnego ranka idylla się skończyła, jak gdyby nigdy jej nie było. Na tarasie przytulnej grotki piliśmy cappuccino, a Brandli ostentacyjnie schował się za gazetą. Wydawało się, że coś go dręczy. Gdy wprost go o to zapytałam, stwierdził, że wszystko w porządku.

- Ruszajmy w drogę, chcieliśmy przecież pojechać do doliny Verzasca - zamknął temat.

Wąska, kręta droga prowadziła do Lavatezzo - tam, gdzie nad dziką Verzascą wznosił się znak rozpoznawczy tej doliny, średnio-wieczny kamienny most, a rzeka przeciskała się pomiędzy stromymi, porośniętymi lasem zboczami przez skały i płaskie kamienie.

- Zatrzymajmy się i zróbmy tu sobie piknik! - zawołałam zachwycona.

Szukaliśmy drewna na rozpałkę i odpowiedniego miejsca do wypoczynku. Brandli skakał jak kozica z kamienia na kamień, ja grzecznie za nim. Przed odważnym skokiem na najbliższy skalny blok, skąpany w rwącej wodzie, zawahałam się. Brandli, który już na nim był, wzywał:

- Skacz! Co, może się boisz?

Odważnie złożyłam się do skoku, wylądowałam niepewnie na szczycie kamienia i walczyłam, żeby złapać równowagę. Ale byłam tam.

Na brzegu rzeki rozpaliliśmy ogień, upiekliśmy kiełbaski i szaszłyki i jedliśmy w milczeniu. Gdyby Brandli nie był tak zdystansowany, mógłby to być idylliczny, wymarzony mały piknik.

- Kobietom po prostu brakuje odwagi! - zaczął się wyżyłiwić.

- Ciągłe się czegoś boicie i szukacie w każdym mężczyźnie silnego obrońcy.

- To absolutna nieprawda! - broniłam swojej płci. - Tylko nie mamy potrzeby ciągłego sprawdzania się jak wy, faceci!

- Proszę, oto przykład, Tereso: ile znasz kobiet, które skoczą do wody z dziesięciometrowej wieży?

- Co to za pytanie? Dziesięciometrowa wieża to coś dla dzieci, sportowców i bufonów! Nie widzę powodu, żeby zwykła kobieta miała z niej skakać.

- Ale ty nie jesteś taką całkiem przystającą do normy kobietą, Tereso...

- Ha, w każdej chwili mogę z niej skoczyć, pod warunkiem że ty skoczysz po mnie.

- J e ś l i ty skoczysz, ja zrobię podwójne salto! - prychnął Brandli.

- Jedźmy od razu na lido.

- Proszę bardzo! - odparłam śmiało. Nagle poczułam nieodpartą żądzę skakania.

Miałam szczęście czy pecha? Wieża była już zamknięta, gdy około piątej po południu dotarliśmy na plażowe kąpielisko. Ale młody, muskularny ratownik ochoczo klepnął Brandlego po łopatce. Nie było odwrotu!

Dziarsko wspięłam się po wąskich schodkach wieży.

- Piękny widok - pochwaliłam, gdy dotarłam na górę. Potem przez brzeg spojrzałam w głębię. „Mój Boże, w co ja się wpakowałam” - przeleciało mi przez głowę. Miałam złudzenie, że łatwo jest skoczyć poza brzeg basenu. Wiedziałam oczywiście, że to technicznie prawie niemożliwe. Na domiar złego zakręciło mi się jeszcze w głowie. Odsunęłam się z powrotem do balustrady i oparłam się o nią plecami.

- Jeśli i mogę udzielić ci rady, nie zastanawiaj się za długo - powiedział Brandli.

Znów przeszłam do przodu, na sam brzeg. Tylko jeden krok: krok w próżnię, w błękit, w nic.

- Odwagi! - zagrzewał mnie Brandli. - Nie może ci się nic stać.

Nagły wiaterek przyprawił mnie o dreszcze, na dole zebrało się już kilkoro gapiów i patrzyli na nas do góry. Nie, nie mogę zrobić kroku w próżnię. Teraz pozostało już tylko jedno: wziąć rozbieg i skoczyć!

Brandli milczał w napięciu. Wyłączyłam myślenie, ruszyłam i rzuciłam się w powietrze. Wydawało się, że czas stanął. Leciałam, nie, spadałam w dół jak kamień, cisza bez oddechu wokół mnie, we mnie i podę mną.

Gdy zanurzałam się w wodzie, poczułam twarde uderzenie w prawe ramię, które w ostatnim momencie odruchowo wyciągnęłam.

Wpadłam głową w dół i zanurzyłam się całkiem głęboko, zanim z powrotem wypłynęłam i chwyciłam powietrze.

Brandli też skoczył. Bez podwójnego salta. Chyba nie był w tym taki dobry, jak się wcześniej chwalił.

- Jedno trzeba ci przyznać, odwagę to ty masz! - uznał, gdy wychodziliśmy z basenu. Milczałam arogancko. Gdyby nie bolało mnie ramię, triumf byłby pełny i doskonały.

- A twoja dziewczyna, Brandli, też skacze z dziesięciu metrów?
- Ona? Masz pojęcie, co ona wyprawia?! Skacze na nartach wodnych ze specjalnej skoczni.

No i po co byłam taka ciekawska?

Wieczorem obejrzelśmy sobie na Pizza Grandę najnowszy amerykański film z Madonną. Historia była zabawna i rozrywkowa, czego nie dało się powiedzieć o moim towarzyszu. Pomiędzy Brandlim i mną rozmowa ustępowała miejsca jakiemuś dziwnemu niepokojowi. Prawdopodobnie cierpiał z powodu niewierności w stosunku do swojej stałej dziewczyny. A ja cierpiałam z powodu jego stosunku do mnie. Przecież ze względu na naszą długoletnią przyjaźń założyłam, że jestem dla niego ważna - i teraz musiałam to sobie przemyśleć.

Widoki na naszą ostatnią wspólną noc nie zapowiadały niczego przyjemnego.

Gdy wróciliśmy do pokoju, oświadczył:

- Jutro bardzo wczesnie rano jadę do Thun, żeby wziąć udział w obowiązkowych ćwiczeniach w strzelaniu. Jeśli chcesz, możesz pojechać ze mną. Potem jadę do Engelbergu.

Milczałam, zakłopotana.

- Czy mam może od razu jechać do Engelbergu i olać to strzelanie?

- Sam musisz zdecydować. Jeśli chodzi o mnie, jutro jeszcze zostanę tutaj i dopiero wieczornym pociągiem wracam do Zurychu.

- Rozczarowałem cię... Przykro mi, Tereso.

- Mnie też. Nie chciałam się pchać pomiędzy ciebie a twoją aktualną partnerkę, bo i po co? Każde z nas żyje własnym życiem, geograficznie z dala od drugiego. Wkrótce znów wyjeżdżam i ten weekend spędzony poza twoją i moją codziennością miał być pięknym

wspomnieniem. Nie rozumiem cię. Chciałeś jeszcze raz sobie udowodnić, że możesz mnie zdobyć?

- Och nie, nie jest to takie proste - zaprzeczył.

Dręczyły go wyrzuty sumienia, poczucie winy, ale o tym nie chciał ze mną rozmawiać. Zatem milczeliśmy oboje, poszliśmy do łóżka i udawaliśmy, że śpimy.

Niestety, i muszę się do tego przyznać, w tym bałaganie nie byłam całkiem niewinna. Szybko zapomniałam o swoich początkowych obiekcjach, chętnie uległam żądzy, potem poddałam się iluzji i teraz czułam się skalana i wykorzystana.

Około piątej rano wstał i powiedział:

- Idę teraz, Tereso. Moją część rachunku za pokój położyłem na komodzie. Zadzwoń do ciebie przed wyjazdem, dobrze?

- Nie obiecuj niczego, czego nie masz zamiaru dotrzymać - cicho go napomniałam.

Przemógł się, dał mi cnotliwego buziaka na pożegnanie i życzył mi dobrej podróży do domu.

Nigdy więcej nie zadzwonił.

Ponieważ alkohol był w Arabii Saudyjskiej zakazany, my, obsługa kabinowa, musieliśmy czuwać nad tym, żeby nasi pasażerowie potajemnie nie przewozili zakupionych przez siebie trunków. Jeśli się jednak zdarzyło, że ktoś w Rijadzie zataczał się, wychodząc z samolotu, czekała tam na niego cela wytrzeźwień, a potem kara biczowania.

Od czasu do czasu musieliśmy ululany zabronić wstępu na pokład. Ostatnie słowo miał jednak kapitan, a ten nie zawsze miał takie samo zdanie jak personel kabinowy.

Po kontrolnym przejściu supervisorka Pamela wróciła do pierwszej klasy z ciężką plastikową torbą.

- Patrzcie, ile dziś skonfiskowałam!

Otworzyła torbę i pozwoliła mi popatrzeć na trzy butelki szlachetnej whisky.

- Powierzam ci to. Upchnij to jakoś - puściła oko - tylko nie wylewaj do przełyku!

Wzięłam od niej torbę, zamknęłam się w toalecie, odkręciłam pierwszą butelkę, popatrzyłam na etykietę i pozwoliłam sobie na solidny łyk, zanim te siki wylałam do sedesu.

- Zadanie wykonane, Pamelu.

- Test chuchowy! - rozkazała pół żartem, a pół serio. Nadałam się, z pozoru zmartwiona.

- Ależ Pamelu, ta woda ognista została wylana do właściwej rury.

- No dobra. Wolna, ale podejrzana.

Wszyscy uwielbiali Pamelę i jej sposób współpracy z ludźmi. Podczas jej lotów nie widać było ponurych twarzy. Zawsze panowała koleżeńska i swobodna atmosfera pracy. Ach, gdyby latanie zawsze sprawiało taką frajdę.

Zafascynowani blichтром zachodnich i dalekowschodnich produktów konsumpcyjnych Saudyjczycy wybierali kraje uprzemysłowione jako wzór swojego gospodarczego rozwoju. W obliczu bezrobocia w innych krajach brak własnego ludzkiego potencjału niespecjalnie ich martwił.

Zagraniczni pracownicy (z Filipin, Tajlandii, Pakistanu, Indii, Korei itd.) byli przywożeni samolotami przez miejscowych przedsiębiorców budowlanych, aby budować domy, drogi i zakłady przemysłowe. Robotnicy mieszkali na placu budowy i spali na matach z łyka.

Pracować, jeść, spać - tak wyglądało życie, dopóki budowa nie została zakończona. Potem wracali z powrotem do krajów,

z których przylecieli, i siedzieli w milczeniu, prawie przestraszeni, na swoich siedzeniach. Mało który odważał się o coś poprosić obsługę. Całe jumbo jęty pełne robotników. Wszyscy z tym samym wyrazem twarzy ludzi zamkniętych w sobie. Postrzegało się tych obcych ludzi raczej jak masę niż jak indywidualności. Nie mówili ani słowa po angielsku ani arabsku, nie mogli z tego powodu sami wybrać sobie jedzenia. Stewardesy dawały im akurat to, co miały pod ręką. Wielu nie wiedziało, co ma zrobić z zapakowanym w plastik i folię jedzeniem. Wsypywali sól i pieprz do herbaty albo maczali kawałek topionego sera w kawie. Najpierw reagowałam niedowierzającym kręceniem głową i od czasu do czasu pouczeniami. Z czasem przestałam to zauważać i komentować. Nie było sensu pouczać tych ludzi w kwestii jedzenia w samolocie. Pochodzili z innego świata, niewiele mieliśmy wspólnych punktów ze względu na trudności w porozumiewaniu się. Wystarczyło ich pilnować. Tak przynajmniej myślałam aż do pewnego powrotnego lotu do Bangkoku z supervi-sorką Pamelą.

Aby uciec od masy pasażerów w klasie ekonomicznej, wybrałyśmy z Francuzką Mathilde jako strefę do pracy pierwszą klasę. Wprawdzie trzeba się było bardziej wysilać, jeśli chodzi o traktowanie tych szczęściarzy, którzy mogli sobie pozwolić na luksus długodystansowych lotów pierwszą klasą, ale za to wpadało stewardesom trochę prezentów i napiwków.

To nie zawsze były perfumy, jedwabne apaszki czy zegarki, które pewni pasażerowie oferowali stewardesom z wdzięcznością. Same okoliczności i atmosfera luksusowej gościnności sprawiały, że pierwsza klasa należała do uprzywilejowanych miejsc pracy.

Mathilde i ja po wyczerpującym podaniu pięciodaniowego posiłku pozwalałyśmy sobie na rekompensatę w postaci schłodzonego kawioru, świeżych owoców, puszystego tortu z bitą śmietaną

i innych rozkoszy podniebienia ze świata pełni pięknego życia. Po troszeczkę i dla przyjemności, bo głodne o drugiej w nocy naprawdę nie byliśmy.

Potem rozmawialiśmy po cichu albo czytaliśmy gazety. Nasze rozmowy były często tak ożywione, że noc mijała nam na nich lotem błyskawicy. I już przychodził czas na podawanie śniadania. Trzeba było obudzić pasażerów, rozdać perfumowane, gorące ręczniczki. Omlety, jajecznica, jaja w koszulkach, kiełbaski, wątróbka i mini-steki były mile widziane. Bułeczki i croissanty trzeba było podgrzać, przygotować rozmaite herbaty i kawy. Wyjąć i ułożyć masło na lodzie, marmolady, miód, ser, świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy, jogurt, mleko i śmietankę do kawy.

Podczas serwowania śniadania byłam już zazwyczaj tak zmęczona, że mnie te delikatesy nawet nie kusiły. Tylko filiżanka gorącej herbaty i świadomość rychłego lądowania trzymały mnie przy życiu.

Już zapaliła się kontrolka. Mathilde i ja akurat kończyłyśmy sprzątać ostatnie porcelanowe filiżanki i Iniane serwetki, gdy - błada i wstrząśnięta - wpadła do kuchni Pamela.

- Z tyłu, w klasie ekonomicznej jeden pasażer próbował odebrać sobie życie. Musiałam założyć mu opatrunek uciskowy!

Mathilde i ja gapiłyśmy się zdumione na Pamelę. Pamela poprosiła mnie, żebym popilnowała obcego robotnika, który miał dość życia. Siedział pomiędzy dwoma Tajami o pokerowych minach. Uwięziony w swojej rozpacz, wydawał się nie widzieć niczego i nikogo. Jego oczy patrzyły nieruchomo przeze mnie w jakiś punkt w nieskończoności. Znalazł go któryś ze stewardów, gdy sprawdzał toaletę przed lądowaniem. Wielokrotnie pukał, aż w końcu zauważył rozprzestrzeniającą się po zielonych płytkach podłogowych kałużę krwi. Zaalarmowany, otworzył drzwi otwieraczem do konserw, a wtedy wypadł na niego prawie nieprzytomny Filipińczyk.

Na podłodze leżały narzędzia, którym podciął sobie żyły - złamany plastikowy nóż, widelec i łyżka ze śniadaniowego zestawu. Ściany toalety i lustro były zbryzgane krwią.

Ponieważ mówił tylko w języku tagalskim, jedynie Pamela potrafiła się z nim porozumieć. Bez wątpienia poszło mu w Arabii Saudyjskiej fatalnie. Nie tylko został oszukany na swoim wynagrodzeniu i odesłany, opowiedział jeszcze skomplikowaną historię o swojej narzeczonej, która miała zostać uprowadzona w Arabii Saudyjskiej. Całą noc zbierał się na odwagę, by zrealizować swój plan. Dopiero gdy zapowiedziano lądowanie w Bangkoku, zdecydował się na ten akt rozpacz.

- Co z nim teraz będzie? - zapytałam Pamelę.

- Wezwaliśmy karetkę, która, mam nadzieję, już będzie, kiedy wylądujemy. Biedaczyna! Ma pecha, że lądujemy w Bangkoku. W Tajlandii próby samobójcze są karane.

- Tak? Nie wiedziałam.

Pamela położyła na twarzy z wyczerpania. Wcielone zmęczenie życiem siedziało nieobecne naprzeciwko nas, jego nędzę można było poczuć, wręcz dotknąć; to sprawiało, że czułam się bezradna. Podczas podróży powietrznych zdarzało się wszystko: seks, śmierć, narodziny, można było zostać w każdej chwili skonfrontowanym ze wszystkim. Spirala życia kręciła się w najciaśniejszej przestrzeni.

Tydzień po tym wypadku spotkałam w Bangkoku 0live. Szłam akurat do sali konferencyjnej na briefing w Hyatt Central Plaza, gdy dogoniła mnie moja partnerka.

Uśmiechała się do mnie zagadkowo. Jej zazwyczaj promienna, piękna kawowa cera była zwiotczała i położyła. Znak, że szło jej kiepsko.

- Tessi, czy możemy dzielić pokój w kampusie stewardes?

Gdy przyjechałyśmy do Saudia City, poprosiła mnie, żebym odbierała wszystkie przychodzące rozmowy telefoniczne. Widać polowały na nią saudyjskie władze zdrowotne, ponieważ Olive podczas ostatniego międzylądowania w Rijadzie bardzo źle się poczuła z powodu silnego krwawienia. Lekarz pogotowia, który ją badał, oskarżył ją o przerwanie ciąży za pomocą nielegalnie uzyskanych leków, czemu - rzecz jasna - twardo zaprzeczyła.

- Tym razem również będą próbować się ze mną skontaktować, ale nie mogę z nimi rozmawiać... Najlepiej powiedz w tej sytuacji, że wyszłam - poprosiła Olive.

Około południa następnego dnia - spławiłam już dwie osoby dzwoniące do Olive - poszłyśmy razem na zakupy do rodzinnego supermarketu w Saudia City. W tym czasie ulice były jak wymarłe. Z pogodnego jasnego nieba świeciło niemiłosiernie białe jak kość słońce. Bruk parzył stopy przez podeszwy sandałów. Czarno wyasfaltowana ulica wydawała się rozpuszczać w falach upału, wszystko się topiło, rozpływało.

W starej kawiarni supermarketu natknęłyśmy się na znajomego Szkota z zespołu mechaników lotniczych. Był na publicznej egzekucji dwóch saudyjskich policjantów i aż się palił, żeby opowiedzieć o swoich wrażeniach.

Ten przypadek od pewnego czasu budził ogólne zainteresowanie i zajmował w jednakowej mierze zarówno Saudyjczyków, jak i gasterbeiterów. Na dachu pewnego centrum handlowego w Dżudzie znaleziono ciała dwóch zgwałconych filipińskich pokojówek. Kilka tygodni później mordercy, dwaj młodzi saudyjscy policjanci, zdradzili się, mówiąc za dużo.

Zgodnie z islamskim prawem gwałt i morderstwo karane są śmiercią. Publiczna egzekucja obydwu przestępców została

przeprowadzona w Dżuddzie. Parking przed meczetem w centrum miasta przeżył potężne oblężenie. Mężczyźni, kobiety, dzieci tłoczyli się, żeby znaleźć lepsze miejsca, szturchali się w boki i deptali sobie nawzajem po stopach. Balkony starych domów dookoła prawie obrywały się pod ciężarem gapiów.

- Jak wiecie, potem jeden z balkonów spadł i byli zabici, zanim jeszcze egzekucja się zaczęła. Co za bałagan. Karetka musiała sobie torować drogę przez tłum ludzi. Potem przyjechały dwa policyjne wozy. Z jednego wysiadł wysoki mężczyzna w białym tradycyjnym stroju i z niezwykle, wielkim bułatem. Przez tłum przeszedł szmer: kat!

Z zakratowanego transportera dla więźniów wyprowadzono pierwszego skazanego policjanta z zawiązanymi oczami. Szedł niepewnym krokiem, gdy z tyłu zbliżał się mężczyzna z bułatem, mocno się zamachnął i jednym ruchem odciął mu głowę. Krew sikała jak fontanna! Mnie prawie przekręcił się żołądek, a kilka kobiet zwymiotowało i zemdłało.

- Och, przestań! - zażądała Olive.

- I co dalej? - zapytałam.

- Z tym drugim było dokładnie tak samo. Jedno celowe cięcie z tyłu, gdy - miałem wrażenie - się tego jeszcze nie spodziewałem... Ale to, czego nie mogę zapomnieć, co prześladowuje mnie w snach...

- Przestań wreszcie! To nie do zniesienia! - zażądała Olive.

- Tak, co takiego? - drażylałam.

Spojrzał niepewny na Olive, potem na mnie i zapytał:

- To mam mówić czy nie?

- Powiedz mi! Olive może sobie w tym czasie zatkać uszy.

- Zatem to, czego nie zapomnę, to dźwięk podczas odcinania głowy. To brzmi jak rozcinanie dojrzałego melona.

- Teraz wystarczy! - rozkazała Olive, która też się przysłuchi-

wała. - Teresa, ty jesteś makabryczna! Też chętnie byś tam poszła się poprzyglądać:¹

- Ajak myślisz! Poza tym to nic makabrycznego, interesować się egzekucją, jeśli samemu podlega się islamskiemu prawu.

W drodze powrotnej do kampusu stewardes, gdy akurat przechodziłyśmy obok znaku rozpoznawczego Saudia City, wieży ciśnień, OIive uległa przyptywowi poufnej wylewności.

- Och, gdybyś wiedziała! Jak chętnie zostałamby matką! Naprawdę bardzo tęsknię za dzieckiem... - wybuchła wstrząśnięta.

- Bardzo dobrze cię rozumiem, OIive. Prowadzimy tak niestabilne życie, wcześniej czy później zaczynamy tęsknić za czymś, co jest stałe.

- Masz rację, to po prostu nie był odpowiedni moment na to - westchnęła zrezygnowana OIive.

„I, niestety, niewłaściwy mężczyzna” - dodałam w myślach.

Od ósmego do dziesiątego listopada Tajlandia obchodziła Loy Krathong, święto wody i światła. Na wszystkich rzekach i kanałach puszczano wtedy lampiony, które wypełnione życzeniami, nadziejami i wspomnieniami, płynęły w dół rzeki.

Drugiego dnia święta wody i światła wróciłam do domu zjakoś długiemu lotu. Shirley siedziała przy kuchennym stole i czytała list od rodziców. Dręczyła ją nostalgia. Chciała wrócić do Ameryki i planowała swoją przyszłość. Skończyć wreszcie college i studiować - dlaczego nie? A że jeśli chce się zmienić swoje życie, kiedyś trzeba zacząć, na początek wypełniła dokumenty rekrutacyjne dla stewardes linii Northwest Orient.

- Najpóźniej za pół roku każda z nas będzie mieszkać po drugiej stronie kuli ziemskiej - beztroosko prorokowała Shirley. Było mi pra-

wie przykro, gdy tak cieszyła się na ten początek swojej przyszłości bez mnie. To, że nasze drogi wkrótce się rozejdą, wydawało się niewiele dla niej znaczyć, w odróżnieniu ode mnie.

Wbrew swoim planom Shirley nagle zakochała się w pewnym Bułgarze, który wychowywał się w Bangkoku i studiował na Hawajach medycynę.

Tym razem to był ten „właściwy” ten, który był jej pisany, tak zapewniała.

Shirley szybko złożyła wypowiedzenie, zapakowała swój majątek do kontenera do transportu przez ocean i wysłała go na Hawaje. Tam chciała poszukać sobie pracy jako kelnerka, sprzedawczyni butów, nieważne jakiej - byle tylko umożliwiła jej życie u boku ukochanego.

Ubóstwiany spędził ferie świąteczne w Bangkoku, gdzie musiał dzielić czas pomiędzy rodzinę, Shirley i sportowe zainteresowania tak, żeby nikt nie czuł się pokrzywdzony.

W ostatnich tygodniach starego roku wróciłam do domu kompletnie wyczerpana z pewnego długodystansowego lotu. Shirley siedziała z Bo, swoim Bułgarem, przy kuchennym stole. Grali w karty. Byli tam jeszcze, gdy się obudziłam.

- Macie ochotę iść ze mną na kolację? - zapytałam.

Obydwoje wymienili zdziwione spojrzenia.

- Teresa, nikt w całym Bangkoku nie poda ci o tej porze kolacji, wkrótce przyjdzie czas na śniadanie.

- Powiedzcie po prostu, że nie macie ochoty iść ze mną na kolację.

- A jeśli zaraz wjejdzie słońce, uwierzysz nam? - dopytywał się Bo.

Shirley wzięła jedną kartę z talii i odłożyła inną.

- Nie wierzę, że się o to spieramy. Zaraz przyjdzie „żaba” i opróżni nasz kosz jak każdego ranka.

Shirley i Bo obserwowali mnie w napięciu. Spałam szesnaście godzin bez przerwy. A kiedy spałam, świat, który kręcił się szybciej niż mój zmęczony organizm potrafił odpocząć, zdążył mnie wyprzedzić. Skonsternowana opadłam na swój obrotowy fotel z ratanu.

Niebo, jak gdyby tylko czekało na znak, rozjaśniło się, aby rozpromienić się w żarze równikowego świtu, który nagle zapłonął.

- Cóż, Tereso, wciąż jeszcze chcesz iść na kolację? - kpiła Shirley, która wraz ze swoim chłopakiem wycofała się do sypialni.

Noc. Noc mi się gdzieś zawieruszyła.

W ostatnim czasie po prostu nie byłam w formie. Bolały mnie ręce i nogi, myśli mi się rozmywały, a na karku urosły mi dwa twarde guzy. Poprosiłam Canan, żeby łagodnie rozmasowała mi nadmiernie napięte mięśnie, co przyniosło chwilową ulgę.

Mimo zmęczenia jak ołów poleciałam do Dżuddy. Tego straszliwego wysiłku już nie pamiętam, ale chyba dlatego, że następnego dnia nie miałam siły wstać.

Około południa zebrałam się w końcu, aby pojechać do centrum medycznego w Saudia City. Okazało się, że mam podwyższoną temperaturę, a powinnam jeszcze tego samego wieczoru wracać do Bangkoku.

Po trzech kwadransach w poczekalni - siedząc na twardym krześle czułam się coraz bardziej zmęczona - pojawiła się jeszcze na domiar złego Marika Móbius, zajęła krzesło obok mnie i powiedziała:

- Ty, ja też przenoszę się teraz do Bangkoku, całkiem niedługo.
„Jeszcze i to!” - pomyślałam zdenerwowana. No, właściwie mogło mi to być obojętne, bo i tak wkrótce mieli mnie przenieść do bazy we Frankfurcie.

Od czasu mojej gwałtownej wyprowadzki przed niemal trzema laty weszliśmy sobie w drogę tylko dwa razy i za każdym razem karałam ją żelaznym brakiem zainteresowania.

Mimo to dowiedziałam się, że właśnie rozwiodła się z Danilo. Małżeństwo trwało, dopóki Danilo nie musiał zdjąć swoich różowych okularów i skonfrontować się z prawdziwym charakterem swojej żony.

- Mój chłopak, steward Rafik, jest już w Bangkoku. Znasz go, Tereso?

- Nie. O mój Boże, jak ja wyglądałam! - wymknęło mi się.

Od czasu, gdy usiadłam w poczekalni, na moich ramionach pojawiła się czerwona wysypka.

- Również na twarzy - zauważyła Marika. - Powinnaś się szybko pokazać pielęgniarce, to może być zakaźne.

Gdy pielęgniarka mnie zobaczyła, zaprowadziła mnie od razu do gabinetu zabiegowego doktora Matara.

- Wchodzi pani jako pierwsza. To nie potrwa długo, doktor zaraz wróci z przerwy obiadowej.

Doktor Matar, mrukliwy i ponury jak zwykle, szybko postawił diagnozę:

- To różyczka. Na razie nie będzie pani latać. Proszę przypilnować, żeby dostała pani pokój tylko dla siebie.

Ach, jak spokojne i komfortowe może być mieszkanie w kampusie stewardes, jeśli ma się lokum tylko dla siebie.

Z wyjątkiem sprzątaczk i chłopaka z obsługi, który przynosił jedzenie, nikt nie wchodził do mojej „cytadeli”. Dużo spałam.

W głowie mi huczało, skóra piekła. Pewnego wieczoru włączyłam telewizor. Na saudyjskim kanale leciała czarno-biała powtórka koncertu Uum Kulthum. Z trzewi tej pieśniarki falami wydobywały się żarliwe załosne melodie. Wydawało się, że biała chusteczka, którą przy tym ścisnęła i gniotła w rękach, ułatwia wypływanie tych dźwięków.

Czwartego dnia w stęchliznę mojego odosobnionego chorobowego rewiru jak powiew świeżego powietrza wpadła Canan, porwała mnie gwałtownie i przyciągnęła do siebie, tuliła i całowała - zupełnie nie robiła na niej wrażenia moja brzydka wysypka i ohydne gorąco skóry. Zawołała:

- Och, moje biedne kochanie!

- Proszę — próbowałam się bronić przed tym szturmem - możesz się zarazić. Poza tym źle pachnę.

- Ach, gdybyś wiedziała, jak mi to jest obojętne! Teraz twoja Bubula się o ciebie zatroszczy! Zostaję w Dżuddzie na następne trzy dni. Cieszysz się?

Rozkoszowała się tym, że może się mną opiekować, a ja raz za kosztowałam bycia rozpieszczaną i pielęgowaną. Mimo wszystkiego, co się między nami zdarzyło, miałam przyjaciółkę, która się o mnie troszczyła. Na moją duszę wpływało to nadzwyczaj dobrze.

Nocą niebo nad pustynią jest granatowo-czarne i nawet w towarzystwie człowiek czuje się opuszczony. Nasza załoga pojechała właśnie do położonego trzydzieści pięć kilometrów od Rijadu Międzynarodowego Portu Lotniczego Króla Chalida.

Nowy port lotniczy, duża, nowoczesna konstrukcja ze szkła i stali, był częścią ambitnego projektu, który nazywał się Rijad Airport City i od 1978 roku powstawał na pustyni.

Dwa terminale międzynarodowe i dwa krajowe były ze sobą połączone trzema strukturami. Powstały place, centra handlowe, arkady, a także wielopoziomowy parking i przestronny, sześciokątny meczet. Hotel z pięciuset pokojami miał być wkrótce ukończony. Rijad Airport City miało z czasem stać się wspólnotą liczącą mniej więcej trzydzieści tysięcy osób. I aby też najbardziej tępym pokazać, że w kraju Allaha nie ma rzeczy niemożliwych, z głębokości dwóch tysięcy dwustu metrów (tak głęboko trzeba było wiercić, żeby dotrzeć do wód gruntowych) tryskały imponujące fontanny.

Ale tam, gdzie jest światło, jest też cień. Poczekalnia tranzytowa dla samotnie podróżujących kobiet była mała i nie miała okien. Na podłodze walały się resztki jedzenia. To smutne pomieszczenie umeblowane było uszkodzonymi krzesłami i wysłużonymi fotelami. Chyba ktoś zapomniał, że w tym kraju podziału płciowego są też kobiety, które podróżują bez męskiego towarzystwa i muszą czekać na swoje połączenie w tej więziennej celi.

Siedzieliśmy zatem w busie dla załogi, który po prostej jak sznurek drodze pędził przez jałową, gładką jak deska pustynię w kierunku lotniska.

W tylnych rzędach toczyła się ożywiona dyskusja na temat aktualnej sytuacji politycznej. Amerykanie zbombardowali właśnie Trypolis, ponieważ podejrzewali Libię o to, że stoi za atakiem na berlińską dyskotekę dla żołnierzy Stanów Zjednoczonych w Berlinie, La Belle.

- Zobaczmy, jak Kadafi się zemści - powiedziała jeden z członków załogi. - Amerykanie to hipokryci. Ataku swoich rambo z pewnością nie zakwalifikują jako aktu terroryzmu.

- Terrorystami są zawsze Arabowie - zabrzmiał zrezygnowany głos z ciemności.

Obok kierowcy, ze stoicko skierowanym naprzód spojrzeniem, milcząca i bardziej niedostępna niż kiedykolwiek, siedziała Arzu. Jej krótko ostrzyżone kręcone włosy w świetle księżyca odcinały się miękko i srebrzyście od ciemności. Shirley sklasyfikowała ten „fenomen Arzu” jako rozszczepienie osobowości. Ja nie posunęłam się aż tak daleko, stwierdziłam tylko, że osobowość Arzu podlega specyficznym, gwałtownym zmianom. Ale tak długo, jak to nie wpływało niekorzystnie na jej pracę, mogła sobie być, jaka chciała. Saudia była w końcu zbieraniną ekscentryków.

Podczas briefingu na lotnisku dwukrotnie zwróciła się do mnie. Wreszcie również ona zauważyła, że nie uczestniczyłam już tak aktywnie jak wcześniej w jej briefingach. W ogóle opuściłam się na całej linii, *co a contrecour** budziło jej kobiecą ciekawość.

Jeszcze podczas wznoszenia niespodziewanie podeszła do mnie i oparła się prawą ręką o brzeg kuchni w pierwszej klasie, a lewą o ścianę kabiny.

- Czy twoje drzwi są zamknięte?

Spojrzałam na nią z osłupieniem. Jej oczy, czarnej jak dno studni, patrzyły nieobecnie przeze mnie, jak gdyby mnie nie rozpoznawała, jak gdybym była kimś obcym albo pustą lodówką, w której leżą ostatnie kawałki spleśniałego sera.

- Tak. Czy lecielibyśmy, gdyby moje drzwi nie były prawidłowo zamknięte?

- Dobrze - powiedziała krótko Arzu i poszła dalej. Zastanowiłam się. Być może w kokpicie po starcie kontrolka pokazała jakiś

* Fr.: niechętnie, mimo woli.

problem z moimi drzwiami i musiała to sprawdzić. Ale jeśli tak było, dlaczego po prostu o tym nie powiedziała?

Ta krótka wymiana zdań była nowym punktem krytycznym w naszych stosunkach. Umocnieniem się frontów, na które impulsywnie zareagowałam uporem i oddaleniem, chociaż moje serce wypełniał czuły żal.

Zaczął się ramadan, ten trochę ponury miesiąc postu, poświęcony głównie modlitwie i pokucie, chociaż większość myślała wtedy tylko o jedzeniu.

Późnym popołudniem do wszystkich samolotów załadowano tradycyjny posiłek przerywający post. Składał się z wody, daktyli, zupy i sambusy.

Wtedy zdarzyło się coś nieprzewidywalnego: lądowanie mojego krajowego samolotu do Rijadu nastąpiło wcześniej o kwadrans, tak że mieliśmy lądować dokładnie w momencie końca postu. Ta zmiana postawiła nas przed małym problemem technicznym: jedzenie dla dwustu osiemdziesięciorga pasażerów było załadowane, w żadnym wypadku nie dało się go jednak rozdać przed zachodem słońca.

Spojrzenie w dół pokazywało szybko zbliżające się lotnisko, skąpane w ostatnich promieniach słońca, od pomarańczowoczerwonych do fioletowych.

- Podamy przekąski po lądowaniu - zdecydował supervisor Bikram po krótkim namyśle. - Zaraz po lądowaniu wstajecie i zaczynacie rozdawać. Pas ma długość ponad pięciu kilometrów, macie trochę czasu. Pokażcie, co potraficie!

- Ale co z bezpieczeństwem - zauważyła pewna stewardessa. - To zasada „safety first” już nie obowiązuje?

- Biorę na siebie odpowiedzialność za tę akcję. Posiłek na ten lot został załadowany i trzeba go rozdać. Wszyscy jesteście doświadczonymi i wykwalifikowanymi stewardami, pracujcie najlepiej, jak potraficie, za to wam płaca!

Nie pomogło żadne kręcenie głową ani mrużenie. Gdy po lądowaniu pęd był trochę mniejszy, wyciągnęliśmy broń z pasów, wyszarпалиśmy wózki z kuchni i rozdawaliśmy wyczerpanym postem pasażerom - z nakazowymi słowami i gestami - ich posiłek. Ten turboserwis był ukłonem przed przymusami wieku jumbo jetów i stał w największej sprzeczności z religijnymi rytuałami. Dla pasażerów oznaczało to brak czasu na pospiesznie wymamrotaną modlitwę i żadnej radości ze zbliżającego się posiłku, a dla stewardów - brak nawet dziesięciu sekund na obsłużenie pasażera.

Ktoś odklepał zapowiedź lądowania po arabsku i po angielsku, gdy personel kabinowy na froncie serwisowym szybkimi, świadomymi ruchami w rekordowym czasie podał ponad dwóm trzecim pasażerów posiłek, jeszcze zanim samolot znalazł się na miejscu parkowania.

- *Flight attendants, doors to park, doors to park and cross-check please** - trzeszczał głos drugiego pilota przez pokładowy głośnik.

Z rękami uwalanymi jedzeniem pognaliśmy do drzwi, aby sprostać przepisom bezpieczeństwa. Pasażerowie zaczęli wstawać i sięgać po swój bagaż ręczny. Niewielu tknęło jedzenie. To wszystko było do wyrzucenia! Wydawało się jednak, że to marnotrawstwo nikomu nie przeszkadza. Myśli wszystkich krążyły wyłącznie wokół „kiedy i gdzie” można przerwać post zgodnie z tradycją i bez pośpiechu.

' Ang.: Obsługa lotu, drzwi do parkowania, drzwi do parkowania i proszę ponownie sprawdzić.

Jerome czuł się coraz bardziej niezadowolony i niespełniony. Wypowiedział pracę w Arabii Saudyjskiej.

- Nie mogę i nie chcę dłużej! I dlatego muszę wyjechać z Arabii Saudyjskiej! - oświadczył, gdy dwa dni po naszym locie z Rijadu spotkałam go w Dżuddzie. - Spróbuję szczęścia w Londynie.

Jerome, który zarzucił zażywanie kokainy, przynajmniej na pierwszy rzut oka był znów taki jak kiedyś.

- Wiesz, Tereso, w ostatnim czasie bardzo wypiękniałaś. Jesteś dojrzała, bardziej elegancka i pewniejsza siebie i nie biegasz już z rozwierzonymi, nieuporządkowanymi włosami i tą straszną patchworkową, indyjską torbą - jak wtedy gdy cię poznałem i twój wizerunek mieścił się gdzieś pomiędzy hippiską a sprzątaczką.

- Och! To jednak nie przeszkodziło ci się we mnie zakochać.

- Pracowałem nad tobą! Jeśli jeszcze masz zamiar za mnie wyjść, masz mój pierścionek, to wciąż zobowiązuje.

Dawna niechęć z powodu manii Jeromea, by kształtować mnie ciągle według własnych wyobrażeń o ideale, przygasiła moją radość. Miał na myśli mnie czy to, co uważał za swoje dzieło? W swoim entuzjazmie łatwo zapomniał, że wciąż jeszcze nie umiałam gotować (nie licząc jajecznicy i spaghetti) i że od ponad roku w naszym łóżku nic się nie działo. Czy małżeństwo w takich okolicznościach w ogóle miało sens?

Rozdział dziesiąty

Zegnaj Bangkoku, witaj Frankfurcie... Samolot w Dżuddzie był gotowy do przyjęcia pasażerów. Przy wejściu przywitał mnie kragły tunezyjski steward Nabil i wskazał mi miejsce przy oknie w strefie B, gdzie miałam dla siebie dwa siedzenia. W olbrzymiej kabinie było co najwyżej stu pasażerów.

Nasza maszyna na dużej wysokości obleciała miasto, którego światła wyglądały jak garść błyszczącego pyłu na ciemnym dywanie. Nikt nie zwracał na to uwagi. Jeśli któryś z pasażerów nie spał, to czytał książkę, gazetę albo włączył pokładowy program rozrywkowy. Do dudnienia silników pasażerowie się zdążyli przyzwyczaić, wibrujący ciągły dźwięk nie docierał już do świadomości. Jedynie gdy liczba obrotów się zmieniała, gdy to stałe mruczenie brzmiało o ton wyżej lub niżej, mogło się zdarzyć, że jakiś pasażer obudził się z drzemki i rozejrzał, jak gdyby chciał się upewnić, czy wszystko w porządku.

Kiedy odlatywałam do swojej nowej bazy, moje wewnętrzne dziecko rzuciło na ekran wyobraźni ostatni dzień w Bangkoku. Widziałam siebie przy basenie Hyatt Central Plaza, gdzie

spędzałam popołudnie z Canan, a potem robiącą ostatnie zakupy w centrum handlowym. Wyjeżdżałam z Bangkoku z uśmiechem i ze łzami w oczach. Życie, które jeszcze było przede mną, gnało mnie naprzód.

Gdy podniosłam podłokietnik i położyłam zgięte nogi na sąsiednim siedzeniu, przyszedł tunezyjski steward z drapiącym wełnianym kocem Saudii. Miał wyraźną ochotę trochę sobie poplotkować z „nową”.

- Zawsze macie tak mało pasażerów podczas lotów do Frankfurtu? - zapytałam.

- Tak, zazwyczaj tak. Nasze loty są kompletnie obsadzone głównie podczas hadż, przede wszystkim przez tureckich gasterbeiterów, którzy mieszkają w Niemczech.

Kończył się film. Kabina jeszcze zatopiona była w ciemności. Na wschodzie zaczynały się przebijać pierwsze jasne promienie - zarys włoskiego buta, obramowany przez światła miast i przybrzeżnych wsi, wyglądające jak robaczki świętojańskie, wyraźnie odcinał się od otoczenia. Przy drzwiach R3 stał steward, który nie spuszczał mnie z oczu. Usilnie starając się na samym początku pokazać z jak najlepszej strony, gdy przechodziłam obok, podarowałam mu przyjazny uśmiech. Ale równie dobrze mogłabym się uśmiechać do kamienia, steward w odpowiedzi popatrzył tylko poważnie i pytająco.

„No, nic dziwnego” - pomyślałam i zaryglowałam się w toalecie. Czerwone oczy, rozsypujące się włosy i skóra jak pergamin — można się mnie było przestraszyć! Zbyt zmęczona, by się dobrze prezentować, zabrałam się do poprawiania swojego wyglądu za pomocą grzebienia, pudru i pomadki. Pierwsze wrażenie, które człowiek robi na nowym przełożonym, nie zawsze jest prawdziwe, ale zawsze ważne.

Lotnisko we Frankfurcie; pogoda zmienna. Pan Sirah Akkad, menedżer bazy, zażyczył sobie od razu ze mną porozmawiać. Gładko ogolony, dobrze odżywiony i drogo ubrany mój nowy przełożony królował za biurkiem swojego biura w lotniskowym hotelu Sheraton. Dyplom nieznanego amerykańskiego uniwersytetu informujący o ukończonym z sukcesem kursie menedżerskim zdołał ścianać jego gabinetu.

Gdy pan Akkad przywitał mnie we frankfurckiej bazie i podał najważniejsze informacje dla nowo przybyłych, od razu przeszedł do rzeczy:

- My tutaj we frankfurckiej bazie ciężko pracujemy. Jesteśmy dynamicznym zespołem z kilkoma znakomitymi współpracownikami. Wszyscy starają się, jak mogą, aby jeszcze podnieść już i tak wysoki standard obsługi podczas lotów naszymi liniami lotniczymi. To dało nam w tym roku tytuł najlepszej bazy roku.

„Tak, po tym, jak nosiła go przez dwa lata baza w Bangkoku” - dodałam w myślach.

- Prowadzę regularnie spotkania z pracownikami bazy, na które ty też jesteś zaproszona. Komunikacja i informacja zwrotna to ich istota. - Jego brązowe, krowie oczy mnie lustrowały, przykleiły się do mnie. - Wydajna praca i lojalność w stosunku do Saudii to nie są czcze słowa! Jeśli dobrze pracujesz i potrafisz coś z siebie dać, nie będziesz tu miała żadnych problemów. Jeśli jednak - i tu jego głos się zmienił - będziesz odwałała swoją pracę i nie będziesz odpowiadać naszym oczekiwaniom, będziesz miała problemy. I to przede wszystkim ze mną. Mam nadzieję, że się rozumiemy.

Przytaknęłam uprzejmie. Mój nowy szef był najwyraźniej niecałkiem niegroźnym, nadętym waźniakiem. Ale zawsze i wszędzie tacy się zdarzali: bacik i marchewka, żeby utrzymać pracowników w ryzach. Przy zmianie bazy człowiek musi wciąż na nowo

dowodzić swoich kompetencji i pokazywać osobowość. Tak długo, aż poznają cię ci wszyscy, od których coś zależy.

Moje schronienie w Sheratonie zostało przez pracodawcę opłacone tylko na pięć dni. Wskazane więc było, by od razu następnego, słonecznego, chłodnego dnia czerwca ruszyć na poszukiwanie mieszkania.

Na początek kupiłam sobie plan miasta i poszukałam Grosse Eschenheimerstrasse, gdzie znajdowała się agencja pośrednictwa w wynajmie nieruchomości Metro. Jedna z pracownic przeleciała oferty, zmarszczyła czoło i powiedziała:

- Byłoby coś jeszcze u pewnego starszego pana. Dobre położenie, dwupokojowe mieszkanie za osiemset pięćdziesiąt marek miesięcznie. On nie chce obcokrajowców.

- J a j e s t e m obcokrajowcem.

- Pani jest Szwajcarką. Szwajcarzy i Austriacy nie są ogólnie traktowani jak obcokrajowcy - wyjaśniła.

- Ach tak. Ale nie będę mieszkać nigdzie, gdzie obcokrajowcy są niepożądani.

- Aha. Dobrze to rozumiem - zamknęła dyskusję. - Proszę przyjść jutro, wciąż dostajemy nowe oferty.

Ale następnego dnia umówiłam się ze stewardem Nabil'em w Offenbach. Pokazał mi swoje mieszkanie, położone w wysokim bloku o cienkich ścianach na Bettinastrasse. Tam mieszkali prawdziwi obcokrajowcy: Turcy, Arabowie, Jugosłowianie, Afrykańczycy.

- Mieszka tu wiele tunezyjskich stewardes i stewardów. Po co wydawać kupę pieniędzy na mieszkanie, z którego korzysta się tylko przez dziewięć czy dziesięć dni w miesiącu? Interesuje cię coś takiego? Wydaje mi się, że akurat znów coś się zwolniło.

Byłam niezdecydowana. Taki bezosobowy, smutny silos mieszkalny fatalnie wpływałby na mój nastrój.

Pod wieczór poszliśmy do supermarketu na zakupy. Nabił z rozmysłem wybierał pomidory, wołowinę i papryczki, z których przyrządził dla nas dwojga gulasz w sosie pomidorowym.

- Właściwie powinny w nim być jeszcze ziemniaki, ale ich nie lubię. Zrobiłem superłagodny, dla ciebie, Tereso. Nie jestem żadnym wielkim kucharzem, ale mam nadzieję, że mimo to ci smakuje.

To danie było dla Nabiła posiłkiem przerywającym post, zatem tuż po zachodzie słońca uroczyście namoczyliśmy kawałki bułki paryskiej w sosie i żuliśmy delikatną wołowinę.

- Nabił, pozwól, że ci powiem: twoje jedzenie to najlepsze, co jadłam, odkąd wylądowałam we Frankfurcie.

- *Bisz ja** - *życzył* mi Nabił. - Co byłoby, gdybyśmy potem poszli piętro wyżej odwiedzić mojego krajana i przyjaciela z klasy ekonomicznej? On pości i jest zupełnie sam w domu.

- Masz na myśli tego niedostępnego stewarda, który pracował z tyłu samolotu? Nie, na to nie mam najmniejszej ochoty.

- J a k chcesz. Ale on nie jest taki, jak myślisz. Po prostu jest trochę nieśmiały.

Trzeciego dnia moje rzeczy jeszcze nie dotarły z Bangkoku. Gorzej - nikt nie wiedział, gdzie się zapodziały. Gdy centrala operacyjna Saudii na lotnisku usilnie poszukiwała mojego bagażu, ja czekałam w kawiarni na wieści i przeszukiwałam część dotyczącą rynku mieszkaniowego we „Frankfurter Allgemeine Zeitung”.

- Dzień dobry. Interesuje mnie dwupokojowe mieszkanie położone w centrum za sześćset pięćdziesiąt marek.

" Tun.: Smacznego!

Sympatyczny męski głos odpowiedział:

- Jesteś jeszcze wolne, proszę panienki. Piękne mieszkanie, urządzone ze smakiem i pomysłem. Z łazienką i wnęką kuchenną, najlepsze położenie w centrum. Ale to mieszkanie jest w suterenie, nie ma w nim okien, nie ma światła dziennego.

„Ach, tu jest pies pogrzebany” - pomyślałam i usłyszałam, jak mówię:

- Mimo to chcę je obejrzeć

- Cieszy mnie to. Wie pani, większość ludzi odstrasza brak dziennego światła. Czują się zamknięci i odizolowani od naturalnego rytmu.

Ja właściwie też. Ale pociągający głos i serdeczność tego mężczyzny obudziły moją ciekawość - jego samego i jego ze smakiem urządzonej kreciej norki. Umówiliśmy się więc na następny dzień.

Po powrocie do hotelu zauważyłam migającą czerwoną lampkę w telefonie; czekały na mnie od razu dwie wiadomości.

Zespół operacyjny Saudii wyśledził mój bagaż w jednym z magazynów międzynarodowego portu lotniczego w Dżuddzie. Dowiedziałam się, że rzeczy zostaną wysłane najbliższym lotem do Frankfurtu, gdzie je mogę odebrać w hali towarowej.

Druga wiadomość była od Audrey Henderson, która również została przeniesiona do bazy we Frankfurcie i szukała współlokatora do swojego nowoczesnego, zbyt drogiego mieszkania.

Audrey mieszkała na piątym piętrze wieżowca położonego na Geleitstrasse w Sachsenhausen. Jej piękne mieszkanie składało się z trzech pokoi, kuchni ze składzikiem, łazienki i balkonu. W czynsz wliczone było także korzystanie ze znajdujących się w budynku: sauny, studia fitness i basenu z tarasem słonecznym.

Podobało mi się mieszkanie Audrey. Także dlatego, że było umeblowane ozdobnymi ratanowymi meblami z Bangkoku, a na ścianach wisiały oprawione zdjęcia z naszej wspólnej podróży do Birmy.

- W porządku, Audrey, dzielimy to mieszkanie i czynsz!

Potem wszystko już poszło szybko. Ale najpierw pojechaliśmy do dzielnicy uciech w Sachsenhausen, aby opić naszą umowę.

To był pierwszy prawdziwy letni wieczór we Frankfurcie, kiedy życie zyskało jakąś beztroską, śródziemnomorską nutę. Kiedy na ławach i stołach ulicznych knajp pieniała się radość życia - zaraźliwa jak wirus, szczodra jak światło słońca, nieuchwytna jak gwiazdny pył.

I oto latałam z Frankfurtu. Na początku bardzo tęskniłam za Bangkokiem, właściwie jeszcze nie przeniosłam się tak naprawdę do Niemiec, moje zmysły wciąż były nastawione na Azję. Na szczęście trafiłam tu latem. Przynajmniej w porze roku mogłam się jakoś odnaleźć.

Podczas mojego pierwszego lotu powrotnego z Rijadu do Frankfurtu supervisorka Zejnab zorganizowała mi taki egzamin, jakiego w Bangkoku nigdy nie przeżyłam. Długi staż Zejnab w połączeniu z mnóstwem energii i entuzjazmu sprawiał, że była jedną z najlepszych przełożonych we frankfurckiej bazie.

Gdy około drugiej w nocy część praktyczna egzaminu z serwisu została zakończona, przepytła mnie z nieubłaganą dokładnością ze wszystkich aspektów bezpieczeństwa lotu. Przykładała przy tym szczególną wagę do pierwszej pomocy. Jeśli tylko okazałam odrobinę niepewności, drażyła dalej, aż dochodziłyśmy do sedna sprawy.

- Z Frankfurtu odlatują głównie samoloty TriStar L1011 na długie trasy nad wodą. Dlatego musisz znać procedury wodowania L1011 w najdrobniejszych detalach. Dobra stewardesa powinna tak przyswoić sobie wiedzę dotyczącą bezpieczeństwa, by móc ją deklamować przez sen.

Miała rację. Ta kobieta, która znała mnie dopiero kilka dni, przejrzała mnie. Rozpoznała we mnie to, co mgliste, i to, co ociężałe, i oto stawiała mój brak motywacji pod pręgierzem.

- Mogę się mylić, Tereso, ale nie wyglądasz na zachwyconą swoim zadaniem. Masz z tym jakieś problemy, coś, o czym chciałabyś mi powiedzieć?

- Nie, Zejnab, wszystko w porządku. Po prostu jestem trochę zmęczona.

- Zmęczona? Ale my zarabiamy pieniądze głównie pracą w nocy. Zatem, Tereso, egzamin zdany, ale z zastrzeżeniami!

Wydawało mi się jednak, że potraktowała mnie za ostro. O trzeciej nad ranem żaden człowiek nie jest przecież zdolny do intelektualnych wyczynów. Ale w istocie chodziło o coś zupełnie innego: nie widziałam już swojej przyszłości w Saudii i to wyczuła Zejnab. Gdzie należało szukać przyczyny mojego rosnącego niezadowolenia, sama dokładnie nie wiedziałam. Ale jednego już byłam pewna: dawałam sobie jeszcze pół roku w Saudii, aby odsłużyć pełne pięć lat i zastanowić się nad tym, co dalej zrobić ze swoim życiem. Jednak na razie zachowałam to dla siebie.

- Zastanów się jeszcze raz nad tym, co znaczy dla ciebie ta praca - wyłożyła mi supervisorka Zejnab. - Szkoda byłoby, żebyś tylko traciła swój czas na coś, co ci nie leży na sercu.

Zahran, Arabia Saudyjska. Wesele Ołive się nie odbyło. Jej szyta na miarę suknia ślubna była już opłacona, termin - ustalony, zaproszenia - wydrukowane, gdy jej narzeczony nagle się rozmyślił.

- Nic mnie to już teraz nie obchodzi - twierdziła dumnie Ołive.
- W każdym razie nie jest mi go żal. Myślę, że jego rodzice byli prze-

ciwko naszemu małżeństwu. Nie chcieli mieć Kreolki za synową i pewnie już się martwili o kolor skóry swoich przyszłych wnuków. Trudno, mężczyzn, którzy mnie chcą, jest jak piasku w morzu! Chwilowo mam jednak inny problem. Pokłóciłam się z Sirahem Akkadem. Może się nawet zdarzyć, że zechce mnie wyrzucić. Ale zanim on to zrobi, sama złożę wypowiedzenie.

OHve i ja miałyśmy taki sam harmonogram lotów i dzieliłyśmy dwuosobowy pokój w hotelu Meridien. Ten rzucający się w oczy luksusowy hotel w Al-Kohbar, bezpośrednio nad Zatoką Perską, miał imponujący hall w kształcie trapezu. Geometryczne kształty tego budynku powtarzały się w najmniejszych detalach. W pokojach wisiały obrazki z arabskimi wzorami z rombów i gwiazd w czystych, harmonijnych kolorach.

Z przyzwyczajenia wyszłam na balkon. Moje spojrzenie zagubiło się tam, gdzie niebieskozielone morze kończyło się ciemną kreską i ustępowało miejsca błękitowi nieba.

Tak wiele błękitu i tak wiele wody okazało się balsamem dla mojej duszy. Gorący pustylny wiatr poruszał moją abają, robił z niej czarny balon i rozwiewał długie włosy. Z mojego wietrznego punktu obserwacyjnego można było zajrzeć wprost do hotelowego basenu, z którego przyjemność przed południem mogły czerpać kobiety, a po południu - mężczyźni z hotelu.

Obok znajdowała się piękna plaża, dziewicza i opuszczona. Nikomu nie przyszłoby do głowy się tutaj kąpać. Od czasu do czasu widać było postacie zakwefionych kobiet w towarzystwie dzieci i mężczyzn w diszdaszach albo robotników z Pakistanu, którzy szli kilka kroków wzdłuż plaży.

Gdzie indziej taka okolica byłaby urlopowym rajem, ale nie w Arabii Saudyjskiej. Tu nikt nie był skazany na przywożących

dewizy, skąpo ubranych turystów, którzy kwestionowaliby surowe zasady moralne Saudyjczyków.

Ponieważ widoczność zazwyczaj była dobra, mogłam dostrzec w oddali dwudziestoczyterokilometrową groblę, która łączyła stały ląd z grzesznymi wyspami Bahrajnu.

Najważniejszą przyczyną powstania tego mostu było to, że księżta w Rijadzie zrozumieli, iż uciśniony lud, któremu wszystko reglamentowano w tej złotej klatce, potrzebował wybiegu. Również ci mężczyźni z ulicy, którzy nie latali, mieli spuszczać parę z gwizdka na obcej ziemi, bez groźby, że policja religijna Królestwa od razu przywali im w łeb.

Zahran było jasnym, skromnym, wielokulturowym nadbrzeżnym miastem. Jak na saudyjskie stosunki panowała w nim dość luźna atmosfera. Pobyt w Zahran był o wiele przyjemniejszy niż w Rijadzie, gdzie my, kobiety, chodziłyśmy z pustymi, zwiotczalymi twarzami chwiejnym krokiem na szpilkach przez słabo oświetlone korytarze, wyglądając w czarnych pelerynach jak stado niezdolnych do lotu wron, pilnowanych przez wciąż czujne oczy strażników. Tam, gdzie windy i korytarze zarezerwowanego wyłącznie dla kobiet trzeciego piętra były pod stałą kontrolą przez całą dobę.

Na tych korytarzach i w pomieszczeniu dla załóg, gdzie mogliśmy gratis dostać kawę i herbatę, często spotykało się starych znajomych, których dawno straciło się z oczu. Tak jak na przykład całym niedawno Giannię Leandros.

Źle wyglądała nasza Tsanna. Jej napięta, żółta cerę i smutne szare rozdzielone oczy podkreślała jeszcze dodatkowo tania, czarna abaja z nylonu.

Gdy Gianna przed dwoma miesiącami przyjechała odwiedzić męża w Atenach, zastała mieszkanie opuszczone i wymiecione.

- Wszystko, wszystko mi zabrał, nawet meble, wyobraź sobie! Wyczyścił nasze wspólne konto oszczędnościowe. Spadłam z chmur na twardą ziemię, a tak mu ufałam.

- Och, Gianna, to straszne! Twój cichy docent z uniwersytetu - wilkiem w owczej skórze!

- Całe moje oszczędności - skarżyła się cicho Gianna - wszystko, co przez minione pięć lat tu w Arabii Saudyjskiej zarobiłam, zarobiłam uczciwą pracą, po prostu zabrał. Nie wiem, gdzie teraz jest! Moi teściowie też mi nic nie powiedzą, dla nich jestem tylko durną wieśniaczką z Macedonii. Ale moimi pieniędzmi nie pogardziło to eleganckie ateńskie plemię! Och, Tereso, jestem wykończona! Nie mam już nic - Gianna zamilkła i czekała, aż dwie dziewczyny w mundurach przejdą obok.

- Teraz muszę znów zaczynać od nowa, tylko nie mam już na to ochoty. Och, Nikos! Jak mogłeś mi to zrobić!

Dwa miesiące po zakończeniu ramadanu zaczął się najbardziej pracowity okres roku, wielkie pielgrzymki do Mekki i Medyny.

Raz w życiu każdy muzułmanin powinien odwiedzić miejsce narodzin Mahometa. Tak każe Koran. Ta pielgrzymka, zwana hadż, jest szczytem duchowego życia i awansem na płaszczyźnie religijnej i społecznej. Honorowego tytułu „hadżi” mogą używać tylko wierni, którzy odbyli pielgrzymkę do świętych miejsc: Mekki i Medyny.

Wylatując z Bangkoku, mieliśmy do czynienia głównie z indonezyjskimi pielgrzymami. Ci ludzie, wyrwani ze wsi w dżungli wprost do wielkich samolotów, potężnie nas umęczyli.

Kiedy znaleźli się na pokładzie, personel pokładowy w eleganckich mundurach dziwił ich w jednakowym stopniu co owinięte folią

jedzenie. Rozkładali rzeczy na poszczególne części, rozmontowywali wszystko, co nie było przytwierdzone nitami i gwoździami, i dokonywali swoich rytualnych ablucji w pokładowych toaletach.

Gdy potem po bitwie posiłkowej przychodziło nam sprzątać, my, stewardesy, często dostawałyśmy z powrotem tylko czyściutko wymiecione tace. Nawet folię zabezpieczającą przed przesuwaniem zabierali. Gdyby tylko to! Wierni, którzy spełnili swój obowiązek pielgrzymki, byli wszak w drodze powrotnej obmyci już ze wszystkich grzechów.

Po odbytej pielgrzymce hadzi zazwyczaj wnosili na pokład uderzająco ciężki bagaż ręczny. Nie mając o tym pojęcia, wzięłam raz od drobnej staruszki torbę i złamałam się przy tym w pół jak zapałka. Załadowała tam kamienie, kamienie z Mekki, na pamiątkę najważniejszej podróży swego życia.

Pielgrzymki z Niemiec były inne, przewidywalne. Chodziło głównie o tureckich gasterbeiterów, którzy składali wnioski o wizę pielgrzymkową w Ambasadzie Saudyjskiej w Bonn. Od czasu do czasu wśród mnóstwa białych chustek, ciemnych czupryn i zarosniętych męskich łydek widywałam niemieckiego muzułmanina.

Zawsze znalazł się jakiś gorliwy, który głośną modlitwą porywał za sobą wszystkich w zasięgu słuchu. Modlili się na swoich siedzeniach, z głowami pochylonymi do przodu na tyle, na ile pozwalały im oparcia siedzeń przed nimi. Dłonie kierowali do góry, aby uprosić Allaha o błogosławieństwo na podróż.

Często w kabinie rozchodził się silny zapach potu, ponieważ wielu wiernych nie używało dezodorantów, bo zawierały alkohol.

Jedna z nowych tureckich stewardes nie była w stanie wytrzymać tej woni, chwyciła więc puszkę z aerozolem i kroczyła korytarzem, demonstracyjnie rozpylając dezodorant przed sobą. Pewien pasażer poczuł się urażony tą akcją i interweniował:

- Czy *ty* jesteś muzułmanką? To powinnaś wiedzieć, że nie wolno ci nas spryskiwać tym zawierającym alkohol sprayem. Hańba! Poza tym pachniesz nachalnie zachodnimi perfumami!

- No, wybaczy pan - oburzyła się - jako stewardesa jestem zobowiązana używać dezodorantu, perfum i robić sobie makijaż! Jestem muzułmanką i mówię panu: jeśli chce pan mieć miejsce w raju, to na pewno nie będzie ono uzależnione od odświeżacza powietrza w aerozolu z konserwantem, który zawiera alkohol.

Ta fala słów wylała się po turecku, a ponieważ obserwowałam tę scenę, przetłumaczyła mi wszystko, co ze złością powiedziała. Ja jednak czułam się bardziej urażona jej nieprzemyślaną akcją z aerozolem niż gryzącym zapachem potu. Poza tym miałam wrażenie, że chciała zademonstrować swoim rodakom, którzy zostali w tyle, jaką jest obytą i kulturalną damą.

- Kto się denerwuje, już stracił. Znasz przecież nadwrażliwość swoich rodaków. Człowiek powinien wiedzieć, jak z nimi postępować. Abstrahując od tego, każdy ma prawo do swojego zdania, zaakceptuj to - poradziłam jej.

Na chwilę odebrało jej mowę.

Roześmiałam się krótko.

- Nie trzeba być muzułmaninem, aby dogadać się z pielgrzymami. Ja jestem na pokładzie po to, żeby spełniać ich życzenia, nie odwrotnie.

Zakochałam się podczas największych letnich upałów. To była miłość, która zaczęła się w powietrzu. Zupełnie normalna sprawa. Koleżeństwo w powietrzu bardziej łączy: napięcie i zagrożenie wymagały jakiegoś wentyla bezpieczeństwa. Zdenerwowanie zdarzało się nie tylko na ziemi, ale i na niebie.

Moje koleżanki po fachu mówiły o nim „piękny steward”. Z tego punktu widzenia nigdy nie przyjrzałam się mojemu tunezyjskiemu koledze. Podobało mi się przede wszystkim jedno: że Moncef, ten wykształcony steward o spójnej osobowości, nie był babskim królem.

Swoją nieśmiałość próbował ukryć pod szorstkim, stanowczym zachowaniem, które często niesprawiedliwie uważano za arogancję. Moncef wolał pozostać sam, niż przebywać w towarzystwie ludzi, którzy mu nie odpowiadali.

Po pierwszych rozważnych spojrzeniach zostałam przez niego przetestowana i sprowokowana:

- Czy ty w ogóle wiesz, gdzie leżą wyspy Galapagos? Nie było żadnych niemieckich obozów koncentracyjnych - to wszystko tylko żydowska propaganda, a lądowanie na Księżycu nigdy się nie zdarzyło, to tylko inscenizacja Amerykanów.

Moncef wciąż stawiał mi wyzwania i swoimi przewrotnymi stwierdzeniami zmuszał mnie do bycia w opozycji. W jego towarzystwie nikt nie mógł się naprawdę nudzić. Przyjmowałam prowokacje z humorem i stopniowo rozwijała się między nami sympatia. Niedługo sprawy zaszły tak daleko, że zaczęliśmy spotykać się prywatnie. Wkrótce staliśmy się nierozłączni. Z Moncefem przeżyłam oszałamiające chwile. To były silne uczucia, za którymi tak długo tęskniłam. Chwyciłam się kurczowo tego nieoczekiwanego szczęścia z całym bagażem moich niezbyt szczęśliwych - jeśli chodzi o miłość - dwudziestu dziewięciu lat i przeżywałam piękny sen, z którego najchętniej nigdy bym się nie obudziła.

Za kulisami Saudii szalała tymczasem „burza piaskowa” - skandal związany z oszustwem na najwyższych szczeblach władzy, który wstrząsnął liniami lotniczymi niemal do fundamentów.

Nowy slogan brzmiał od tego czasu nie „wzrost”, tylko „oszczędności”. Wszędzie używano czerwonego ołówka; restrukturyzacja i odchudzanie kadry menedżerskiej były mile widziane; wydawało się, że lata dostatku i wydawania pieniędzy minęły bezpowrotnie.

Serwis powietrzny został na nowo przemyślany i tak skonstruowany, że z miejsca można było zatrudnić do niego o jedną osobę obsługi mniej niż dotychczas. Ta nowość miała wejść w życie już w grudniu; najpóźniej wtedy będzie w Saudii zbyt wielu pracowników. Plotki mówiły o liście zwolnień, ponieważ naturalne odejścia nie wystarczyły do wprowadzenia tych natychmiastowych środków oszczędności. Zbiorowy lęk o miejsca pracy się szerzył, stewardzi i stewardesy, którzy znani byli z braku dyscypliny i lenistwa, nagle pojawiali się w pracy na baczność i w świeżo wyprasowanych mundurach.

Ta złowieszcza lista objawiła się pewnego deszczowego, październikowego popołudnia w postaci telefonu od mego ukochanego. Moncef został ze skutkiem natychmiastowym odesłany do Dżuddy, a wkrótce potem zwolniony. Wówczas stało się jasne, że wahadło uderza też w tych pracowitych i za dobrze wykształconych – jeśli ktoś już nie pasował do schematu, musiał odejść.

I nagle znów byłam we Frankfurcie sama. Nasza idylla trwała już trzy miesiące i ponieważ nie można jej było zniszczyć od wewnątrz, musiało się to stać z zewnątrz. Wrażliwa mała dziewczynka we mnie czuła się, jakby ktoś dał jej najpierw pyszne słodycze, a potem nagle je zabrał. Byłam bardzo smutna i rozczarowana. Byliśmy tylko piłkami do gry wyższych mocy, musieliśmy przyjmować odejścia i radzić sobie z nimi tak, jak wymagał los, tak mi się w każdym razie zdawało.

*

W naszych harmonogramach lotów pojawił się nagle taki cel podróży jak Kano. Nie byłam pewna, gdzie na mapie świata mam szukać miasta Kano.

- Nigeria - oświeciła mnie Audrey, akurat gdy wysoko nad dachami Sachsenhausen zadzwonił nasz telefon.

- Cześć Tereso! Powiedz, jak ci idzie, kiedy znów przyjedziesz do Londynu?

- Jerome...? Cóż to się stało, że o mnie pomyślałaś?

- Potrzebuję twojej pomocy, Tereso. Dokładniej mówiąc: czy masz jeszcze nasz pierścionek zaręczynowy?

- Co proszę?

- Wiesz, jest mi trochę głupio cię o to prosić. Ale czy bardzo by ci to przeszkadzało, gdybyś oddała mi ten pierścionek z powrotem? Mam mianowicie nóż na gardle. Nadal jestem bez pracy, a oszczędności szybko się skończyły. Patrice i Jean chodzą do szkoły hotelarskiej i też nic nie zarabiają. Do tego muszę pilnie zapłacić czynsz, w przeciwnym razie wkrótce wylądujemy na ulicy.

- Przestań snuć te przerażające scenariusze, Jerome! Oczywiście, że oddam ci ten pierścionek. Wkrótce będę miała kilka dni wolnego i wtedy przyjadę do Londynu.

- Zrobiłabyś to, Tereso? Niech cię Bóg błogosławi! Będę ci wdzięczny na wieki.

- Tylko nie przesadzaj, Jerome. Ty też zrobiłbyś to dla mnie. Poza tym to tylko pierścionek!

- Ale taki, który ma szczególne znaczenie. Cieszę się, że się spotkamy.

Samolot do Kano wbijał się w gęstą noc. Garstka pasażerów, obładowanych garnkami i innymi blaszanymi sprzętami, zagubiła się w przestronnej kabinie.

- Uważaj, żeby nie zaczęli gotować w swoich własnych garnkach - ostrzegał mnie cyniczny, zwykle latający na tej trasie steward. - Tu już wszystko się zdarzało!

Podczas ponadczterogodzinnego lotu z Dżuddy do Kano starałam się więc pozostać wyjątkowo przytomna. Aby jakoś spędzić czas i przegnać zmęczenie, rozmawiałam z pewną młodą Syryjką z bazy w Dżuddzie. Dziewczyna latała dopiero od trzech miesięcy.

- Często latam na trasie do Kano i z powrotem - opowiadała. - To regularny horror! Potem muszę to odsypiać cały dzień.

Rzuciłam spojrzenie przez okno. Ciemne masy ładu tam na dole to była północno-zachodnia Afryka, okolica, którą wyobrażałam sobie jako wrogą i ociekającą krwią. Podróż do takich krajów wciąż jeszcze oznaczała wyprawę w nieujarzmione rejony, zarówno Czarne Łądy, jak też siebie.

Za każdym razem, kiedy lądowałam gdzieś, gdzie nigdy przedtem nie byłam, budziło to we mnie uczucie podniecenia i oderwania od codzienności. Światła lotniska, ciepło nocy i właściwości powietrza - to wszystko były wrażenia, które mogłam ze sobą zabrać.

W Kano pozostało mi na to jednak niewiele czasu. Wylądowaliśmy tutaj tylko po to, żeby od razu zabrać komplet pasażerów z powrotem do Dżuddy.

Chwilę po tym, gdy samolot został załadowany, wybuchła głośna, zajadła kłótnia pomiędzy personelem naziemnym, celnikiem i saudyjskim pilotem. W gruncie rzeczy prawdopodobnie żaden z kłócących się nie wiedział dokładnie, o co w istocie chodziło. Ale skończyło się na tym, że Nigeryjczycy nie udzielili nam pozwolenia na start.

Po ponad godzinie przeciągających się negocjacji, podczas której miałam wrażenie, że ta waśń wkrótce zostanie rozstrzygnięta w walce na pięści, w końcu dostaliśmy pozwolenie na start.

Wtedy dopiero naprawdę zaczęła się praca obsługi kabinowej. Wydaliśmy naszym zaspanym pasażerom śniadanie, którego większość nie tknęła, bo kto ma ochotę jeść śniadanie o czwartej nad ranem.

„Gdzie właściwie została moja syryjska koleżanka?” - zadałam sobie nagle pytanie.

Przy obchodzie w końcu ją znalazłam - siedziała w klasie biznes obok podróżującego samotnie arabskiego biznesmena. Byli pogrążeni w ożywionej rozmowie. Czy powinnam przypomnieć Syryjce o tym, że personelowi nie wolno zajmować miejsc obok pasażerów? Po krótkim namyśle postanowiłam trzymać się od tego z dala. Może właśnie poznała mężczyznę swego życia?

Nasza załoga akurat wróciła po kilku dniach pracy do Frankfurtu, gdy sekretarka pana Siraha Akkada poprosiła nas wprost z odprawy. Poinformowała o zmianie harmonogramu lotów i wręczyła mi kopertę. Znajdowało się w niej wezwanie na rozmowę z Sirahem Akkadem, menedżerem bazy.

Przez cztery i pół miesiąca, kiedy stacjonowałam we Frankfurcie, Sirah Akkad ani razu nie miał życzenia ze mną rozmawiać. Dlaczego akurat teraz?

Z lekkim ssaniem w okolicach żołądka, po chwili taktycznego zwlekania, znalazłam się w jego biurze.

Z poważną, zatroskaną miną Sirah Akkad wskazał mi fotel naprzeciwko siebie. Usiadłam, zdjęłam kapelusz i już wiedziałam: ta rozmowa nie wróży nic dobrego. Nasz menedżer bazy nie planował długich wstępów. Od razu przeszedł do rzeczy.

- J a kwiesz, Saudia jest w fazie rekonstrukcji.

Pokiwałam głową; tak, tak też można nazwać rozstania i dramaty ostatniego okresu.

Gdy Sirah szykował się do następnego ciosu, ja bawiłam się w napięciu rondem kapelusza.

- Wkrótce będziemy mieli za dużo stewardów i stewardes we frankfurckiej bazie. Ma zostać skreślony jeszcze drugi czwartkowy lot. Zatem już od grudnia będziemy potrzebowali mniej ludzi niż obecnie.

Patrzyłam mu w oczy w milczeniu i z oczekiwaniem. I teraz Sirah Akkad dotarł do sedna:

- Za to w bazie w Dżuddzie są teraz potrzebne stewardesy. Dlatego, Tereso, zostajesz tam przeniesiona od trzynastego grudnia.

Podał mi przez biurko jakiś druk.

- Jeśli zgadzasz się na ten transfer, to podpisz, proszę, formularz.

- A co, jeśli nie zechcę?

- Jeśli zależy ci na pracy, zdecydujesz się na to.

- Nie rozumiem - zapytałam słabym głosem - dlaczego ja? Nie jestem akurat ostatnią, którą tu przeniesiono! Właściwie ci, którzy przybyli tu później, powinni zostać przeniesieni przede mną. Poza tym dysponuję dłuższym stażem niż większość stewardes we frankfurckiej bazie. *Last but not least**: jestem jedną z niewielu, którzy mówią po niemiecku. Czy to wszystko nie ma żadnego znaczenia?

- Zgodnie z naszą wiedzą nie jesteś, jak wielu innych, związana umową najmu mieszkania, którą najpierw musisz wypowiedzieć. Mieszkasz u Audrey Henderson i możesz się wyprowadzić w każdej chwili. Dlatego ciebie dotyka to jako jedną z pierwszych.

* Ang.: Ostatnie, lecz nie najmniej ważne.

- A kto mi zagwarantuje, że w Dżuddzie nie dostanę wypowiedzenia, jak ostatnio mój kolega po fachu?

- Stewardzi innych narodowości stopniowo zastępowani są przez nowo rekrutowanych Saudyjczyków. Ze to nie dotyczy kobiet, sama wiesz.

Wzięłam ten świstek, nie rzucając nawet na niego okiem. Chcieli mnie wysłać z powrotem na pustynię! Czy po pięciu latach służby miałam na to pozwolić? Pozwolić zamknąć się w kampusie stewardes w szarpiącej nerwy komunie mieszkaniowej?

Obsługa kabinowa w Saudii stanowiła tylko masę, którą można było dowolnie manipulować w celu przeprowadzenia nadrzędnych interesów gospodarczych i politycznych. Kiedyś ktoś nas zawołał: „Chodźcie, chodźcie tu!”. I my odpowiedzieliśmy na ten zew pustyni, podążyliśmy za nim całą chmarą. Teraz rozbrzmiewało z pustyni: „Idźcie, idźcie stąd!”

Wysłałam z biura tego człowieka, który został wyznaczony, by w moim życiu odegrać rolę losu, i ruszyłam do kolejki naziemnej, którą jeździłam do dworca głównego. Ludzie wokół mnie wydawali mi się nie istotami z krwi i kości, lecz schematycznymi postaciami jak z filmu, a chrząszczący głos, który zapowiadał pociągi, słyszałam jak przez ścianę mgły.

W tym ogłuszeniu niezawodnie działały jeszcze jedynie moje odruchy. Stałam przed najbliższym koszem na śmieci, podałam formularz na drobne kawałki, roześmiałam się przy tym do siebie krótko i gniewnie.

Samolot linii Swissair do Londynu wylądował punktualnie na lotnisku Heathrow. Jerome, który mnie oczekiwał, nie musiał brać pod uwagę spóźnienia.

jeszcze raz wyciągnęłam swój pierścionek zaręczynowy ze szkatułki i oglądałam lśniące brylanty obramowujące kaboszon z szafiru. Wszystko wydawało się kończyć tak szybko - moja młodość, lata w Saudii, moje przyjaźnie, Jerome, pierścionek zaręczynowy...

Poprosiłam stewarda o dodatkową buteleczkę wina, na co on z konspiracyjnym uśmiechem wcisnął mi od razu dwie.

W umówionym miejscu na lotnisku Jerome już niecierpliwie czekał. Wcisnęłam mu na powitanie wypełnioną torbę higieniczną Swissair:

- Z pozdrowieniami od Swissair.

- Wspaniale, że wysepiłaś wino! Chodź, nie traćmy czasu, do metra daleko, jeszcze długa droga przed nami.

Trzy kwadranse i dobry tuzin przystanków później długie, trzeszczące ruchome schody zawiozły nas na nocną mieszkaniową ulicę Londynu. Po lewej migotały kolorowe światełka jakiegoś baru szybkiej obsługi, który za dnia prowadził Hindus w turbanie.

- Da Lang - objaśnił Jerome. - Jesteśmy dobrymi klientami tego Hindusa. Czasem daje na kreskę, jeśli jest kłopot z kasą.

- Dziś wieczorem nie ma. Dziś ja płacę. Macie u niego długi, Jerome?

- Nie, odpukać! On przyrządza też hinduski fast food, jeśli masz ochotę.

Ledwie usiedliśmy przy stoliku obok okna, już pojawili się ubrani w zimowe kurtki Patrice i Jean. Ich ciemne, poważne twarze od razu rozjaśniły się na mój widok.

- J a k dobrze cię w końcu zobaczyć, Tereso! Tęskniliśmy za tobą. Bez ciebie Jerome potrafi narobić tylko kupę gnoju!

- To nieprawda! - protestował Jerome.

- Ach, czyżby? Dlaczego nie opowiesz Teresie o majątku, który wygrałeś w Cromwells Casino i zaraz potem straciłeś?

- Teresa tego nie chce wiedzieć - bronił się Jerome ruchem ręki.

- Ależ skąd, Teresa chce o tym wiedzieć - wmieszałam się w rozmowę.

Jerome rzucił Patricebwi i Jeanowi pełne wyrzutu spojrzenie:

- Chyba nie oczekujecie, że zostanę skarcony?

- Nie zmieniaj tematu, opowiadaj tę historię!

- No dobrze. Zaczęło się od tego, że prawie przed dwoma miesiącami wygrałem w kasynie dwadzieścia tysięcy funtów. Byłem oszołomiony, rozdawałem na lewo i prawo olbrzymie napiwki, za co pracownicy mnie lubili. Następnego dnia kupiłem samochód i wpłaciłem zadatek za luksusowy apartament. Zaraz potem spowodowałem wypadek. Pasażerowie tego samochodu mieli na szczęście niewielkie urazy, aleja musiałem pójść na kilka dni do szpitala. Obydwa samochody nadawały się na złom. Wszystko to kosztowało mnie tyle, że od razu musiałem się wyprowadzić z nowego mieszkania.

- Wiesz, jest takie przysłowie: „Łatwo przyszło, łatwo poszło!”. To niewiarygodne, co potrafisz narobić na „wolności”! Lepiej byłoby, gdybyś został w Arabii Saudyjskiej - stwierdziłam.

- Ty z tymi swoimi przysłowiami!

- Och, mam na stanie odpowiednie na każdą okoliczność.

- Uważaj, Tereso, teraz będzie trochę trudności - wyjaśnił Jerome, gdy wyszliśmy z baru. - Musimy cię mianowicie przesmuglować do naszego mieszkania. Podnajmujemy mieszkanie w domu pewnej pakistańskiej rodziny. Wizyty kobiet nie są tam mile widziane.

- To brzmi jak w Arabii Saudyjskiej! - zażartowałam.

Jerome nie skomentował mojej żartobliwej uwagi. Zamiast tego spojrział z namysłem przed siebie. Szliśmy słabo oświetloną ulicą, gdzie domy były podobne jeden do drugiego jak jajka. Solidne ceglane domy klasy średniej z małymi smutnymi ogródkami. Sta-
nęliśmy przed jednym z takich domów, na dole w salonie paliło się światło.

- Jest tylko jedno wejście i jedne schody - wyjaśnił Jerome. -
Zazwyczaj wieczorem wszyscy są w domu. Jean odwróci uwagę rodziny i zasłoni plecami widok na schody. Patrice weźmie twoją torbę, a ja wyślę cię we właściwym momencie. Potem pobiegiesz schodami na górę, dobrze?

Zasalutowałam:

- Zrozumiano, panie generale.

Jean otworzył drzwi domu. Jerome i ja czekaliśmy pod osłoną ciemności - schody były wprost przed nami. Drzwi do salonu stały otworem. Jean zagadnął rodzinę z szerokim uśmiechem i zasłonił drzwi jeszcze szerszymi plecami. W tym czasie Patrice przekradł się na górę z moją torbą i czekał na mnie na najwyższym stopniu schodów.

- J u ż ! - szepnął Jerome.

Ruszyłam po schodach. W przelocie rzuciłam okiem na kilka osób w salonie. Potem do akcji wkroczył Jerome: demonstracyjnie zamknął drzwi domu i rzucił do zebranych gładkie „Dobry wieczór wszystkim”.

Na górze była staroświecka kuchnia. Zaraz obok, w zimnym, długim pomieszczeniu, gulgotał słaby ze starości sedes ze spłuczka przymocowaną do ściany, uruchamianą pociągnięciem za sznurek. Kilka kolejnych schodów prowadziło do dwóch pokoi. Pośrodku dużego pokoju stało podwójne łóżko, w którym spaliśmy we troje: Patrice, Jerome i ja, a wysoki Jean spał sam w małym pokoju.

- Cóż, Tereso, gdzie chcesz spać? Z brzegu czy w środku? - zapytał mój były narzeczony.

- Z brzegu. Nie lubię być serkiem w kanapce.

- Dobrze. Dla mnie to bez różnicy, czy śpię w środku. Mam wtedy ogrzewanie z dwóch stron - powiedziała Jerome.

- Ale żeby ci się nie przyśniło, że to ja jestem Teresą i żebyś się do mnie zanadto nie zbliżał! - żartował Patrice.

Gdy Jerome i ja obudziliśmy się następnego ranka, Patrice i Jean byli już w szkole. Jak należało oczekiwać, źle spałam.

Stałam akurat pod prysznicem i z obrzydzeniem odsuwałam się od poszarzałej, smutno zwisającej zasłony, która wciąż przyklejała się do mojego ciała, gdy nagle odsunęła się i stanął przede mną Jerome.

Oglądał moje ciało jak dobrze znany przedmiot, dotknął mojej piersi i powiedział:

- Wiesz, ile jeszcze budzimy w sobie pożądania.

Brzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż jak pytanie, a zarówno temat, jak też niespodziewane dotknięcie odczułam jako nieprzyjemne. Ale Jerome nie chciał zmieniać tematu. Nieproszony opowiedział mi o swoim ostatnim romansie z zamężną siostrą znanej na całym świecie piosenkarki rockowej:

- Jean i Patrice byli na mnie wściekli. Nigdy nie pozwolili mi na ten romans i przemawiali do mojego sumienia: „Co ty robisz z tą zamężną celebrytką, jeśli Teresa to kobieta idealna dla ciebie!”.

- Naprawdę tak mówili?

- Ależ oczywiście.

- Jakie to wzruszające, że jeszcze wierzą w nas jako parę. Niestety, muszę ich rozczarować. Jest ktoś w moim życiu... Pewien ste-

warci... Chcemy być razem bez względu na to, co przyniesie przyszłość.

- Czy to możliwe, żebyś ty się w czymś zatraciła? Ale porozmawiamy o tym później, teraz muszę cię prosić o przysługę: czy mogłabyś dziś rano pójść ze mną na poszukiwanie pracy? Muszę się zebrać do kupy i oblecieć biura pośrednictwa pracy w okolicy. Z tobą u boku na pewno mi się uda. Pozwól mi uszczknąć trochę swego szczęścia.

Pięć albo sześć biur pośrednictwa pracy i dwie rozmowy kwalifikacyjne później Jerome wylądował jako pracownik biurowy w małej firmie w strefie przemysłowej zachodniego Londynu. Dodajmy, że nie był to wielki sukces. Ale na początek zarobki wystarczały na opłacenie czynszu, środków komunikacji i taniego jedzenia.

W milczeniu maszerowaliśmy obok siebie. Zaczął padać drobny deszczyk.

- Gdyby w Londynie nie padało... - zauważyłam z odrobiną melancholii.

Ale Jerome myślał już o zupełnie innych rzeczach:

- Ile możesz wydać na dzisiejszy wieczór?
- Co najwyżej sto funtów. Również ja od grudnia nie będę wiedziała, kiedy zarobię następne pieniądze.
- Dobrze, dobrze! To spróbujmy teraz szczęścia!
- Nie sądzisz, Jerome, że na dziś wykorzystaliśmy już swoją pulę szczęścia? - poddałam mu pod rozwagę.

Ale Jerome nie słuchał. Poszliśmy do Cromwells Casino, gdzie mój uzależniony od hazardu eksnarzeczony w lepszych czasach był ulubionym klientem. Bufet kusił kawiozem, pieczoną kaczką na zimno i szampanem, ale Jeromea ciągnęło z całą mocą do stolika. W ciągu kwadransa przegrał sto funtów, a dopiero się rozgrzewał.

- Obaj krupierzy od ruletki dali mi cynk, że następnym razem pozwolą mi wygrać - szepnął do mnie.

- I co jeszcze? Chodź, pieniądze się skończyły, znikamy.

- Masz przy sobie ten pierścionek, Tereso?

- Jerome, jeśli masz zamiar przegrać nawet ten pierścionek, wścieknę się!

- Nie, nie. Wystarczy na dzisiaj, obiecuję.

W tym czasie zapadła noc. Małe sklepiki w południowo-zachodniej dzielnicy, które skupowały biżuterię, zamykano jeden po drugim.

Mieliśmy już za sobą wiele progów, nieusatisfakcjonowani ceną, którą oferowano nam za pierścionek, kiedy wpuścił nas ostatni handlarz.

- Chcemy tu sprzedać ten pierścionek - powiedział pełen nadziei Jerome.

Mężczyzna długo i nieufnie oglądał pierścionek.

- Skąd pan go ma?

- Z Arabii Saudyjskiej, sir. Jest prawdziwy.

- Cóż, tak szybko nie da się tego ocenić. Sto funtów do ręki, jeśli jest prawdziwy.

- Sto pięćdziesiąt - targował się Jerome. - Zapłaciłem za ten pierścionek ponad dwa tysiące funtów.

Ku mojemu zdziwieniu Jerome zgodził się na zaproponowane sto funtów. Wydawało się, że zupełnie stracił zainteresowanie pierścionkiem. Jedynie obietnica, którą mi złożył, nie pozwalała mu od razu wrócić ze stu funtami w garści do kasyna.

- Jerome, naprawdę potrzebujesz tych wszawych stu funtów tak pilnie? Przecież szkoda tego pierścionka! Nie myślałam, że go opchniesz za tak niewiele...

Zamilkłam. *Przecież* oddałam mu ten pierścionek. Co z nim zrobił, to już nie moja sprawa. Ale wolałabym, żeby nie oddawał go za bezcen w mojej obecności.

I tak mój pierścionek zaręczynowy wraz ze wszystkimi marzeniami i nadziejami został prehandlowany za sto funtów. Było po wszystkim. Tą pospieszną sprzedażą na łeb na szyję tylko to potwierdziliśmy.

Gdy samolot z Londynu przysiadł na mokrym pasie frankfurckiego lotniska, nagle dopadły mnie wątpliwości. Czy było coś bardziej godnego marzeń, niż zarabiać na swoje bułki wysoko nad chmurami, gdzie zawsze świeci słońce? Czy tak łatwo jest porzucić to współczesne życie koczownika? Czy świat widziany z góry nie pozwala też złapać dystansu do własnego życia?

Tej perspektywy brakowałoby mi jak utraconego przywileju. Jak zawsze: ważnych decyzji się nie podejmuje, dojrzewają same.

Następnego dnia wzięłam do ręki wypowiedzenie, które Jerome dla mnie napisał. Przeczytałam je jeszcze raz, żeby przepisać na czysto. Przed moim następnym lotem oddałam je pełniącej służbę supervisorce, ponieważ pan Akkad był nieobecny i tym samym, niestety, nie miałam okazji zobaczyć jego reakcji na moje wypowiedzenie. Supervisorka od razu domyśliła się treści tego pisma.

- Och nie, Tereso, nie! Dokładnie to sobie przemyślałaś?

Potwierdziłam z lekkim uśmiechem.

- Szkoda, że dobrzy ludzie odchodzą.

- Dziękuję, właśnie to chciałam usłyszeć.

Od tego momentu bardziej świadomie postrzegałam to, co nie-
zwykle w codzienności Arabii Saudyjskiej. Na przykład dźwięk
spuszczanych rolet w sklepach na suku, kiedy muezin wzywał wier-
nych do modlitwy. Przez następne dwadzieścia minut nie można
było ani kupować, ani sprzedawać. Ten czas należał tylko i wyłącz-
nie do Allaha i służył modlitwie oraz skupieniu. Bycie posłusznym
i pobożnym muzułmaninem, który regularnie się modli, zapew-
niało dobrą sławę, poza tym wpływało korzystnie na interesy.

Wtedy w swojej czarnej abai, ustępstwie na rzecz obyczajów
tego kraju, wciąż trochę nonszalancko zsuwającej mi się z ramie-
nia, przysiadłam na ciepłym kamiennym schodku. Torby z zaku-
pami stawiałam przed sobą i patrzyłam na somalijskie i sudańskie
kobiety. Na małym placyku przy targu jubilerskim również rozło-
żone były chustki do modlitwy. Do meczetu kobiety nie wchodziły.
Prawdopodobnie pomieszczenie dla nich było o wiele za małe albo
w ogóle go nie było. W Arabii Saudyjskiej zamężne kobiety nie
muszą prowadzić życia religijnego. Wystarczy, że głowa rodziny to
robi.

Pięć lat w Królestwie Arabii Saudyjskiej. Wiele rzeczy pozos-
stało mi tutaj obcych - obcych, a mimo to znanych. Jak cienie,
które deptały człowiekowi po piętach i towarzyszyły we wszyst-
kich miejscach publicznych. Kobieta nie mogła sama szwendać się
po targu, nie narażając się na ciągłe spojrzenia od stóp do głów,
a czasem i śledzenie przez przechodniów, wszystkich miejsco-
wych.

No dobrze, człowiek nie musi rozumieć tego świata, ale powi-
nien sobie dawać w nim radę. To, że teraz długo już nie będę wra-
cać do Arabii Saudyjskiej, wydawało mi się równie niewyobrażalne
jak ten nowy etap życia, który wskutek mojego wypowiedzenia był
już bardzo blisko.

Mój ostatni lot odbył się szybciej, niż myślałam. Po kilku lotach w tę i z powrotem na początku grudnia byłam już niepotrzebna. Zamiast tego wysłano mnie do Dżuddy, żebym oddała wszystko, co było własnością linii lotniczych.

Nie wierzyłam własnym oczom: w poczekalni nowego kampusu stewardes w Saudia City podeszła do mnie Arzu, którą ostatnio widziałam pięć miesięcy wcześniej w Bangkoku.

Błada i bez makijażu, w starych, wyświechtanych džinsach, stała przede mną i lustrowała mnie z nieukrywaną ciekawością. Cóż, kiedy było wiadomo, że zgodnie z wszelkimi przewidywaniami nigdy więcej się nie zobaczymy, chciała ze mną porozmawiać. Z ulgą stwierdziłam, że znów mogę zupełnie normalnie rozmawiać z Arzu, bez tego strasznego zakłopotania. Jej oczy jak ogniście agaty, które mnie tak całkowicie ujarzmiły, nie mogły mnie już osiągnąć. Ceną za moje uwolnienie była nowa miłość - ponowna niewola mojego serca.

Opowiedziałam Arzu, jak menedżer naszej bazy zdecydował o przeniesieniu mnie z powrotem do Dżuddy i moje wypowiedzenie zrealizował nieco wcześniej, niż to było w planie.

- Po pięciu latach służby nie pozwolę przerzucać się to tu, to tam jak piłeczka pingpongowa.

- Doskonale cię rozumiem - powiedziała Arzu z namysłem. - Ale co chcesz robić po opuszczeniu Saudii?

- Wyjść za mąż i urodzić dzieci.

Jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Arzu, istnieje życie po Saudii. Jestem pewna, że czekają na mnie jeszcze zupełnie inne wyzwania.

Skinęła głową i popatrzyła mi badawczo w twarz, jak gdyby oczekiwała jeszcze czegoś, ale zdecydowałam, że wystarczająco mnie już odpytała, i odbiłam piłeczkę:

- A ty? Wciąż jesteś w Bangkoku?

- Gdzie indziej mogłabym być? Chwilowo czasy są niepewne i zachowuję się spokojnie. Zaproponowano mi pracę instruktorki w bazie. To by mnie nawet podniecało, ale musiałabym wrócić do Dżuddy, a tego nie chcę. Zatem trochę mocuję się ze sobą.

W tym momencie ktoś zawołał Arzu.

- Cóż, Tereso, życzę ci wszystkiego dobrego, wszystkiego, co tylko masz w planach - zakończyła formalnie i patrząc w bok na tę, która ją wołała, ale nie bez serdeczności, której już tak dawno od niej nie doświadczyłam. Prawdopodobnie zawdzięczałam to faktowi, że wkrótce ostatecznie zniknę z horyzontu i w przyszłości nigdy więcej nie będzie musiała radzić sobie ze mną i ze swoimi sprzecznymi uczuciami.

Jej mit został więc nienaruszony i żadne wyjaśnienia i wyznania nigdy go nie naruszą.

Ostatni raz weszłam do biura personalnego, aby oddać mundur, licencję lotniczą, kartę identyfikacyjną, instrukcje i wszystkie rzeczy, które były własnością linii lotniczych. Trzeba było wypełnić formularze i ankiety dla odchodzących stewardów i stewardes. Jedno z pytań brzmiało: „Czy może pan/i sobie wyobrazić, że zechce w przyszłości znów pracować dla Saudii?”. Bez zwłoki napisałam: „Nie”.

Mimo to zawdzięczam Saudii wiele życiowego doświadczenia, wytrzymałości i siły oraz wspomnień o przygodach i przeżyciach, które zawsze ze mną pozostaną.